



PRZEPUSTKA

KRZYSZTOF BEŚKA

DO PIEKŁA



Sierpień 1944 roku w Warszawie to nie tylko czas walki,
ale też załatwiania starych porachunków...

Przepustka do piekła

Krzysztof Beśka

Melanż

Warszawa 2018

Projekt okładki
Vavoq (Wojciech Wawoczny)

Zdjęcie wykorzystane na okładce:
© Narodowe Archiwum Cyfrowe
© Shutterstock / Mike McDonald

Redakcja
Dorota Wojciechowska

Korekta
Ewa Kłosiewicz-Majka, Katarzyna Szajowska

Skład i łamanie
Akant

© Copyright by Krzysztof Beśka, Warszawa 2018
© Copyright for this edition by Melanż, Warszawa 2018

ISBN 978-83-64378-67-6

Warszawa 2018
Wydanie I

Melanż 293 363
wydawnictwo@melanz.com
ul. Rajskich Ptaków 50,
02-816 Warszawa
www.melanz.com.pl

*

Zawsze ktoś włączy za wcześnie. W tym roku pierwsza syrena odezwała się za Wisłą, już za dwie piąta po południu. No, ale oni na tej Pradze zawsze byli wyrywni.

Ci, którzy zgromadzili się w Śródmieściu, tam gdzie przecinają się dwie najważniejsze arterie Warszawy, Marszałkowska i Aleje Jerozolimskie, wydali się nieporuszeni tym wyjściem przed szereg. Choć, owszem, trzeba było powstrzymać jednego, który już się szykował, aby odpalić flarę. Młody chłopak, ostrzyżony na zero. Ma pewnie w wojskowym plecaku kilka takich zabawek, a na grzbiecie czarną koszulkę z napisem PAMIĘTAMY, kotwicą i biało-czerwoną, nieco przybrudzoną i postrzępioną opaskę na ramieniu. Dopiero gdy przyjrzeć się bliżej, widać, że to nie opaska, ale również nadruk.

A z roku na rok jakby coraz więcej tych kolorowych rac, a zatem i więcej dymu. Za każdym razem początkowo ściele się po ulicy, by po chwili unieść się nad głowy stojących w bezruchu, nad dachy samochodów, wdrzeć się przez nieopatrznie uchylone okna do wnętrz unieruchomionych autobusów i tramwajów. Coraz rzadszy, ale jeszcze wciąż widoczny, ulatuje nad dachy kamienic, których część pamięta dobrze tamte dni. Czasem nawet dociera do ostatnich pięter wieżowców, które wybudowano dużo później, na gruzach zburzonego miasta...

– Już czas – powiedział ktoś pod krawatem, jednocześnie kiwnięciem głowy dając znak stojącym dalej.

Zaczęły się odzywać syreny. Robiło się czerwono od zapalanych flar. Kilka osób bezceremonialnie wtargnęło na jezdnię Marszałkowskiej, by zatrzymać ruszający akurat z przystanku autobus. Robili to bez złości, wszak za kierownicą pewnie siedzi Ukrainiec, w dodatku od niedawna u nas, więc skąd ma wiedzieć, jak się zachować w ten szczególny dzień?

– Cześć i chwała bo-ha-te-rom!!! – skandował równo chór

kilkunastu męskich głosów, mocnych, choć nieco schrypniętych. Zapewne po wczorajszym, kiedy to w podobnej sile i z podobnym zapałem i wiarą wołali: „Sę-dzia chuj! Je-bać Le-cha!”.

Kilkadziesiąt, może nawet kilkaset osób zgromadzonych jak co roku w centralnym punkcie miasta stało bez ruchu, jeśli nie liczyć kilku młodych, którzy z zapałem kręcili korbkami przyniesionych na miejsce syren.

Nagle znajdujący się wśród nich starszy mężczyzna zaczął się chwiać. Po chwili ugiął się w krzyżu, wsparł rękami o kolana jak biegacz, który właśnie pokonał morderczy dystans. Ktoś mógł pomyśleć, że człowiek ów zrobił to, by móc lepiej przypatrzeć się syrenie, która wyła ledwo metr od niego. Ktoś, kto stał jeszcze bliżej, z pewnością mógłby dostrzec, że mężczyzna jest blady i oddycha z trudem, a na jego czole perli się pot.

– Boże! – krzyknęła jakaś kobieta.

Dwoje nastolatków w harcerskich mundurach, chłopak i dziewczyna, pierwsi znaleźli się przy leżącym na chodniku człowieku.

– Co się panu stało? Żle się pan czuje? – dopytywali się jedno przez drugie, wyraźnie przejęci sytuacją, może nawet pierwszą taką w życiu, kiedy trzeba się wykazać wiedzą zdobytą na zajęciach z samarytanki.

Starszy pan wybałuszył oczy, chwilę nimi przewracał. Mruczał coś, poruszając sinymi ustami, ale nie sposób było go zrozumieć. Harcerz uniósł mu ostrożnie głowę i położył pod nią swój plecak.

– Trzeba wezwać pogotowie – powiedział ktoś.

– Już to zrobiłam. Z Poznańskiej kawałek, więc zaraz pewnie będą – odpowiedział kobiecie głos; być może była to ta sama pani, która pierwsza zareagowała na zdarzenie, krzykiem alarmując najbliższych stojących.

– Różnie może być, wszędzie korki – biadolili ktoś inny.

Tłumek nad leżącym gęstniał. Coś szeptało, dopytywano. Ktoś kręcił głową, jakby był członkiem konsylium i nie widział już cienia nadziei. Syreny umilkły, ale teraz czekano na jeszcze jedną. Odezwała się na krótko przed dotarciem ambulansu na miejsce,

widać jego kierowca miał kłopot z przejechaniem przez południową nitkę Alej. Po chwili koła zastukały na torowisku. Chociaż sygnał wyłączono, niebieskie światła na dachu karetki nie przestawały się obracać.

Tłuszcza rozstąpiła się przed ludźmi w czerwonych kombinezonach. Pochód otwierał mężczyzna z plakietką z czarnym napisem LEKARZ na białym tle i walizką w ręku, zamykał zaś chłopak, który dźwigał nosze, jeszcze złożone. Jakoś się nie spieszyli.

– Halo! Słyszysz mnie pan? – Doktor zaświecił w oczy chorego maleńką latarką, po chwili chwycił fachowo za nadgarstek, by sprawdzić puls.

Starszy pan zamrugał powiekami.

– Co się stało, panie doktorze? – zapytał.

– Stracił pan przytomność – odrzekł lekarz, nie spuszczać wzroku z pacjenta, by zaraz zapytać: – Jak się pan czuje?

– Dobrze.

– A pamięta pan, jak się pan nazywa?

– Panie doktorze – zachnął się mężczyzna, po czym nawet się uśmiechnął, pokazując zadziwiająco białe i kompletne uzębienie.

Wianuszek głów nad leżącym zaczął szybko chudnąć. Każdego wołało życie, obowiązki, praca, mimo że było już po piątej po południu. Kolejna rocznica wybuchu powstania, inna niż wszystkie, za nami. O tym, co się wydarzyło, opowiedzą w biurze dopiero następnego dnia rano, przy pierwszej kawie. Jeśli nie zapomną, bo wiele wskazywało na to, że wszystko dobrze się skończy. Wcześniej tę historię usłyszą domownicy przy kolacji.

– Musimy zabrać pana na obserwację. – Lekarz dał znać sanitariuszowi, aby zaczął rozkładać nosze.

Na te słowa starszy pan uniósł się, zmieniając pozycję na siedzącą. Rozglądał się na boki i wyglądał na zakłopotanego sytuacją.

– To nie jest konieczne, doktorze. Po prostu źle się poczułem, ale już mi lepiej, naprawdę. Wrócę do domu i się położę. Mieszkam niedaleko...

Lekarz spojrzął na zegarek. Może chciał sprawdzić, ile czasu

upłynęło od chwili, gdy oderwano go od świeżo zaparzonej kawy. I czy jeszcze zdąży ją wypić, zanadto nie wystudzoną. Na Poznańską, gdzie była siedziba pogotowia, było stąd rzeczywiście niedaleko.

– Nie mogę pana tak zostawić – mruknął.

– Ale my możemy odprowadzić tego pana do domu – wtrącił się nastoletni harcerz, a jego towarzyszka ochoczo stanęła obok.

Doktor chwycił walizeczkę za rączkę i wstał.

– Niech i tak będzie – sapnął. – Ale w razie czego od razu dzwońcie.

– Tak jest! – odpowiedzieli chłopak z dziewczyną.

– Komórkę macie?

– Tak. Ale w razie czego znamy też zasady udzielania pierwszej pomocy – odrzekł z powagą nastolatek.

Po kilku chwilach karetka odjechała. Nic nie świadczyło już o tym, że coś tu się wydarzyło. W centrum Warszawy trwał normalny o tej porze szczyt popołudniowych powrotów. Tylko kilka kroków od miejsca, gdzie zasnął mężczyzna, leżały wypalone flary...

– Dziękuję. – Starszy pan wyciągnął rękę, jakby chciał pogłodzić harcerza po włosach, szybko jednak ją cofnął; nie miał przecież do czynienia z dziećmi. – Pójdę już.

– Daleko pan mieszka? – chciała wiedzieć dziewczyna.

– Kawalek. Nie kłopotcie się, poradzę sobie.

Ledwo jednak zrobił krok, stęknął i chwycił się za lewy bok. Zaniepokojeni harcerze spojrzeli po sobie.

– Nie ma mowy. Obiecaliśmy, że odprowadzimy pana do domu – rzekł twardo chłopak.

*

Spoglądał ukradkiem na tych dwoje młodych ludzi i zastanawiał się, jakie myśli mogą pojawiać się w ich głowach. Czy już żałowali decyzji, że pomogą staremu dostać się do domu? Przecież jeszcze przed paroma chwilami omal nie umarł; lekarz chciał go zabrać, ale ten, uparty – jak to stary – powiedział, że nie ma potrzeby.

A wcale nie czuł się dobrze. Teraz mógł upaść w każdej chwili, rozbić sobie łeb, złamać rękę albo po prostu umrzeć. I dopiero

mieliby kłopot. Na nic zdałaby się samarytanka. Pewnie by się nie skończyło na wezwaniu pogotowia, a na rozmowach z policją i prokuratorem...

Co właściwie, do cholery, tych dwoje nastolatków robiło o tej porze w rozgrzanych murach milionowego miasta? Przecież powinni teraz leżeć na nadmorskiej plaży, iść górskim szlakiem albo płynąć żaglówką po mazurskim jeziorze. Zresztą w mieście też mogli robić sto innych rzeczy. Od siedzenia z rówieśnikami na wiślanych bulwarach, po grę na PlayStation w domowym zaciszu.

– Rzeczywiście blisko pan mieszka – odezwał się harcerz, a w jego głosie czuć było wyraźną ulgę.

Mężczyzna uśmiechnął się blade. Tak, tutaj mieszkał. W tej kwestii akurat nie skłamał lekarzowi. Stylowa kamienica na rogu Sienkiewicza i Jasnej. Dobry punkt. Będzie to bez wątpienia łakomy kąsek, gdy zejdzie z tego świata, bo przecież kiedyś to nastąpi.

– Dziękuję, że się fatygowaliście – powiedział, kiedy zatrzymali się przed bramą.

– To dla nas zaszczyt – odparł z mocą chłopak. – Prawda jest taka, że rzadko kiedy możemy teraz komuś pomóc. Dzisiaj harcerze tylko służą do mszy i stoją na warcie przy pomnikach. I to tylko jedynie słusznych bohaterów...

Starszy pan spojrzął na niego badawczo i rzekł:

– Odważny jesteś.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Da pan sobie radę? – zapytała dziewczyna.

– Tak. Jakoś się wdrapię na swój Olimp. Choć urodziłem się w tym mieszkaniu, odnoszę wrażenie, że z roku na rok znajduje się wyżej...

Zaśmiali się. Harcerz zsunął rogatywkę na tył głowy i starł dłonią pot z czoła.

– A nie powiedziałby nam pan czegoś o powstaniu? – zapytał. – Byłaby to dla nas nie lada gratka. Mielibyśmy o czym opowiadać na zbiórkach.

Starszy pan splótł ręce na piersiach i przez chwilę wodził wzrokiem po twarzach tych dwojga, którzy spokojnie mogliby być jego

wnukami.

– A skąd wiecie, że ja w ogóle pamiętam powstanie? – zapytał. – Że mam swoje lata i o piątej po południu pierwszego sierpnia znalazłem się w centrum Warszawy? Przecież każdy to może zrobić! Włożyć na ramię biało-czerwoną opaskę, przygarbić się i przybrać bolesno-uroczystą minę. Nie macie dziwnego wrażenia, że każdego roku powstańców warszawskich przybywa, chociaż przecież powinno być ich coraz mniej...

– Niby dlaczego ktoś miałby się pod nich podszywać? – zapytał hardo nastolatek.

Teraz to mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może dla zaszczytów, których mu zawsze w życiu brakowało? Albo żeby przynajmniej tego jednego dnia ktoś mu ustąpił miejsca w tramwaju albo w metrze...

Tego się nie spodziewali. Dziewczyna zrobiła krok do tyłu, jakby chciała uciekać. Wtedy starszy pan oparł się ręką o ścianę. Oddychał głośniej.

– Wezwij pogotowie – polecił koleżance harcerz.

– Nie trzeba. – Mężczyzna zmusił się do uśmiechu. – Ale chyba muszę was poprosić, żebyście towarzyszyli mi w drodze do mojego mieszkania.

Wolnym krokiem pokonali niewielkie podwórko i weszli na klatkę schodową. Starszy pan zacisnął pokrytą brązowymi plamkami dłoń na poręcz, sapnął i ruszył w górę po schodach, harcerze zaś krok za nim. Czy zdołaliby go chwycić, gdyby znów zasłabł?

Pięć minut później zatrzymali się przed drzwiami mieszkania. Zabrzęczały klucze wyjęte z bocznej kieszeni marynarki mężczyzny.

– Wejdźcie, proszę. – Otworzył drzwi.

Ale nastolatka się zawahała. Może brzydziła się mieszkań starych ludzi, a może nawet zaczynała bać się tego człowieka, który mógł się przecież okazać lubieżnikiem. Mało to piszą o tym w gazetach, mówią w telewizyjnych programach informacyjnych. A przecież od najmłodszych lat wkładano jej do głowy, żeby nie rozmawiać z nieznajomymi. Na szczęście miała obok siebie towarzysza, on zaś

przy pasku harcerski nóż.

Po chwili weszli do środka. Mieszkanie było niemal pozbawione mebli, jakby człowiek ten dopiero je kupił, co było dziwne, bo przecież powiedział, że się w nim urodził. Może mieli do czynienia z kimś, kto właśnie odzyskał nieruchomości...

– Poczekajcie, znajdę coś do siedzenia – powiedział, po czym zniknął za drzwiami mniejszego pokoju.

– Karolina, co to jest? – zapytał szeptem harcerz, kiedy zostali sami.

Na jednej ze ścian salonu wisiał ogromny plan przedwojennej Warszawy. Obok umieszczono mniejszy, kolorowy. Współczesny. W oba powbijano szpilki, które łączyły kolorowe nitki. Na stole leżały jakieś dokumenty, które wyglądały na stare. Tu i ówdzie mignęła czarno-biała fotografia i pieczętka z gapą, tudzież leżał stary, pożółkły, otwarty brulion, zapisany równym pismem.

– „Wypadliśmy na Lwowską, po chwili przecięliśmy Koszykową. Dzielnica była opanowana przez naszych...” – przeczytał chłopak, po czym spojrzął na towarzyszkę i rzekł z triumfem: – A nie mówiłem, że to powstaniec!

Na progu pokoju pojawił się gospodarz. Niósł dwa stare, drewniane krzesła. Harcerz szybko odłożył brulion i podszedł do niego, aby mu pomóc.

– Dziękuję – sapnął mężczyzna, oddając mu jedno z krzesel.

– Przepraszam, ale zainteresowało mnie... – nastolatek usprawiedliwiał swoją ciekawość, wskazując ruchem głowy na stół.

– Nie szkodzi. To nie muzeum, gdzie stoją starsze panie, które pilnują, aby nie dotykać eksponatów. – Stary zaśmiał się, ale śmiech szybko zamienił się w krótki kaszel.

Usiedli. Gospodarz zajął miejsce w głębokim fotelu z powycieranymi podłokietnikami. Młodzi ludzie wciąż rozglądali się po pomieszczeniu.

– Jak wam się podoba moja pracownia? – zapytał po chwili mężczyzna. – Co prawda dopiero zacząłem ją urządzać, ale już można zacząć prowadzić badania.

– A co pan właściwie bada? – zapytała rezolutnie harcerka.

– Co badam? Dobre pytanie – rzekł niegłęboko, po czym wstał i zbliżył się do przedwojennego planu miasta. Uniósł głowę i przymrużył oczy.

Młodzi goście po raz kolejny tego popołudnia wymienili spojrzenia. Stary stał przed ścianą i wyglądał, jakby się do niej modlił. Może więc nadarzała się ostatnia okazja, by dać stąd drapaką.

A jednak żadne z nich nie ruszyło się z miejsca...

– ...dlatego żądam kary śmierci!

Twarz człowieka, który wypowiedział te słowa, wykrzywił gniew. Mężczyzna był drobnej budowy ciała, miał czarny cienki wąsik, dzięki któremu przypominał fryzjera. Raczej z zakładu pośledniej kategorii. Wystarczyło ubrać go w biały, nieco wymięty fartuch. Póki co jednak miał na sobie garnitur z granatowego tenisu i żółtą koszulę, rozpiętą pod szyją. Był nieogolony. Kiepska reklama dla zakładu fryzjerskiego.

– Dodam jeszcze, że w obecnych warunkach wyrok, który, mam nadzieję, zapadnie, powinien zostać wykonany natychmiast – wycharczał gniewnie, tocząc wzrokiem po twarzach obecnych.

O czym to ja myślałem? A, o weselu. Miało się odbyć w sobotę, pierwszą sobotę sierpnia. W roku 1944 wypadła piątego. Kombinacja cyfr nie była więc jakaś szczególna czy szczęśliwa. Wątpliwe zresztą, żeby pan Cieślik, który wydawał za męża jedyną córkę, w ogóle nad tym się zastanawiał. Państwo młodzi też pewnie mieli to w głębokim poważaniu. Grunt, że można było bezkarnie napić się wódki czy samogonu, nawet paść pod stół. Nie myśleć o porannych obowiązkach.

Ważne było również to, żeby wszystko odbyło się zgodnie z polską tradycją: kościół, msza, ksiądz, wzruszone matki i ciotki. Potem sakramentalne „tak”, wymiana obrączek wykonanych być może z przetopionego żydowskiego złota. Wreszcie *Marsz Mendelssohna*. Tego nie było w stanie zakłócić nic i nikt, choć bywały wyjątki. Jak choćby pechowy ślub w kościele Świętego Aleksandra, w czerwcu ubiegłego roku, kiedy to goście wsiedli prosto do bud i zamiast na wesele, pojechali na Pawiak. Niemcy rozbili wtedy nasz elitarny oddział dywersyjny...

Teraz jednak sytuacja nie miała prawa się powtórzyć. Pan Cieślik to nie był przecież byle kto. Miał zakład wulkanizacyjny na Dolnym Mokotowie i łątał koła w samochodach... Niemców: od eleganckich

limuzyn, którymi poruszali się generałowie i wysocy oficerowie, przez kübelwagony, po ciężarowe ople z czarno-białymi krzyżami na burtach i zawsze łopoczącymi złowroźnie plandekami. Czy były wśród nich także te, które wyjeżdżały rano do miasta, a potem wiozły schwytanych podczas łapanki ludzi? Lepiej było nie pytać...

Oto miało się spełnić największe marzenie Cieślikówny, więc wszystko musiało być naprawdę najwyższej jakości. Na bogato! Choćbyśmy przez następny miesiąc mieli wpieprzać tylko kartkowy chleb z marmoladą z buraków. Dlatego ojciec panny młodej zażyczył sobie wędlin i szynki najwyższej jakości i pierwszej świeżości. A takie w piątym roku wojny i okupacji można było zdobyć tylko w jednym miejscu – na wsi. I, co również było nie bez znaczenia, przez zaufanych ludzi.

Jednym z takich ludzi był mój ojciec. Przed wojną skromny pracownik w państwowym urzędzie, który nie potrafił wyjść z domu bez krawata. Gdy nastąpiła okupacyjna noc, zmienił się w szmuglera. Na palcach jednej ręki można było policzyć tygodnie, w których nie wyjechał z Warszawy, by wrócić z pętami kiełbas obwiązаныmi wokół brzucha, szynką ukrytą w plecaku czy bochenkiem prawdziwego chleba.

Wiele razy uciekał z obław, bawił się z bahnschutzami i żandarmami w kotka i myszkę, ryzykował. Wracał z obitą głową i w podartym ubraniu, konkurencja w procederze wszak była i przemytnicy nie zawsze się tolerowali. Albo wył z bólu, gdy po nocy spędzonej w jakimś rowie przy drodze czy nasypie kolejowym dokuczaly mu korzonki. Ale i to nie było w stanie zawrócić go z przemytniczego szlaku. Podobnie jak fakt, że przed ponad rokiem, wiosną 1943 roku, urodził mu się drugi syn, Leszek. Wręcz przeciwnie, bo przecież dziecko potrzebowało pełnowartościowego pożywienia, prawda?

Jednak człowiek jest tylko człowiekiem. W końcu i mojego ojca dopadła niemoc. Odezwały się chyba wszystkie dolegliwości naraz. Ledwo przekroczył próg mieszkania w kamienicy Harcyka, padł na łóżko i nie mógł się podnieść. Alina, ukochana ojca, była w tym

czasie z Leszkiem na wsi. Obowiązek opieki na chorym przypadł więc mnie. I inne obowiązki też. Skąd ojciec znał pana Cieślika, nie miałem pojęcia. Nie przypominałem sobie też, żeby wcześniej wspominał jego nazwisko.

Na szczęście przesyłka była przygotowana i należało ją tylko dostarczyć na miejsce. Mimo że był dopiero wtorek, a wesele, jak już wspomnieliśmy, miało się odbyć w sobotę. Ojcem powodowało coś jeszcze: jeśli kiełbasa miała się zepsuć, to nie u nas. Zatem jak najszybciej do Cieślika, pieniądze do kieszeni i w nogi.

– A jaka to była kiełbasa?

Wzdrygnąłem się. Miałem wrażenie, jakby ktoś gwałtownym ruchem wyjął mi z uszu zatyczki, które dotąd skutecznie tłumiły wszelkie hałasy, a oczy moje zaczęły łzawić, jakbym przez dłuższy czas wpatrywał się w jakiś punkt, starając się przy tym nie mrugać. Może zresztą tak właśnie było...

– Czy pan mnie słyszy? – odezwał się ten sam głos.

Skinąłem głową. Chciałem gest, który sam był chyba mało uprzejmy, przynajmniej w tych okolicznościach, potwierdzić zaraz werbalnie, ale gardło wyschło mi na wiór.

– Tak, słyszę – wykrztusiłem w końcu z trudem.

W tym samym momencie za oknem rozległ się wybuch. Nie był pierwszy, ale za każdym razem ktoś z obecnych wzdrygał się nerwowo. W oknie zadzwoniły szyby. Nie wypadły, więc chyba można było być spokojnym: pocisk trafił kamienicę kilka, może nawet kilkanaście przecznic stąd. Może niemiecki, a może już nasz. Nie wiadomo też, czy trafił, czy tylko rozerwał się na jakimś skwerze albo na środku ulicy...

– Więc co to była za kiełbasa?

Mężczyzna w garniturze z granatowego tenisu pokręcił głową z dezaprobatą, coś mruknął pod tym swoim fryzjerskim wąsikiem. Przeniósłem wzrok w lewo, na tego, który zadał mi pytanie. Miał na sobie wojskowy mundur sprzed września z dystynkcjami kapitana. Na kołnierzu przyszyto łapki koloru malinowego z czarnymi wypustkami.

Pamiętałem, choćby z niegdysiejszych defilad w Alejach Ujazdowskich, ale nie tylko, bo oficerów spotykało się też często na co dzień, że mundury, które nosili, prezentowały się na nich wspaniale. Były dopasowane co do milimetra, a wysokie buty zawsze wyglancowane. Wszystko, od gwiazdek na otoku rogatywki i naramiennikach, po sprzączkę od pasa, wzbudzało podziw i szacunek. Nie tylko u smarkacza, którym byłem...

Na człowieku, który przed chwilą zapytał mnie o gatunek kiełbasy, mundur nie leżał już tak dobrze. Jakby nie należał do niego albo człowiek ten bardzo schudł. Stawiałbym raczej na to drugie, zważywszy na to, jak Frank, Fischer i ich ludzie bardzo dbali o to, co mieliśmy na co dzień na talerzach. Tu się sukno marszczyło, tam wręcz zwisało, a pomiędzy kołnierzem z tymi malinowymi łapkami a szyją zmieściłyby się z powodzeniem dwa palce, a może nawet trzy. Raziła popękana tu i ówdzie skóra brązowej koalicyjki.

To nie był jednak dobry moment na krytykowanie stroju tego człowieka. I nie miejsce. Tym bardziej że kapitan ściągnął srogo brwi, najwyraźniej zdenerwowany przedłużającą się ciszą i brakiem odpowiedzi na pytanie.

– Nie pamiętam – odparłem.

– A może pan nie wie... – ni to zapytał, ni to stwierdził człowiek w zbyt obszernym mundurze, podnosząc brew.

– Może nie wiem – przytaknąłem słabym głosem.

– To trochę dziwne jak na kogoś, kto zawodowo zajmuje się szmuglowaniem żywności do Warszawy – odezwał się milczący dotąd osobnik, który siedział po prawej stronie mundurowego.

Ubrany był w białą koszulę, w paru miejscach przykurzoną, z podwiniętymi rękawami. Wyglądał, jakby dopiero co wrócił z pikniku nad Świdrem. I nie był z tego powodu zbyt zadowolony, o czym świadczyła czerwona twarz, mars na czole i zaciśnięte w pięści dłonie.

– Rzecz trzeba przecież jakoś sprzedać, zareklamować – perorował.

– Mimo wszystko. I nie pomylić się przy zamówieniach. Sam wiele razy kupowałem w ten sposób mięso. Ktoś lubi myśliwską, a ktoś

inny białą...

Pierdolisz jak połamany – pomyślałem ze złością. Dałbym sobie bowiem rękę uciąć, że człowiek ten dopiero od niedawna jest w okupowanej Warszawie, a wcześniej obżerał się angielską wołowiną.

– Nie zaglądałem do paczki – wyjaśniłem zgodnie z prawdą. – Moim zadaniem było jak najszybciej dostarczyć produkty na wesele córki pana Cieślika.

– Cieślika? – podchwycił kapitan.

– Tak. Nie pamiętam imienia. Ma zakład wulkanizacyjny na Dolnym Mokotowie. Możecie to sprawdzić. Zresztą już to mówiłem...

– Zgadza się, mówił pan. – Kapitan opuścił wzrok i zaczął grzebać w leżących przed nim papierach.

– Tego Cieślika również dobrze znamy, zresztą nie od dzisiaj – wtrącił się fryzjerczyk. – Zenon ma na imię. I wiemy bardzo dobrze, z kim współpracuje.

Zimny dreszcz przebiegł mi od kości ogonowej aż po kark. Nie pierwszy. Były jak zwierzątka, które schowały się w bezpiecznym kącie i co jakiś czas jedno z nich wymykało się na zewnątrz. Też bym dał wiele, aby stać się takim zwierzątkiem. Jak królik Leo, którego kiedyś przyniosłem z targu do domu z zamiarem nakarmienia nim niespodziewanych gości, co się na szczęście nie stało i zwierzątko żyło sobie do dzisiaj w naszym mieszkaniu...

W naszym mieszkaniu? – powtórzyłem myśl. I zamiast rzewności, która powinna chwycić mnie za serce, poczułem niepokój. Przecież nie miałem pojęcia, czy kamienica Harczyka jeszcze stoi tam, gdzie stała. W jednym kawałku. I czy ojciec mój żyje...

Wyszedłem z domu we wtorek, pierwszego sierpnia, około południa. Teraz był czwartek. Od dwóch dni w Warszawie trwała awantura. A ja zostałem złapany z niemieckimi dokumentami. Miały mi pomóc, gdyby żandarmi, ci normalni, z blaszanymi półksiężycami na piersiach, zatrzymali mnie z mięsem. Ale zrobili to ludzie z białoczerwonymi opaskami na ramieniu. Ja już mięsa nie miałem, ale oni mieli broń w rękach...

– Sąd udaje się na naradę. Wyprowadzić oskarżonego – zarządził

kapitan, którego los szczęśliwie postawił po latach przerwy w roli sędziego.

Po tych słowach poczułem ruch po mojej prawicy i lewicy. Nie tylko ważny człowiek w mundurze siedział otoczony z dwóch stron. Ja też. To byli konwojenci. Żeby nie uciekł przez okno albo nie rzucił się na sąd. Jako groźny szpieg, bo przecież w tej sprawie byłem ni to przesłuchiwany, ni to sądzony, pewnie potrafiłbym ich zabić gołymi rękami.

Tymczasem oni mieli zabić mnie. I, jak kilka chwil wcześniej powiedział prokurator-fryzjerczyk, w obecnych warunkach powinno się to stać jak najszybciej...

*

– Zapalisz? – zapytał, wyciągnąwszy w moim kierunku rękę z paczką egipskich, by zaraz się poprawić, nieco ciszej, może nawet konfidencjonalnie: – *Zigaretten? Rauchen?*

– Nie szkoda ci dla szkopa? – fuknął drugi z konwojujących mnie powstańców, który szedł dwa kroki z tyłu; czy mierzy w moje plecy ze stena, wołałem nie sprawdzać.

Tamten nic nie odpowiedział. Ale rękę cofnął, może zawstydzony tym gestem niegodnym Polaka, który właśnie wstał z kolan.

– *Schneller* – mruknął ten drugi.

– Nie musicie sobie łać języka, chłopaki – powiedziałem drżącym głosem, starałem się bowiem stłumić w sobie narastający gniew. – Doskonale mówię po polsku. I to od urodzenia.

– Dobra, dobra, Helmut, czy jak ci tam dali na chrzcie w Monachium. Maszeruj do przodu, grzecznie i z rączkami przy rozporku. I nie jesteśmy dla ciebie żadne „chłopaki”, tylko polskie wojsko, rozumiano? – Dźgnął mnie w plecy lufą automatu.

Przełknąłem ślinę. Nie mogłem mieć do niego pretensji za takie traktowanie. Pewnie stracił kogoś bliskiego w obozie albo ulicznej egzekucji, więc trudno się dziwić, że kiedy wreszcie miał na muszce kogoś, kto być może współpracował z hitlerowcami, nie silił się na subtelności.

Na szczęście byliśmy już na miejscu.

– Właż! – rzucił, na szczęście już nie używając metalu.

W celi, do której mnie z powrotem odprowadzono, jeszcze do niedawna mieszkańcy kamienicy suszyli pranie. Świadczył o tym obecny tu wciąż zapach krochmalu i mydlin, a także rzędy haków wbitych w przeciwległe ściany, między którymi może jeszcze tydzień temu rozpięte były sznury. Dzisiaj musiano je zabrać, żeby podejrzani nie wybrali łatwiejszej drogi i nie ubiegli plutonu egzekucyjnego, wieszając się w celi, podczas gdy reszta więźniów ze wszystkich sił udawałaby, że śpi.

Kiedy jeszcze stałem krok za progiem byłej suszarni, doskoczył do mnie Adam.

– I co? – zapytał, wpatrując się we mnie badawczo.

Wzruszyłem ramionami.

– Nic. Jeszcze żyję.

Za oknem, a w naszych apartamentach była to jedna wąska, jeszcze oszklona i gęsto okratowana szczelina, przez którą nie precyzyjnie się pewnie nawet dziecko, dobiegł kolejny pomruk wybuchu.

– To stukasy – rzekł ze znawstwem, odwracając się na chwilę w stronę źródła światła. – Od rana latają jak wściekłe. Jak tak dalej pójdzie, nic z miasta nie zostanie...

Trochę dziwnie brzmiały te słowa w ustach kogoś, kto tak jak ja siedział w anclu. Nie niemieckim, a polskim, powstańcym. Martwił się o miasto w chwili, gdy los jego samego był niepewny? Dziwne. Miał siedemnaście, może osiemnaście lat. Wsadzili go tutaj rano, razem z „michą”. Na początku w ogóle się nie odzywał. Siedział pod ścianą z podkurczonymi nogami i twarzą wtuloną w kolana. Miałem wrażenie, że płacze. Nie dziwiło mnie, bo sam byłem tego bliski. Po jakimś czasie jako kogoś z większym – co prawda tylko o jeden dzień, ale zawsze – stażem pod celą, postanowiłem wziąć go na spytki.

Okazało się, że jego wina jest niczym w porównaniu z tym, co zarzucano mnie. Tak, byłem niemieckim szpiegiem, wysłanym na Mokotów, aby rozpoznać pozycje i zamiary Polaków, którzy właśnie

chwycili za broń. Adam był tylko zakochanym młokosem, który próbował udaremnić lincz na „foksie”. I dopiął swego, bo kobiecie udało się uciec spod konopnej pętli, a w wyniku powstałego zamieszania – także i z kamienicy.

Oszałały z wściekłości tłum postanowił wziąć odwet na Adamie. Sznur wciąż wisiał i szkoda, żeby trud stróża poszedł na marne. Wtedy z kolei chłopakowi przyszedł z pomocą powstańczy patrol. Lud nie protestował, ale Adam trafił do aresztu.

– To wszystko to jest pomyłka – powiedział, gdy już ruszyłem się spod tych drzwi i usiedliśmy, każdy na swoim sienniku leżącym wprost na zimnej betonowej podłodze. – Wszyscy jesteśmy tu przez pomyłkę. Ja chciałem tylko pomóc tej biednej kobiecie. Wiele razy pomagała mojej rodzinie, dzieliła się lekarstwami, kiedy byliśmy chorzy. A ty, Antek, też nie możesz być szpiegiem.

– Dlaczego? – zapytałem cicho.

– Nie wiem. Szpieg tak nie wygląda – odrzekł.

– A jak według ciebie powinien wyglądać szpieg? Nosić czarną maskę?

– Jak w tym filmie z Ordonówną i Pichelskim?

– Zamknijcie mordy, z łaski swojej! – dobiegł nas schrypnięty, gniewny głos z przeciwległego kąta celi. – Pospać człowiekowi nie dadzą, cholera.

Spojrzeliliśmy po sobie. Adam zrobił błazeńską minę. Przynajmniej tyle dobrego.

– Przepraszamy czcigodnego pana dziedzica – rzuciłem po krótkiej chwili z udawanym przejęciem. – To się więcej nie powtórzy.

Tamten chyba wyczuł drwinę, bo zaklął szpetnie niczym pijany furman. Resztę stanowiły gniewne pomruki, które można by było przypisać bardziej jakiemuś dzikiemu zwierzęciu, które ktoś próbuje wypłoszyć z jego gawry, niżli człowiekowi.

Nie widziałem jeszcze twarzy tamtego mężczyzny. Nie wyszedł na spotkanie, gdy mnie tu zamykali. Jego też nikt nigdzie nie zabierał. Może był już po wyroku i tylko czekał na egzekucję? W takiej sytuacji można stronić od ludzi albo wręcz przeciwnie – Ignąć do nich

przesadnie. Bo kto wie, może tam rzeczywiście nic nie ma.

Skąd wiedziałem, co czują więźniowie? Prawie rok temu kilku moich bliskich przyjaciół, a jednocześnie kolegów ze szkolnej ławy w warszawskiego liceum Stefana Batorego, spędziło jakiś czas w gościnnych wnętrzach Centralniaka, czyli więzienia przy Daniłowiczowskiej. Władek Michalski, podporucznik podziemnej armii, i Franek Bela, specjalista od załatwiania rzeczy niemożliwych do załatwienia, a taką w tym czasie i miejscu była chyba co druga. Wtedy wszystko skończyło się dobrze, choć pluton egzekucyjny w Aninie już czekał...

Spytacie, czy podczas procesu nie wymieniłem nazwiska i stopnia Władka? Oczywiście, że to zrobiłem. Jeszcze podczas pierwszego spotkania z człowiekiem w przedwrześniowym mundurze oficera służby sprawiedliwości, któremu po latach przerwy nadarzyła się robota, mężczyzną o wyglądzie fryzjera i gościa, który, jak podejrzewałem, dopiero od zaledwie kilku dni przebywał w kraju, ale zgrywał kogoś, kto wszystko wie. Włącznie z tym, jak przyrządzić schabowego ze zmarzniętej brukwi.

Nie zrobiło to jednak na nich większego wrażenia. Owszem, zanotowali. Ale nie zażądali szczegółów ani dowodów, nie zadawali pytań. Prawdopodobnie a priori przyjęli, że łzę jak pies i że nazwisk i stopni, być może nawet prawdziwych, po prostu wyuczyłem się na pamięć podczas szkolenia w tajnym ośrodku Abwehry...

A przecież znałem (choć, prawda, od dawna się nie widzieliśmy) nie tylko porucznika Michalskiego, ale też jego przełożonych. Kilka miesięcy temu postanowili urządzić odprawę ścisłego kierownictwa organizacji w fotoplastikonie, w którym pracowałem, a który był własnością innego mojego druha, Czesia Bielawnego, byłego księdza z kresowej parafii. Niewiele brakowało, a wszyscy wpadliby wtedy w szkopskie łapy. I odprawa zamieniła się w obławę. Udało nam się wtedy zdemaskować niebezpiecznego szpiega.

Jednak w życiu bym nie pomyślał, że o szpiegostwo ktoś będzie podejrzewał mnie. W pewnej chwili zacząłem się bać, czy nie ściągnę aby kłopotów na głowy przyjaciół. Szybko jednak udało mi się z tego

otrząsnąć. Przecież, do cholery ciężkiej, byłem niewinny!

Znów huknęło za oknem. Tym razem jednak o wiele głośniejsze, bo aż zadrżały mury. A to oznaczało, że do eksplozji doszło bliżej. Może nawet całkiem niedaleko. Przecznicę stąd? Dwie?

– Czy to Rusczy walą z armat? – ożywił się Adam. – Stoją przecież za rzeką, więc może wreszcie się ruszyli, co?

Tego nie wiedzieliśmy. Pewne było za to, że ruszył się nasz towarzysz spod celi, któremu przeszkadzała w drzemce nasza rozmowa. Prawie zapomniałem, że jeszcze ktoś prócz nas tutaj siedzi, mimo że odzywał się przed zaledwie kilkoma chwilami. Teraz jednak nie usłyszeliśmy utyskiwań, słów skargi ani przekleństw godnych fiakra. Mężczyzna przewrócił się na bok, jak podejrzewałem, jęknął przy tym jakby przez sen. Że tak nie jest, przekonał się, gdy po chwili rzekł cicho, ale trzeźwo, a przede wszystkim zastanawiająco grzecznie:

– A to całkiem ciekawe, co panowie mówicie. O tych Ruskich znaczy...

Była to bez wątpienia doskonała okazja, żeby się wreszcie poznać. I może by do tego doszło, gdyby nie młokos, któremu żal się zrobiło „foksy”. Kto wie, może dawała mu coś więcej niż tylko lekarstwa.

– Śpij, jak ci dobrze! – fuknął w ciemny kąt, gdzie leżał tamten.

– Żebym ja cię czasem nie ululał, gówniarzu – odparował nieznanomy.

Na tym rozmowa się skończyła. Nosowe pomruki wybuchów odzywały się raz po raz, a ja, wyciągnąwszy się na starym cuchnącym sienniku (wstręt udało mi się pokonać już dawno) z rękami splecionymi pod głową, zacząłem rozmyślać.

Tak. Armia Czerwona, a wraz z nią polskie oddziały pod dowództwem generała Berlinga stały po tamtej stronie Wisły. Mieliśmy w domu radio, zręcznie ukryte przez ojca w podłodze, i codziennie słuchaliśmy komunikatów. Czuć było, że to już blisko.

Ale po tej stronie rzeki również zmieniła się atmosfera. Nie można się było oprzeć wrażeniu, że mieszkańcy miasta, jeszcze nie tak dawno przygięci do ziemi upodleniem, teraz chodzili jakby bardziej

wyprostowani, głowy trzymali wysoko, dumnie. Nie mówiąc już o młodych ludziach, którzy nie zamierzali się już nawet kryć, że należą do konspiracji, działają i tylko czekają na rozkaz, by rozpiąć kapotę. To już nie będą ćwiczenia na strzelnicy, marnowanie „pestek”, jak wielu twierdziło, bo dużo lepiej i z większym pożytkiem byłoby rozorać ołowiem szkopskie flaki. I już nie tylko buty „na szklankach”, energiczny wojskowy krok i samodziętowe marynarki o tym świadczyły, ale pewne wypukłości pod owymi marynarkami czy płaszczami.

Trwała wojna nerwów i wyścig z czasem: czy ci zza Wisły ruszą pierwsi, czy wcześniej zrzucą tu naszych skoczków. Czy Niemcy czmychną na zachód, co zresztą już od pewnego czasu się działo. I co na to wszystko powie wujek Stalin.

Tak, wiedziałem o ruchach armii, znałem nazwiska polskich konspiratorów, a i nieobce mi były nazwiska wrogów. Nieraz człowiek się nasłuchiwał, w tramwaju, kolejce po chleb czy po prostu w mieszkaniu u ludzi, którym od czasu do czasu w zastępstwie ojca dostarczałem szynkę i wędliny. Że Hans taki a taki załatwia reklamacje od wywózki do Rzeszy, a Otto taki a taki sprzedaje żołnierskie konserwy. I nie jest wcale drogi.

Wiedziałem wiele. Nawet bardzo wiele. W tym mieście, które bardziej przypominało dżunglę niż „Paryż północy”, w tym czasie naprawdę trudno było nie wiedzieć. Od tego, w którą przecnicę skręcić i mężczyzn w jakich kapeluszach unikać, zależało przecież życie. Nagle przypomniało mi się nawet to, jaką kiełbasę zaniostem wtedy panu Cieślikowi. Oczywiście, że była to jałowcowa! A przecież jeszcze przed chwilą, gdy mnie o to pytali, czarna zaćma...

Spojrzałem na młodego człowieka leżącego dwa metry ode mnie z zamkniętymi oczami.

Problem w tym, że i ty, i ja znaleźliśmy się w nieodpowiednim czasie, w nieodpowiednim miejscu – pomyślałem.

Wtem zza drzwi dobiegły jakieś głosy. Adam drgnął i podniósł głowę.

– Kurwa! Jeszcze jeden? – wyjęczał w swojej gawrze

„przyjemniaczek”; póki co jednak miejsca w celi było dosyć, więc nie wiedziałem, dlaczego się tak piekli.

Drzwi dawnej suszarni otworzyły się przy akompaniamencie chrobotu jakiegoś kamyka, który dostał się między ich dolną krawędź a podłogę. Usłyszeliśmy odgłos szamotania i sapanie, a potem krótką serię głuchych uderzeń.

– Właź do środka!

Nikt jednak nie pojawiał się na progu.

Spojrzałem na swoją starą omegę, której nikt mi jeszcze nie zabrał, choć przecież mogła być tylko atrapą, w której ukryłbym mikrofilmy albo ampułkę cyjanku. Chwilę kręciłem nadgarstkiem w poszukiwaniu światła. Wskazówki pod pokrytym rysami szkieletem przypominały ręce rozłożone szeroko, w geście bezradności. Trzy kwadransy na trzecią.

Na cholerę mi była ta wiedza, nie miałem pojęcia. Może tylko po to, by jeszcze bardziej martwić się o niedomagającego ojca: czy zjadł coś i przy okazji nie wypadł na podwórko, bo nie byłem przecież pewien, czy jeszcze mamy kuchnię. Miałem świadomość, że tak samo jak ja o niego, on martwi się o mnie. Że zastanawia się, dlaczego nie wróciłem i czy w ogóle żyję. I to bynajmniej nie pomagało mu zdrowieć...

– Właź do środka, powiedziałem! – krzyknął znów strażnik, chyba ten sam, który przekonywał mnie, że nie jest chłopcem, tylko żołnierzem.

I najwyraźniej polecenie wzmocnił mało uprzejmym i mało delikatnym czynem, bo zaraz ujrzeliśmy człowieka z impetem wpadającego do środka. Podeszwy butów pozbawionych sznurówek odegrały na podłodze krótkie staccato. Niestety, więźniowi nie udało mu się zachować równowagi – runął jak długi na podłogę...

*

– Witamy w piekle!

Gburowaty, który, zapewne powodowany ciekawością, wreszcie wypełź z ciemnego kąta, pochylił się nisko nad leżącym. W nikłym

światle celi wydawało mi się, że go obmacuje.

– Zostaw! – zawołałem, podnosząc się z siennika.

– Spokojna głowa – odpowiedział, nie przerywając czynności.

Był to dobrze zbudowany mężczyzna o kanciastej czaszce, ubrany w biały sportowy podkoszulek i drelichowe spodnie. Nie ma co, wzbudzał respekt.

– Nie zamierzam go okradać, bo nie ma z czego – powiedział lekkim tonem. – Chyba że nagle za smród zaczęli płacić jak za złoto czy diamenty. Tylko sprawdzam, czy cały. Przecież widzieliście, jak gruchnął...

– To trzeba umieć – wtrącił się Adam.

– A skąd wiesz, synku, że tego nie potrafię, co?

Chłopak nic nie odpowiedział. Głos odzyskał za to leżący. Myślałem, że będzie jęczał z bólu, a jak nie, to na pewno wymyślał strażnikom. Ale on odezwał się zadziwiająco mądrze:

– Z piekła to ja właśnie wróciłem, drogi przyjacielu.

Pomogliśmy mu usiąść na sienniku i daliśmy blaszany kubek z wodą, która pozostała Adamowi ze śniadania. Po chwili mężczyzna otarł usta krawędzią brudnej dłoni. Rzeczywiście śmierdział okropnie, ale nie to było w tej chwili ważne. Chcieliśmy się dowiedzieć, skąd się tu wziął i co takiego przeżył.

– A ciosy tego chłopca to muśnięcie skrzydła anioła. Nie powinienem się stawiać, ale, sami rozumiecie, zwierzę drugi raz do rzeźni nie wejdzie... – Westchnął, po czym otarł łzę spływającą po policzku.

– Za co cię przymknęli? – zapytałem po chwili.

Facet był dobrze po trzydziestce, ale to, że wszyscy znajdowaliśmy się pod kluczem i równo śmierdzieliśmy, znosiło wszelkie podziały.

– Za kradzież chleba – odparł.

Oto siedział przed nami współczesny Jean Valjean, choć rewolucja na ulicach wyglądała trochę inaczej. Żał mi było tego człowieka, ale z drugiej strony należało się cieszyć, że ktoś – i nie byli to Niemcy – pilnował porządku, gdy nad głowami gwizdały kule.

– A wcześniej za handel – dodał nieznajomy.

– Wcześniej? – wyrwało się nam z Adamem jednocześnie, a ja dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego człowiek ten wspominał o jakimś drugim razie.

Spojrzał na nas spod oka, a po potem wzruszył ramionami.

– Siedziałem na Rakowieckiej – wyjaśnił. – Od czterech miesięcy. Dokładnie od czterech miesięcy, dwóch tygodni i czterech dni. Zgarnęli mnie na Kercelaku, kiedy sprzedawałem kilka worków prawdziwego cukru. Dwa dni temu w Warszawie zaczęła się zabawa i nasi zaatakowali także więzienie. Z początku pomyślałem, że może strażnicy otworzą cele i nas wypuszczą. Że spróbują zamienić nas na własne bezpieczeństwo. Fifty fifty, jak to mówią...

Przerwał, przez chwilę oddychał ciężko, jakby wypowiedziane zdania kosztowały go wiele wysiłku. Rozejrzałem się za kubkiem z wodą. Był, ale już pusty. Na więcej trzeba było poczekać do kolacji, jeśli w ogóle jej doczekamy.

– Że tak się nie stanie, zrozumieliśmy, kiedy wkroczyło SS. Najpierw sprawdzili stan cel. Potem wyprowadzili na dziedziniec więźniów z parteru, dali do rąk łopaty i kazali kopać rów na spacerniaku. Gdy to już się stało, wszystkich, co jednego, rozstrzelali...

– Boże... – jęknął Adam.

– Błogosławiłem w duchu tego, który umieścił mnie na najwyższym piętrze więziennego bloku – rzekł chrapliwie mężczyzna. – Wszystko doskonale widzieliśmy z okien, więc głupi by się nie domyślił, że i po nas zaraz przyjdą, by sprowadzić na dół i załatwić. Postanowiliśmy, że nie oddamy skóry za darmo, choćbyśmy się mieli rzucić na esesmanów z gołymi rękami. Chłopakom w sąsiedniej celi udało się wybić drzwi ławą. Uwolnili nas, my z kolei zaczęliśmy robić to z innymi. Radość nie trwała jednak długo, bo przecież w każdej chwili można się było spodziewać wizyty. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby podpalić sienniki...

– Dobrze! – Gburowaty aż klasnął w wielkie łapska.

– Tak też zrobiliśmy. Szkopy, zupełnie zaskoczeni, szybko się wycofali. Wtedy zabarykadowaliśmy się na piętrze. Musieliby mieć ciężki sprzęt albo użyć samolotu, żeby się do nas dostać, co

oczywiście nie znaczyło, że nie będą go mieli. Dlatego nie było co czekać. W nocy, kiedy zaczął padać deszcz, weszliśmy na dach, a stamtąd na mur. Tam czekali już ludzie z drabinami. Szybko rozbiegliśmy się po Mokotowie.

– A co z tym chlebem? – chciałem wiedzieć.

– Rano wszedłem do jakiegoś mieszkania i zabrałem z szafki pół bochenka. Traf chciał, że pojawiła się gospodyni i narobiła krzyku. A potem był drugi traf, czyli trzyosobowy oddział żandarmerii. Tak trafiłem tu. Benedykt Pytka jestem. Handlowiec...

Słuchając opowieści tego człowieka, na chwilę zapomniałem o własnych problemach, zarzutach, które postawił mi prokurator, a nawet karze, której zażądał.

Wkrótce jednak udręka wróciła – i to ze zdwojoną siłą. Podczas gdy Benedykt Pytka wciąż opowiadał o wydarzeniach w więzieniu mokotowskim, ja gapiłem się bez przerwy na drzwi celi, modląc się ze wszystkich sił, żeby strażnik zgubił od nich klucz. Albo żeby ten kamyk, który za każdym razem irytująco szorował po betonie, zaklinował je na amen.

Kiedyś w więziennej celi Konrad stawał się Gustawem. A drugi szaleniec, Kordian, przynajmniej wiedział, za co umiera. A ja?

Zasnąłem nie wiadomo kiedy na tym starym, cuchnącym sienniku, z którego ocalały z rzezi na Rakowieckiej więzień i jego kompani spod celi potrafili zrobić użytek.

Śniło mi się, że jestem jednym z bohaterów romantycznych, o których wcześniej myślałem. Chyba był to Mickiewiczowski Konrad-Gustaw, bo bazgrałem coś kawałkiem węgla na ścianie celi. Nie było to jednak świadectwo przemiany, ale jakieś matematyczne wzory. Nie, jednak chemiczne. Może wzór potrzebny do produkcji cudownej broni, która przyniosłaby nam tak upragnione zwycięstwo?

Nagle zapiski zniknęły, choć cela nie. I nie byłem w niej już sam. Na środku stał jakiś mężczyzna, a obok niego Czesio Bielawny we własnej osobie. Ubrany w swój dawny strój, czyli sutannę i biret, mamrotał coś pod nosem z przymkniętymi powiekami.

– „Ten ksiądz już od godziny dręczy mego pana – powiedział nieznajomy. – Ot! dajcie mu przed śmiercią pokój! Dajcie pokój!”

– „Grzegorz, módl się za mnie” – powiedziały moje usta i już wiedziałem, że teraz jestem Kordianem, który w celi czeka na egzekucję.

Pamiętałem go bardzo dobrze z lekcji polskiego w liceum. A kto wie, może gdyby jesienią 1939 roku nie stało się to, co się stało, i zamiast uciekać z Warszawy na wschód jak większość mieszkańców, rozpocząłbym studia aktorskie, już bym zagrał tę rolę, o której marzy każdy młody aktor. Chyba nawet wolałbym go od Hamleta.

Co było dalej? Sufler! Gdzie jest sufler?! Słoweczko proszę!

– „O zmarli Polacy...” – doszedł mnie boku kobiecy szept.

– „O zmarli Polacy, ja idę do was! – podjąłem. – Jam jest ów najemny, któremu Chrystus nie odmówił płacy, chociaż ostatni przyszedł sadzić grono...”

I znów się zaciąłem. Próbowiałem szukać pomocy u Czesia, ale ten zniknął. Wcześniej rozejrzałem się na boki w poszukiwaniu suflerki, ale nikogo nie było. Tylko ten stary sługa, Grzegorz. Stał z opuszczoną głową. W pewnym momencie podniósł ją i wtedy zobaczyłem, że to nie żaden Grzegorz, tylko... mój ojciec.

Był blady, niemal zielonkawy jak upiór. Na jego wysokim czole błyszczały kropelki potu.

– Wracaj... – wyrzęził.

Obudziłem się i aż usiadłem. W celi panował nieprzenikniony mrok. Cisza, jeśli nie liczyć miarowych oddechów trzech śpiących towarzyszy. Dobrze, że nikt nie chrapał. Nie zmrzyłbym wtedy oka. Cisza panowała również na zewnątrz. Uspokoilem oddech i już miałem się na powrót położyć, gdy usłyszałem chrobot klucza. Był czas, gdy na taki dźwięk czekałem z utęsknieniem, leżąc w ciemnościach w naszym mieszkaniu na Jasnej. Czekałem, aż ojciec wróci ze szmuglerskiego szlaku. Czasami zasypiałem, nie doczekawszy się jego powrotu...

Rozległ się zgrzyt tego przeklętego kamyka pod drzwiami. Szybko położyłem się na sienniku i zmrzyżonymi oczami spoglądałem na

smugę światła błędzącą po celi. Ktoś świecił mocną latarką po leżących.

– Co jest, do cholery?! – zaklął przebudzony gburowaty.

– Śpij, czerwóncu – mruknął ten ktoś z latarką. – Tym razem nie chodzi o ciebie...

Zacisnąłem powieki. Czerń zamieniła się w purpurę, a to oznaczało, że światło zatrzymało się na mnie. Wstrzymałem oddech. Miałem jeszcze nadzieję, że to nie o mnie chodzi. Wtedy usłyszałem odgłos zbliżających się kroków. Reszty dopełniło kopnięcie w siennik.

– Ty!

– Co się dzieje? – udawałem zasnętego, zasłaniając ręką oczy przed światłem latarki.

– Wstawaj.

Uniosłem się na łokciu.

– Ale o co chodzi?

Nie znałem człowieka, który mnie niepokoił. Musiał być nowy. Może niedawno zaczął nocną służbę. Sądząc po głosie, był starszy od tamtych. Nie podobało mi się tylko to, że mówi mi na „ty”. Nie był przecież moim towarzyszem spod celi.

– Znalazł się ktoś, kto może potwierdzić twoją tożsamość – powiedział.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. W jednej chwili zerwałem się z leża i stanąłem na równe nogi. Światło latarki uważnie śledziło każdy mój ruch, na szczęście strażnik skierował promień na moje piersi.

– Idziemy – zaordynował.

Zastanawiałem się, czy nocna wizyta i hałasy obudziły tylko gburowatego, którego strażnik z jakichś powodów nazwał czerwóncem, czy może Adam i Benedykt również odprowadzają mnie w tej chwili wzrokiem. Kto wie, może po raz ostatni. Miałem wrażenie, że w chwili gdy przekraczałem próg celi, usłyszałem szept któregoś z nich:

– Nie daj się...

Nie zamierzałem. Tym bardziej że czekał na mnie przyjaciel. Czy był

to Władek Michalski? A może jego przełożony, pułkownik noszący pseudonim Hieronim. Właściwie było mi to obojętne. Ważne, że ten ktoś zaraz zaświadczy, że nie jestem i nigdy nie byłem żadnym szpiegiem.

*

– Tak. To on.

Nie znałem tego głosu. Ale przecież nie miało to znaczenia. Wcale nie musiałem znać! Wystarczyło, że on znał mnie. Mignąłem mu na ulicy albo widział mnie w fotoplastikonie z Władkiem i Hieronimem. I właśnie ratował mnie przed niechybną „czapą”. Ciekawe, co na to powie ów prokurator z ambicjami kata.

– Jest pan pewien? – zapytał właśnie on.

– Tak. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Znam tego człowieka.

Trochę dziwne to było spotkanie. Stałem na środku pokoju, w którym wcześniej odbywało się przesłuchanie. W pomieszczeniu paliła się tylko jedna lampka, a strumień światła skierowany był prosto w moją twarz. Byłem jednak w stanie znieść i to. Skoro się lubią bawić jak ich koledzy po fachu w szarych albo czarnych mundurach, niech mają. Wytrzymam. Byle tylko stąd wyjść...

– No to mamy jasność – powiedział inny głos, chyba należący do sędziego, który występował w przedwojennym mundurze kapitana-prawnika.

I tak jak powiedział, tak się stało: ktoś przekreślił włącznik światła i pod sufitem rozbłysła zakurzona żarówka. Ujrzałem starych znajomych, ale nie wszystkich. Nie było tego, o którym myślałem, że dopiero niedawno zrzucono go do kraju. Zamiast niego przy stole siedział starszy, korpulentny mężczyzna. Ale to nie on był moim wybawicielem, albowiem głos, który słyszałem, należał do młodego człowieka. Wyjaśniło się to po sekundzie.

– Serwus, kolego – usłyszałem za plecami.

Drgnąłem. Coś kiepsko to zabrzmiało. Odchyliłem się, by zobaczyć, kto zacz. Tamten też dał dwa kroki do przodu. Oto stał przede mną facet w zielonym, sukiennym, starannie odprasowanym mundurze z

dystynkcjami porucznika. Na nogach oficerki. Na ramieniu biało-czerwona opaska. Nad lewą kieszenią pysznił się jakiś order.

– I co? Znowu się spotykamy – rzekł, uśmiechając się z jakimś trudnym do wytłumaczenia triumfem, a może i lekceważeniem.

Poczułem nieznośne gorąco. Mimo to zmusiłem się do uśmiechu. Wciąż wierzyłem, że wszystko, powoli, bo powoli, ale idzie ku dobremu. I że naprawdę nie muszę znać tego człowieka, bo wystarczy, że on widział mnie w towarzystwie odpowiednich ludzi. I zaraz to powie.

No, gadaj, skoro jestem twoim przyjacielem – ponaglałem go w duchu.

– Niech pan siada, poruczniku – powiedział kapitan, po czym przeniósł spojrzenie na mnie, bynajmniej nie przyjazne. – I co? Teraz już wiemy wszystko. – Westchnął, złożony przed sobą dłonie, jakby zamierzał się modlić albo prosić o wybaczenie; może mnie za niesprawiedliwe i bezpodstawne oskarżenie.

Ech, naiwny ty, naiwny Antku. Co żeś ty sobie ćmił w tej głupiej głowie?

– Proszę nam opowiedzieć, poruczniku, gdzie i kiedy spotkał pan podejrzanego – polecił prokurator.

– Było to latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, w lesie niedaleko Lublina, gdzie stacjonował mój oddział – odpowiedział szybko mój „wybawca”.

– Co?! – prychnąłem, tamten jednak mówił dalej niezmiennym głosem:

– Szedł razem z drugim mężczyzną, młodszym, jak twierdził, z Kiwerców do Lublina, gdzie ich chora ciotka czekała na lekarstwo. Od razu domyśliłem się, że to bajka dla niemieckich żandarmów. Dopiero gdy ich przycisnęliśmy, powiedzieli, że są z oddziału niejakiego porucznika Jenota z Wołynia i idą do Warszawy. Zamierzaliśmy to sprawdzić, ale uciekli nocą z aresztu, zabijając przy okazji z zimną krwią trzech naszych ludzi...

Machinalnie dotknąłem prawą dłońią czoła. A przecież powinienem uderzyć się w łeb z całej siły, żeby się obudzić z tego

koszmarnego snu.

To przecież nie mogła być prawda! Skąd się tu wziął ten człowiek, który na leśnej drodze, gdzie rzeczywiście zatrzymał mnie i Słowika, młodego partyzanta, kazał ściągać spodnie i pokazywać przyrodzenie, co miało być dowodem, że nie jesteśmy zbiegłymi z transportu Żydami? A gdyśmy tego nie zrobili, zamknął nas w ziemiance. I nie wiadomo, co by z nami zrobił, gdyby nie pomoc człowieka, który pamiętał mnie z czasów mojej poprzedniej bytności w tej okolicy. Otworzył nocą drzwi ziemianki i po prostu nas wypuścił, a gdyśmy się oddalili na bezpieczną odległość, wszczął alarm, by mieć czyste sumienie...

Za dużo tych dróg skrzyżowanych, za dużo ludzi spotkanych jak na jedno życie! Czyż nie spokojniej było gnić teraz pod gruzami żydowskiego getta czy w Palmirach? Albo gdziekolwiek indziej, bylebym wreszcie zaznał spokoju...

– Było jasne, że mieliśmy do czynienia z niebezpiecznymi szpiegami – zakończył kłamca. – Niestety, nic nie mogliśmy już zrobić, a na pościg było za późno...

Gwałtownie wstałem z krzesła. W tym samym momencie prawa ręka tego w żółtej koszuli i z wąsikiem fryzjerczyka zanurkowała pod blat stołu. Ale niepotrzebnie chyba, bo zaraz poczułem ciężką dłoń na ramieniu, która osadziła mnie z powrotem na miejscu.

– Siedź spokojnie – mruknął strażnik. – Jeszcze nie czas na ogłoszenie wyroku. Wtedy, owszem, trzeba wstać.

– Jakiego wyroku, do cholery! – ryknąłem, aż zabolęło mnie gardło, jakbym przełknął żużel. – Przecież ja nic nie zrobiłem. Jestem zwyczajnym szmuglerem, który tylko miał dostarczyć kiełbasę na wesele.

– Przecież nawet pan nie wiesz, jaka to była kiełbasa – zachnął się sędzia.

– Jałowcowa! Przypomniałem sobie. Papiery są oczywiście fałszywe. Chyba każdy z panów miał choć raz w ręku lewy ausweis. – Zaśmiałem się krótko, nerwowo. – A ten człowiek – spojrzałem na porucznika, który nie był nim na pewno wtedy, gdy tropił Żydów w

podlubelskich lasach – kłamie. Owszem, uciekliśmy z aresztu, ale nikogo nie zabiliśmy. Mam świadka!

– A gdzie ten świadek? – Starszy korpulentny mężczyzna, którego widziałem tutaj po raz pierwszy, uniósł wysoko brwi.

Przełknąłem ślinę.

– Nie wiem.

– Nie wie pan. A może on w ogóle nie istnieje? – wtrącił sędzia spokojnym głosem.

– Jest. Na pewno teraz gdzieś walczy w Warszawie. Był... to znaczy jest partyzantem.

Ledwo wypowiedziałem te słowa, doszło do mnie, jakie to dziecinne. A przede wszystkim że wcale nie musi być tak, jak mówię. Słowika widziałem bowiem ostatni raz jesienią ubiegłego roku w... izolatce szpitala psychiatrycznego w Tworkach. I wcale nie był jednym z wielu konspiratorów ukrywających się w placówce za zgodą personelu. Znalaziono go w jakimś rowie, pobitego i bliskiego śmierci. Potem lekarze długo nie potrafili nawiązać z nim kontaktu.

Mimo tych wątpliwości brnąłem dalej:

– Sam byłem świadkiem, jak wykonał wyrok na kolaborancie. Jego pseudonim Słowik...

– Ma pan na myśli kolaboranta czy tego kozaka? – chciał wiedzieć fryzjerczyk.

– Mam na myśli żołnierza – powiedział dobitnie, ale nie wiedzieć czemu znów poczułem się jak smarkacz.

I chyba coś w tym było, gdyż na fryzjerczyku nie zrobiło to większego wrażenia. Tylko wzruszył ramionami. Jak stójkowy, który po raz kolejny przesłuchuje przyprawionego na komisariat złodzieja i po raz kolejny słyszy, że ten jest pierwszy raz w życiu w Warszawie.

– To dość popularny pseudonim – ocenił po chwili tamten. – Sam znam chyba ze czterech takich ptaszków. Mogliby z powodzeniem zorganizować drugi Chór Dana. Ale chyba żaden z nich nie potrafi śpiewać.

I zaśmiał się. Najzwyczajniej w świecie, jakby siedzieli nad seteczką

czystej i galaretką z nówek, zarechotał. Zupełnie nie przypominał siebie sprzed zaledwie kilku godzin, kiedy to z gniewnym charkotem żądał najwyższego wymiaru kary, którą w obecnych wojennych warunkach należało wykonać natychmiast. Na szczęście pozostali dwaj zachowali powagę licującą z rolami, które wyznaczyła im historia. Mundurowy nawet uniósł do ust zwiniętą prawą dłoń i chrząknął z zakłopotaniem.

W sukurs fryzjerczykowi przyszło jeszcze coś. A raczej ktoś. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Nie zdziwiłem się temu, bo do pomieszczenia coraz ktoś wchodził, a zazwyczaj był to ktoś pod bronią. Przepraszał niemo, jakby nigdy nic grzebał po szafkach, coś z nich wyjmował, a potem wychodził. Należało więc domniemywać, że to sąd był tu gościem.

– Wejść – rzucił kapitan (wyszło na szczęście tak, jak miało wyjść: twardo i zdecydowanie, choć pewnie dawno tego nie robił), bo jakoś nikt drzwi nie otwierał.

Poskutkowało i do środka weszło dwóch takich wystraszonych. Uśmiechali się jak petenci, co przyszli do urzędu po prośbie. Nie mieli broni. Myślałem, że sąd zaraz ich przepędzi, ale stało się inaczej.

– Proszę, zapraszamy do nas. – Kapitan wykonał szeroki gest ręką, również się uśmiechając, jakbyśmy wszyscy rzeczywiście siedzieli „U Wróbla” na Mazowieckiej.

Po chwili pojąłem. Jeden z przybyszów trzymał w ręku coś, co na pierwszy rzut oka przypominało broń, najpewniej z powodu koloru – czarnego ze srebrnym. Była to niewielka, ręczna kamera filmowa. I była swego rodzaju bronią. Propagandową.

– Chcielibyśmy zrobić kilka ujęć z procesu – oświadczył operator; właśnie tak: oświadczył, a nie zapytał, czy można, więc należało się domyślać, że nie jest to pierwszy taki przypadek.

Gdy sędzia wyraził zgodę, dwaj przybysze spojrzeli na mnie. Na ich twarzach nie było już znać uśmiechów ani nawet żadnej po nich pozostałości. Mało tego! Patrzyli na mnie jak na zbrodniarza, który własnoręcznie wymordował pół ulicy.

Tak oto, po latach, wreszcie miałem spełnić marzenie i zagrać w filmie. Nie ogon, a rolę główną. Wszak czy to nie na oskarżonym właśnie skupia się uwaga wszystkich obecnych? Gdy zeznaje, co i dlaczego zrobił, nie milkną szeptu na sali. Nie dane mi było rozpocząć studiów aktorskich, a to, co zagrałem w legalnych teatrzykach okupowanej Warszawy, niewarte było splunięcia. Teraz na mnie skupiona była uwaga operatora, a pewnie i reżysera, i scenarzysty w jednym. Co za ironia losu.

– Zachowujcie się, panowie, jakby nas tu w ogóle nie było – poinstruował jeszcze ten drugi, ten bez kamery.

Zaczęli kręcić. Kapitan coś czytał z kartki, fryzjerczyk zrobił mądrą, a jednocześnie groźną minę. A mnie jakoś nagle przestało obchodzić, co się tutaj dzieje. Może przez ten śmiech, a może przez późną, nieludzką wręcz porę. Niewidzialna ręka, która żelaznym uchwytem ścisnęła mi od dłuższego czasu trzewia, nagle puściła. I nie wiadomo czemu, ale nagle zacząłem odtwarzać w myślach ostatnie godziny przed aresztowaniem...

*

Z domu wyszedłem, jak już wspomniałem, około pierwszej po południu. Na Nowym Świecie złapałem „szesnastkę”, którą dojechałem na Czerniakowską. Tłok w tramwaju był trochę większy niż zazwyczaj, ale i to szybko sobie wytłumaczyłem w prosty sposób – mianowicie niepogodą. Co chwila padał deszcz, ja zaś wybrałem się w stroju odpowiednim do pory roku, miałem na sobie jedynie spodnie i koszulę, co bardziej pasowało mi do wypchanego plecaka. Wyglądałem na kogoś, kto po prostu wybiera się na wycieczkę za miasto.

W tramwaju mówiono, że wczesnym popołudniem na Żoliborzu była strzelanina i że zabito w niej kilku Niemców. Już kiwano głowami ze współczuciem dla tych mieszkańców miasta, którzy za to zapłacą. A może nie? Może Stalin wreszcie mruknie pod tym swoim gruzińskim nosem krótkie da i Rosjanie jednak się ruszą przez rzekę?

Bez problemu znalazłem zakład pana Cieślika. Przez bramę

wyjeżdżał z niego właśnie kübelwagen z zadowolonym niemieckim żołnierzem za kierownicą. Chyba był to oficer. Polowa czapka na bakier, podwinięte wysoko rękawy mundurowej bluzy – kto wie, czy nie wybierał się tym autem na przejażdżkę. Być może umówił się z kobietą, Polką, która za nic miała ostrzeżenia, że może za to stracić włosy, a nawet życie.

Pan Cieślik siedział w swoim kantorku, nie musiałem więc pałętać się po zakładzie i dopytywać, czego nie lubiłem. Był bardzo rad z otrzymaniu przesyłki z kilkudniowym wyprzedzeniem. Od razu ułamał sobie kawałek kiełbasy i zjadł. Zapłacił nie tylko za towar, tyle ile było umówione z tatą, ale też dał mi za fatygę. Pewnie myślał, że jestem tylko chłopcem na posyłki, który z braku innego zajęcia pracował dla szmuglera. Ale nie wyprowadziłem go z błędu. Podziękowałem i pieniądze skwapliwie schowałem do kieszeni.

Pusty plecak zwinąłem i wsunąłem pod pachę, po czym wróciłem na przystanek. Jednak długo nic nie nadjeżdżało. Postanowiłem więc, że spróbuję dojść na Górny Mokotów i tam złapać jakiś tramwaj jadący na północ. Zacząłem wspinać się po pochyłości skarpy, kiedy usłyszałem pierwsze strzały. Przypomniałem sobie o tej awanturze na Żoliborzu, o której wspominało w „szesnastce”. Czyżby przeniosła się aż tutaj?

Spojrzałem na zegarek. Była minuta po piątej po południu. Tknięty złym przeczuciem przyspieszyłem kroku. Chciałem jak najszybciej znaleźć się w domu, przy ojcu. Nie mówiąc już o tym, że zdążyłem już nieźle zgłodnieć.

Ulicy Puławskiej, do której wreszcie dotarłem, nie poznawałem, mimo że byłem tu nieraz. Co niepokoiło szczególnie, mokotowska arteria była całkowicie opustoszała! Żadnego tramwaju (a przecież po to, by do niego wsiąść, przyszedłem aż tutaj), w ogóle żadnego pojazdu ani człowieka. Po chwili, gdzieś na wysokości Rakowieckiej, zamajaczyły dobrze znane mundury w kolorze feldgrau. Czy oni dostrzegli mnie, nie wiedziałem. Szybko cofnąłem się i skręciłem w Belgijską. Kanonada była coraz głośniejsza, ale nie miałem pojęcia, kto strzela i gdzie.

Życie polega na nieustannym dokonywaniu wyborów. Zawsze myślałem, że na rozwidleniu dróg, kiedy możemy skręcić w lewo albo w prawo, automatycznie wybieramy nowy świat. W tym pierwszym za chwilę wpadamy do studzienki, ale już w tym drugim bezpiecznie dochodzimy tam, dokąd dojść planowaliśmy. Tylko wtedy znów czeka nas krzyżówka i wybór. I przez całe życie od chwili narodzenia tych światów gromadzą się tysiące. Pamiętałem z lekcji matematyki, że dany odcinek, na przykład długości jednego metra, można dzielić w nieskończoność. Każdą następną powstałą połówkę również na pół. I znów...

A przecież mogłem skręcić w inną ulicę, wówczas być może nie napatoczyłbym się na patrol. Nie niemiecki, na spotkanie z którym byłem przecież przygotowany, ale nasz. Akurat wychodzili z kamienicy.

Trzech ich było: jeden miał na sobie mundur piechura sprzed września z dystynkcjami starszego strzelca, choć do tego zwyczajnie półbuty. Na głowie polski hełm pokryty rudymi cętkami rdzy. Drugi ubrany był w cywilne spodnie, marynarkę ściągniętą szerokim oficerskim pasem z koalicijką i czarny берет, trzeci zaś, najmłodszy chyba – w zwykły prochowiec. Coś upychał w jego wielkich kieszeniach, może kanapki zrobione przed chwilą przez matkę, która wierzyła, że wróci na kolację. Wszystkich łączyły białe-czerwone opaski na rękach z czarnymi literami WP i orłem.

Kazali mi się zatrzymać, a kiedy nie posłuchałem, jeden z nich, ten w berecie, zawołał gniewnie, po czym zastąpił mi drogę i wycelował w mój brzuch lufę myśliwskiej flinty. Miny mieli groźne, więc pomyślałem, że dobrze będzie jednak podnieść ręce. Nim to zrobiłem, drugi wyszarpnął mi spod pachy plecak i zaraz do niego zajrzał. Trzeci zażądał dokumentów.

Nie kryli też radości ze zdobyczy. Podczas gdy ich koledzy zdobywali strategiczne punkty na planie Warszawy, oni złapali Niemca. Czy już wtedy pomyśleli, że jednocześnie niebezpiecznego szpiega, czy może takie podejrzenie zrodziło się dopiero później? Tego nie wiedziałem. I na nic nie zdały się moje tłumaczenia,

wskazywanie na plecak, który wciąż pachniał kiełbasą. Jeden z nich, ten w hełmie, chciał mnie od razu zlikwidować. Na szczęście pozostali dwaj mieli więcej rozumu, tłumacząc, że trzeba mnie odprowadzić do sztabu. Tak się stało.

*

– Myślę, że wiemy już wszystko. – Kapitan znów złożył przed sobą dłonie.

Wzdrygnąłem się. Wciąż ten sam pokój. Operatora kamery i jego pomocnika już nie było.

– Czy któryś z panów ma coś do dodania? Panie Bazylewicz? – Spojrzał na tego nowego, starszego pana.

A mnie jakby piorun strzelił. Bazylewicz? Przecież to był nie kto inny jak radca Bazylewicz, ojciec mojego kolegi z klasy, Janka. Bywałem gościem w ich eleganckim mieszkaniu i to na tyle często, że służąca mnie poznawała. A on? Nie pamiętał mnie? Słyszałem, że cała rodzina wyjechała w trzydziestym dziewiątym do Rumunii. Ale przecież był tu!

– Ale... – Zerwałem się z krzesła.

Tym razem nie powstrzymała mnie ręka strażnika. To mnie ośmieliło. Spojrzałem na Bazylewicza i krzyknąłem:

– Panie radco!

Wtedy interweniował strażnik, jego głos usłyszałem tuż za uchem:

– Zamknij się. – Słowo zimne jak stal poparło bolesne ściśnięcie szyi, a po chwili poczułem, jakby z obu jej stron w kierunku ramion ktoś zaczął mi wbijać ostre soople lodu.

Sędzia w zbyt obszernym mundurze kapitana również wstał. W rękę trzymał jakąś kartkę. Nie, to chyba nie był...

– Teraz będzie oficjalnie – chrząknął. – Wyrok w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej – przeczytał głośno i wyraźnie, a do tego z przejęciem. – Warszawa, dnia trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Sąd wojenny w składzie tu obecnym, po rozpoznaniu sprawy...

Wtem usłyszałem dziwny, narastający gwizd. Sędzia przerwał,

uniósł głowę. Widziałem, jak rozszerzają mu się źrenice...

– Do schronu! – zdołał jeszcze krzyknąć fryzjerczyk, zanim gwizd zamienił się w ryk, a ściana za jego plecami, ta z oknem, rozsypała się na kawałki, niczym budowla z drewnianych klocków, którą kopnęło dziecko znudzone zabawą.

Nigdy wcześniej nie dane mi było słyszeć tak potwornego huku. Nawet podczas najbardziej gwałtownej burzy. Sąd, który miał mnie skazać, zniknął niczym zmory w koszmarzym śnie. Podmuchał rzucił mną do tyłu, jednak nie upadłem na twardą ścianę, a na coś miękkiego. W ustach poczułem metaliczny posmak. Miałem wrażenie, jakby zdzierano mi z głowy skórę. Pył momentalnie wypełnił pokój, zaczął wciskać się pod powieki, a po chwili dusić. Zaraz po tym, jak zapanowała nieprzenikniona, lepka ciemność, zapadłem się w niebyt...

II

– Antek! Żyjesz?!

Głos był dziwny. Jak z tej zabawy w dzieciństwie, kiedy – ku niezadowoleniu ojca – dotykałem palcem obracającej się płyty gramofonowej, spowalniając jej bieg. Nagrany na niej kobiecy sopran zmieniał się wtedy w męski tenor, tenor w bas, a bas sprawiał wrażenie, jakby dobiegał z piekielnych czeluści. To właśnie mogłem powiedzieć o tym. Czy trafiłem do piekła, w którego istnienie, podobnie jak nieba i czyśćca, nie za bardzo wierzyłem?

Tata, jak powiadam, nie był z tego zadowolony. Nigdy się jednak nie zdarzyło, żeby się na mnie zezłościł lub, co gorsza, wymierzył karę cielesną. Nawet nie szarpnął. W przeciwieństwie do tego, który przemawiał w tej chwili do mnie.

– Antek! Ocknij się, do cholery!

Ledwo uniosłem powieki, poczułem pod nimi szczypanie. Zdążyłem jednak zobaczyć światło, a tym samym przekonać się, że żyję. Jeszcze. Bardzo bolały mnie plecy i ręce.

– Co się stało? – zapytałem.

– Słyszysz mnie?

– Kiepsko. Wciąż mi w uszach dzwoni...

– Przejdzie. Bomba trafiła w kamienicę – odpowiedział ten sam głos. – Jakiś nadgorliwiec, bo przecież dotąd bombardowali tylko za dnia. Może mu jedna bombka została i nie chciał jej wieźć z powrotem. Tak czy inaczej, szlag wszystko trafił. Szkopy już się chyba otrząsnęły i robią porządek na Mokotowie.

– Sąd też dał dyla? – chciałem wiedzieć. – Chyba zamierzali dać mi czapę...

– Może po prostu chcieli się przydać. Pewnie żaden z nich nie umiał strzelać, a trwa powstanie. Ale na szczęście nie ma już żadnych sądów. Prócz ostatecznego. Chociaż w ten nie każdy wierzy.

– A my?

- Co „my”? Czy wierzymy?
- Czy jeszcze tu jesteśmy?
- Jeszcze tak. Kumpli spod celi się nie zostawia.

Ostatnie słowa sprawiły, że gwałtownie otworzyłem oczy. Leżałem w celi, na swoim sienniku. A człowiekiem, który się nade mną pochylał, był ów gburowaty i duży, któremu wszystko przeszkadzało. Miał osmoloną twarz, w półmroku lyskały tylko jego zęby i białka oczu.

- Możesz wstać? – zapytał po chwili.
- Chyba tak – stęknąłem.

I zaraz spróbowałem to potwierdzić. Ledwo jednak zmieniłem pozycję, poczułem mdłości. Z jękiem opadłem z powrotem na leże.

- Wszystko masz całe, sprawdziłem, a znam się na tym – nadawał.
- Trochę się tylko potłukłeś i nawdychałeś tego cholernego dymu. Puścisz pawia i będzie klawo.

Ale nie puściłem. Usiadłem i zacząłem rozglądać się dokoła. Byliśmy w dawnej suszarni, ale nie była już ona celą. Drzwi były bowiem otwarte na oścież. Mało tego! W miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się okienko, przez które, jak myślałem, nie przecisnęłoby się nawet dziecko, powstała ogromna wyrwa.

- Dobrze, że byłem w tym momencie w swoim kącie – sapnął gburowaty. – Inaczej pewnie skończyłbym tak jak oni...

Dopiero teraz ujrzałem dwa podłużne kształty, leżące pod ścianą, tą z drzwiami. Nakryte kocami, więc nie widziałem twarzy. Nietrudno było jednak zgadnąć, że to Adam i Benedykt Pytka. Nieopisany żal ścisnął mnie za gardło. Jeden był przecież taki młodziutki, drugi zaś dopiero co szczęśliwie wyrwał się z rąk śmierci, która czekała na niego w mokotowskim więzieniu...

- Właściwie jak mnie znalazłeś? – zapytałem.
- Gdy pył opadł i zobaczyłem, że oni... no, wiesz... po prostu wyszedłem przez tę dziurę. Pomyślałem, że drugiej takiej okazji nie będzie. Musiałem jednak coś jeszcze stąd zabrać.
- Co?
- Coś, co mi zabrali, i co właściwie stało się powodem, że mnie

zamknęli. Wyszedłem na ulicę i wszedłem do kamienicy. Wtedy zobaczyłem ciebie. Miałeś szczęście, bo podmuch rzucił cię prosto do szafy pełnej jakichś starych łachów. Resztę zabiło, a może tylko byli ranni i nieprzytomni. Nie miałem czasu tego sprawdzić. Ochoty zresztą też nie.

Mimo że mowa była o ludziach, którzy chcieli zabić niewinnego, zrobiło mi się niewyraźnie. W dodatku jednym z nich był ojciec mojego dawnego szkolnego kolegi...

– Zabrałem cię stamtąd – ciągnął. – Tym bardziej że biegli już ludzie z wiadrami z wodą, aby gasić to, co zostało. W samym budynku też panował niezły młyn. Ludzie pokrzykiwali, ktoś usiłował nad tym zapanować, ale bez skutku. Ranni wzywali pomocy. Przytargałem cię z powrotem tutaj. Tym razem jednak normalną drogą. Przy trupie strażnika znalazłem klucz.

– Przyznam, że brzmi to wszystko niewiarygodnie – mruknąłem.

– Musimy stąd iść. – Gburowaty wstał z podłogi. – Nie jestem pewien, czy na górze nie znajdzie się ktoś, kto sobie o nas przypomni.

Wstałem i ja. Czułem się jednak niepewnie. On to zauważył.

– Dasz radę? – zapytał.

– Spróbuję. Gorzej bywało. – Próbowałem się uśmiechnąć.

Pokręcił głową.

– Nie wiem nawet, jak masz na imię – powiedziałem.

– Józek jestem. Józek Knap z Wolskiej.

Podaliśmy sobie ręce. Lepiej późno niż wcale. A już na pewno po tym, co dla mnie zrobił. Koledzy spod celi. Ta już nie istniała, ale my nadal mogliśmy nimi być.

Wtedy przypomniało mi się, co mówił o powodzie swojego aresztowania.

– A czego takiego szukałeś, Józek? – zapytałem.

Uśmiechnął się chwacko, a potem sięgnął po coś w ciemność.

– Nawet nie schowali porządnie.

Przeszło mi przez myśl, że może mam do czynienia z pospolitym złodziejaskiem (ta gadka, ta buźka), który po prostu buchnął coś z

niezamkniętego w gorączce ucieczki mieszkania na Mokotowie. Ta dzielnica, w przeciwieństwie do Woli, była bogata.

Coś stuknęło o podłogę. Zadzźwięczało, ale jakoś nisko.

Czyżby miał broń? – przestraszyłem się.

Podniosłem wzrok i zdębiałem. To nie była ogromna flinta ani, co można było sądzić z dźwięku, jaki to coś wydało, część armaty. Józek Knap trzymał w rękach wielki, chyba dwumetrowej wysokości, metalowy krzyż ze zdobieniami.

– Co... co to jest? – wyjąkałem.

– Turek jakiś jesteś, że nie wiesz – zachnął się.

Podrapałem się z zakłopotaniem po głowie.

– No, krzyż przecież.

– Krzyż.

– Skąd go masz?

– A skąd mam niby mieć?

– Z cmentarza?

– Boże broń! Z wieży kościoła.

No to masz babo placek. Józio miał po prostu długie i lepkie ręce. Ale żeby świętokradztwo? A może tylko mnie podpuszczał?

– Zalewasz – powiedziałem.

Uderzył się w piersi, aż zadudniło.

– A skąd! Byłem ja u cici na Sieleckiej, kiedy się zaczęło. Postanowiłem wrócić jak najszybciej do domu. Wtedy jak nie huknie. Trafili w wieżę kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny, tego przy Puławskiej.

Usiłowałem sobie przypomnieć, czy widziałem to samo, byłem jednak w tym czasie w pobliżu. Tymczasem Knap się rozkręcał; podejrzewałem, że dotąd nie miał okazji opowiedzieć o swoich przygodach. Oczywiście z wyjątkiem tych, w których wzięli go za łodzieja, bo już się chyba powoli domyślałem końca tej historii.

– Widzę, że się hajcuje. Po chwili krzyż zaczął się kołysać i nagle jak nie runie w dół. Podbiegłem, patrząc: leży w trawie. Zaraz podniosłem, a nawet gorący nie był, i dalej szukać miejsca, gdzie mógłbym go oddać. Idę do kościoła, zamknięty. Pukam na plebanię,

cisza. Pewnie bali się otworzyć. No to co miałem robić? Wziąłem krzyż na plecy i poszedłem przed siebie. Pół godziny później mnie zgarnęli, myśląc, że wracam z szabru. Nie pomogły tłumaczenia.

– A teraz? Co chcesz nim zrobić? – Splotłem ręce na piersiach.

– Na pewno nie zostawię, bo naprawdę ktoś go buchnie.

Z korytarza dobiegły jakieś głosy. Być może, czego się obawiał Józek, ktoś przypomniał sobie o aresztantach. W tej samej chwili z drugiej strony, od ulicy, znów doszły nas wybuchy. Trzeba było podjąć jakąś decyzję.

– Musimy iść – zaordynował nowy znajomy, po czym zarzucił sobie krzyż na ramię.

Ale ci na korytarzu byli bliżej, niż nam się wydawało. Od wyrwy w murze dzieliły nas może ze trzy kroki, kiedy znów zachrobotał złowroźnie ten kamyk wciśnięty pomiędzy drzwi a podłogę.

– Co tu się dzieje? – usłyszeliśmy gniewny głos, a po ścianach niegdyśszej suszarni zaczęło błędzić światło elektrycznej latarki.

A jednak pamiętali... – zdążyłem pomyśleć. Drugą myślą, która przeleciała mi przez głowę, były słowa Józka. Że drugiej takiej okazji nie będzie.

– Chodu! – rzucił mój towarzysz spod celi.

– Stać! Ręce do góry! – zawołał ten sam głos; nie byłem pewny, ale chyba należał do jednego z żandarmów, którzy mnie zatrzymali.

Ale my już byliśmy na ulicy.

– Potrzyмай... – Knap wcisnął mi krzyż.

Chwyciłem kurczowo za zimny, chropowaty od rdzy metal, nie spuszczać wzroku z towarzysza. Tymczasem Józek... zamykał dziurę, przez którą wydostaliśmy się z celi. Posłużył mu do tego drewniany regał. Nie miałem pojęcia, skąd się tu wziął. Po chwili pomyślałem, że Knap, który przecież już wcześniej wyszedł tędy na ulicę, mógł wszystko przygotować. Chłopak z Woli, miał więc teć na karku.

– Szybko – syknął, odbierając ode mnie krzyż.

Runęliśmy w lewo. Plecy mroził mi strach, bo w każdej chwili mogła w nie przecież trafić kula, a mając na sobie białą koszulę,

byłem wymarzonym celem. Nie wiedzieliśmy, ilu ludzi nas ściga i jakie tak naprawdę mają zamiary...

Jednak strzały nie padały. Nie gonili nas strażnicy ani nawet ich gniewne wołania. Słyszałem tylko nasze miarowe sapanie i odgłos miażdżonych podeszwami kawałków gruzów i szkła. Czuć było spalenizną, gorącą smołą i czymś, czego nawet nie potrafiłem nazwać. Znow skręciliśmy. Nie było mowy, żeby się zatrzymać. Józek, mimo dźwiganego ciężaru, energicznie przebierał nogami. Ja zaś, choć wciąż czułem ból pleców i rąk, a także pieczenie pod powiekami, starałem się dotrzymać mu kroku...

*

Świtało, kiedy znaleźliśmy się na jakimś podwórzu. Wciąż chyba byliśmy na Mokotowie, a to oznaczało, że nadal ważne są przepustki, o które wystarał się dla nas Józek podczas jednego z pierwszych postojów. Wokół ludzie. Część z nich przycupnęła pod ścianami kamienicy, ale większość leżała pokotem i spała. Kilka osób, przeważnie były to kobiety, modliło się żarliwie i chórem, klęcząc na samym środku przed małą kapliczką. Pełgające ogniki świec oświetlały gipsową, pomalowaną na biało i niebiesko figurę Matki Boskiej.

– O Pani nasza, orędowniczko nasza, pośredniczko nasza... – roznosiło się po studni podwórka.

Józek oparł krzyż o ścianę. Jakiś siedzący blisko chłopiec przyglądał się nam z zaciekawieniem. Po chwili obudził drzemiącą obok kobietę, najpewniej matkę. Kiedy otworzyła oczy, ruchem głowy pokazał jej nas. A chyba raczej ten nieszczęsny krzyż.

– Dzień dobry pani – mruknął jakby nigdy nic Knap.

Odpowiedziała bezgłośnie. I chyba się zawstydziała. Jednak nie spuszczała z nas spojrzenia. Obawiałem się, że za chwilę obudzi resztę, a potem zawoła baby modlące się przy kapliczce. I wszyscy uklękną przed tym naszym krzyżem z uszkodzonego kościoła na Puławskiej. A wtedy Józek być może będzie musiał po raz kolejny opowiedzieć swoją historię.

A ja marzyłem przede wszystkim o tym, żeby odpocząć. Nie wiedziałem, ile przeszliśmy ani jak długo to trwało. Z początku próbowałem liczyć przecznice, ale szybko się pogubiłem. Wszystko dlatego, że sposób poruszania się po Mokotowie, a pewnie i po innych dzielnicach też, w niczym nie przypominał tego sprzed kilku zaledwie dni.

Kiedyś przejście na drugą stronę ulicy wymuszone było świecącym zbyt mocno słońcem. Albo tym, że nie chciało się spotkać ze znajomym, który właśnie nadchodził z przeciwnej strony. Kobiety wybierały stronę, gdzie było więcej wystaw sklepowych. Teraz szło się po tej, która dawała większą szansę, by nie zostać trafionym przez siedzącego na dachu gołębiarza ani skoszonym serią z karabinu maszynowego, który ustawiono w oknie opanowanego przez wroga budynku.

Podobnie czułem się kilka lat temu, kiedy wróciłem do miasta po wrześniowej ucieczce na wschód. Warszawa była wówczas okaleczona po bombardowaniach. Tam gdzie kiedyś stała piękna kamienica, czerwieniły się gruzy. No i mur getta, który dzielił miasto niemal na połowę. Wtedy poruszać się po ulicach uczyłem się na nowo sam. I szło mi na tyle dobrze, że wkrótce mogłem wyjechać na nie riksą, którą kupił okazjnie tata. Dzisiaj było to niemożliwe. Nie jazda po ulicach, choć też, ale krążenie po mieście według własnego widzimisię. Gdzie chcę, tam skręczę? Już nie, człowieczku miły...

Trasę w tym labiryncie, którym coraz szybciej stawiała się Warszawa, wyznaczały barykady ustawione w poprzek ulic z tego, co ich budowniczo wie znaleźli pod ręką. Miały zatrzymać czołgi wroga, choć wielu mówiło, że już wszystkie z Warszawy wyjechały na zachód.

Trasę z miejsca, w którym dobrzy ludzie rozdawali gorącą zupę albo można było kupić chleb, do domu, gdzie siedzieli najbliżsi, wyznaczały niewidoczne trajektorie lotu pocisków – od karabinowych, przez moździerzowe, aż po artyleryjskie. Albo podmuchy wiatru, który niósł czarny, gryzący, przesycony wonią smoły i spalonego mięsa dym.

Trasę, którą wcześniej pokonywało się w kwadrans, teraz zaś trzeba było poświęcić na to czasem dobrą godzinę, wyznaczały wreszcie słowa, a czasem nawet tylko gesty. Słowa lub gesty młodych chłopców z biało-czerwonymi opaskami, którzy jeszcze kilka dni temu biegali po boisku za piłką, i niewiele starszych dziewcząt, które przed lustrem plotły warkocze, martwiąc się, że być może zdarzy się i tak, że przed nikim ich nie rozplotą...

„Tam są jeszcze Niemcy” – mówiło się, gdy ktoś zapytał o tę czy inną ulicę. I nie wiadomo kiedy „jeszcze” zamieniało się w „już”...

– Ma pan coś do jedzenia? – Z zamyślenia wyrwał mnie dziecięcy głos.

To był ten sam chłopczyk, który zwrócił uwagę na krzyż Józka, a właściwie to już chyba nasz wspólny.

– Niestety, nie. – Rozłożyłem ręce, uśmiechając się przepraszająco.

Zwiesił głowę. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Nie dość, że naprawdę nie miałem nic do jedzenia, to jeszcze sam nic nie jadłem od dawna. Ech, żebym wiedział, zostawiłbym sobie choć pół pęta tej jałowcowej, którą niosłem na wesele Cieślikówny. Po tym, co się wydarzyło w Warszawie, pewnie się nie odbędzie. Ale kiełbasę zjedzą. Może już to zrobili...

– Niedługo wszystko się skończy, a wtedy otworzą sklepy, gdzie będzie można kupić wszystko – powiedziałem.

– Czekoladę też?

– Czekoladę też.

Wychyliłem się, by sprawdzić, jak zareaguje jego matka. Jakbym wyczuł. Spojrzała na mnie koso, ale zaraz zamknęła oczy i dalej udawała, że śpi.

A ja zacząłem się zastanawiać, co w tej chwili robią moi bliscy. Najbardziej martwiłem się oczywiście o ojca. Zostawiłem go chorego, ale z zamiarem jak najszybszego powrotu. Może mu przeszła niemoc, a może było jeszcze gorzej. Zawsze był twardy, bo w jego nowym zawodzie nie można było inaczej. Mogło być też tak, że niepokój o mój los dodał mu sił. Myślałem też, gdzie powstanie zastało Czesia Bielawnego, jego Ołenę i ich dziecko, które nie miało

jeszcze roku. Wynajmowali mieszkanie w eleganckiej kamienicy przy Lwowskiej, idąc więc z Mokotowa, miałbym po drodze i mógłbym sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku. Należałoby też zajrzeć do fotoplastikonu, który wciąż prowadził Czesio.

A inni? Nie miałem większych wątpliwości, co w tej chwili porabia porucznik Władek Michalski. Co innego Franek Bela. Za nim trudno było nadażyć. Mógł być wszędzie. Nawet wśród Niemców, z którymi ostatnio wdał się w handel. A inny kolega ze szkolnej paczki, Jarosław Lenc? Kiedyśmy się ostatnio widzieli, nosił znieawidzony przez Polaków mundur przodownika granatowej policji. I choć pracował poza Warszawą, wciąż miał tu przecież rodzinę. Jeśli był w mieście w chwili wybuchu powstania, to po której stanął stronie?

Widziałem kolejne twarze: zaprzyjaźnionego sklepikarza Bajtla, riksarza Anatola, któremu ostatnio zabroniono jeździć po mieście, podobnie jak setkom innych. Czy byli w domach, a może, tak jak mnie, wybuch powstania zastał ich gdzieś daleko, odcinając drogę powrotu? Najmniej martwiłem się chyba o Alinę Sieradzką, ukochaną ojca, i ich dziecko, małego Leszka, czyli mojego przyrodniego braciszka. Przebywali przecież, jak mieli w zwyczaju latem, na wsi. I byli bezpieczni.

Jak się miało wkrótce okazać, strasznie się myliłem...

– Śpisz? – usłyszałem szept Józka.

– Nie – odpowiedziałem.

Chwilę tarł oczy kostkami, które były trochę bardziej czyste niż palce. Wreszcie rzekł niegłośnie:

– Dobrze. Bo musimy iść dalej.

To powiedziawszy, podniósł się i chwycił krzyż. Zdążyłem jeszcze pogłaskać po głowie chłopczyka, z którym rozmawiałem. Musnął rączką moją dłoń i uśmiechnął się.

*

Kierunek – północ. Tak przynajmniej mi się wydawało. Raz trzeba było odbić na wschód, aby ominąć niebezpieczne miejsce, innym razem na zachód, a czasem nawet się cofnąć. Kluczyć jak przed

randką, na którą przyszło się zbyt wcześnie. Konsekwentnie jednak parliśmy w stronę Śródmieścia. Nie wiedziałem, kiedy Józek ma zamiar iść na Wolę, ale chciałem, żeby nastąpiło to jak najpóźniej. Huk wystrzałów i wybuchów to się nasilał, to znów cichł. Aż dziwne, że tak szybko się do nich przyzwyczailem.

Ale niemieckie kule czy odłamki nie były jedynym zagrożeniem. Musieliśmy uważać w dwójnasób. Nie wiedzieliśmy przecież, czy informacje o dwóch osobnikach, którzy zbiegli z aresztu, czasem się nie rozniosły. Niby były ważniejsze rzeczy – choćby zemsta za lata życia pod knutem, uliczne egzekucje, aresztowania i rewizje bladym świtem, wywózki do Oświęcimia. Ale pewności, czy ktoś nie idzie czasem naszym śladem, jak mówię, nie mieliśmy.

Nie zwracać na siebie uwagi – to była połowa sukcesu. Nie miałem już przy sobie tych nieszczęsnych fałszywych dokumentów, przez które wzięto mnie za szpiega. Zatrzymał je sąd jako dowód i pewnie sobie spokojnie spłonęły. Tylko jak tu nie zwracać uwagi, kiedy Józek Knap w Woli wciąż dźwigał na ramieniu ten nieszczęsny żelazny krzyż!

– Skąd to? – zainteresował się jakiś starszy pan w kapeluszu i przykurzonej marynarce, którą włożył, pewnie opuszczając dom w pośpiechu, na siatkowy podkoszulek, w którym dodatkowo nie wszystkie dziurki były tej samej wielkości.

Siedzieliśmy w grupie kilkudziesięciu cywilów na jakimś skwerku. Było cicho. Wtedy jeszcze naiwnie myślałem, że może tak już zostanie. Że wszystko poszło po myśli dowódców, wygraliśmy i Niemcy wycofali się z miasta. A ci, którzy jeszcze przed chwilą ostrzeliwali się zajadle w swoich reductach, wywieszają białe flagi.

– Z wieży kościoła – odpowiedział Józek skwapliwie i uprzejmie, by zaraz dodać zgodnie z prawdą: – Odpadł podczas ataku.

– Żadnej świętości nie potrafią uszanować – skomentował starszy pan.

Myślałem, że jest już po temacie. Ale to mu nie wystarczyło. Nieraz spotykało się takie docieklive typy.

– A z jakiego kościoła? – zapytał po chwili.

– Zbawiciela.

Drgnąłem. Spojrzałem z ukosa na towarzysza. Dlaczego tak odpowiedział?

Dociekliwy również mu się przyglądał. Przekrzywił głowę, mrużąc oczy. Kto wie, może już się zastanawiał, kogo by tu powiadomić o swoich podejrzeniach.

– Jakoś nie zauważyłem, żeby kościołowi Zbawiciela czegoś brakowało – powiedział wreszcie, jakoś tak bardzo powoli, a to dobrze nie wróżyło.

Ale Józek nie wyglądał na zakłopotanego. Nie dał się zbić z pantafiku. Jak to powiedział o nim jeden ze strażników? „Śpij, czerwonońcu”?

– Widać czytujesz pan nie te gazety, co trza – odparował i miałem wrażenie, że zabrzmiała w tym nutka zaczepki.

Niejeden na miejscu pana dociekliwego dałby sobie spokój. My jednak mieliśmy chyba do czynienia z naprawdę wyjątkowym egzemplarzem. Kto wie, może był to jakiś emerytowany przedwojenny prokurator. Albo nawet oficer policji.

Kobiecina, która z naszej rozmowy słyszała pewnie piąte przez dziesiąte, dołała oliwy do ognia:

– Słyszałam, że w klasztorze jezuitów na Rakowieckiej esesmani rozstrzelali kilkaset osób – wyrzuciła z siebie dramatycznie, na jednym oddechu.

Czułem, że skupia się na nas coraz więcej spojrzeń. Niewiele przecież brakowało, by połączyć krzyż Józka z wydarzeniami w klasztorze, o których zresztą też słyszałem. I nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nagle nie zaczęli walić. Z armat albo czołgów, cholera wie. Ludzie natychmiast zerwali się z miejsc i ruszyli przed siebie na oślep. Pojawili powstańcy. Dziewczyna z jasnymi warkoczami pomagała wstać z ziemi tej kobiecie, która wspomniała o masakrze na Rakowieckiej.

– Szybko, Antek! – ponaglał mnie po swojemu Józek, chociaż to on był dwa kroki za mną.

Krzyż najwyraźniej ciążył mu coraz bardziej, i to pod wieloma

względami. Jednak Knap z jakichś powodów, może nawet zupełnie innych niż te, o których mówił, ani myślał się go pozbyć.

Wpadliśmy do bramy. Było tu już trochę ludzi.

– Do piwnic. Proszę schodzić do piwnic! – wołał ktoś.

Zaraz ruszyliśmy na ukos przez kolejne podwórko. Znów huknęło, aż przygięło mnie do ziemi. Wydawało mi się, jakby niebo nad nami pękło na pół. Ktoś się potknął i upadł. Z otwartej walizki na szare płytki chodnikowe wysypała się pomięta bielizna. Jakieś dziecko zanosilo się płaczem i nie pomagał uspokajający głos matki, która niosła je na rękach...

Ludzie zaczęli znikać w drzwiach klatki schodowej. Byłem przekonany, że i my za chwilę znajdziemy się w dużo bardziej bezpiecznej niż brama piwnicy. Ale Józek nagle skręcił, a ja nie zdążyłem o cokolwiek zapytać. Szedł dalej. A ja za nim.

Okazało się, że idziemy za człowiekiem w krótkiej skórzanej kurtce, przegiętym w krzyżu, ale dziarsko maszerującym. Na razie nie widziałem jego twarzy. Za rogiem znajdowała się wyrwa w murze. Raczej wykuta z rozmysłem niż będąca efektem działania bomby czy pocisku.

– Właż – polecił Józek.

– Co to? – chciałem wiedzieć.

– Podejrzewam, że nowe Aleje Niepodległości, a może Puławska – zaśmiał się nieznajomy, który właśnie się odwrócił; był to mężczyzna starszy od Knapa, o pooranej zmarszczkami twarzy. – Teraz najlepiej poruszać się w ten sposób – dorzucił.

Ale nie ruszyłem się z miejsca. Józek postawił na chwilę krzyż na ziemi, dysząc ciężko. Wyglądał teraz jak król Zygmunt III Waza z kolumny na placu Zamkowym; brakowało mu tylko szabli w drugiej ręce, korony i zbroi.

– Dlaczego nie idziesz? – fuknął.

Zrozumiałem, że może chcą zamienić z tamtym kilka słów na osobności.

– Nie pali się – odpowiedziałem mimo to.

Bo i się nie paliło. Na razie. Tylko że w tej samej chwili usłyszałem

ten sam dźwięk, który tamtego wieczoru, kiedy mnie sądzili, przerwał odczytywanie wyroku. Może powinienem od tamtej chwili myśleć i mówić, że była to najpiękniejsza muzyka, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia. Tylko że wciąż się bałem. Ogromnie się bałem tego gwizdu, wizgu, buczenia coraz niższego i coraz głośniejszego, trwającego sekundy. Oczekiwania na huk, który za chwilę rozerwie mi błony w uszach, teraz to na pewno na amen...

– Właż! – bardziej odczytałem z ruchu Józkowych warg, wykrzywionych w nieludzkim grymasie, aniżeli usłyszałem.

I wskoczyłem w tę dziurę niczym mysz uciekająca przed głodnym kotem. Wtedy rozległ się huk, spodziewany, owszem, po stokroć głośniejszy jednak niż tamten. Gdzie, w co trafiło, nie miałem pojęcia. Przywarłem ze wszystkich sił plecami do muru, jakby to cokolwiek mogło pomóc. Mimo że w każdej chwili mogłem znaleźć się pod nim, przewróconym siłą podmuchu niczym domek z kart podczas dawnych domowych zabaw...

– Ale jebnęło! – W dziurze pokazała się głowa Józka.

Jego ciemne włosy zmieniły kolor, ale nie wiedziałem jeszcze wtedy, czy pokryły się kurzem i pyłem, czy może posiwały ze strachu. Na bomby nie było chojraka. Nawet z warszawskiej Woli.

– Co z tamtym? – zapytałem nie wiadomo czemu, kiedy Knap usiadł obok mnie, położywszy nam na stopach metalowy krzyż.

– Musiał iść.

Skinąłem głową. Też chyba musieliśmy, tymi nowymi Alejami Niepodległości czy Puławską, jak to nazwał tamten człowiek. Ale nadal siedzieliśmy. Po tamtym pierwszym, najgłośniejszym i najbardziej przerażającym wybuchu nastąpiło jeszcze kilka mniejszych. Dopiero kiedy cisza potrwała dłużej niż pół minuty, a zza muru usłyszeliśmy krzyki i lamentsy, mój towarzysz się podniósł.

– Potrzymaj. – Wręczył mi krzyż.

Sam zaś odwrócił się, odszedł kilka kroków i rozpiął rozporek. Zdarzyło się to już któryś raz: ja trzymałem krzyż, a Józus sikał na stronie. Tym razem jednak wreszcie doczekałem się paru słów wyjaśnienia. Nie tam, żebym był jakoś szczególnie ciekaw.

– To od zbyt częstego leżenia na zimnym – rzucił przez ramię z uśmiechem, po czym przez chwilę podrygiwał.

Odwrociłem wzrok i spojrzałem w kierunku, w którym mieliśmy za chwilę iść. Niewiele było widać prócz kłębow dymu w różnych kolorach: od białego, przez żółty, po smolście czarny. W powietrzu również unosiła się woń spalenizny, a raczej wiele różnych woni. Tak, pewnych spraw człowiek musiał uczyć się od nowa. Nie tylko topografii rodzinnego miasta...

Oddałem krzyż Józkowi i po chwili ruszyliśmy przed siebie.

*

Huk wystrzałów narastał z każdym krokiem, ale ani przez chwilę nie myślałem, że mógłbym zawrócić. Moim celem była Jasna i nasze mieszkanie w kamienicy Harczyka. Wciąż wierzyłem, że zastanę tam żywego ojca. A Józek nadal nie odbijał w lewo, na swoją Wolę, za co mu w duchu gorąco dziękowałem. W każdej chwili mogło się to jednak zmienić.

Kiedy przed wieczorem, gdzieś około siódmej, znaleźliśmy się w okolicach Politechniki, pomyślałem o Czesiu, który mieszkał niedaleko. Powiedziałem o tym towarzyszowi.

– Dobry pomysł. Będzie gdzie przyłożyć głowę na noc – ocenił.

Miałem wątpliwości. Mój przyjaciel nie mieszkał bowiem sam. Ale nic nie powiedziałem. Zresztą zanim doszliśmy na róg Lwowskiej i Koszykowej, Knap zmienił zdanie.

– Ty, Antek, biegnij i zobacz, czy wszystko gra, a ja sobie tutaj poczekam – rzucił.

– To jednak nie zostaniemy na noc? – zdziwiłem się.

Tylko ręką machnął.

– Szkoda czasu. Instynkt mi podpowiada, że dzisiaj będzie ładna noc. Dobra do spacerów. Kto wie, może nawet uda ci się dotrzeć do domu...

To mnie przekonało. Rozejrzałem się jeszcze po opustoszałej Lwowskiej.

– Uważaj na siebie – dodałem jeszcze.

– Spokojna głowa – odparł półgębkiem Józek. – A jakbyś przez przypadek, przyjacielu, dostał coś na ząb, nie wrąb łaskawie wszystkiego sam, dobrze?

Obiecawszy, że nie wrąbię, bo nie robi się tego kumplom spod celi, i że wrócę najdalej za kwadrans, wśliznąłem się do budynku. Kamienica była elegancka, nawet podczas okupacji. Zwróciłem na to uwagę jeszcze pierwszego dnia, kiedyśmy pomagali Czesiowi się przeprowadzać. Bardziej z ciekawości, co tam wynalazł, niż z rzeczywistej potrzeby, Bielawny miał przecież tylko dwie walizki.

Tymczasem teraz, idąc na górę, co raz trafiałem na jakieś śmieci walające się na schodach. Nie zabrakło też, o zgrozo!, zwierzęcych odchodów. Jakby ludzie i ich pupile bali się wychodzić, co zresztą nie dziwiło. Im byłem wyżej, tym bardziej się niepokoiłem, czy w mieszkaniu zastanę Czesia i jego rodzinę. Wolałbym tylko jego; kto wie, może zrobił tak samo jak mój ojciec, wyprawiając bliskich na wyraj. Lato było przecież w pełni. Dawno się nie widzieliśmy.

– Nie pajacuj – usłyszałem naraz z góry.

Delikatnie cofnąłem nogę z wyższego stopnia i postawiłem obok drugiej. Przywarłem do ściany, nasłuchując z uwagą.

Czy głos dobiegał z mieszkania Czesia, czy może jednak od sąsiada? – zastanawiałem się.

Usłyszałem śmiech. Jakieś stuknięcie. I rumor, jakby wleczono po podłodze ciężki mebel. W myślach interpretowałem, co też może się tam dziać, podczas gdy nogi same już stąpały po schodach.

– Szybciej, Kazek. Nie mamy czasu – usłyszałem znów głos, ale inny.

Zrobiło mi się gorąco. Wszystko dlatego, że nie miałem już wątpliwości, iż hałasy dochodzą z mieszkania, które wynajmował były ksiądz. Dotarłem na piętro i zbliżyłem się do drzwi.

– Poszukajcie jeszcze w kuchni – zaordynował ktoś. – Klecha musiał coś zostawić.

– Może pod zlewem – ni to zapytał, ni to stwierdził drugi głos.

– Może.

Cofnąłem się, bo jeden z „gości” przechodził przez przedpokój.

Zdążyłem jednak zauważyć, że ma na głowie księżowski biret, własność Bielawnego i jego pamiątkę, pewnie jedną z nielicznych, dawnego życia. Pewnie to miał na myśli ten drugi, mówiąc „nie pajacuj”. Swoją drogą, pewnie się czuli, skoro obrabiali mieszkanie przy otwartych drzwiach.

– Poszukaj pod zlewem, a potem zobacz w łazience. Pod wanną są dobre schowki – rzucił jeszcze ten ważny, ktoś w rodzaju dyspozytora.

Znów rumor przesuwanego mebla. Zastanawiałem się, ilu ich tu może być. Był to jednak tak naprawdę temat zastępczy, bo powinienem przecież myśleć, co zrobić, aby ich zatrzymać i przerwać haniebną szaber. Byłem sam, a ich dwóch. Co najmniej. I pewnie mieli broń...

Coś za mną cichutko zaskrzypiało. Nie musiałem się specjalnie zastanawiać, co, a raczej kto to może być. Odczekałem chwilę, a potem gwałtownie się odwróciłem. Drzwi mieszkania obok i ruch w szparze między ich krawędzią a futryną. Niewiele myśląc, rzuciłem się na klamkę. Mimo że poczułem opór, nie dałem za wygraną. Po chwili byłem w środku.

– Proszę mnie nie zabijać! – usłyszałem w półmroku płaczliwy głos i sapanie.

Zamiast odpowiedzieć, delikatnie zamknąłem drzwi. Odwróciłem się. Na tle oddalonego o kilka kroków okna zasłoniętego storami, przez które wciąż jednak przebijało światło dzienne, zamajaczyła drobna sylwetka.

– Jak nic nie mam – wyjęczała kobieta.

– Proszę się nie denerwować – powiedziałem półgłosem. – Jestem przyjacielem pani sąsiada, pana Czesława.

– Pana Czesława? A, Czesia! – Głos sąsiadki zmienił się momentalnie, byłem więc na właściwej drodze.

Kobieta zaczęła kuśtykać w kierunku okna. Coś znów zamruczało, przesuwany za ścianą mebel, choć równie dobrze mógł to być daleki wybuch.

Znaleźliśmy się w pokoju. Panował tu zaduch, odór potu mieszał

się z wonią starości i resztek jedzenia. Tutaj było nieco jaśniej, mogłem więc przyjrzeć się twarzy staruszki – wciąż wyglądała na wystraszoną. Nie byłem jednak pewien, czy wizytą szabrowników u sąsiada, moją u niej, czy tym, co od paru dni działo się w mieście.

– Proszę mi powiedzieć, czy pani wie, co się dzieje z panem Czesiem? – zapytałem.

– Wyjechał – odpowiedziała błyskawicznie, by zaraz dodać: – Chyba...

Postanowiłem się trzymać słonecznej strony.

– Kiedy wyjechał? Jeszcze przed powstaniem? Z żoną i córką?

– Tak. To było chyba w ubiegłą niedzielę... – Kobieta zmarszczyła czoło w zamyśleniu, a następnie potaknęła.

Poczułem ulgę. Ale tylko przez chwilę. Przypomniałem sobie bowiem, co się w tej chwili dzieje, a może działo, w mieszkaniu przyjaciela. Nic się jednak nie zmieniło w mojej sytuacji; staruszka nie była uzbrojonym, potężnym mężczyzną, a tylko ktoś taki by mi się teraz przydał.

Mieszkanie Czesia i pozostawiony w nim dobytek (może rzeczywiście Bielawny miał skrytkę pod wanną albo zlewem w kuchni, a w niej pieniądze?) trzeba było spisać na straty. Jedyne, co mogłem w tej chwili zrobić, to przypilnować, by złodzieje nie weszli do tej kobiety. Ale, ale! Czy zamknąłem drzwi?

Z tą myślą szybko wróciłem do przedpokoju. Już wyciągałem rękę, aby przekręcić kółko patentowego zamka, gdy zza drzwi doszły hałasy. Przystawiłem ucho do drewnianej powierzchni.

– Nie wtrącaj się pan, bo inaczej pogadamy! – rozpoznałem głos „dyspozytora”.

– No to pogadajmy – odpowiedział ktoś.

Wtedy ja, zamiast zamknąć drzwi, jak planowałem jeszcze sekundę wcześniej, otworzyłem je. Zrobiłem to gwałtownie i umyślnie z hałasem.

– Co pan robi? – jęknęła starsza pani.

Ale ja już byłem z powrotem na korytarzu.

– Też chętnie posłucham – powiedziałem z mocą, stając obok...

Józka Knapa, bo to właśnie on chciał pogadać.

– A ten tu czego? – fuknął „dyspozytor”.

Dopiero teraz mogłem go sobie obejrzeć. Tego waźniaka, co wiedział, gdzie i jak szukać, żeby wyjść z łupami. Był to przykurcz, ledwie sięgał mi do ramienia, czarniawy, lekko zezujący. W kąciку jego ust tkwił zapalony papieros. Za waźniakiem czał się drugi. Znów pomyślałem, czy nie jest ich aby więcej. Jeśli nie, to szanse mamy równe.

– Nic – rzuciłem obojętnym tonem. – Odwiedziłem ciocię. A jeszcze chcieliśmy zajrzeć z bratem do kuzyna. Jest może w domu?

– Nie ma – odpowiedział przykurcz bez mrugnięcia okiem.

– To szkoda. – Udałem zakłopotanie, po czym zwróciłem się do Józka. – W takim razie pójdziemy, co? Chyba że masz jakieś pytania.

– Owszem, mam – warknął Knap, nie spuszczać spojżenia z tamtego. – Już zadałem panom pytanie, co tutaj robią, ale jakoś nie doczekałem się odpowiedzi.

– To bardzo nieładnie tak nie odpowiadać – oeniłem; krew we mnie buzowała, ale starałem trzymać nerwy na wodzy.

– Remont robimy – wycedził przez zęby złodziej.

– Remont – powtórzył Józek, by zaraz zapytać: – A właściciel gdzie?

– Na wywczasach. Zadoleni?

– Bez dwóch zdań!

– A to jest czapka do malowania? – wtrąciłem, wskazując ręką na drugiego ze złodziej, który miał na łbie Czesiowy biret z pomponem; dopiero teraz dostrzegłem, że nakrycie głowy jest mocno przykurzone.

Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Potem spojrziałem w bok, tam gdzie znajdowały się drzwi trzeciego mieszkania, zdawało mi się bowiem, że się poruszyły. Przez to jednak przegapiłem decydujący moment. I nie wiedziałem, który zaczął.

Chyba jednak Knap, bo przykurcz zgiął się wpół, trafiony celnie w żołądek. Ten w birecie zaraz rzucił mu się na pomoc. Tak by się pewnie rozegrało, gdybym kilka minut wcześniej zdecydował się na interwencję albo został zauważony. Ale teraz było dwóch na dwóch.

Kotłowaliśmy się na progu Czesiowego mieszkania, póki nie rozległ się wrzask. Ujrzałem krew kapiącą na wycieraczkę. Ranny był „dyspozytor”, a nóż trzymał chłopak z Woli. Uzyskawszy przewagę, Knap z impetem odrzucił tamtego, wyznaczając mu metę na półpiętrze. Widząc, co się dzieje, ten w birecie (który zresztą spadł mu z głowy i leżał teraz na podłodze w przedpokoju) runął w kierunku kamrata.

Szybszy był jednak znów Józek. Wylądowawszy na półpiętrze, kopniakiem zatrzymał złodzieja. Potem pochylił się nad leżącym i w mgnieniu oka oraz z zastanawiającą wprawą przetrzepał mu kieszenie. W efekcie trzymał w ręku portfel.

– To mój – jęknął złodziej.

– Co ty powiesz. – Knap wyjął ze środka kilka górali, które następnie schował starannie do kieszeni portek, wysypał drobne na podłogę półpiętra, po czym w to samo miejsce rzucił pusty portfel. – Masz. Oddaję.

– Chyba nie zdążyli niczego zabrać – wydyszałem.

Po chwili obaj poturbowani szabrownicy zbiegali w dół, odwracając się co chwila.

Knap wrócił po krzyż, który stał oparty o schody na półpiętrze, po czym weszliśmy do mieszkania Czesia. Podniosłem z podłogi biret i przetarłem go z kurzu. Józek rozglądał się po wnętrzu. Wszystko, co można było w mieszkaniu otworzyć, było otwarte. Na stole w kuchni stał srebrny krucyfiks...

– Dlaczego wszedłeś na górę? – zapytałem.

– Na dole coś się chyba szykowało. Ujrzałem niemiecki samochód. A może mi się wydawało. Tak czy inaczej, wołałem się schować. A jak już byłem w środku, to dlaczego miałem czekać na schodach. Idę, patrzę, a tu nieproszeni goście. Od razu wiedziałem, że nie szukają ziemniaków.

– A skąd w ogóle wiedziałeś, o które mieszkanie chodzi?

– Nie wiedziałem. Po prostu zobaczyłem, że obrabiają, i zacząłem działać.

– Dziękuję.

Wzruszył ramionami.

– Gadane – prychnął. – Każdy by to zrobił na moim miejscu.

Knap sprawdził zamek. Na szczęście był nienaruszony.

– A tam na dole duża awantura? – zapytałem.

Nie musiał odpowiadać. Usłyszałem serię eksplozji.

– Chyba twój znajomy się nie obrazi, jeśli tu zostaniemy na noc, co? – zapytał Józek.

Machnąłem ręką, co miało oznaczać, że nie. Nie obrazi się. Względnie: biorę to na siebie. Zresztą Czesio był nam coś winny, choć jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. On się tam gdzieś byczył na sianku, w rzeczce nogi moczył, a myśmy stawali w obronie jego mienia. Tak, należało nam się za to. Równie dobrze mogło się przecież okazać, że tamci mają spluwy. Oczywiście nie poprosiłbym o to Czesia, gdyby stanął teraz przede mną. Chyba.

– Nie – odrzekłem. – Przecież to tylko jedna noc. Jutro sobie pójdziemy...

*

Okazało się, że kamienica wcale nie jest wymarta, jak sądziliśmy. O wielu rzeczach, ludzkich zachowaniach i zwyczajach, które wymogła zupełnie nowa sytuacja, mieliśmy się dopiero dowiedzieć. Zdziwić się przy tym, a może nawet oburzyć...

Kamienica przy Lwowskiej żyła. Przez całą noc trwał ruch. Ludzie siedzieli w piwnicach (nie licząc sąsiadki Czesia, staruszki, a być może także kogoś po drugiej stronie, bo przecież coś się wtedy ruszyło, gdyśmy tak trwali we czterech jak wojska polskie i krzyżackie pod Grunwaldem) i teraz, pod osłoną nocy, wracali do domów. Na chwilę, by zabrać jakieś potrzebne do przeżycia kolejnych godzin rzeczy, nakarmić kota, bo uparte stworzenie nie chciało się ruszyć, a może nawet podlać kwiaty. Albo i na dłużej, jeśli komuś niestraszna awantura na ulicy. Co tam na ulicy – przecież śmierć mogła również nadlecieć z góry!

– O, chyba są też pod nami – powiedział Józek.

Miał na sobie tylko podkoszulek. Od szyi w górę też się zmienił. I to

znacznie. Ja zresztą też. Postanowiliśmy bowiem, korzystając z gościny, doprowadzić się do porządku. W łazience, gdzie złodzieje szukali ukrytych kosztowności, znaleźliśmy równie cenne – przynajmniej teraz – żyłетки, krem, do golenia, wodę kolońską i ręczniki.

Maszynka było jedna, ale żyłetek, jak wspominałem, kilka, więc zasady higieny zostały zachowane. Słyszałem, jak Knap krzyczy; pewnie oblał się wodą kolońską i go piekło. Hałasy mogły zainteresować sąsiadów, a ci pewnie potraktowaliby nas jak my tamtych dwóch. Na szczęście szybko umilkł i już tylko syczał.

– Musimy być cicho – powiedziałem.

– Się wie.

W świetle lampy karbidowej zaczęliśmy przygotowywać sobie leża. Wzięliśmy po kocu, poduszce, ja zająłem łożo Czesia i Ołeny, Józek zaś położył się w drugim pokoju na sofie. I aż jęknął z rozkoszy, tak mu było dobrze.

– Ciekawe, co tam u moich – mruknął jeszcze.

– Na pewno wszystko dobrze – odpowiedziałem.

Na tym nasza rozmowa się skończyła. Po chwili Józek oddychał miarowo, ja zaś leżałem z rękami pod głową i gapilem się w sufit. Myślałem, że padnę jak kawka, ale tak się nie stało. Za dużo przeżyć miałem za sobą, aby ot, tak po prostu zasnąć.

Przed oczami znów stanęły mi wydarzenia ostatnich dni: od jazdy na Czerniaków z kiełbasą jałowcową, którą mieli zjeść goście na weselu córki wulkanizatora, przez aresztowanie, sąd wojenny, aż po wybuch. Zaśmiałybym się w twarz każdemu, kto powiedziałby mi, że Polacy będą chcieli mnie zabić, a uratuje kanonier w mundurze koloru feldgrau do spótki z celowniczym. Następnie po raz kolejny ruszyłem z Mokotowa, kluczyłem po zaułkach, podwórkach i piwnicach. Oglądałem moją Warszawę, choć nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że to zupełnie inne miasto.

Dosyć już tego. Operator wyłącza projektor, a pan kiniarz zamyka tę przepełnioną, obskurną budę.

– I wszyscy won! – mruknąłem pod nosem, choć pewnie w

większości domów mówiono w tej chwili zwyczajne „amen”.

Przewróciłem się na lewy bok z twardym zamiarem zaśnięcia. Tym bardziej że nie wiadomo było, jak długo dane nam będzie spokojnie spać.

– ...koś nie doczekałem się odpowiedzi... – dobiegło z sąsiedniej izby; mój towarzysz gadał przez sen i też chyba znów przeżywał wszystko, co się wydarzyło.

Ledwo zamknąłem oczy, coś błysnęło. Nie, to nie był dalszy ciąg projekcji, wspomnień minionych dni, kiedy błyskało i wybuchało na przemian. W ten sposób wróciła do mnie inna myśl. Tak jak w głowie kogoś, kto właśnie rozsiadł się wygodnie w przedziale pociągu odjeżdżającego z Dworca Głównego, pojawia się pytanie: czy wyłączyłem gaz? Żelazko? Czy na pewno zamknąłem drzwi mieszkania na klucz? Morderca, który zakopał zwłoki w lesie, też pewnie budził się w środku nocy, niepewny, czy zrobił to dokładnie, wystarczająco głęboko. I psy, nawet nie te policyjne, ale zwykłe wiejskie burki, nie złączą kopać...

Ja nigdzie nie jechałem. A tym bardziej nikogo nie zabiłem. Tylko przypomniałem sobie o jeszcze jednej rzeczy, którą obiecałem ojcu zrobić, wychodząc z domu pierwszego sierpnia...

– O cholera! – Aż usiadłem na łóżku.

Z sąsiedniego pokoju dobiegło ciamkanie. Józek spał w najlepsze. A ja już wiedziałem, że będę miał z tym spory kłopot. Wszystko przez jedną sprawę.

„Wstąpisz do pana Michniewicza na Wilczą dwadzieścia. Jest mi winien za ostatnią dostawę szynki. On już będzie wiedział ile, to zaufany i sprawdzony klient. Ty masz tylko odebrać pieniądze” – powiedział mi ojciec i nawet uniósł się na łokciu, co bez wątplenia kosztowało go wiele wysiłku.

Odparłem, że jasne, żaden problem, bo to przecież nie pierwszozna. I żeby już się położył. Ale on tego nie zrobił, gdyż, jak się okazało, to jeszcze nie było wszystko, co miał mi do przekazania. Niestety...

„Musisz dopilnować, Antku – ciągnął, nie spuszczać ze mnie

spojrzenia, a jakieś dziwne było, zamglone – żeby przy tej rozmowie nie było żadnej postronnej osoby. To bardzo ważne. Pan Michniewicz, prócz pieniędzy, przekaże ci jeszcze pewną ważną wiadomość. W kopercie”.

Zapytałem wtedy, czy koperta to najlepszy pomysł. Z forszą w kieszeni mogli mnie złapać, oczywiście pod warunkiem, że nie byłyby to amerykańskie dolary. Ale już koperta mogła ściągnąć mi na głowę kłopoty. Co nieco liznąłem konspiracji, wiedziałem więc, że łączniczki i łącznicy, kursujący czasem nawet między odległymi dzielnicami Warszawy, bardzo ryzykowali. Z drugiej strony łatwiej było schować kopertę (choćby w majtki) niż granaty.

„Zrobi się, tato” – powiedziałem wtedy z mocą, a może nawet przybrałem pozycję zbliżoną do zasadniczej, żeby go przekonać, choć to był tylko tata, a nie wojskowy, jak ten dobrotliwy pułkownik o równie niewinnym pseudonimie Hieronim.

Wtedy dopiero opadł z jękiem na pościel. Już chciałem dopaść łóżka, gdyby nie jego całkiem mocny i trzeźwy głos: „Idź już. Nie ma czasu!”.

No to poszedłem. I pewnie dotarłbym na Wilczą dwadzieścia, gdyby nie to, co się wydarzyło. I nie miałem na myśli wybuchu powstania, ale to, że mnie zwinęli. A potem zupełnie wyleciało mi to z głowy! Tłumaczenie godne ucznia szkoły powszechnej. Pal licho pieniądze, bo w czasie wojny – a ta, jeśli można tak powiedzieć, zaczęła się teraz od nowa – tracą wartość. Ale co takiego ważnego było w tej kopercie, którą Michniewicz miał mi koniecznie przekazać bez świadków? A nuż jakieś plany niemieckich posterunków. Ojciec, tak ja i ja, nie działał w podziemiu, ale może zgodził się wziąć udział w jakiejś ważnej dla powstania akcji.

Jeśli tak, to była już musztarda po obiedzie...

III

Tak jak się obawiałem, obudziła mnie kanonada za oknem, wybuchy, jakieś gwizdy, ale chyba inne niż te zwiastujące bombę. Do tego ludzkie krzyki. Można by powiedzieć, że na szczęście. I tak sobie w duchu powiedziałem.

A zatem wszystko zaczynało się od nowa. Niemcy najwyraźniej zjedli już pożywne śniadanie, opróżnili pęcherze z resztek piwa z wczorajszego wieczoru i, chciał nie chciał, zaczęli się uwijać przy swoich Grubych Bertach, podczas gdy ich koledzy lotnicy wznosili się nad płataninę ulic z ukośnym niebieskim pęknięciem Wisły, by w kolejnej dzielnicy zamienić w ruinę kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset domów.

Usiadłem na łóżku i przetarłem oczy. Szczypały mnie z niewyspania. Zaniedbanie, które sobie uświadomiłem w środku nocy, spowodowało bowiem, że zasnąłem dopiero nad ranem.

– Do schronu! Do schronu! – słyszałem podniesione głosy, które dochodziły zewsząd.

Do sypialni Czesia i Ołeny wpadł Józek Knap. Był w samych spodniach. Miał mokrą głowę. Nietrudno się było domyślić, że alarm przeszkodził mu w porannej ablucji.

– Musimy się zwijać – rzucił.

Nie oponowałem. Tym bardziej że huknęło naprawdę gdzieś blisko, a z sufitu posypał się tynk. Minutę później zamykaliśmy za sobą drzwi mieszkania. Przez chwilę patrzyłem na zamek i klamkę. Knap odgadł moje myśli.

– Nic nie poradzisz. Muszą zostać otwarte.

Na te słowa ponownie otworzyłem drzwi i wpadłem do środka.

– Antek! – krzyknął za mną mój towarzysz, wyraźnie poirytowany; z góry zbiegali sąsiedzi.

Ale ja już byłem z powrotem na korytarzu. W plecaku upychałem naprędce Czesiową sutannę z koloratką, stułę, na głowie zaś miałem

jego biret, który po chwili również tam ukryłem. Ostrożnie, żeby się nie pogniótł.

Przez twarz Józka przebiegł cień.

– Żeby nikt ich nie buchnął – wyjaśniłem.

– Jasne – bąknął tylko.

Chyba mi uwierzył. Nie wiedział jednak, że w plecaku mam również krucyfiks, który stał na stole, gotów do zabrania przez szabrowników. Tyle tylko udało mi się chwycić. Tym sposobem mieliśmy teraz dwa krzyże: duży i mały.

– Oddam mu przy najbliższej okazji – dodałem jeszcze, zakładając plecak.

– Nie będzie żadnej okazji, jeśli się nie pospieszymy.

Zbiegliśmy po schodach. Ludzie tłoczyli się przed drzwiami do piwnicy. Człowiek z opaską na ramieniu usiłował zapanować nad chaosem. Głośno płakały dzieci. Nie zabrakło jednak takich, którzy przypatrywali się nam z zaciekawieniem. Szczególnie Józkowi z tym wielkim kawałkiem metalu w rękach. Zauważyłem, że ktoś trąca drugiego łokciem, wskazuje na nas i palcem rysuje kółko na skroni.

– Wiejemy stąd – syknął, ciągnąc mnie za rękaw.

Nauczeni doświadczeniem, a także przygotowani na kolejne, kiedy to być może będą nas podejrzewać o ucieczkę ze szpitala psychiatrycznego (wystarczy, że jeden to powie, a reszta błyskawicznie podchwyci, to pewne!) zaczęliśmy się wycofywać rakiem.

– Przepraszam panów! – zawołał ktoś z tego tłumu kłębiącego się przy drzwiach piwnicy. Ale żaden z nas nie zamierzał przyjmować przeprosin. Wypadliśmy na Lwowską, po chwili przecięliśmy Koszykową. Dzielnica była opanowana przez naszych, choć nie musiało to oznaczać, że Józek miał wczoraj zwidy. Problem był też w tym, że nie można było rozłożyć nad nią wielkiego parasola, który chroniłby przed bombami i pociskami.

Znów zaczęliśmy kluczyć. Kawątek ulicą, potem brama, podwórko, korytarz łączący z podwórkiem sąsiedniej kamienicy, który przebito nie wiadomo kiedy.

Tak, schrony, czasem nawet takie na setkę ludzi, i podziemne korytarze, które widziałem podczas wcześniejszego powstania, zaczęto budować na długo przed likwidacją dzielnicy. Kto wie, może ten i ów stróż z Koszykowej czy Hożej myślał tak samo. Że tak jak wzięli się do Żydów, tak i wezmą się do nas. I nawet nie trzeba będzie do tego pociągów...

No i się wzięli. Na długo przed sierpniem. To nie był przypadek ani moja zła wola, że w ciągu ostatnich miesięcy rzadko widywałem przyjaciół z konspiracji, z Władkiem na czele. Niegdysiejszy mistrz w pchnięciu kulą z naszego liceum co chwila zmieniał miejsce zamieszkania. Raz mieszkał na Sadybie kątem u jakiejś staruszki, by za tydzień udawać chojraka z Targowej. Taka była bowiem potrzeba chwili. Może ktoś siedział na Szucha i pracowicie sypał, a może Niemcy, którzy wciąż cofali się na zachód, przynajmniej tu zamierzali odnieść zwycięstwo. Zdusić bunt, zanim ten zdąży wybuchnąć.

Ostatni raz widzieliśmy się z Michalskim w maju, gdzieś tak w połowie. I od tamtej pory cisza. Nie byłem nawet pewny, czy żyje. Mimo to nie przestawałem mieć nadziei, że wejdzie... nie, raczej wkroczy nagle do tamtej zaimprovizowanej sali sądowej i każe im się wszystkim ode mnie odpieprzyć. A wcześniej grzecznie przeprosić.

– Właż prędej, do cholery! – Ktoś pchnął mnie mocno w plecy.

Miałem przed sobą kolejną dziurę w murze.

Marszałkowska to czy może Krucza? – zaśmiałem się w duchu mimo wszystko.

Zanim jednak wlałem, chciałem wiedzieć, kto mnie tak strofuje. Obejrzałem się. To była może piętnastoletnia dziewczynka w granatowym berecie z szarą lilijką. Właściwie to kolor filcu wpadał w fiolet, a to z tej przyczyny, że pokrywała go równa warstewka czerwonego ceglanego pyłu. Poza tym dałbym głowę, że usłyszałem męski głos. I nie był to głos Józka, który sekundę później przyłączył się do ponagleń.

– Antek, rusz dupę!

Naprawdę było mi głupio, zaczynałem bowiem rozumieć, że liczą

się sekundy. Kiedyś decydowały o tym, czy wejdiesz na ulicę, na której trwa właśnie łapanka, za wcześnie. Albo za późno z niej zejdziesz. Dziś wszystko mocno się uprościło, bo już nie łapali, tylko od razu strzelali. Artylerzyści robili to właściwie na oślep.

– Pani mówi, że do Hożej już niedaleko – powiedział mój towarzysz.

– To wspaniale... Przepraszam... – stęknąłem tylko i już mnie nie było.

Cicho zadzwonił metal krzyża niesionego przez Knapa. Nie wiedzieć czemu przypomniałem sobie wtedy nieścisłości w tym, co mówił, kiedy go pytano, z wieży którego kościoła został ów krzyż strącony przez niemiecki pocisk...

Ale byliśmy już na kolejnym podwórku. Cisza, przestali strzelać. W stronę bramy, do której teraz pewnym krokiem zmierzaliśmy, szły też jakieś kobiety w różnym wieku. Każda trzymała puste blaszane wiadro. W pierwszym odruchu chciałem nawet wyjąć wiadro z ręki najbliższej idącej, aby jej pomóc; ot, kindersztuba i przyzwyczajenie. Na szczęście kobieta szybko mnie wyprzedziła. Usłyszałem nawet, jak kilka z nich się śmieje; wyglądało to zupełnie tak, jakby w Poniedziałek Wielkanocny szły hurmem do studni, aby nabrać wody i zrewanżować się chłopakom z sąsiedniej ulicy za to, jak ci potraktowali je chwilę po wyjściu z kościoła.

Oto już Hoża. Wyludniona. Skręciliśmy w prawo i pokonaliśmy kilkadziesiąt metrów chodnika. W pewnej chwili zorientowałem się, że idę sam. Zatrzymałem się w pół kroku i obejrzałem za siebie. Józek Knap stał oparty o ścianę kamienicy i dyszał. Obok niego stał oczywiście krzyż. Wróciłem, jednocześnie czujnie rozglądając się na boki.

– Co jest? – zapytałem.

– Nic nie jest, Antek. Po prostu nie idę dalej – odpowiedział półgębkiem i jakby ze smutkiem.

Tąpnęło gdzieś daleko, a może całkiem blisko. Jeszcze trudno mi było to rozróżnić, właściwie oszacować odległość.

– Dlaczego? – zapytałem.

– Przecież muszę wracać na Wolę. Nie pamiętasz? – Ostatnie zdanie nie wiadomo czemu wycharczał.

Pamiętałem o tym doskonale. Miałem jednak nadzieję, że on zapomni.

– Najwyższy czas. – Westchnął, po czym spojrzał w lewo. – Spróbuję przez Ogród Pomologiczny. Jak przejdę za tory, będę właściwie u siebie.

– Tutaj też jesteś u siebie. Sam bym sobie nie poradził przez te wszystkie podwórka...

– Gadane – prychnął po swoim.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Spojrzałem na krzyż.

– Będziesz go dalej tachał na plecach? – zapytałem, siląc się na obojętny ton, i nie czekając na odpowiedź, zaproponowałem: – Nie lepiej zostawić w kościele?

– W jakim? – zapytał niezbyt przytomnie.

– Tu niedaleko jest kościół Piotra i Pawła.

Nie bardzo martwiłem się tym, że będzie musiał dźwigać. Albo że wezmą go za świra, który idzie po płonącej Warszawie jak Jezus przez Jerozolimę. Bo może teraz, kiedy mieliśmy się rozejść, powiedziała by mi, jak to było naprawdę. Byłem przygotowany nawet na to, że Józek krzyż naprawdę gdzieś zwinął. Ale nic nie powiedział. Zarzucił żelastwo na prawe ramię i skierował kroki na zachód. Odprowadzałem go wzrokiem, póki znów nie nadleciały stukasy, a wtedy każdy z nas zniknął w najbliższej bramie.

Kiedy się uspokoiło, przeciąłem jeszcze kilka podwórek. Czułem się coraz bardziej pewnie na tych nowych arteriach miasta. W pewnym momencie ujrzałem deskę przyciętą z jednej strony i tworzącą drogowskaz. Kredą wypisano na niej wielkimi kulfonami WILCZA. Przypomniałem sobie o obietnicy, którą dałem ojcu. Oczywiście o tej przysłowiowej musztardzie również zaraz pomyślałem.

– Dla świętego spokoju – mruknąłem do siebie, po czym poprawiłem paski plecaka, co wymogło na mnie też i inny gest: wypiąłem pierś do przodu.

*

Szedłem przed siebie, choć tak naprawdę wciąż kluczyłem, skręcałem, zatrzymywałem się, by przeczekać niebezpieczeństwo, stosując się do zaleceń tych, co wiedzieli lepiej. Nie cierpiało na tym w żaden sposób moje ego; gdybym znalazł się w Kozienicach czy innym Pułtusk, zgubił, bo i tak się mogło zdarzyć, to przecież też nie wahałbym się zapytać o drogę dziecka czy nastolatka. A Warszawa, jak mówiłem, z każdą chwilą przestawała być podobna do miasta, które znałem. Zmieniała to każda nowa, wybudowana w poprzek ulicy barykada, każdy dom trafiony bombą, od którego oderwała się ściana, ukazując mieszkania, a w nich czasem nawet tak intymne miejsca jak łazienki. Zmieniały to kraterzy powstające po wybuchu bomby, na które nagle natykałem na skrzyżowaniu ulicy, ale i kopczyki świeżych grobów.

Chciało mi się jeść. Zdawałem sobie sprawę, że w dżungli, którą stawało się miasto, obowiązywać będzie prawo dżungli. Słyszało się przecież o zdobytach na Niemcach składach żywnościowych. Bałem się, że będę musiał coś sobie zdobyć albo, nie daj Boże, upolować. Względnie poprosić dobrych ludzi. Dlatego zdziwiło mnie, gdy w pewnym momencie zobaczyłem sklep. Najzwyklejszy sklepik, w którym kupowało się artykuły spożywcze. W pierwszej chwili myślałem, że nieczynny, zamknięty na cztery spusty, a właściciel nie zabezpieczył witryny, zabijając ją dyktą. Pewnie nie zdążył.

Okazało się jednak, że sklep działa! Akurat wychodziła z niego zadowolona kobieta, ściskając pod pachą jakieś zawiniątko. Niepewność, czy to na pewno aby jeszcze sklep, a nie na przykład sztab albo punkt opatrunkowy, udało mi się ostatecznie rozwiązać, kiedy wszedłem do środka. Obwieścił to nawet, jak za starych czasów, mały dzwoneczek zawieszony u futryny.

– Dzień dobry – rzuciłem nieśmiało, ale nikt z obecnych, a w środku znajdowało się pięć kobiet i jeden starszy mężczyzna, nie odpowiedział na pozdrowienie.

Pokornie stanąłem na końcu ogonka, jednocześnie starając się zorientować w asortymencie. Na półkach za ladą, za którą stał

mężczyzna w średnim wieku ubrany w biały fartuch, zauważyłem jakieś słoiki bez etykiet i butelki. Leżał tam również najprawdziwszy chleb. Nie kartkowy z trocinami, znany aż za dobrze, ale najprawdziwszy, jaki ojciec przywoził ze wsi. Widać zmiany zaszyły i na tym polu, nikt już za to „przestępstwo” nie ścigał.

Kobiety przede mną brały po kilka bochenków, sprzedawca zaś zdejmował je z półek bez mrugnięcia okiem. W pewnej chwili przestraszyłem się nawet, że dla mnie nie starczy. Nie wiedziałem też, ile to kosztuje, bo transakcje odbywały się niemal w całkowitym milczeniu. A już na pewno nie słyszałem żadnych liczb.

Wszystko wyjaśniło się po chwili, a to dzięki kobiecie stojącej przede mną, która najwyraźniej też była tu pierwszy raz.

– On nie słyszy i nie mówi – odezwała się inna pani, która stała za mną; był to już zresztą niezły ogonek, choć z tego wszystkiego nie słyszałem w ogóle dzwoneczka u drzwi.

– Nie rozumiem. – Ta przede mną zmarszczyła na chwilę czoło, podczas gdy ekspedient spoglądał na nią wyczekująco, nie tylko bez zniecierpliwienia, ale nawet lekko uśmiechnięty.

– Bomba zniszczyła kamienicę, w której mieszkał – tłumaczyła ta z tyłu. – Zabiła całą jego rodzinę, jeszcze drugiego sierpnia. On jeden przeżył, ale ogłuchł.

– Aha.

– A do tego chyba mu się w głowie poprzestawiało.

– Nie ma się co dziwić, taka strata.

Spojrzałem na sprzedawcę, na jego nieruchomą, wykrzywioną w uśmiechu twarz. Żał mi się go zrobiło. Ale bardziej doskwierał mi głód.

– Ten chleb to skąd? – naciskała ta przede mną.

– A skąd się bierze chleb, kochana! – zachnęła się inna za mną. – Z pralni?

Zahukana kobiecina już nie pytała o nic więcej. Wskazała palcem na półkę, potem pokazała dwa palce, wreszcie sięgnęła po pieniądze. Wtedy i mi się przypomniało, że istnieje coś takiego. Na szczęście znaleźli przy mnie tylko część tego, co dał mi pan Wąsik.

Resztę ukryłem w specjalnej kieszonce w spodniach.

Podczas gdy klientka przede mną pakowała do torby dwa bochenki, ja musiałem wykonać kilka szybkich, choć trochę dziwnych ruchów. Na szczęście nikt nie zwrócił na to uwagi, a jeśli już, może wytłumaczył to sobie szybko, że w Warszawie jest teraz coraz więcej takich ludzi jak sprzedawca.

Wystarczyło mi pół bochenka, ale nie chciałem grymasić ani przedłużać. Poza tym musiałem myśleć także o tacie. Ciekaw byłem, ile zapłacę. Położyłem banknot na kontuarze, a sprzedawca szybkim ruchem przesunął go i papier spadł, najpewniej do szuflady. To wszystko. Następny proszę. Odwróciłem się od lady i już miałem zmierzać w stronę wyjścia, gdy usłyszałem dzwonek. Ale to nie był ten przy drzwiach, obwieszczający wejście nowego klienta. Dzwonił telefon. Nie znajdował się jednak na zapleczu sklepu, jak myślałem, ale ledwo metr ode mnie, w niewielkiej niszy. Miałem zamiar to zignorować.

– Pan odbierze. Przecież pan słyszał – powiedziała do mnie kobieta, która stała za mną i opowiadała o nieszczęściu sklepikarza.

– Ja?

– Może coś ważnego. Dostawa jaka nowa...

Wyciągnąłem rękę i podniosłem słuchawkę. Nigdy nie przepadałem za tymi urządzeniami, zawsze czułem się zawstydzony, mimo że przecież ktoś, z kim miałem rozmawiać, był daleko ode mnie.

– Tak? – rzuciłem się do tubki.

W słuchawce nie odezwał się jednak żaden głos, ale jakieś trzaski i szumy. Właściwie to chyba należało się dziwić, że telefony jeszcze działały.

– Halo!

Cisza. A potem przerywany sygnał. Już miałem odwieść słuchawkę, gdy nagle w głowie zaświtała mi pewna myśl. Zastoniłem sobą aparat, po czym szybko wykręciłem numer domowy. Wciąż mieliśmy telefon, a raz na jakiś czas się z niego korzystało. W obie strony. Z bijącym mocno sercem czekałem, aż odezwie się ojciec.

Ale nikt nie podnosił słuchawki. Chciałem wykręcić numer jeszcze raz, bo a nuż coś pomyliłem, ale wtedy za plecami usłyszałem głos tamtej kobiety.

– I co? Będzie jakiś towar? – zapytała, przypatrując mi się z ciekawością.

– Co? – odparłem półprzyciennie.

– Czy coś przywiozą. Chyba w tej sprawie dzwoniли, nie?

– Tak – odparłem. – Sto kilo świeżutkiego trotylu.

Coś za mną warknęła. Nie słyszałem. Może nawet już mnie wytykały palcami. Nie widziałem. Po chwili szedłem ulicą, żując chleb.

*

– Szukam pana Michniewicza z Wilczej dwadzieścia. – Zaczepiłem ludzi, którzy wyglądali na miejscowych.

Sugerowałem się tym, że nie mieli żadnych bagaży, a także ich niebałym, domowym strojem, bo chyba w czymś takim można tylko wyjść na podwórko, by wyrzucić śmieci. Albo do kiosku po drugiej stronie ulicy po gazetę czy papierosy. Ale chyba wciąż jeszcze myślałem nie tak, jak powinienem myśleć. Wszystko już dzieliło się na to, co było przed powstaniem, i na to, co było po jego wybuchu.

Właściwie to chyba dobrze, że na takie rzeczy ktoś wybierał okrągłe daty, pierwsze dni miesiąca. Pierwszego stycznia zaczynał się nowy rok, pierwszego września zaczęła się wojna, a pierwszego sierpnia – powstanie. Czyli w założeniu coś, co miało ją, wojnę, zakończyć. Przynajmniej tutaj, w Warszawie.

Czy tak się stanie? Przecież co chwila słyszało się po bramach, podwórkach, przy wejściach do korytarzy łączących podwórka i w samych korytarzach, że ktoś widział naszych skoczków spadochronowych z Anglii. I że zaraz za nimi do stolicy wróci polski rząd. Inny z kolei zarzekał się, że spotkał na Sadybie czołgi z czerwoną gwiazdą na wieżyczce. Raz miałem też w ręku jakiś świeżo wydrukowany, bo jeszcze smolił palce, biuletyn informacyjny. Przeleciałem wzrokiem tylko pierwszą stronę. Pisano tam o

zaciętych walkach o gmach PAST-y, bardzo blisko mojego domu, bo raptem przez Marszałkowską...

A zatem zapytałem ludzi, których ujrzałem, a było ich troje, o Michniewicza. Minęła godzina, może trochę więcej, od chwili, w której rozstaliśmy się z Józkiem.

– Panie! Każdy teraz kogoś szuka – zachnął się mężczyzna; prócz niego szła jeszcze kobieta w podobnym wieku, może żona, i podobna do niej siwa pani, najpewniej jej matka.

– Szczególnie matki synów – dodała ta ostatnia. – Córek też. Nie wiem, co to będzie. Naprawdę nie wiem. – Uniosła brudną chustkę do oczy i chlipnęła głośno.

– Niech się mama uspokoi – powiedziała drżącym głosem młodsza kobieta. – Przecież mama wie, że mamie nie wolno...

Poszli dalej, poczłapali, jakby nie było im wcale spieszno. Może nie mieli już dokąd wracać. Ja zostałem. Przez chwilę rozglądałem się dokoła. Nie wiedziałem, gdzie dokładnie jestem. Czy to już Wilcza? Panowała cisza, oczywiście nie licząc pomruków, które dochodziły z innych dzielnic. W każdej chwili jednak mogło się to zmienić. Jak pogoda w górach.

Gdzieś nade mną szczerknęło i zadzwoniło. Chyba otwierane okno. Cofnąłem się kilka kroków i zadartem głowę. Musiałem jednak przysłonić oczy dłonią, bo spoglądałem pod słońce, które świeciło pracowicie nad Warszawą, choć trudno było jednoznacznie stwierdzić, komu ułatwia pracę: nam czy im.

– Szukam Michniewicza z Wilczej dwadzieścia! – zawołałem, mimo że nie widziałem nawet osoby, do której się zwracałem.

Cisza. Przestąpiłem z nogi na nogę. Czułem się trochę jak ten Żyd, który przed wojną chodził po warszawskich podwórkach i skupował od ludzi stare szmaty. Albo lepiej: rzępolący muzykant, który uprzykrzał życie mieszkańcom. Stróż, przynajmniej u nas, zawsze szybko takiego delikwenta przepędzał. Ale nie zawsze stróż był na miejscu. Nieraz chciało się rzucić w takiego czymkolwiek. Zazwyczaj ktoś rzucał monetę, by mieć święty spokój...

– To nie tutaj – dobiegło wreszcie z góry.

– A gdzie?

– Sąsiednie podwórko. Tam pan pytaj.

Jakoś lepiej mi się na duszy zrobiło. Ledwo jednak zrobiłem kilka kroków, uświadomiłem sobie, że nie wiem, o które podwórko chodzi. Sąsiednimi mogły przecież oba wzdłuż Wilczej, ale też te leżące przy innych ulicach, na które można się było teraz dostać z taką łatwością. Nie chciałem już jednak nadużywać cierpliwości. A ostatecznym argumentem była kolejna wizyta stukasów nad Śródmieściem. Zawyło, gruchnęło, posypało się. Trzeba było znów szukać bezpiecznego schronienia...

Wpadłem do najbliższej klatki schodowej, a tam, nauczony doświadczeniem, od razu skręciłem do piwnic. Czuć było gnijącymi ziemniakami, mysimi odchodami, ale i spalenizną. W piwnicach siedzieli ludzie. Ledwo zrobiłem kilka kroków, ktoś wyciągnął w moim kierunku rękę z piętą wiejskiego chleba.

– Niech je.

– Dziękuję. – Szybko podniosłem pieczywo do ust i wgrzyłem się w twardą skórkę, choć w plecaku miałem jeszcze ćwiartkę.

Z półmroku wyszła starsza kobieta, spoglądała na mnie z uwagą.

– Pan walczy? – zapytała.

Dopiero teraz dostrzegłem, że wcale nie jest stara, tylko ma siwe włosy.

– Nie. Nie... – odparłem z pełnymi ustami, ale i wahaniem, by zaraz się poprawić: – Nie dostałem jeszcze przydziału...

Chyba spodziewała się innej odpowiedzi. Po chwili już wiedziałem, o co chodzi, zapytała bowiem nieco głośniej:

– A nie widział pan czasem mojego syna? Miecio Walicki się nazywa, siedemnaście lat? Wysoki, czarne włosy. Lekko kręcone...

Już miałem przełknąć przeżuty chleb, a jednocześnie, jako dobrze wychowany, nie mogłem zwlekać z odpowiedzią. W rezultacie wydałem z siebie dziwny, łącie zwierzęcy charkot. Kobieta zrobiła wielkie oczy, wszak mogło to oznaczać wszystko. Nie mogłem sobie pozwolić na to, aby zostać źle zrozumianym. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że przez najbliższe dni i tygodnie kłamstwo aż tak

spowszechnieje.

– Niestety, nie widziałem, proszę pani – wypowiedziałem głośno i wyraźnie, jakbym był na scenie teatralnej i była to jedyna kwestia, którą podczas całego spektaklu miałem do wypowiedzenia; tak zresztą wiele razy bywało.

Cofnęła się w głąb swojej niszy. Czuję się źle. Wybawieniem było kolejne tąpnięcie nad nami. Odruchowo chwyciłem się najbliższej ściany.

– Spokojnie, czterech pięter bomba nie przebije – usłyszałem męski głos z lewej.

– Tak jak nie przebiło u mojego szwagra – zawtórował mu głos drugi, z prawej. – Dobrze, że wyszedł po wodę.

– Gdzie wyszedł, jak wyszedł?

– Nieważne. Ważne, że gdy wrócił, kamienicy już nie było.

– Sąsiad, jak coś powiesz...

– Mówię tylko, jak było! – warknął defetysta. – Pół setki ludzi w środku było. I nikt nie przeżył...

Zaraz ktoś trzeci zaczął psykać znacząco.

– O Pani nasza, Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Poczyszczelko nasza... – dobiegł z głębi piwnicy chór kobiecych głosów.

Mało brakowało, a przyłączyłbym się do modlących, zaraz bowiem znów się wszystko zatrzęsło. Miałem wrażenie, że sufit za chwilę zwali nam się na głowy. Nie chciałem umierać przysypany cegłami, dokładnie czterema piętrami cegieł i jeszcze parterem, zmiażdżony jak te pół setki ludzi gdzieś tam. Niczym robak pod podeszwą buta, w dodatku w zupełnej ciemności.

A gdyby tylko przywaliło, nie zabijając? Kilka razy zastanawiałem się nad tym, a może nawet rozmawialiśmy na ten temat z kolegami z paczki z Batorego. Co by było, gdyby któregoś z nas pogrzebano żywcem? Przez pomyłkę. Garniturek jak spod sztancy, różaniec między paluchy i nakrywają cię wiekiem. A potem dwa metry w dół. Zasypują. A ty budzisz się po jakimś czasie...

– Poczyszczelko nasza! – chór był coraz głośniejszy, jakby koniec

był coraz bliżej.

Usiadłem pod ścianą, skuliłem się. Ręka, która przed chwilą macała ściany, jakby chciała sprawdzić, czy całe, zanurkowała teraz w plecaku leżącym na podłodze. Chwilę przedzierała się przez skłębioną wełnę, z której uszyta była sutanna Czesia Bielawnego, trafiła na guziki wykonane podobno z końskiego włosia. Wreszcie jest. Zimny metal krucyfiks. Zacisnąłem do bólu palce na pionowej belce i zęby przy okazji. Zaraz się co prawda zawstydziłem tego gestu, ale nie puszczałem. Lodowate dreszcze na przemian z gorącymi wędrowały mi po całym ciele.

– ...ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać... – klepały niestrudzenie kobiety siedzące w piwnicy.

Słowa żarliwej modlitwy, właśnie te o „wszelakich złych przygodach”, powinienem sam wypowiedzieć na klęczkach. I to nie teraz, ale już dawno temu. Co najmniej pięć lat... Powtarzać je przed każdym wyjściem z domu, przekręceniem klucza w drzwiach, zbiegnięciem na dół po schodach. W takich chwilach najczęściej walczyłem jeszcze z niesfornymi rękawami płaszcza albo szalikiem, poprawiałem czapkę na głowie. A myślami byłem już u celu podróży: miejscu spotkania z dziewczyną albo z kolegami. Cieszyłem się nawet wtedy, kiedy był to tylko kolejny adres, pod który ktoś zamówił rikszę. Pewnie dlatego nie zauważałem niebezpieczeństw i coraz wpadałem w dołki. W dodatku nie miał mnie kto przed nimi uchronić, bo matka moja nie żyła. Nie mogła wyczekiwać mojego powrotu, drzeć o mnie, jak ta pani Walicka, przedwcześnie osiwiła mama Miecia, który poszedł do powstania.

Ja zawsze w coś wdepnąłem. Zawsze! A nie każdy tak potrafi, o nie. Są ludzie, których nic nigdy nie spotyka. A mnie owszem. Także teraz, kiedy zamiast być z ojcem, a najlepiej z nim, Aliną i Leszkiem, wygrzewać się gdzieś na łące, tkwiłem w piwnicy, która w każdej chwili mogła się stać moim grobem.

– Chyba poleciały – powiedział ktoś, może ten mężczyzna, który uspokajał, że czterech pięter bomba nie przebije.

Kobiety zamilkły. Wstrzymałem oddech, chociaż nie potrafiłem

uciszyć walącego serca ani spowolnić jego biegu. Wszyscy nastuchiwaliśmy w największym napięciu, czy aby na pewno odleciały, czy może tylko zrobiły większy łuk, by zobaczyć, co tam w Kampinosie. I czy za chwilę znów nie łupnie.

– Chyba tak – potwierdził defetysta.

A skoro on to zrobił, rozważałem, to chyba rzeczywiście zagrożenie minęło. Ludzie zaczęli wychodzić ze swoich nisz i boksów. Nie zdawałem sobie sprawy, ilu ich tutaj siedzi. W ciągu kilkunastu sekund koło mnie aż się zaroiło. Ja wciąż jednak siedziałem skulony pod ścianą. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Prawie nikt.

– Niech je. – Znow ujrzałem przed sobą chleb.

– Nie. Dziękuję – rzekłem tym razem, podnosząc się z podłogi. – Niech pani trzyma dla syna. Na pewno wkrótce wróci i będzie głodny jak wilk.

– A widział go pan może? – zapytała pani Walicka. – Mojego Miecia? Siedemnaście lat? Wysoki, czarne włosy. Lekko kręcone...

*

Szybko opuściłem piwnicę, w której znalazłem schronienie przed nalotem, a po chwili także i kamienicę. Ogarnąłem jeszcze spojrzeniem podwórko. Było nie do poznania: pokrywał je ciemnoszary pył i kawałki cegieł, a wszędzie roznosiła się woń stopionego plastiku. Ludzie pochylali się nad kimś, ktoś leżał na samym środku. Trupem? A może tylko rannym? Nie chciałem tego wiedzieć...

Michniewicz z Wilczej dwadzieścia, Michniewicz z Wilczej dwadzieścia – powtarzałem w duchu, a gdy tylko udawało mi się nawiązać z kimś łączność wzrokową, także i na głos:

– Michniewicz z Wilczej dwadzieścia?

Dwa razy odpowiedziano mi gestem szeroko rozłożonych rąk. Ale za trzecim razem ręka jakiegoś łysego mężczyzny pokazała konkretny kierunek.

– Drugie piętro, mieszkania sześć – sprecyzował, by dodać: – A czy go pan zastaniesz, to nie wiem. Zaczy w jednym kawałku.

– Nie rozumiem.

– Nie chce schodzić do schronu. Ale rano jeszcze był, bo sąsiadka z nim rozmawiała. Przez szparę w drzwiach.

To powiedziawszy, łysy dotknął na chwilę swojej gładkiej, różowutkiej skroni. Nie miałem pewności, czy zrobił to przypadkowo, bo go na przykład łeb bolał – choćby od hałasu, który powodowały ciągle harce stukasów – czy może chciał mi coś przekazać znanym obrotem palca, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Tak czy inaczej, podziękowałem.

– Może pana przyjmie – dorzucił jeszcze.

Nie dociekałem, co to znaczy. Już po chwili wspinałem się na drugie piętro. Może gdyby nie stało się, co się stało, i trafiłbym tutaj zaraz powrocie od Cieślaka, wbiegłbym rączo na górę. Teraz, po tych kilkunastu minutach spędzonych w piwnicy-schronie, nogi wciąż mi się trzęsły. Co chwila chwytalem się poręczy, jakby nagle przybyło mi kilkadziesiąt lat.

Zatrzymałem się przed drzwiami. Zapukałem, jak mnie nauczono w szczenięcych latach. Cisza. Zapukałem raz jeszcze, a potem po prostu nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka.

– Dzień dobry! – zawołałem, żeby nikogo nie przestraszyć. – Panie Michniewicz, dzień dobry. Miałem się do pana zgłosić...

Żeby wszystko było jasne, podałem swoje imię, nazwisko i dodałem, że przysłał mnie ojciec. Z Jasnej. Tego że szmugler, już nie powiedziałem. Nie sądziłem też, żeby tata przysłał mnie do jakiegoś starego kolegi z przedwojennego urzędu, choć różnie mogło być. Wszystko to wyrzuciłem z siebie niemal jednym tchem, stojąc w przedpokoju, ledwo pół kroku za progiem. Znów pomyślałem o tym znaczącym gościu, którego być może nie dokończył mężczyzna kilka chwil wcześniej udzielający mi informacji.

W pewnej chwili w głębi mieszkania coś stuknęło. Odgłos dobiegł chyba z pokoju po prawej stronie. To mnie ośmieliło. Postąpiłem do przodu, a po chwili zatrzymałem się na progu izby, w której, jak sądziłem, zastanę gospodarza. Okna były zasłonięte. Dostrzegłem jaśniejszą plamę łóżka i wyrzuczenie. Ktoś tam leżał, przykryty.

Włącznie z głową.

– Dzień dobry. – Zapukałem w futrynę.

Wciąż nic.

A może to nie takie głupie? – przeszło mi nagle przez myśl. Po prostu położyć się, nakryć głowę kołdrą i przespać to wszystko? A jak już ma cię zasypać, to może lepiej we własnym łóżku. Kto wie, może właśnie dlatego sąsiedzi uważali Michniewicza za wariata...

Złowiłem kawałek światła i spojrzałem na zegarek. Najgrubsze wskazówki pod zarysowanym szkiełkiem zbliżyły się do dwunastki. Kto wie, może mój tata też tak leżał, ale nie dlatego, że mu się podobało, ale po prostu wciąż go wszystko bolało. Nie, nie miałem już czasu ani ochoty na zabawy!

– Mam odebrać jakąś przesyłkę, może więc będzie pan łaskaw wstać – powiedziałem głośno i stanowczo.

Chwyciłem za krawędź zasłony i pociągnąłem. W jednej chwili zrobiło się jasno. Odwróciłem się, pochyliłem nad łóżkiem i podobnym ruchem zdartem kołdrę, która zakrywała głowę śpiącego. I niemal podskoczyłem...

– Boże!

Zamiast głowy na poduszce znajdowała się krwawa miazga. Trudno było nawet rozpoznać, czy to mężczyzna, czy kobieta. Poczułem, jak żołądek podchodzi mi do gardła, a kręgosłup jakby nagle zamienił się w przewód bez izolacji, którym puszczono prąd.

– Bóg już tu nie zagląda.

Odwróciłem się. W drzwiach stał mężczyzna z biało-czerwoną opaską na ramieniu. Nie Niemiec. Ale też nie przyjaciel. Może jeszcze przedwczoraj odetchnąłbym z ulgą na jego widok. Teraz nie.

– Ręce do góry! – rzucił niegłośno, choć stanowczo, wykonując jednocześnie ruch ręką, w której trzymał niemiecki pistolet Parabellum.

Czułem też, że jedną rzecz zdjęto właśnie z moich barków: konieczność tłumaczenia się, że to nie ja zabiłem tego kogoś, kto leżał w łóżku. Bo... zabiłem. Tak przypuszczałem. Stał bowiem przede mną nie kto inny jak porucznik, którego poznałem w podlubelskich

lasach. I który kilkanaście godzin wcześniej stwierdził ponad wszelką wątpliwość przed sądem wojennym, że jestem niemieckim szpiegiem.

– Widzę, że przeżyłeś bombardowanie – powiedziałem, podniósłszy ręce.

– Owszem. – Uśmiechnął się z przekąsem. – Twoi koledzy z Luftwaffe mogliby się bardziej postarać.

Wzruszyłem ramionami i rzekłem:

– Nie znam nikogo takiego.

– Może nie, a może tak. Zdecydowanie za mało czasu spędzali na ćwiczeniach, a za dużo w pedalskich kabaretach w Berlinie.

Tak do końca bez szwanku nie wyszedł – pod spłowiałą furażerką bielił się bandaż. Kiepskie to jednak było dla mnie pocieszenie, bo ręce człowiek ów miał sprawne, więc z broni mógł w każdej chwili zrobić użytek. A jak nie on, to jego podwładni. Chwilę później pojawiło się jeszcze dwóch. Mieli na sobie polskie przedwrześniowe mundury, a raczej jeden mundur: spodnie nosił wyższy z nich, a bluzę niższy.

– Co to za magik, poruczniku? – zapytał ten wyższy, kapral; belki miał na naramiennikach przyszytych do koszuli, trochę chyba za daleko jedna od drugiej.

– A taki jeden – rzucił dowódca, nie spuszczać mnie z oka.

– Widzimy, że nie dwóch – zachnął się tamten, co raczej nie pasowało do podwładnego, do tego najmłodszego stopniem.

– Stary znajomy.

– Żydek? – zgadywał drugi, niższy, sierżant.

Obaj weszli do środka i stanęli za mną, obok łóżka, na szeroko rozstawionych nogach. Widać zdążyli się napatrzeć, jak kto inny tak stawał i wydawał rozkazy krótkimi szczeknięciami. Byli uzbrojeni w karabiny, tak jak ich dowódca mieli biało-czerwone opaski z czarnymi literami WP. I nieogolone gęby, które jakoś dziwnie mi się kojarzyły.

– Nie. Nie Żydek. Tylko... morderca – odpowiedział porucznik.

Jakbym na nowo odzyskał świadomość. I do tego tupet, którego mi

jakoś zabrakło podczas niedawnej rozprawy. Człowiek uczy się na błędach.

– Jaki morderca, do cholery?! Ja tego nie zrobiłem! – krzyknąłem, wskazując na zmasakrowanego trupa; wciąż nie wiedziałem, czy to poszukiwany przeze mnie Michniewicz z Wilczej dwadzieścia, czy ktoś inny.

„Gadaj tatka latka! I tak wiemy swoje” – można było wyczytać z ich min. Ale ja nie miałem zamiaru milczeć.

– Panowie, zaszło jakieś nieporozumienie. Szukam jednego znajomego... – powtórzyłem powoli, starannie ważąc każde słowo.

– No i znalazłeś – wycedził przez zęby kapral.

– Nie chciał oddać po dobroci, to zabiłeś – dokończył sierżant. – A teraz, kiedy się skończył nalot, wróciłeś po resztę fantów.

Wcześniej skupiony byłem na tym, aby obudzić śpiącego. Dopiero teraz zauważyłem, że cały pokój jest splądrowany. Wybebeszono wszystkie szafy i szafki, na podłodze dnem do góry, obok jakichś papierów leżały wyjęte szuflady. Zupełnie jak u Czesia.

Zacisnąłem mocno zęby. I dobrze, bo mógłbym sobie język przyciąć i udławić się krwią. Któryś z tych dwóch uderzył mnie kolbą w potylicę, pozbawiając przytomności.

*

O czym to mówiliśmy? A, o weselu. Chwilę po tym, jak odprowadziłem wzrokiem tego zadowolonego z czekającej go wycieczki niemieckiego oficera w kübelwagencie, którego minąłem w bramie zakładu wulkanizacyjnego na Dolnym Mokotowie, dogonił mnie zdyszany pan Cieślik i zaprosił na sobotnią uroczystość. Zdziwiłem się, wszak byłem tylko zwyczajnym kurierem. Ale podziękowałem uprzejmie i zaproszenie przyjąłem.

Te cztery dni, był przecież wtorek, a Cieślikówna wychodziła za mąż tradycyjnie w sobotę, minęły w mgnieniu oka. Właściwie to jakby w ogóle ich nie było, tylko od razu nastąpiła sobota, a ja w najlepszej koszuli, krawacie ojca i uszytym w zakładzie pana Rząsy przy Niecałej garniturze, który pamiętał jeszcze maturalne czasy, siedziałem przy

stole wśród zaproszonych gości. Na oko około trzydziestu osób. Zajadali jałowcową, którą przyniosłem. I pili bimber, o który postarał się ktoś inny. Może też tutaj siedział, to byłoby logiczne. Może to ten po lewej, z mocnym zezem rozbieżnym.

Panowała cisza, ale pewnie chwilowo, bo ktoś grzebał przy patefonie. Poszukałem wzrokiem panny młodej. Byłem ciekaw, czy miałem rację, myśląc, że pewnie nie jest zbyt ładna. Ale nigdzie nie było kobiety w białej sukni z welonem. Skonstatowałem wtedy, że trwa przecież wojna i wcale nie musi tak być. Zacząłem więc poszukiwania od nowa, tym razem dziewczyny, która mogłaby być córką wulkanizatora. Jak na złość jednak wszyscy siorbali akurat zupę.

Nie chcąc być niegrzeczny, również chwyciłem łyżkę i zanurzyłem ją w głębokim talerzu. Nie miałem pojęcia, jaka to była zupa. Pewnie śmieciowa, bo takie się najczęściej jadało w ostatnich czasach. Na szczęście wciąż trwało lato i można było mieć nadzieję, że cokolwiek rzucono do gara, było świeżo zerwane.

Ale oto i jest bohaterka wieczoru! Jednak miała na sobie piękną białą suknię. Zganiłem się w duchu za to, że podejrzewałem Cieślika, iż szedł na kompromisy. Miało być na bogato i było na bogato. No i najważniejsze: czy była ładna? Musiałem to wiedzieć. Bezcelnie gapiłem się w tamtym kierunku, a moja ręka wraz z łyżką, na szczęście przed chwilą oblizaną, zastygły w powietrzu.

Panna młoda stała jednak tyłem do mnie i z kimś rozmawiała. Dzwoniły talerze i sztuce. Jakiś mężczyzna siorbał niezbyt przystojnie, ale nikt mu nie zwróci uwagi, bo to byłby afront. Obgadają go później, przy wódeczce i papierosku. Na szczęście ktoś skończył majstrować przy patefonie i rozległa się muzyka. Fogg śpiewał stary szlagier Jesienne róże. Jesień też już się powoli zbliżała, oby ostatnia tej wojny.

Nikt jeszcze nie tańczył. Panna młoda wciąż stała odwrócona do mnie plecami. W pewnej chwili rozległo się kłaśnięcie w dłonie i okrzyk, co było odwiecznym hasłem do zabawy. Zgodnie z tradycją pierwsi na parkiecie powinni pojawić się państwo młodzi. Ona wciąż

tam stała, pochylona nad stołem. A gdzie mąż? Zięc pana Cieślika?

Nagle dziewczyna odwróciła się gwałtownie i szybkim krokiem ruszyła prosto na mnie, a wtedy łyżka wypadła mi z palców i chlupnęła do zupy. Kilka kropel trysnęło na biały obrus, moją koszulę i krawat. Nie zważałem na to. Kobieta w białej sukni ślubnej nie była Cieślikówna, tylko... Alina Sieradzka. Kobieta mojego ojca i matka jego syna!

Zbliżyła się jeszcze bardziej, tak że widziałem pojedyncze cekiny na jej sukni, po czym nachyliła nade mną tak samo jak przed chwilą nad kimś siedzącym po drugiej stronie.

– Smaczna kielbaska? – zapytała.

Nie był to jednak jej głos. W ogóle nie był to głos kobiety, tylko znów ten zniekształcony w wyniku spowolnienia płyty, wymuszony bas dochodzący spod ziemi.

Ale to przecież ona! Nie, nie mogłem się mylić. Hola! Czyżbym coś przegapił, pomylił wesela i trafił na to, na którym bawili się moi najbliżsi? To dziwne, bo jakoś dotąd o ślubie nikt nie wspominał. Także dlatego, że mąż Aliny, kapitan Jacek Sieradzki, żył i miał się dobrze. Mało tego: nie siedział już w oflagu, tylko konspirował w Warszawie. Traf chciał, że jakiś czas temu dowiedział się o wszystkim. Długo by opowiadać. To między innymi z tych powodów Alina i jej synek siedzieli w tej chwili na wsi...

Spoglądała na mnie nieruchomym wzrokiem, a kiedy w pewnym momencie spojrzała w dół, zrobiłem to samo. O mało nie krzyknąłem, ujrawszy jej ręce. Całe były we krwi!

– Co się stało? – zapytałem, jednak nie usłyszałem ani słowa.

Alina sięgnęła po nóż leżący przy talerzu i uniosła rękę, jakby chciała zadać mi cios. Próbowałem poderwać się z krzesła, jednak nie byłem w stanie się ruszyć. Jedyne, co mi pozostało, to zacisnąć do bólu powiekę. Jednak zamiast zimnej stali wbijającej się z impetem w moją pierś, pewnie tuż pod ramieniem, poczułem kilka uderzeń, ale w policzki.

– Te, pobudka!

Otworzyłem szeroko oczy. Sala weselna, goście, a przede

wszystkim znajoma panna młoda z nożem w ręku – wszystko zniknęło. Zamiast *Jesiennych róż* ktoś gwizdał fałszywie pod nosem. Leżałem na podłodze w mieszkaniu zamordowanego Michniewicza. Mieszkanie numer sześć, Wilcza dwadzieścia.

– Wstawaj, Żydku – odezwał się ten sam osobnik, tym razem głos został wzmocniony lekkim kopnięciem, na razie w ramię. – Nie udawaj. Gdybym cię mocno walnął, ze łba nie byłoby co zbierać.

Przekonał mnie. Usiłowałem się podnieść. Czerep promieniował tępy ból, jednak były ważniejsze sprawy. Nie chodziło o grzeczne wykonanie polecenia tamtego. Nawet pod groźbą otrzymania kolejnego ciosu, już nie w ramię, ale choćby czubkiem buta w skroń. Nie miałem już wątpliwości, z kim mam do czynienia. Mimo tych biało-czerwonych opasek na ramionach. I czarnych liter W.P. Nie mogłem nie próbować zinterpretować skrótu. „Wszyscy Poszli”. Albo: „Wreszcie Pomyszkujemy”!

Interesowało mnie to, co dzieje się w izbie. Gdy leżałem bez przytomności, rozbebeszona szafa została odsunięta od ściany i teraz ktoś za nią majstrował. Usłyszałem charakterystyczne i dość przykre dla ucha odgłosy. Nie były to jednak jęki dusz potępionych. Szybko zidentyfikowałem je jako próby rozłączania zbitych gwoździami drewnianych części mebla.

– Kurwa, nic tu nie ma! – zaklął ktoś.

– Może coś schował pod podłogą – odezwał się ten, który stał nade mną.

– Chcesz, to zrywaj i szukaj.

Zaszurały ciężkie kroki. Ktoś chyba wszedł do pokoju, ale szafa zasłaniała mi widok. Po chwili rozległ się głos porucznika.

– Dobra, jeśli nie ma nic więcej, to się zwijamy – zaordynował.

– A co z nim? – Stojący nade mną znów kopnął mnie w ramię, tym razem jednak trochę mocniej, co mogło być spowodowane fiaskiem poszukiwań kosztowności.

Podłoga zaskrzypiała pod twardymi podeszwami. Znieruchomiałem niczym zwierzę, które udaje, że jest martwe, co ma je ochronić przed atakiem drapieżnika. Wstrzymałem nawet oddech. Czyżby

właśnie teraz miał zostać wykonany wyrok...

– Rozwalić? – zapytał stojący nade mną.

Podłoga zaskrzypiała centymetry od mojej twarzy. Jeśli usłyszę inne skrzyknięcie, kabury, to będzie koniec. I będę mógł liczyć już tylko na celne oko tych z Luftwaffe i to, że nie cały talent zaprzepaścili w pedalskich kabaretach w Berlinie.

– Nie – rzekł porucznik po krótkiej chwili, która mi wydała się wiecznością. – Zabierzemy go ze sobą.

– Ze sobą? – zdziwił się bandzior; widać mało mu było krwi.

– Tak – odparł bez złości dowódca. – Coś czuję, że jeszcze nam się przyda.

– Tak jest, panie poruczniku.

– A teraz wynosimy się stąd.

Do czego miałby im się przydać ktoś, na kogo zwałiliby winę za obrabowanie i zamordowanie pana Michniewicza? Chyba tylko do tego, żeby w razie czego wyciągnąć mnie z dziury i pokazać, mówiąc: to przecież on. A może chodziło o coś zupełnie innego. Może ten człowiek, który przecież był obecny na moim procesie, miał zamiar posłużyć się mną w swoich brudnych interesach? Tak czy inaczej, widać naprawdę byłem dla nich cenny, bo ujęli mnie pod ramiona i podnieśli. Nie kopiać przy tym ani razu. Udawałem półprzytomnego i dałem się wlec po mieszkaniu, a potem po schodach. Ważne też było, że wciąż miałem swój plecak. Być może nawet jeszcze nie zdążyli tam zajrzeć.

– Tylko nie próbuj żadnych sztuczek, Żydku – ostrzegł mnie bandzior.

Nie wytrzymałem.

– Nie jestem Żydkiem – odpowiedziałem ze spokojem.

– Sprawdzimy i to, jak dojedziemy na miejsce. Kto wie, może jeszcze uda się dostać za ciebie trochę złota albo sałaty.

– Wyglądam na takiego? – prowokowałem dalej. – Na króla?

– Zamknij ryj. Wychodzimy.

Mijaliśmy mieszkańców kamienicy. Za każdym razem przerywano rozmowy; ludzie z bronią wzbudzali respekt i szacunek. Raz tylko

starsza kobieta zapytała, czy jestem ranny i czy potrzebna jest pomoc. Szabrownicy odpowiedzieli szybko, że nie jest to konieczne. Było jasne, że muszą stąd czym prędzej uciekać, bo przecież w każdej chwili ktoś mógł zapukać do mieszkania Michniewicza, a potem, zaniepokojony brakiem odzewu, po prostu otworzyć drzwi i odkryć prawdę. Ciekawe, kogo by podejrzewano o morderstwo i rabunek: powstańców czy podejrzanego typka, który wcześniej wypytywał o lokatora spod szóstki. Dlatego także i w moim interesie było zmyć się stąd jak najszybciej...

Wreszcie wyszliśmy na ulicę. Słyszałem podniesione głosy, gdzieś dalej w równych odstępach coś wybuchało.

– Gdzie Kazek? – zapytał ten, który nazywał mnie Żydkiem.

W odpowiedzi rozległ się przeciągły gwizd, a potem warkot silnika i po chwili zza rogu wyjechał znajomo wyglądający kübelwagen. W innych okolicznościach pewnie spojrzełbym na tych ludzi z podziwem, bo udało im się zdobyć wojskowy pojazd. Tak jak ta zgraja dzieciaków, która biegła po obu stronach samochodu. Kiedy ten się zatrzymał, a szofer splunął w bok niedopałkiem papierosa, zaglądały z zaciekawieniem do środka.

– Właż. – Kapral pchnął mnie w ramię, a gdy zająłem miejsce z tyłu, usiadł obok.

Unikałem spojrzeń dzieciaków. Na szczęście bardziej obchodziło je auto. Po chwili rzucono nam na stopy dwa worki, pewnie kryjące łupy. Porucznik usiadł obok kierowcy i ruchem głowy dał znak do odjazdu. Kübelwagen potoczył się Kruczą.

IV

Czas był dla niej łaskawy. Zabrał z urody o wiele mniej niż innym kobietom w jej wieku. No i do tego jeszcze wojna. Kobieta ta mogła zachwycić nie tylko mężczyzn w swoim wieku. I nie tylko tych na rauszu, kiedy to podoba się każda. Chociaż od dawna nie wykonywała swojego pierwszego, wyuczonego zawodu, z pewnością potrafiłaby jeszcze zawstydzić młodsze koleżanki. Zresztą może właśnie tak było, skoro ją tu spotkałem...

– Co się tak gapisz?! – sarknęła.

Dziwnie brzmiały te słowa w jej ustach. Pasowały raczej do przekupki z Kercelaka. Uświadomiłem sobie jednak szybko, że może nie korelują tylko z moim wyobrażeniem.

– No co! – prychnęła, widać rozeźlona brakiem odpowiedzi.

Stropiłem się. Spuściłem skromnie oczęta.

– Przepraszam – bąknąłem jak sztubak.

– Proszę.

Odwrociłem wzrok, by po paru chwilach znów zacząć dyskretnie ją obserwować.

*

Od razu ją poznałem, mimo że widziałem tylko raz ponad rok temu. To było jednego z ostatnich dni czerwca 1943 roku. Ojciec z bliskimi cieszył się wakacjami pod gruszą, a ja siedziałem sam w Warszawie. I robiłem głupotę za głupotą.

Miałem zaprowadzić Władka Michalskiego do przybytku rozkoszy. Chłopak dopiero co wyszedł z lasu, wciąż niepewnie czuł się na ulicach wielkiego miasta, mimo że w Warszawie się urodził i spędził dwadzieścia lat życia. No i chciało mu się panny. Najlepiej takiej, przy której nie trzeba za dużo mówić.

Był jeden z ostatnich dni czerwca ubiegłego roku. Z placu Zbawiciela, gdzie się umówiliśmy, pojechaliśmy riksą Nowowiejską

w kierunku Filtrów. Władek był wstawiony. Jak tłumaczył, wypił trochę dla kurażu. I dla uczczenia awansu na podporucznika, bo chyba jeszcze o tym nie wspomniałem. Dostał pierwszą oficerską gwiazdkę, choć na razie nie miał gdzie jej wpiąć.

Podczas jazdy od czasu do czasu wyjmował flaszeczkę z zanadza i pociągał solidny łyk. Częstował, ale konsekwentnie odmawiałem. Dotarliśmy na Kolonię Staszica i zatrzymaliśmy się przed jedną z willi. Odprawiłem riksarza, ale nie chciałem wchodzić do środka, miałem nadzieję, że moja rola zaraz się skończy. Ale Władek się uparł, żebyśmy weszli tam razem.

Chwilę po tym, jak to zrobiliśmy, pojawiła się ona. *Madame*. Szefowa burdelu. Elegancka kobieta w latach. Zaprowadziła nas do niewielkiego saloniku bez okien, a sama wyszła po dziewczyny. Ale nie miała tamtego dnia zarobić na nas ani grosza. Wszystko przez rozmowę, którą niechcący usłyszałem. Dwaj faceci za ścianą cieszyli się z rychłego aresztowania generała, naczelnego dowódcy. Problem w tym, że Władek należał do jego obstawy, a akcja właśnie trwała.

O tym, co działo się później, musieli tu pewnie często i gęsto opowiadać. Wiedziałem, że musimy jak najszybciej znaleźć się na Spiskiej, gdzie pod fałszywym nazwiskiem mieszkał generał. Ale jak to mieliśmy zrobić, kiedy odpowiedzialny za jego bezpieczeństwo oficer był teraz tutaj. Co prawda na Ochotę przy dobrych wiatrach dotarlibyśmy rikszą w kwadrans, ale co za pożytek z żołnierza, gdy był już niemal nieprzytomny...

Dlatego kiedy *madame* pojawiła się po raz kolejny w tym dziwnym saloniku bez okien, by prosić nas o jeszcze chwilę cierpliwości, mogłem zażądać tylko wiadra zimnej wody dla kolegi Władzia. Zdziwiła się, ale uczyniła zadość prośbie. Wróciła z blaszonym wiadrem wypełnionym do połowy. Nie zważając na to, czy woda jest czysta, czy może przed chwilą odlała się tam dziwka, bo nie chciało jej się iść do wychodka, złapałem za pałąk i chlusnąłem prosto na twarz Władka.

Poskutkowało od razu. Puścił pawia. Zrobił to, stojąc... na baczność! Na szczęście stało się to już na zewnątrz. Wsiedliśmy w

rikszę i czym prędzej ruszyliśmy w stronę Spiskiej. Kiedy dotarliśmy na miejsce, kocioł właśnie trwał. Z kamienicy wyprowadzali aresztowanych. Wśród nich także generała...

*

Od tamtej pory nie myślałem o *madame*. Aż do teraz.

Kilka chwil po tym, jak *kübelwagen* ruszył spod kamienicy, w której stygł Michniewicz, jeden ze sprawców zawiązał mi oczy czarną opaską. W tej opasce jechałem dalej. Pewnie wszyscy, których mijaliśmy, mi się przyglądali. I szybko wyrabiali sobie na mój temat zdanie. Może nawet wydawali wyrok, bo każdy Polak ma chyba w sobie coś z prokuratora. No ale może należało się cieszyć, że nie jadę w bagażniku.

Podróż samochodem niewiele różniła się od spaceru po Warszawie piechotą. Również co chwila musieliśmy się zatrzymywać, bynajmniej nie po to, by przepuścić pojazdy jadące drogą z pierwszeństwem. Wciąż tłukły działa i jazgotały karabiny maszynowe.

Nie potrafiłem określić, jak długo trwała podróż. W pewnej chwili pojazd się zatrzymał, a kierowca zgasił silnik. Ten siedzący obok mnie kazał mi się podnieść. Na szczęście nie skrępowali mi rąk, więc się udało wyjść po omacku. Zaprowadzili mnie do jakiegoś pomieszczenia. Poczulem chłód i woń stęchlizny. Gdy za plecami trzasnęły zamykane drzwi, zdjąłem wreszcie z oczu opaskę. No tak, kolejna cela. Ta tym się jednak różniła od pralni na Mokotowie, że stały w niej meble.

Pierwszą osobą, którą ujrzałem, była siedząca, a właściwie półleżąca w kącie pomieszczenia, na jakimś szeszlunku, *madame*. Skinąłem jej głową, po czym zacząłem się rozglądać za czymś, na czym również mógłbym spocząć. Wybrałem głęboki fotel stojący dokładnie naprzeciwko mebla, który zajęła kobieta. Dzieliło nas pięć, może siedem kroków. Wystarczająco, by mogła stwierdzić, czy się na nią patrzę, czy, jak twierdziła, gapię. Sprzyjało temu również oświetlenie: okna były co prawda zabite deskami, ale pod sufitem

pałała się lampa.

– Byłeś u mnie kiedy, że się tak gapisz? – zapytała nieco chyba łagodniejszym głosem niż za pierwszym razem.

– Ale ja się przecież nie gapię.

– Gapisz. To już ustaliliśmy. – W jej głosie zagrała jasna nutka.

Nie było sensu tego ukrywać, bo przecież byliśmy teraz, jakkolwiek to brzmiało, kolegami spod celi. Poza tym siedzieliśmy tu już razem kilka godzin, a nie odezwaliliśmy się do siebie słowem, jeśli nie liczyć gniewnego fukania kobiety. A człowiek potrzebuje pogadać. Tym bardziej w takiej sytuacji.

– Tak, byłem u pani – odpowiedziałem.

Uniosła się lekko na łokciu.

– Dawno?

– Ponad rok temu.

Ciekawe, dlaczego ją zamknęli. Mnie podejrzewano o szpiegostwo, co mogło jednak być niczym wobec faktu, że stałem się świadkiem wyczynów szabrowników, którzy podszywali się pod powstańców. A ona? Może i ją próbowali obrobić? Ktoś, kto prowadził elegancki burdel w Warszawie, w dodatku nie dla każdego, biedny być przecież nie mógł. Mogła skończyć jak Michniewicz, ale widać któremuś ręka zdrząła. W końcu kobieta.

– Dawne dzieje – westchnęła *madame*, uśmiechając się do wspomnień.

Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że mnie nie pamięta. Pewnie inaczej by zareagowała, gdyby ponownie spotkała osobnika, który do spółki z drugim zapaskudził jej wejście do lokalu, a w dodatku nie zostawił ani jednej marki. Dlatego modliłem się w duchu, aby nie pytała o więcej.

Nie pytała. Może dlatego, że drzwi się otworzyły i do naszej celi wepchnięto dwie młode kobiety. Upadły na podłogę. Zerwałem się z fotela i po chwili byłem przy nich.

– Nic paniom nie jest? – zapytałem.

Cisza. Nie licząc tłumionego łkania. Obie kobiety kryły twarze w dłoniach, jakby spodziewały się ciosu. Jak można było przypuszczać,

a także wywnioskować ze sposobu, w jaki się znalazły w celi, kolejnego. Chciałem chwycić pierwszą z nich pod ramię i po prostu pomóc wstać z podłogi. Ale kobieta wyszarpnęła ze złością rękę.

– Zostaw!

Spomiędzy palców, które obejmowały głowę, błysnęły gniewnie białka oczu. Nic nie rozumiałem.

– Zrób, jak mówi, synku – usłyszałem tuż za plecami głos *madame*.

Wyprostowałem się i odstałem od leżących o krok. Nie spuszczałem z nich jednak wzroku. I dopiero po chwili zauważyłem, że obie kobiety mają włosy poszarpane maszynką do strzyżenia. Wiedziałem, że chłopaki z podziemia oprawiali tak te, które zadawały się z Niemcami. To była forma ostrzeżenia. Następnym krokiem zaś wyrok i egzekucja.

Przy dziewczynach ukucnęła *madame*.

– Spokojnie, spokojnie... Gdzie cię boli?

Jej jakoś pozwoliły się dotknąć. Po chwili podniosły się z podłogi i dały się zaprowadzić w kąt celi. Usiadły w fotelach. Rozmawiały szeptem.

Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Z kłopotliwej sytuacji wyciągnął mnie strażnik, który otworzył drzwi i wycelował we mnie palcem.

– Ty. Wyłaź.

*

Poprowadził mnie jakimś korytarzem. Nie zawiązał oczu, więc tym razem mogłem wszystko dokładnie obejrzeć. To chyba była szkoła. Nieduża. Może na przedmieściach. Z zewnątrz wciąż dochodziły wybuchy, a z dużo bliższej odległości – pojedyncze krzyki. Wciąż nie wiedziałem, dokąd mnie przywieźli, to znaczy jakie jest w tej chwili przeznaczenie budynku.

– Szybciej! – Strażnik dźgnął mnie lufą w plecy; była to chyba ulubiona zabawa wszystkich cerberów.

– Grzeczniej – odpowiedziałem.

– Nie skacz, Żydku, bo ja cię...

Nie dokończył, ponieważ na korytarz, którym szliśmy, wyszedł znajomy porucznik. Odetchnąłem z ulgą. Była to jednak chyba przedwczesna radość.

– Rzuca się? – zapytał półgębkiem oficer.

– Trochę.

– Zaraz przestanie.

Zniknął w drzwiach. Kiedy dotarliśmy na miejsce i wszedłem do pomieszczenia, które w przeszłości mogło być nawet dyrektorskim gabinetem (na ścianie zostały jeszcze ślady po godle państwowym i dwóch portretach, chyba prezydenta i naczelnego wodza), akurat siadał za biurkiem. Na blacie leżał mój otwarty plecak. Wszystko z niego wyjęto.

– Siadać. – Mężczyzna wziął do ręki krucyfiks Bielawnego i zaczął go z zaciekawieniem oglądać ze wszystkich stron.

Zająłem miejsce na jedynym wolnym krześle.

– Skąd to masz? – zapytał, nie odrywając wzroku od krzyża.

– Z mieszkania przyjaciela – odpowiedziałem szybko, i dodałem: – Zabezpieczyłem...

Chciałem jeszcze dodać, dobitnie i wyraźnie: żeby nie ukradli tacy jak wy. Jednak w porę ugryzłem się w język. Instykt tym razem zadziałał.

– Zabezpieczyłeś... – powtórzył, a wyczułem w jego głosie ironię.

– Owszem. Jak pan chce, mogę podać adres i nazwisko kolegi. Sprawdźcie.

Przeciągnął wskazującym palcem po rozrzuconych ramionach i głowie Chrystusa, po czym odstawił krucyfiks. Wreszcie spojrzał na mnie i zapytał:

– To jak będzie?

– Z tym adresem i nazwiskiem?

Huknął pięścią w stół.

– Z gównem! – Kropelki śliny trysnęły mu z ust. – Nie rób sobie żartów, bo zaraz pożałujesz.

Opuściłem głowę, nie po to jednak, by tym gestem przyznać się do wszystkim win, które zaraz pewnie będą wyliczone, ale po to, by nie

ogłądać jego czerwonej, wykrzywionej w grymasie złości gęby. Naprawdę przerażał. I najwyraźniej nie było mu mało.

– Znajdujesz się na posterunku żandarmerii polowej, podejrzany o szpiegostwo, a także napad rabunkowy i morderstwo! – wykrzyczał jednym tchem. – To wystarczy, żeby postawić cię pod murem. Ja się nie będę bawił w sądy jak tamci. Nie muszę! Ale przedtem się pobawimy inaczej. Nie wiem, czy wiesz, ale wpadło nam w ręce trochę ciekawych narzędzi, którymi wcześniej posługiwało się gestapo.

To powiedziawszy, otworzył gwałtownie szufladę biurka, ale nic z niej nie wyjmował. Potem zatrzaskał ją równie gwałtownie, wstał z krzesła i zrobił kilka kroków w stronę okna.

– Panie poruczniku... – dobiegł od drzwi chłopiący głos.

– Nie teraz! – ryknął herszt bandy i, jak się okazywało, jednocześnie oficer żandarmerii polowej; sprytne to było, nie powiem.

Natręt się ulotnił. Porucznik przemierzył pomieszczenie szybkim, nerwowym krokiem i zamknął z trzaskiem drzwi. Nie wracał jednak ani do biurka, ani do okna, za którym w tym momencie trwała niepokojąca cisza. Oparł się o futrynę, splótł ręce na piersiach i spoglądał na mnie spod oka.

Madame powiedziałyby pewnie: co się gapisz?! – przeszło mi przez myśl.

– O wszystkim jestem jednak w stanie zapomnieć – podjął po chwili – jeśli się dogadamy. Powstanie upadnie. To kwestia kilku najbliższych dni.

Rozdziawiłem gębę. Nie słyszałem przecież dotąd takich słów. Właściwie to chyba nie mnie, ale jego powinno się rozstrzelać. Za szerzenie defetyzmu.

– Tak, tak – ciągnął. – To od początku było czyste szaleństwo i wiele osób o tym doskonale wiedziało. Mimo to podpisali rozkazy. Wyroki śmierci. Nie można tego nazwać inaczej. Ale to już nieważne. Teraz trzeba zacząć myśleć o sobie. Dlatego chciałbym, aby mnie pan skontaktował ze swoimi przełożonymi.

On naprawdę wierzył, że jestem szpiegiem. Nie mogłem też nie zauważyć, że po raz pierwszy zwrócił się do mnie per „pan”, a nie „ty”. Nie było jednak czasu, aby się nad tym zbyt długo rozwodzić. Przybrałem mądrą, trochę zafrasowaną minę. Chciałem jeszcze założyć nonszalancko nogę na nogę, ale w końcu z tego zrezygnowałem. Co dalej?

Jak się okazało, była to dobra gra. Bandyta oderwał się od drzwi i podszedł do mnie. Z lewej kieszonki munduru wyciągnął sfatygowaną paczkę papierosów i podsunął mi pod nos.

– Dziękuję. Nie palę – odpowiedziałem.

– Nie nauczył się pan?

Zignorowałem to niby pytanie, niby stwierdzenie. Wyciągnął jednego papierosa, przez chwilę ugniatał w palcach, wreszcie zapalił. Pomieszczenie natychmiast wypełnił szary, gryzący dym. Pomyślałem, że porucznik całkiem niedawno musiał zadebiutować w roli szabrownika, skoro jeszcze nie było go stać na coś lepszego. Choćby cygara.

– To jak będzie? – Usiadł na skraju biurka i zaciągnął się „po piętę”.

– Muszę się zastanowić – odpowiedziałem.

– Jak długo?

– Parę godzin. Poza tym w obecnej sytuacji trudno będzie złapać kontakt. – Kolejne androny z zadziwiającą łatwością przeszły mi przez gardło.

– Nie wątpię. Ale chyba macie jakieś swoje sposoby.

– Owszem. Zacząłbym od najprostszego z możliwych.

I spojrzałem na telefon stojący na biurku. Porucznik szybko złapał, o co mi chodzi. Posunął w moim kierunku czarny ebonitowy aparat. A ja, jakby nigdy nic, wykręciłem domowy numer. Wcześniej oczywiście osłoniłem tarczę drugą dłonią, gdyż tamten się nie odwrócił. Nie wiedziałem, co powiem – i w jakim języku – kiedy po drugiej stronie zgłosi się tata. Może wystarczy mi tylko to, że on żyje. Może po głosie poznam, jak się ma. Wtedy spokojnie odłożę słuchawkę, a temu bandycie powiem, że w punkcie kontaktowym nikogo nie ma.

Ale nie musiałem niczego udawać. Na Jasnej wciąż nikt nie podnosił słuchawki.

– Na razie nic z tego. – Spokojnie odłożyłem słuchawkę na miejsce.

Twarz mężczyzny stężała. Podeszedł do niedomkniętych drzwi i rzucił sucho przez szparę:

– Wyprowadzić.

*

Kiedy wróciłem do celi, ogolone leżały na fotelach. Wyglądały, jakby spały. *Madame* gładziła je po oszpeconych głowach. Chciałem zaszyć się w najdalszym kącie, ale mnie zawołała.

– Co, synku? – zapytała, kiedy podeszedłem na palcach, żeby nie zbudzić kobiet.

– Nic – odpowiedziałem.

– Bili cię?

– Nie. Tylko wrzeszczał jeden taki...

Było oczywiste, że nie będę wtajemniczał tej kobiety w swoje sprawy, opowiadał o propozycji.

– Jeszcze dzisiaj wieczorem je zabiorą. – Spojrzała z bólem na śpiące.

Niewidzialna igiełka ukłuła mnie w serce.

– Dokąd?

– Na zabawę. Siedzę tutaj trzy dni. Widziałam różne. Foksy i takie, co, tak jak te, zadawały się z Niemcami. Żadna nie wracała...

Ostatnie słowa puściłem mimo uszu. Może dlatego, że wspomniała o zabawie. A może wciąż zastanawiałem się nad układem, który mógłbym zawrzeć. Czy jutro wszystko będzie jeszcze aktualne i będę miał szansę zadzwonić do nieistniejącego punktu kontaktowego? I czy mój stary znajomy z podlubelskich lasów się nie rozmyśli, nie znajdzie innego kontaktu, a wtedy będzie mógł się mnie pozbyć jak śmiecia...

Potrząsnąłem głową, aby odpędzić złe myśli. Nie byłem jednak w stanie równie szybko pozbyć się fali gorąca, która rozlała mi się po klatce piersiowej. Usiadłem na podłodze, prawie u stóp *madame*.

Jak mały chłopiec. Zapomniałem, że była wobec mnie opryskliwa. Brakowało tylko, żeby zaczęła głaskać mnie po głowie jak tamte dwie.

– Dlaczego panią tu trzymają? – zapytałem.

Nie od razu odpowiedziała. Zdążyłem się nawet zawstydzić swojego wścibstwa. Ale po chwili westchnęła ciężko i zaczęła mówić. Jak się okazało, powstanie wcale jej nie zaskoczyło. Wiedziała od swoich dziewczyn, bo panowie podchorążowie czy oficerowie, głównie ci wyposzczeni, w łózku byli skłonni powiedzieć wszystko. Szczególnie gdy przychodzili na rauszu jak Władek. Kto wie, może nawet jednemu z drugim szybciej stawał, kiedy jego właściciel przyznawał się, że wkrótce będzie biegał z bronią jak w amerykańskim westernie, rzucał granatami, zdobywał niemieckie fortece, otwierając kolejne drzwi kopniakiem, a może nawet jeździł po Warszawie zdobycznym czołgiem.

Mogło to działać także, niestety, w drugą stronę. To znaczy wszystko, co dziewczynka usłyszała od polskiego konspiratora w chwili miłosnych uniesień, mogła potem powtórzyć Niemcowi, który przyszedł skorzystać z jej usług. Na przykład ze strachu. Może nawet za to też zapłacił...

– Gdy zaczęli strzelać, było jasne, że muszę zamknąć interes. – *Madame* westchnęła ciężko. – Na szczęście na miejscu było tylko kilka dziewcząt. Zrozumiały i poszły do domów. Już miałam zamykać, kiedy pojawili się oni. Byli pijani. Chcieli dziewczyn, a kiedy się okazało, że nie ma, zaczęli ze wściekłością plądrować lokal. Żądali, abym oddała wszystkie pieniądze i kosztowności. Myślałem, że to już koniec...

Przerwała. Za ścianą zamruczał kolejny daleki wybuch.

– Niczego nie znaleźli, ale przywieźli mnie tutaj. Właściwie nie wiem, po co to zrobili, bo tak jak mnie zamknęli w tej dziurze, tak nie wychodziłam. À propos, za tamtymi drzwiami jest wychodek, synku.

Uśmiechnąłem się w podziękowaniu, była to przecież podstawowa wiedza w anclu, a ci z większym stażem instruowali tych, co dopiero

pożegnali wolność. Choć z drugiej strony zupełnie nie miałem potrzeby wychodzenia za potrzebą. Może z nerwów...

Zachciało mi się za to spać. Zaraz jednak przypomniałem sobie o tamtych dwóch, Benedykcie i młodym Adamie, których bomba zaskoczyła we śnie. Nie chciałbym się nie obudzić, choć mówią, że to podobno najłżejszy sposób na odejście z tego świata.

– Zdrzemnij się, synku – powiedziała burdelmama, jakby czytała w moich myślach.

– Chyba tak zrobię. – Podniosłem się i wróciłem do swojego fotela, na którym zwinąłem się w kłębek.

Sen jednak nie nadchodził. Na zewnątrz waliło coraz głośniejsze i z coraz większą częstotliwością. Zastanawiałem się, czy to może już Rosjanie, czy jeszcze Niemcy.

Tymczasem zbudziły się ostrzyżone. Zaczęły rozmawiać, ale nie mogłem odróżnić ani słowa. Z każdą chwilą jednak wypowiedane przez nie zdania były coraz głośniejsze. Oderwałem skroń z oparcia fotela. Tak, panie się kłóciły.

– Gdyby nie ty, nigdy by nas nie znaleźli! – grzmiała jedna. – Musiałaś wychodzić?

– Musiałam. Przecież dobrze wiesz, że kończyło nam się jedzenie – tłumaczyła się druga.

– Gówno prawda! Było jeszcze dużo.

– Dużo, ale gówna!

Czekałem, aż rozdzieli je *madame*. Ale nic się nie działo. Wciąż milczała.

I kto wie, czy w końcu by się na siebie nie rzuciły, nie zaczęły szarpać, pozostałe włosy wyrwać z głów, jak to czasem baby w furii potrafią. Widziałem raz taką scenę, na Chmielnej czy gdzieś w jej okolicach, w wykonaniu dwóch pań. Poszło oczywiście o klienta z grubym portfelem. Ludzie stali i śmiali się w kułak. I na nic zdało się stare porzekadło, że kurwa kurwie łba nie urwie. A i pod kluczem odżywały czasem dawne animozje albo trzeba było znaleźć winnego bądź winną, więc, jak mówię, nie wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby w pewnej chwili nie pojawiła się kolejna osoba

dramatu.

– Zamknąć pyski, bo was po nich wytraskam! – dobiegł od drzwi męski gniewny głos.

Nie usłyszałem nawet, jak wszedł. Tutaj nie było żadnego kamyka tkwiącego między dolną krawędzią drzwi a podłogą, który by anonsował pojawienie się cerbera.

– Oszczędzać jęzory na potem – dorzucił jeszcze z drwiącą nutką.

Poskutkowało. Dziewczyny zamilkły, jakby ktoś nagle wyłączył dźwięk w radiu. Słyszać było tylko ich przyspieszone oddechy; strażnik prawdopodobnie zapobiegł bójce w ostatniej chwili. Ale już po chwili wiedziałem, że to nie był jedyny powód jego wizyty.

– Wstawaj – rzucił znów w moim kierunku.

Minutę później ponownie siedziałem w byłym gabinecie dyrektora szkoły. Porucznik również był na swoim miejscu. Dłuższą chwilę tarł palcami oczy. Na biurku stała szklanka z niedokończoną herbatą. Nie wiadomo kiedy oderwał rękę od oczu. Zauważył, że patrzę na tę szklankę.

– To herbata. Nie whisky. Poczęstowali nas dobrzy ludzie na Sadybie – powiedział. – Nawet na drogę trochę dali...

A żyją jeszcze? – choć język mnie świerzbiał, zapytałem tylko w myślach.

Ale widać i on potrafił w nich czytać, a może mu się nie spodobała moja mina.

– Coś ci nie pasuje?! – krzyknął.

To mnie chyba ostatecznie wyciągnęło z wieczornej gnuśności. Jego chyba też. Postanowił przejść do rzeczy.

– Dzwon. – Przesunął w moim kierunku aparat tak gwałtownie, że wewnątrz jęknął rozpaczliwie dzwonek.

Spojrzałem za zegarek. Było po dziesiątej wieczorem. W normalnych warunkach nigdy nie ośmieliłbym się niepokoić kogokolwiek o tej porze. Ale przecież trwała wojna. Prawdziwa, że nie tylko oni nas, ale też my ich. No i dzwoniłem do domu. To znaczy na punkt kontaktowy.

– No już – warknął herszt bandy, po czym zapalił papierosa, kto

wie, czy również nie otrzymanego od „dobrych ludzi”, po chwili bowiem otoczyła nas chmura dymu, którego zapach skojarzył mi się w elegancką kawiarnią.

Zacząłem wykręcać numer, tak jak poprzednim razem, przysłoniwszy lewą dłonią tarczę. Gdy po chwili usłyszałem pierwszy sygnał, przycisnąłem słuchawkę do ucha. Przeczucie podpowiadało mi, że i tym razem po drugiej stronie nikt nie odbierze. I chyba wolałem właśnie to; wciąż niepokoiłbym się o los ojca, ale za to miałbym z głowy tego tutaj.

Drugi sygnał, po nim trzeci. Były wyjątkowo czyste, nic w tle nie trzeszczało ani nie szumiąło. Czwarty. Już miałem odłożyć słuchawkę z przeproszającym grymasem, kiedy nagle coś szcęknęło po drugiej stronie.

– *Hallo?!* – usłyszałem męski głos.

Cholera. Nie byłem pewien, czy to tata. W pierwszej chwili pomyślałem, że nie. Ale przecież tembr głosu mógł mu się zmienić po chorobie.

Porucznik, który wciąż mi się z uwagą przypatrywał, widać dostrzegł zmianę na mojej twarzy.

– Jest? – Gwałtownie wstał i zdusił w popielniczce papierosa.

Co teraz? Wiedziałem, że na decyzję mam ułamki sekund. I on, i osoba w moim mieszkaniu czekały na to, co zrobię.

– Halo – rzuciłem do sitka, aby zyskać na czasie.

Mogłem liczyć tylko na cud, że ojciec – jeśli to był on – ni z tego, ni z owego zacznie udawać niemieckiego agenta.

Nagle porucznik oderwał mi słuchawkę od ucha. Jednak nie przejął jej całkowicie, tylko pochylił się nade mną, by też słyszeć. Czuję jego oddech przesycony nikotyną, wódką i cebulą.

– *Hallo!* – zabrzmiało znów po drugiej stronie, a po sekundzie, bo tyle tylko trwała jeszcze moja nadzieja, dobrze znane, złowróżbne: – *Was ist denn los?!*

Twarz porucznika się rozjaśniła. Na krótko, bo zaraz spojrzał na mnie nagląco. Wszystko się przecież zgadzało: właśnie nawiązałem obiecany kontakt, a teraz miałem dokończyć dzieła: umówić się na

spotkanie, względnie wcześniej podać hasło. Myślę, że niejeden na moim miejscu potraktowałby to w kategoriach zabawy. Taka okazja, taka draka! Dzwonisz, słyszysz Niemca i możesz mu bezkarnie nauręgać, zwyzywać od świiń. Tylko jak miałem to wszystko zrobić, skoro ten Niemiec siedział w moim mieszkaniu? Oczami wyobraźni ujrzałem ojca leżącego obok na podłodze z głową przestrzeloną z parabelki szwaba, która leżała na stoliku obok telefonu. Z lufy unosiła się cienka smużka szarego dymu...

A, parabelka. Teraz widziałem ją już dokładnie: na własne oczy, nie w wyobraźni. Porucznik niespiesznym ruchem wyjął ją z szuflady biurka. Nawet nie zauważyłem, kiedy odstał ode mnie i znalazł się na swoim wcześniejszym miejscu.

– *Hallo!?* – odezwał się po raz trzeci mężczyzna, który przed chwilą podniósł słuchawkę dzwoniącego w mieszkaniu na Jasnej telefonu; swoją drogą był cierpliwy, bo ja już dawno zwymyślałbym dowcipnisia, który robił sobie telefoniczne żarty o tej porze.

– Załatwiaj, bo cię zabiję – wysyczał szef szabrowników i tchórzy.

Wzdrygnąłem się. Tak, trzeba było grać tę rolę do końca. Rozmieszać widzów, choć serce rozdarte z bólu po stracie.

– *Hier Peter, Peter Schmidt. Ja, ja. Eins, Zwei, Acht. Natürlich...* – Zakryłem dłonią sitko i zapytałem porucznika, który nie przestawał we mnie celować: – Jaki tu jest adres?

Wyglądał na zaskoczonego pytaniem. A przecież było najłatwiejsze, jakie można było zadać. Dotrzeć na miejsce, kiedy na ulicach walki i barykady, parzysta ich, nieparzysta nasza, a jutro odwrotnie – to problem. Ale podać adres?

Przewrócił oczami, jakby chciał na poczekaniu coś zmyślić. Wreszcie podał adres. Szybko odkryłem sitko słuchawki i podałem nazwę, dołączając słówko „Strasse” i numer. Potem się pożegnałem. Mówiłem to wszystko, słysząc od dłuższej chwili przerywany sygnał; Niemiec miał już dość zabawy w głuchy telefon, tym bardziej że, być może, czekały na niego obowiązki. Choćby wyróżnienie do końca mieszkańców naszej kamienicy.

– Załatwione. – Odłożyłem spotniałą słuchawkę na miejsce.

– To znaczy? – Porucznik zacisnął dłonie w pięści; pistolet leżał już na szczęście obok, z lufą wycelowaną w okno.

– Pojutrze ktoś się powinien pojawić.

Rozprostował palce i potarł dłonie. Bałem się, że zacznie narzekać, że dopiero pojutrze. Albo domagać się szczegółów: hasła, nazwisk, a wtedy musiałbym jeszcze bardziej wysilić umysł. Wstał i wzorem obmyślających strategię bitwy wodzów zaczął krążyć po gabinecie ze splecionymi za plecami rękoma. Napoleon z Koziej Wólki, kurwa jego mać!

– Spisałeś się – rzekł wreszcie. – Zasłużyłeś na nagrodę.

Virtuti czy Krzyż Żelazny? – zapytałem w duchu.

– Zapraszam cię na zabawę. – Znów zatarł dłonie z zadowoleniem.

– Zabawę?

– Tak. Za pół godziny, jak chłopaki wrócą z patroli. Strażnik po ciebie przyjdzie. Smoking nie jest wymagany. – Zaśmiał się i coś knajackiego, nieprzyzwoitego było w tym jego rechocie.

Wstałem. Nogi miałem jak z waty. Wtedy tamten powiedział coś jeszcze:

– Smoking nie, ale przyda się inne wdzianko.

Kiedy wróciłem do celi, zastałem w niej tylko *madame*. Nie pytałem, co z tamtymi, bo spała. Przynajmniej oczy miała zamknięte. Że tak jednak nie jest, przekonałem się po chwili, kiedy usiadłem na swoim miejscu.

– Bili? – zapytała ochryple, tak samo jak za pierwszym razem.

– Nie.

Miałem nadzieję, że na tym się skończy. Mimo wszystko nie miałem ochoty na rozmowy. Wciąż myślałem o tym, co się mogło wydarzyć na Jasnej. Jak zawsze w takich przypadkach w mojej głowie kłóciły się ze sobą dwa głosy.

Jeden przekonywał, że, owszem, słyszałem Niemca, ale był to jakiś człowiek, z którym tata handlował. Przypadkiem podniósł słuchawkę dzwoniącego telefonu, bo ojciec poszedł do wychodka. To by było najlepsze rozwiązanie. Gorzej, jeśli rzeczywiście gadałem z jakimś esesmanem, który zajął kamienicę wraz z kolegami. Istniała jeszcze

szansa, że ojciec zdążył się ukryć. Ale mógł też leżeć na podłodze bez życia, co już zdążyłem sobie wyobrazić. Że tak się właśnie stało, mówił mi ten drugi głos.

Rozmyślania przerwał głos burdelmamy z Kolonii Staszica.

– One już nie wrócą, wiesz? Nigdy nie wracają.

Podszedłem bliżej. Kobieta wciąż miała zamknięte oczy. Niestety, nie było to gadanie przez sen. Słowa te też już wcześniej wypowiedziała, ja jednak dalej nie wiedziałem, co mogą oznaczać. Czułem tylko, że nic dobrego.

*

– Jeszcze wczoraj chciałem cię zabić, a dzisiaj razem pijemy. Życie jest jednak pełne niespodzianek... – Nachylił się i sięgnął po flaszkę bez etykiety, którą następnie postawił na stojącym obok stoliku; znów zaczął mówić do mnie na „ty”, ale było to już zupełnie inne „tykanie” niż wcześniej.

Ja wykonałem podobny gest: sięgnąłem do leżącego u moich stóp plecaka, by jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko w nim jest. Było, włącznie z krucyfiksem.

– Co nie świadczy jednak o tym, że jutro znów nie najdzie mnie ochota – ciągnął porucznik. – Ale takie przerwy w walce są dobre. Wiesz, że podczas tamtej wojny chłopaki, którzy przez całe tygodnie siedzieli naprzeciw siebie w okopach, czasem z nich wychodzili, żeby zapalić, pogadać albo nawet pograć w piłkę? A potem z powrotem do dziury, ładuj, pal! W zemście za obronionego karnego. A my siedzimy i pijemy, choć to tylko początek atrakcji.

– Atrakcji? – powtórzyłem jak echo.

– Urządzam takie zabawy co kilka dni, przede wszystkim dla chłopaków. Należy im się za to, co robią. Mają ciężką służbę. Oczyścić to miasto z szumowiny wcale nie jest łatwo. A my to robimy. Żandarmeria polowa! – zakończył tyradę buńczucznym, choć bełkotliwym okrzykiem, po czym rozlał kolejkę do dwóch niezbyt czystych szklanek.

Miejsce, w którym siedzieliśmy obok siebie na zupełnie wygodnych

fotelach, było kiedyś najpewniej salą do nauki języka polskiego. Ze ściennych portretów spoglądali Mickiewicz, Słowacki, Rej, Kochanowski i wielu innych znamienitych ludzi pióra. Jakim cudem się tu uchowali i nikt ich przez te lata nie pozrzucał, nie miałem pojęcia. Może klasa była przez ten czas po prostu zamknięta na cztery spusty.

– A ten Michniewicz – syknął, ocierając usta krawędzią dłoni – też wyjątkowa kanalia. Na handlu ze szwabami się dorobił. Prosiłem po dobroci: daj pan klucz od sejfu, unikniemy przemocy, a każdy z nas pójdzie spokojnie w swoją stronę.

Oto wyjaśniła się jedna z tajemnic: zmarły znajomy ojca handlował z Niemcami.

– Głupiego najpierw udawał – ciągnął zbir. – Że nie wie, o co nam chodzi, mówił. Potem, że nic nie ma w domu, wszystko w banku. Wreszcie zaczął nam grozić, wyliczać, kogo to on nie zna i co nas czeka, gdy tamci o wszystkim się dowiedzą. Długo musiałem powstrzymywać chłopaków, ale w końcu i ja nie wytrzymałem...

Dość miałem i ja. Tego jego gadania. Tym bardziej że przecież na własne oczy widziałem, co zrobił on i jego banda. I choć się z początku wzbraniałem, sięgnąłem po butelkę, wlałem sobie pół szklanki i wypłem jednym haustem. Bimber był podły.

– Mocne, co? – Zaśmiał się, wyraźnie zadowolony z efektu, jaki wywołał napitek. – Mamy jeszcze spory zapas.

– Naprawdę? – Otarłem oczy nadgarstkiem prawej ręki.

– Pewnie. Na szczęście nie wszystkie bimbrownie rozbito przed wybuchem powstania. Chłopakom należy się po robocie.

Poluzowałem materiał z kawałkiem białego plastiku, który ścisnął mi szyję. Albo stójka skurczyła się od ostatniego razu, najpewniej od prania, albo ja przytyłem, choć słowo to nie występowało już prawie w okupacyjnym języku.

Owszem. Miałem na sobie sutannę z koloratką, dawny strój Bielawnego, które to rzeczy kilka dni temu – choć czasem zdawało mi się, że od tamtej chwili minęły całe tygodnie – zabrałem z jego mieszkania. I nie włożyłem jej teraz z własnej woli. Mówiąc o

przyodziewku, który miałbym mieć na sobie podczas przyjęcia zamiast smokingu, porucznik miał na myśli właśnie strój księdza... Kiedy to usłyszałem, omal nie parsknąłem śmiechem. Miałem zresztą nadzieję, że tamten człowiek mnie w tym wyręczy, a wtedy spokojnie będę mógł się przyłączyć. Poklepiemy się z tej uciechy dłońmi po kolanach, a może nawet nawzajem po plecach. Mimo że wczoraj, jak sam powiedział, chciał mnie zabić, a niewykluczone, że jutro znów go najdzie na to ochota. Tak zresztą będzie, jeśli nie wydarzy się jakiś cud. Choć o tym wiedziałem na razie tylko ja.

– Ale muszę przyznać, że sutanna ci pasuje. – Popatrzył na mnie z ukosa.

Cichym mruknięciem podziękowałem za komplement. Był jednak połowiczny.

– Bo wy tam, w Bawarii czy Saksonii kościołów nie macie, co? Prawdziwych znaczy.

Nic nie odpowiedziałem. Na szczęście nie rozwijał myśli. Tylko jeszcze raz otaksował mnie spojrzeniem.

Ech, gdybyś wiedział, gnoju, że to nie pierwszy raz, kiedy mam ją na sobie, i ile dobrego zrobiłem – pomyślałem. Warto było, mimo że popełniłem bezdyskusyjne świętokradztwo, a w efekcie naraziłem na kłopoty wszystkich młodych księży, których po tamtej awanturze gestapo wyciągało z plebanii i przesłuchiwało.

Nagle przypomniałem sobie o kapralu i sierżancie, których miałem nieprzyjemność poznać na Wilczej. Przecież będą wiedzieli, że to błaga... Podobnie jak kierowca, który nas tu przywiózł. A strażnik? Kiedy jednak o to zapytałem, herszt bandy lekceważąco machnął ręką i skrzywiwszy się, prychnął:

– Jak im każę uwierzyć, że jesteś klechą, to po prostu w to uwierzą. Tak jak uwierzyli, że są żandarmami...

Ledwo wypowiedział te słowa, drzwi się otworzyły i do środka zaczęli wchodzić podkomendni porucznika. Pierwszy nawet zasalutował do orzełka na splotwie furazerce. Zrobił to jednak, jak dla mnie, jakoś niezgrabnie i miękko. Reszta już nie zadawała sobie tego trudu. Jak który chwiał się na nogach, na mój widok z miejsca

odzyskiwał fason. Ci, co wcześniej najpewniej uszczknęli co nieco z zapasów, o których wspominał ich dowódca, i gadali zbyt głośno i z charakterystyczną wylewnością, milkli w pół słowa. W ruch poszły łokcie, którymi wzajem się tręcali, bo nie wszyscy od razu zauważyli niespodziewanego gościa.

– Pochwalony... – rzucił wreszcie któryś na wdechu.

Był to prawie tuzin ludzi, w większości młodych, o nieufnych spojrzeńiach, potarganych i posklejanych w strąki włosów. Mieli na sobie rozchełstane bluzy, które udawały mundury. Uwagę zwracały nieudolnie przyszyte wstążki, różnej grubości, które miały odróżnić kaprała od sierżanta. Wszyscy mieli za to na ramionach jednakowe biało-czerwone opaski z wydrukowanymi czarnymi literami WP. W mojej głowie pojawiły się kolejne dwa słowa na „W” i na „P”, które mi pasowały do tej zgrai. Dopiero potem miało się okazać, jakże trafne...

Dowódca dźwignął się z fotela.

– To ksiądz Bronisław z parafii Niepokalanego Poczęcia – przedstawił niby mnie. – Ksiądz był na tyle miły i przyjął nasze zaproszenie, mimo wielu obowiązków. Walka trwa bowiem dalej i, niestety, codziennie przynosi nowe ofiary. Ksiądz Bronisław jednak wie, jakie to dla nas ważne. Bo to przecież wiara i modlitwa dają nam siłę do codziennej, niełatwej przecież służby...

Zastanawiałem się, kto pierwszy wybuchnie śmiechem: on czy jego ludzie. Ale oni słuchali w skupieniu. Wtedy pojąłem, że to jego gadanie nie jest całkiem pozbawione sensu. Przecież nawet złodzieje mieli swojego patrona, a nawet dwóch: świętego Mikołaja i, trochę mniej znanego, świętego Dyzmę...

– Teraz poprosimy księdza Bronisława o błogostawieństwo. – Spojrzał na mnie.

No nic, trzeba było konsekwentnie grać tę rolę do końca. Nie pierwszy to raz, a być może nie ostatni. Miałem oto przed sobą bandziorów. A może się myliłem? Może historia na Wilczej była jedynym takim nieszczęśliwym wypadkiem, a porucznik tylko zgrywał przede mną kozaka. I wszyscy ci ludzie naprawdę dbali o

porządek w ogarniętej gorączką Warszawie?

Tak czy inaczej, zacząłem wykonywać ruchy podpatrzone wcześniej u duchownych, mamrocząc pod nosem. Potem uniosłem krucyfiks Czesia, a stojący przede mną mężczyźni w jednej chwili pochylili głowy, z których uprzednio pozdejmowali czapki i berety. Aż mi się głupio zrobiło, bo przecież oni robili to wszystko szczerze, a ja byłem tylko przebierańcem, pożałowania godnym komediantem. Jednak ten drugi głos w mojej głowie szepnął wtedy: „i więźniem”.

– Amen... – wydusiłem z ulgą, zezując na porucznika.

A potem ktoś, nie wiadomo kto, wydał rozkaz i pomieszczenie w ciągu zaledwie kilku chwil opustoszało. Dopiero gdy za ostatnim podkomendnym porucznika zamknęły się drzwi, ten klapnął ciężko z powrotem na fotel. Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

Nawet nie zauważyłem, kiedy w jego prawej dłoni pojawiła się broń. Wycelowana we mnie. Przełknąłem ślinę. Wciąż stałem, więc tym lepiej czułem, co dzieje się z moimi nogami.

– Spokojnie, nie zabiję cię – powiedział wreszcie, a w jego oczach błysnęło coś dzikiego, a może tylko nieprzyzwoitego. – Chociaż, przyznaję, myślałem o tym. Wyobrażasz sobie, jaki zyskałbym wśród tych ludzi posłuch, gdybym na ich oczach strzelił księdzu w głowę? Wiedzieliby, że nie cofnę się przed niczym, a wtedy ślepo wykonywaliby wszystkie moje rozkazy. Nawet najgłupsze. Może ktoś rzuciłby się za to na mnie, kto wie. Ale reszta zaraz by go powstrzymała, jestem tego pewien. Zresztą może jeszcze to zrobię.

– Co?

– Strzelę księdzu w łeb. Albo komuś, kto go zagra. Jakiemuś szwabowi albo Żydowi. Może się jeszcze jakiś uchował. Dlatego zostawisz mi tę sukienkę. Na pewno się przyda...

Chciałem zaprotestować, bo to przecież nie była moja własność. Wiedziałem jednak bardzo dobrze, że nic tym nie wskóram. Przepadło. A krucyfiks, na pewno o wiele cenniejszy od sutanny i biretu? Ledwo o nim pomyślałem, bandzior wziął go do ręki. Jednak nie tak, jak chwyciłby każdy człowiek, który zdaje sobie sprawę ze znaczenia tego przedmiotu. On chwycił za poziomą belkę, tę jej

część, do której przybito lewą rękę Chrystusa, i podniósł. W tej chwili krucyfiks przypominał pistolet, a jako że porucznik wciąż w drugiej ręce trzymał parabelkę, wyglądał jak rewolwerowiec z westernu.

– Pif! Paf! – Poruszył rękami. – A teraz wracaj do celi, skurwysynu.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich strażnik. Ale przecież porucznik coś mi obiecał.

– Byłem zaproszony na zabawę – bąknąłem; dziewięciu na dziesięciu pewnie trzymałoby język za zębami, jednak stało się...

– Wiem. Ale zmieniłem zdanie.

Kiedyś zrobiliby mi się przykro. Taki afront. Poza tym, kto daje i odbiera... Teraz czułem jednak obojętność. No i byłem też ciekaw, jak ten człowiek uzasadni decyzję, bo chyba się do tego szykował: splótł dłonie za głową i spoglądał na mnie drwiąco.

– Twoja obecność – ciągnął po chwili – nie wpłynęłaby dobrze na atmosferę. Któremuś z chłopaków mógłby jeszcze nie stanąć i co wtedy?

„WP”. Wypić i Popierdolić – przypomniałem sobie swoją ostatnią interpretację szlachetnego skądinąd skrótu z powstańczych opasek.

– A teraz wyskakuj z tej sukienki, bo się jeszcze nam tu przyda – sarknął. – Tak samo jak krzyżyk.

– Ale to wszystko jest własnością księdza... – usiłowałem protestować.

– Dobra, dobra. Na pocieszenie wypij jeszcze jednego i spierdalaj do celi. I módl się, jeśli cię w tej Dolnej Saksonii nauczyli. Żeby twoi koledzy dotarli tu o czasie – dokończyl, spluwając na podłogę.

*

Wylądowałem znów pod kluczem. Byłem tylko w spodniach i koszuli, która lepiała mi się do pleców. Wolałem jednak pot od krwi. W ustach czułem jeszcze słodkawy posmak trunku, którym raczył mnie porucznik.

Spojrzałem w stronę barłogu, który zajmowała *madame*. Spała w najlepsze. Podziwiałem ją za ten spokój, a i trochę go zazdrościłem.

Czy kiedyś, gdy, jak los da (choć na razie się nie zapowiadało...), osiągnę jej wiek, też będę taki spokojny? – zastanawiałem się przez chwilę.

W czasie mojej nieobecności banda nie próżnowała. W celi przybyło kilka nowych dziewczyn i jakiś starszy, łysy facet. Był trochę podobny do tego, który wtedy na Wilczej pokazał mi drogę. Wówczas jeszcze cieszyłem się wolnością, no ale... A może to był on? Kto wie, czy bandyci udający powstańców nie czyścili wciąż tamtego rejonu.

– Dobry wieczór. – Ukłoniłem się.

Żadne z nowych nie odpowiedziało na pozdrowienie ani w ogóle się do mnie nie odezwało. Pewnie ze strachu. Pierwszej nocy pod celą człowiek boi się wszystkiego. Na szczęście mój fotel nie został zajęty, choć podejrzewałem, że gdyby nawet tak się stało, nie miałbym najmniejszego problemu z jego odzyskaniem. Włazłem nań i przyłożyłem głowę do miękkiego oparcia, a rękę do piersi, gdzie serce wciąż waliło niespokojnie.

Kobiety modliły się szeptem, facet wzdychał tak ciężko, jakby za chwilę jego serce miało pęknąć, a mnie przez głowę, niczym w fotoplastikonie, przelatywały obrazy minionych chwil. Wszystko malowało się wyjątkowo wyraźnie, pewnie za sprawą spożytego alkoholu. Bałem się, że w każdej chwili głos w mojej głowie powie wyraźnie, że to koniec. Że żadnego kontaktu z Niemcami nie będzie i pojutrze wszystko wyjdzie na jaw. Jednak procenty dzielnie odpierały ataki złych, czarnych myśli.

Aż nadszedł sen.

Śniło mi się, że pod szkołę podjeżdża kilka niemieckich tygrysów, z których wysiadają – a raczej wyskakują niczym dzieci – mężczyźni o jasnych włosach i ogorzałych twarzach. Rękawy mundurów mają zawinięte po łokcie, no ale co się dziwić: jest środek lata, a do tego kupa roboty. Jeden z nich leniwym gestem zdejmuje z głowy hełmofon i wita się z samozwańczym porucznikiem. Chwilę rozmawiają.

Wreszcie szef szabrowników wskazuje na mnie. Niemiec mi się

przygląda. Czekam, aż wykona gest, którym potwierdzi, że mnie zna, a wtedy będzie po wszystkim. Ale tak się nie dzieje. Obaj ruszają w moim kierunku. I obaj w tym samym momencie sięgają do kabur...

Nie, nie jestem w stanie ustać na nogach. Przepraszam, pasuję. Upadam jak ścięty serią w ulicznej egzekucji, ale żyję nadal, bo wciąż wszystko widzę wyraźnie. Po chwili porucznik i niemiecki czołgista pochylają się nade mną. Widzę tylko dwa cienie, albowiem znajdujące się dokładnie między nimi ostre, stojące w zenicie słońce nie pozwala mi ich odróżnić. Ale czy to wszystko jedno, który z nich naciśnie spust...

W pewnym momencie jeden z tych cieni przystania słońce. Wtedy okazuje się, że tym drugim jest... Władek Michalski! Ma na głowie polową rogatywkę i ubrany jest mundur, w którym we wrześniu, pamiętam dokładnie, widziałem go na jednym z kresowych posterunków, gdyśmy uciekali przed Niemcami na wschód. Tylko że na naramiennikach zamiast wężyka i belek podchorążego świecą się teraz dumnie porucznikowskie blaszane gwiazdki.

– Antek? Niech cię cholera! – woła.

– Władek? – słyszę swój głos.

– Nie, Jupp Goebbels.

– Wyrosteś i zmężniałeś, Jupp.

– A ty znów się wpakowałeś w jakąś kabałę.

– Takie już moje szczęście.

– No to chodź. Musimy się stąd wynosić... – Wyciąga po mnie wielką rękę, która pod koniec lat trzydziestych, choć zdawało się, że to wiek minął, najdalej pchała kulę w Batorym.

Wyciągam i ja swoją, pewny, że tylko musnę powietrze, wtedy być może senne marzenie pryśnie, a mnie zostanie rozczarowanie nieporównywalne z niczym. Ale tak się nie dzieje: uścisk dłoni Władka jest silny jak zawsze, zadziwiająco realny...

– W dodatku cię jeszcze upili! – cedzi przez zęby, pociągając znacząco nosem.

Jakby tyś się sopli lodu zakłuło jednocześnie całe moje obolałe ciało. Słońce zniknęło. Znów cela, druga w ciągu kilku dni, po której

chodzili teraz jacyś ludzie. Cześć z nich miała na sobie mundury, ale każdy inny. Gdzieś mignął strażak, gdzie indziej niemiecka panterka. Na szczęście wszyscy mieli na ramionach biało-czerwone opaski.

Stanąłem na równych nogach, ale te wciąż zdawały się jak z galarety.

– Nikogo nie wypuszczać. Muszę mieć najpierw dokładne zeznania każdego z więźniów – komenderował Michalski.

– Rozkaz, panie poruczniku – odpowiedziało jednocześnie kilka męskich głosów.

Spojrzałem w bok, tam gdzie spodziewałem się ujrzeć *madame*. Była tam, ale jeszcze jej nie dobudzili...

Jeśli to jest Władek – pomyślałem – jeśli to rzeczywiście on i wszystko dzieje się naprawdę, to musi ją pamiętać!

– Poznajesz? – Wskazałem burdelmamę ruchem głowy.

Popatrzył w tamtym kierunku. W napięciu oczekiwałem jego reakcji.

– Nie – bąknął, jakby z wysiłkiem.

– Naprawdę nie?!

– To już bez znaczenia, Antku. Ta kobieta nie żyje.

– Co?!

– Nie żyje. I to od dobrych kilku godzin.

– Ale przecież ja...

Położył mi tę swoją wielką grabę na ramieniu, po czym rzekł spokojnym głosem:

– Wierz mi, przez tych kilka dni widziałem już dziesiątki zabitych. A teraz zwijajmy się stąd, do ciężkiej cholery, bo zaraz będą tu Niemcy.

Ugryzłem się w język, by nie odpowiedzieć, że to przecież właśnie na nich czekam.

V

Sen trwał nadal. I był, muszę przyznać, wyjątkowo realny. Dotąd nie czułem przecież we śnie zapachów, a jeśli już, to były to zapachy na granicy jawy i snu. Choćby te dochodzące z kuchni, kiedy ktoś już się po niej krzątał, przygotowując rano śniadanie.

W tym śnie, w którym umarła *madame*, poczułem wyraźny zapach sierpniowej nocy, kiedy daje już wyraźnie o sobie znać zbliżająca się jesień. Zwiastowała ją także woń dymu. Czyżby ktoś palił w pobliżu ognisko, w którym będzie można upiec ziemniaki...

Sen trwał nadal i wszystko nie tylko czułem, ale też bardzo dobrze widziałem. Krew na twarzach sierżanta i kaprała, którzy pobili mnie na Wilczej, a także paru innych, których niedawno pobłogostawiłem. I tego strażnika, który mnie prowadził tam i z powrotem, dźgając lufą w plecy i wyzywając od Żydków, też. Wszyscy stali pod ścianą korytarza, którym chodziłem jako aresztant, i mieli podniesione ręce. Na rękawach ich poszarpanych bluz nie zauważyłem już jednak biało-czerwonych opasek z czarnymi literami WP, którego to skrótu nie przestawałem rozszyfrowywać. Teraz mógł na przykład oznaczać „Wyżej Podnosić”. Naprzeciwko stali bowiem ludzie z wycelowanymi w nich karabinami.

Z niewielkiej dziurki na prawej skroni herszta bandy sączyła się ciemnoczerwona krew. Siedział na tym samym krześle, na którym mnie przesłuchiwał, odchylony ku tyłowi. Wyglądał jak urzędnik, który uciął sobie drzemkę, wykorzystując fakt, że jest w biurze sam. Miał jednak otwarte oczy. Ręka trzymająca parabellum, którym mi jeszcze niedawno groził, a którego użył w końcu przeciwko sobie, zwiślała wzdłuż tułowia.

– Już nie przesłuchamy drania – westchnął Władek. – Można powiedzieć, że nam umknął...

– Dlaczego mi go pokazałeś? – zapytałem słabym głosem.

– A co? Będziesz rzygał? – przestraszył się.

Odruchowo dotknąłem otwartą dłońią ust.

– Nie. Chyba nie...

– To dobrze. A poza tym to ty sam skręciłeś i wszedłeś do tego gabinetu – wyjaśnił.

– Jak ten koń, który zawsze zawiezie pijanego woźnicę do domu.

– Skoro tak mówisz, to pewnie tak jest – powiedział lekko porucznik Michalski, by po krótkiej chwili dodać dużo bardziej zdecydowanie, po żołniersku i jak należy: – A teraz się zdecyduj, stary: idziesz ze mną czy czekasz tutaj na szwabów z herbatką.

– Nie wiem, przyjacielu. Mam z nimi do pogadania... – mruknąłem, bo przecież we śnie mogłem bezkarnie powiedzieć i zrobić wszystko.

On jednak odebrał te słowa po swojemu. I chyba każdy w tym miejscu i w tym czasie by je tak odebrał: że niby ja taki buńczuczny i bojowy, Kmicic, Wołodyjowski i Koziatulski w jednym, że łapki świerzbią i uspokoi je tylko chłód metalu, z którego wyprodukowano wymarzonego stena. Zresztą zaraz będzie gorąco, jak zacznę pruć. No bo przecież każdy w Warszawie miał z nimi do pogadania po tym wszystkim, co nam przez te prawie pięć lat robili. I właśnie nadszedł czas rozmowy.

– Tylko broni dla ciebie nie mam żadnej... – zafrasował się Władzio.

A parabelka szabrownika? – przeszło mi przez myśl.

I może dalej bym tak sobie śnił słodko o wolności i zemście, gdyby nie odezwał się budzik. Ech, ileż to razy przekłęte urządzenie przerywało mi piękne sny. Najbardziej żał mi zawsze było tych miłosnych, choć jednocześnie za każdym razem miałem nadzieję, że jest to zwiastun tego, co się wydarzy na jawie, może nawet tego samego dnia.

Póki co jednak trzeba było wyciągnąć rękę i uciszyć draństwo.

Ale to nie budzik dzwonił. To był telefon na biurku.

– Nawet nie wiedziałem, że linie tu działają. – Władek bez ceregieli sięgnął po słuchawkę. – Halo. Halo! Odezwiw się, do cholery!

Ostatnie zdanie wyrzucił z siebie bez specjalnej złości. Kilka razy postukał jeszcze w sitko, po czym wrzucił ramionami, odłożył słuchawkę na miejsce i spojrzał do mnie.

– Dobra, Antek, koniec gadania. Spieprzajmy stąd – powiedział, po czym, nie czekając na efekt, pociągnął mnie silnie za ramię w kierunku korytarza, z którego dochodziły jakieś krzyki i odgłosy szamotania.

Nie mogłem się jednak dowiedzieć, co się tam dzieje, bo stanąłem okoniem w połowie drogi. Władek, najwyraźniej zaskoczony, puścił mnie. Przed oczami zawirowały mi te ślady na ścianie po godle państwowym i dwóch portretach.

– Ale ja muszę zadzwonić – oświadczyłem z mocą.

Spod daszka rogatywki spoglądała na mnie para zmęczonych, dziwnie obcych oczu.

– Do kogo musisz zadzwonić?

W tym momencie na progu pojawił się jego podkomendny, młodziutki chłopak. Musnął palcami orzełka wymalowanego nieudolnie, pewnie w pośpiechu, na niemieckim, o wiele za dużym dla niego hełmie.

– Poruczniku! – zawołał dziecięcym głosem. – Musimy uciekać!

– Już, zaraz – fuknął Władek, po czym ponownie utkwiał we mnie spojrzenie i powtórzył pytanie: – Do kogo musisz zadzwonić o tej porze?

– Do domu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

W tej samej chwili huknęło na zewnątrz i zatrzęsa się ziemia. Szyby w oknie gabinetu rozsypały się na tysiąc kryształków. Przypadliśmy do ziemi, a sekundę później Michalski znów pociągnął mnie w stronę drzwi, tym razem jednak o wiele mocniej. Ale na progu i tak znów się zatrzymałem. Tym razem po to, aby zwymiotować...

*

Nieco ponad kwadrans później maszerowaliśmy głębokim wąwozem o nierównych, poszarpanych krawędziach, który tworzyły budynki stojące po obu stronach ulicy. Wciąż czułem w ustach kwaśny posmak. Trzęsły mi się nogi, a stopy stawiałem ostrożnie, jakbym stąpał po kruchym lodzie. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani dokąd zmierzam. Ale, co dziwne, czułem się bezpieczny, mimo że

w każdej chwili mogła nam się zwalić na głowy cała tablica Mendelejewa, której nigdy do końca nie byłem się w stanie nauczyć, albo jej niewielki fragment w postaci kawałka ołowiu.

Niebo zaczynało się robić niebieskie. Wstawał kolejny dzień. Nikt nie wiedział, co przyniesie. Nie wiedzieli tego ani w Londynie, ani w bliższym Belinie. Czy da jeszcze nadzieję, czy przeciwnie: pozbawi do reszty złudzeń?

– Stój – rzucił ktoś z przodu szeptem, który kiedyś nazwałbym scenicznym.

Stanęliśmy, było to bowiem „stój” wypowiedziane przez swoich, nie zaś dobrze znane znenawidzone *halt!*, które mogło cię zaskoczyć w każdym miejscu i o każdej porze. Ktoś, kto się zagapił, a może nie usłyszał, bo niemal spał, idąc, przez chwilę jeszcze deptał kamyki i kawałki szkła, które zaścierały ulicę.

– Co jest? – zapytał w taki sam sposób Władek.

Po chwili jak duch zjawił się przed nami żołnierz wzrostem podobny do tego, którego widziałem wcześniej na progu gabinetu. Ten miał jednak na głowie zwykłą harcerską czapkę i lilijkę zamiast orzełka.

– Panie podchorąży... – zaczął.

– Poruczniku – poprawił go do razu męski głos z tyłu.

– Przepraszam – stropił się młodzietki zwiadowca.

– Słucham. – Władek przeszedł do rzeczy. – Możemy iść dalej?

– Droga wolna. Tylko że w tej następnej kamienicy po prawej są ranni cywile – wyrzucił z siebie jednym tchem chłopak.

*

Dotarliśmy tam po minucie. Michalski kazał sanitariuszom obejrzeć tych rannych, o których wspomniał chłopak, reszta zaś korzystała z dobrodziejstw postoju. Powstańcy siadali, tam gdzie stali: pod ścianą, drzewem, przy śmietniku. Opuszczali głowy na piersi. My z Władkiem przycupnęliśmy obok siebie w bramie. Było stąd dobrze widać zarówno ulicę, jak i podwórko, nie mówiąc już o tym, że strop nad nami stanowił ochronę przed bombami. Słabą, ale zawsze coś.

Mimo bardzo wczesnej pory kamienica nie spała. Ludzie krążyli tam i z powrotem. Słysząc było postukiwanie garnków i wiader, nawoływania. Zaraz się zresztą przekonaliśmy, że hałasowano nie bez powodu.

– Dla pana dowódcy. – Kobieta w średnim wieku z kolorową chustką na głowie przez chwilę wodziła wzrokiem po mnie i Michalskim; w rękę trzymała porcelanowy talerz, nad którym unosiła się para.

Trochę dziwne to było, bo przecież on był w mundurze, a ja nie, więc po co było pytać. Chyba że wyglądałem na jakiego tajniaka z londyńskiego zrzutu, co to jeszcze wojskowych portek nie zdążył wyfasować, ale jeszcze nie wysrał do końca całego puddingu. Z drugiej strony każdy mógł zgłupieć od tego, co się działo. Szczególnie o czwartej nad ranem.

Skwapliwie wskazałem na przyjaciela. Kobieta wręczyła mu talerz, jak się okazało, z ryżem czymś okraszonym, a także drewnianą łyżkę, którą wyjęła zza fartuszka. Michalski odebrał poczęstunek, po czym spojrzał na nią jakoś bezradnie, a może z zakłopotaniem. Talerz jeden, łyżka jedna, a nas tutaj dwóch siedzi. Ale kobieta życzyła mu tylko smacznego i poszła sobie.

– Przepraszam – mruknął do mnie. – Ale jakoś sobie poradzimy, nie?

– Pewnie – odpowiedziałem. – Ryżu akurat nałożyła pani dziedziczka dubeltowo.

– Fakt. Nie takie rzeczy się robiło w partyzantce – dodał jeszcze, ale chyba tylko po to, by jakoś złagodzić tę niezręczną sytuację.

Zaczęliśmy więc jeść na zmianę: łyżkę Władek, łyżkę ja. Jak prawdziwi leśni czy rodzeni bracia. Ryż był słony, gorący, więc lepszych delicji w tym czasie i miejscu nie można było sobie wymarzyć. Gdzieś w głębi kamienicy ktoś krzyknął, może jeden z tych rannych cywilów, o których wspomniał młody. Młody i pewnie nowy, bo nazwał oficera podchorążym, co mogło zakrawać na obrazę. Gdy jednak o tym wspomniałem, Władek się zaśmiał, a potem długo przeżuwał w milczeniu ryż; byłem już pewny, że za to,

iż nie był to zwykły, biały ryż, odpowiadała przyprawa maggi, której pomysłowa kucharka nie pożałowała.

– To nie ten smarkacz jest nowy, ale... ja – powiedział wreszcie Michalski.

– Nie rozumiem.

Sięgnął po łyżkę, bo była znowu jego kolej.

– Ja też nie – odrzekł. – Pierwszego sierpnia miałem ze swoim plutonem w sile siedmiu ludzi atakować elektrownię na Powiślu.

– Sami?

– Oczywiście, że nie. Byliśmy tylko jedną z kilku sekcji, które miały zadanie zdobyć ten ważny strategicznie punkt. „Tylko”, a może „aż”. Szkoliłem tych chłopaków przez kilka miesięcy. Byli bardzo sprawni fizycznie, ostrzelani i oddani sprawie. Z dobrych domów. Umówiliśmy się w pobliżu celu o czwartej po południu. Jeszcze po cywilnemu, za to z gnatami pod płaszczem. A muszę ci powiedzieć, że mieliśmy naprawdę całkiem niezły arsenał.

– I co? Wszyscy zginęli... – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

Wydał z siebie jakieś dziwne mruknięcie, a potem prychnął:

– Zginęli?

Zaczynało mnie to ciekawić, mimo pory i faktu, że siedzieliśmy w bramie kamienicy jak jacyś żebracy i żarliśmy ryż z jednej miski.

– Złapali ich i rozstrzelali? – zgadywałem dalej.

Wtedy Władek nie wytrzymał: wstał gwałtownie z ziemi. Talerz z resztką ryżu zadzwonił o brukowy kamień. Przestraszyłem się, że może nieopatrznie dotknąłem jakiejś czulej struny. Wiedziałem już przecież, jak potrafi zareagować na podobne zdarzenia. Wystarczy wspomnieć pechowy ślub w kościele Świętego Aleksandra, kiedy to Niemcy zwinęli naszych najlepszych konspiratorów. Tak, już drugi raz w ciągu paru dni przypominałem sobie o tamtym zdarzeniu. Tylko mnie i wódce mógł Władzio podziękować, że nie znalazł się między nimi, a następnie na Pawiaku, a w rezultacie w dole w Palmirach.

– Antek, co ty gadasz! – warknął, a potem nagle... zaśmiał się, jakby usłyszał jakiś dobry dowcip. – Oni po prostu nie przyszli.

– Co?!

– Dobrze słyszałeś. Nie przyszli na miejsce zbiórki, aby pod moim dowództwem zdobywać tę pieprzoną elektrownię.

Może ze zbyt dobrych byli domów – przeszło mi przez myśl.

– Rzeczywiście, głupia sprawa. I co zrobiłeś? – Starałem się, by to, co mówię, zabrzmiało odpowiednio, to znaczy ze współczuciem dla wystawionego do wiatru i jednocześnie z pogardą dla tych, którzy go zawiedli.

Usiadł znów obok.

– Co miałem robić? – Westchnął ciężko. – Poszedłem sam. Przyłączyłem się do innego oddziału i zdobyliśmy tę elektrownię. Jeszcze tego brakowało, żeby mnie przełożeni wzięli za dezertera. Potem dostałem przydział do tych chłopaków. Ich dowódca zginął pierwszego dnia, ledwo kilka minut po piątej.

– To się nie nacieszył – zauważyłem.

– Narwany był, ot co. Za bardzo mu się spieszyło, aby wyrównać rachunki. Po prostu rzucił się z rewolwerem i z okrzykiem „hurra!” na bramę koszar. Niestety, nikt się dostrzegł w nim Bartosza Głowackiego spod Racławic i ściął, może nawet od niechcenia naciskając spust cekaemu...

Władek skończył swoją dziwną opowieść. Skończył się także ryż na talerzu. Poczułem błogość i ciepło rozptywające się po wnętrznościach. Zaraz jednak wrócił obraz martwej burdelmamy i porucznika, który, osaczony, strzelił sobie w łeb. Właściwie to nie wiedziałem nawet, jak i dlaczego Władek i jego ludzie się tam znaleźli.

– Śpisz? – zapytałem po chwili, żeby przerwać ciszę.

– Nie. Przez cały czas myślę o tym, co się wydarzyło – odpowiedział. – Co ty właściwie robiłeś u tych bandytów? Zastanawia mnie to, bo przecież oni łapali najczęściej folksdojczów i ludzi, którzy ze szwabami handlowali, ale tylko na dużą skalę. W każdym razie kogoś, kto im się opłacał...

– Widać i ja byłem cenny – odrzekłem z udawaną pretensją.

Ale Władzio nie drążył, najwyraźniej szarpany przez własne myśli, a

może nawet wyrzuty sumienia. I być może, żeby się ich pozbyć, zaczął opowiadać:

– Do sztabu docierało coraz więcej zgłoszeń o rabunkach na mieszkańcach miasta, dokonywanych przez osobników podających się za żandarmerię. Przychodzili ciemną nocą, walili w drzwi, kradli, nazywając to „rekwirowaniem mienia na potrzeby armii”. Pułkownik Hieronim, pamiętasz go, kazał mi zbadać tę sprawę. Zacząłem rozmawiać z ludźmi, do których przyszli tamci. I miałem szczęście, bo w jednym przypadku szabrownicy zapowiedzieli się z kolejną wizytą, po następną ratę. Oczywiście wcześniej ostrzegli ofiarę, że jeśli o tym komuś powie, powieszają ją za jaja.

– Wydaje mi się, że nie była to czcza gadanina – wtrąciłem, ale Michalski puścił moje słowa mimo uszu; nie było się co dziwić, bo przecież to on właśnie mógł wieszać tamtych, za co tylko chciał.

– Zaczailiśmy się w odpowiednim czasie i miejscu – ciągnął. – I po chwili mieliśmy parę rybek w sieci. Sypali swoich szefów, aż miło. Wystarczyło tu i ówdzie nacisnąć. Pięścią. Nie musiałem nawet gnata wyciągać. I pomyśleć, że kiedy wreszcie doczekałem chwili, kiedy mogłem otwarcie walczyć ze szkopami, przyszło mi ścigać swoich. No, ale nic to, jak mawiał pan Wołodyjowski. Dotarcie do szkoły było kwestią czasu i fantazji chłopców z Luftwaffe, którzy wciąż latają bezkarnie nad naszymi głowami. Ale udało się. Zamknęliśmy część, tamten się zastrzelił, ale kilku udało się zwać. W magazynie znaleźliśmy wiele łupów, a w celi aresztantów. Niestety, nie udało nam się wszystkich ocalić...

Czułem, że Michalski nie ma na myśli tylko *madame*.

– Ci ludzie robili huczne zabawy, podczas których pili na umór i kazali tańczyć aresztowanym foksom. Potem je gwałcili. Jak który jeszcze miał siłę. I zabijali. Nie zdążyli zakopać wszystkich ciał... – dokończył.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem w stanie. Robiło się coraz jaśniej, a ja utwierdzałem się w przekonaniu, że spotkałby mnie ten sam los. Władek i jego ludzie uratowali mi po prostu życie.

Sięgnąłem po plecak. Nie mogłem nie zabrać go z gabinetu

porucznika-bandyty. Wciąż było w nim wszystko, co wyniosłem z mieszkania Czesia: jego księżowski strój i krucyfiks.

– Skąd to masz? – zainteresował się Władek, gdy wyjąłem krzyż.

– Nie domyślasz się?

– Od Czesia?

– Dycha!

Uśmiech zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się pojawił.

– Co z nim? – przestraszył się Władek.

– Dobrze. Chyba. Nie zastałem nikogo na Lwowskiej, więc mam nadzieję, że zdążyli się wynieść z miasta, zanim się zaczęło.

I opowiedziałem Władkowi o wszystkim, co się wydarzyło w moim życiu od chwili, gdy wyszliśmy z gburowatym Józkiem Knapem z trafionej bombą celi. Nazwałem ją jednak suszarnią. Następnie opowiedziałem o naszych peregrynacjach po Mokotowie, jednocześnie zastanawiając się, czy mam się przyznać koledze, że posadzili mnie o szpiegostwo i zamknęli. Nie byłem bowiem pewien, czy w pewien sposób nie zbrukam go tymi słowami. Będzie przecież wiedział, że jestem ścigany, będzie musiał podjąć decyzję, czy zameldować o tym przełożonym, czy trzymać gębę na kłódkę. A może zrobi to pierwsze, gdy poczucie obowiązku okaże się silniejsze niż nasza stara przyjaźń? Byliśmy już zupełnie innymi ludźmi, wojna kazała nam szybko dorosnąć. Tak czy inaczej, lepiej milczeć.

– Nieźle, nieźle – mrucał Władek. – Toś też się mimo wszystko prochu nawąchał.

– Nie da się ukryć.

Opowieść byłaby oczywiście niekompletna bez historii pana Michniewicza z Wilczej i tego, co mu zrobili. Władek wyraźnie się ożywił.

– Widziałeś to? – zapytał; pewnie słyszał to nazwisko i znał sprawę.

– Wszystko.

– To dobrze. Podpiszesz protokół. Oczywiście muszę go najpierw napisać, a Hieronim bardzo tego pilnuje. Nie wiem właściwie dlaczego. Może żeby wszystko było w porządku, kiedy oni się ruszą z Wisły, a my będziemy ich witać. U siebie.

– A ruszą?

Pytanie, na które odpowiedź bardzo chciał poznać Józek Knap, zawisło w próżni.

– Czy ruszą? – powtórzył po dłuższej chwili Władzio. – Cholera i ich towarzysz Stalin wiedzą. Kiedy patrzę na to, jak stukasy latają nam nad głowami albo szkopy walą do nas z Grubych Bert, marzę, aby stało się to jak najszybciej. Zresztą i tak mówi się, że lada dzień czeka nas wymarsz do Kampinosu.

Nie byłem pewien, czy ostatnie zdanie wypowiedział naprawdę, czy tylko mi się przyśniło. Na chwilę straciłem świadomość. Taka pora.

*

Przed podwórkową kapliczką, gdzie pod figurką Matki Boskiej paliły się trzy świece, zaczynały się gromadzić kobiety. Za chwilę pewnie uklękną i rozpoczną jutrznię. To będzie, obok gotowania resztek ryżu z maggi, ich walka. Zaczęły się też odzywać pierwsze ptaki, widać nie wszystkie uciekły, spłoszone wybuchami, hukami walących się kamienic, wyciem pikujących samolotów. A może po prostu do tego wszystkiego się przyzwyczyły. Wciąż przysiadają na tej samej kamienicy, choć nie miała już dachu ani frontonu. Nie znałem ptasich zwyczajów. Jeśli tak, to można im było tylko zazdrościć. Ja nadal nie poznawałem mojego miasta.

Usłyszałem kroki i podniosłem wzrok. Od podwórka zbliżał się ku nam ten mały żołnierz, który nazwał Władka podchorążym. Teraz już wiedziałem, dlaczego tak się stało.

– Co jest? – Michalski był szybszy.

– Ten ranny... – zaczął, ale słowa ugrzęzły mu w gardle; było już jasno i ujrzałem, że chłopak ma łzy w oczach.

– Co z nim? – Porucznik wstał, jakby przeczuwając, co za chwilę usłyszy.

– On umarł.

– Przykro mi, żołnierzu. Wielu ludzi od kilku dni...

– Ale to był mój tata – przerwał mu chłopak.

Przełknąłem ślinę. I znów pomyślałem, że muszę jak najszybciej znaleźć telefon, aby zadzwonić na Jasną. Myślałem o tym, choć nie miałem pewności, czy cokolwiek jeszcze działa. Jeden wybuch mógł to przecież zmienić, pozrywać przewody. Tak, zadzwonić. Wciąż miałem nadzieję, że wtedy, z powodu zdenerwowania i trzęsących się rąk, po prostu błędnie wykręciłem numer...

A Władek Michalski już nie był Władkiem Michalskim. Przekonałem się o tym, kiedy ponad dwa kwadransy później ruszyliśmy z podwórka w kierunku Śródmieścia. Nie to, że się jakoś bardzo zmienił, choć mundur zawsze zmienia, chodziło o coś innego. Jakiś mężczyzna w wypłowiałym mundurze przedwojennego piechura zameldował o czymś Władkowi, zwracając się do niego per „Szymon”. Zapytałem o to przy pierwszej okazji, porucznik Michalski wyjaśnił, że to jego pseudonim.

– Moi starzy jeszcze żyją, choć na szczęście wyjechali z miasta. Ale i tak nie mam zamiaru ich narażać – dokończył.

– A nie kusiło cię, żeby wybrać coś innego? – drążyłem.

– To znaczy? Jakiego?

– Nie wiem. Może bardziej drapieżnego. Porucznik „Wilk”, porucznik „Ryś”. Albo „Tygrys”. Brzmi o wiele lepiej, co? – wymieniałem kolejne okazy z zoo, choć tak naprawdę pasował do niego tylko jeden: niedźwiedź.

On zresztą wiedział, że sobie z niego dworuję. Znał mnie przecież nie od dziś. Chyba już kiedyś gadaliśmy na temat pseudonimów w konspiracji, dzięki którym można było nie tylko zapewnić bezpieczeństwo najbliższym, ale też po trosze... odpłacić im za to, że kiedyś nadali nam głupie imię. Nie mówiąc już o tym, że takie pseudo bez wątpienia poprawiało męskie ego. Dlatego tylko ramionami wzruszył, po czym rzucił półgębkiem:

– Tak też jest nieźle. Nie musiałem się długo zastanawiać, bo Szymon mam na drugie. A teraz spieprzajcie, żołnierzu, szybko na bok, bo chyba mamy towarzystwo.

Miał jakiś dodatkowy zmysł i rację, bo zaraz rzeczywiście się zaczęło.

– Lotnik, kryj się! – zawołał ten stary wiarus w wypłowiętym mundurze, ale jakoś spokojnie, jakby na co dzień nie robił nic innego.

Usłyszeliśmy narastający warkot, a chwilę potem złowróbnny wizg. Nad wąwozem ulicy, o wiele szerszym niż ten, którym przemieszczaliśmy się o szarej godzinie, i na tle nieba podzielonego na kawałki przez czarne dymy pożarów pojawiły się dwa samoloty. Zaczęły podwójnym ściegiem szyc bruk uliczny. Na szczęście cały nasz pluton, mimo że wszyscy byli niemal nieprzytomni po nocnej wycieczce, zdążył w porę zająć bezpieczne pozycje. Tym razem samoloty nie zrzuciły nam na głowy bomb. Po chwili warkot przeszedł w bzyczenie komara, by wreszcie ucichnąć całkowicie.

– Ech, żeby tak mieć choćby jedno działko przeciwlotnicze. Nawet maleńkie. Nie czuliby się, skurwysyny, tak bezkarni... – Porucznik Szymon jakby od niechcienia strzepywał z munduru pył, drobiny cegieł i sadzy, jednocześnie bacznie rozglądając się po swoich ludziach, czy wszyscy są cali.

Zacząłem i ja się im przyglądać; życzenie Michalskiego spowodowało, że po raz pierwszy zwróciłem uwagę nie na to, jak jego wojsko było ubrane, ale na coś o wiele ważniejszego: uzbrojenie. Pierwszy dowódca tych ludzi, jak zapamiętałem, rzucił się z szaleńczym okrzykiem na niemieckie koszary jedynie z rewolwerem w ręku. Do tego, by zrobić porządek z bandytami, wysłano ich około tuzina. Ale tylko co drugi z nich miał broń: schmeissera, myśliwską dwururkę, parabellum, stena czy wetknięte za pas granaty. Przepraszam, ale pod tym względem o wiele lepiej prezentowali się ci, których kilkanaście godzin „błogosławiłem”, aby lżej im się kradło. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby oddział Władka trafił na trzeźwych przeciwników...

– Chodźmy stąd – zaordynował Michalski, zdejmując na chwilę rogatywkę. – Do sztabu niedaleko.

Jednak ja nie ruszałem się z miejsca. Stałem, owszem, na dwóch nogach jak człowiek, ale nie potrafiłem oderwać stóp od ziemi.

– Antek, co z tobą? – zaniepokoił się.

– Nie wiem. Nie mogę... – jęknąłem.

– Może to mina, panie poruczniku? – spekulował jeden z jego żołnierzy, szczęśliwy i dumny posiadacz stena.

– Czujesz coś pod stopami? – Na czole Władka-Szymona pojawiły się pojedyncze kropelki potu.

– Pewnie, że coś czuję! – zachnąłem się, bo przecież jeszcze nie nauczyłem się lewitować. – Ale to jest nie żadna mina. Po prostu mam wrażenie, jakbym miał nogi z ołowiu. Do tego mrowią...

Ten ze steniem coś szepnął dowódcy na ucho. I chyba się przy tym uśmiechnął. Reszta otoczyła mnie i przyglądała się z zaciekawieniem. Nie za bardzo mi to odpowiadało być tak w centrum zainteresowania, przynajmniej nie tu i nie teraz. Poczuję się trochę jak kompanijna oferma, choć przecież nie byłem nawet członkiem oddziału.

Jeśli za chwilę – myślałem – zaczną mnie oglądać ze wszystkich stron w poszukiwaniu ciemnych plam tam, gdzie kończy się stan portek, a zaczynają nogawki, nie wytrzymam.

– Daj mi ten plecak. – Michalski wyciągnął rękę.

– Nie trzeba – warknąłem.

Wtedy zmarszczył brwi. Dawno go takiego nie widziałem.

– Dawaj, do kurwy nędzy! – warknął. – Nie mamy czasu, żeby tutaj tkwić cały dzień. Samoloty mogą za chwilę wrócić.

Zrobiłem, jak kazał. Zamaszystym ruchem zarzucił mój niewielki bagaż na ramię. I wtedy, o dziwo, dziwna przypadłość, która zaatakowała moje nogi, zaczęła ustępować. Pochyliłem się i przez chwilę masowałem łydki, jak zawodnik, który właśnie dotarł do mety po wyczerpującym biegu. Kiedy jednak wreszcie zrobiłem pierwszy krok, rozległ się znajomy warkot...

– Lotnik, kryj się! – zawołał znów stary wiarus.

*

– Nóg nie czuję, cholera. – Porucznik Władek Michalski vel Szymon zdjął z ramion mój plecak i rzucił go ze złością na pryczę.

Nie zdążyłem zareagować. Już wyobrażałem sobie pogięty albo, co

gorsza, połamany krucyfiks, który nie był moją własnością. I to nic, że owinąłem go w Czesiową sutannę, jeszcze podczas popasu, kiedy poczęstowano nas talerzem ryżu.

A Władek mógł być zdenerwowany i zmęczony. Okazało się bowiem, że droga, którą zamierzał wraz z oddziałem dostać się do sztabu, a jednocześnie na kwaterę, została odcięta. Musieliśmy kluczyć, cofać się, czasem nawet znacznie, schodzić do piwnic, przeciskać się przez wybite w nich przejścia. I chociaż znałem już ten sposób poruszania się po Warszawie, nie mogłem pozbyć się niepokoju. I nie chodziło tylko o to, co nas może spotkać na następnym podwórku, przy wyjściu z następnej piwnicy...

Chociaż nadłożyliśmy drogi, dotarliśmy na miejsce. Dużo później, niż zakładał dowódca, ale za to niedrażnięci. Jeśli nie liczyć otartych stóp dwóch powstańców, którzy połakomili się na niemieckie buty-saperki, które były odrobinę za ciasne.

Władek już się szykował, żeby zalec na pryczy, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich ten szczęśliwy i dumny posiadacz stena.

– Panie poruczniku! – zawołał.

– Co znowu? – fuknął mój druh, przewróciwszy oczami.

– Proszę o pozwolenie zagrania w dupnika – wyrzucił z siebie tamten; najpewniej nie było to pierwszy raz.

– Udzielam – powiedział równie szybko Władek, zaraz jednak dodał, znów z tą swoją srogą miną: – Tylko cicho ma być. Wróg nie śpi.

– Tak jest!

Tamten zasalutował sprężysto i z powagą, po czym zrobił krok do tyłu i zamknął drzwi. Spojrzeliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Znowu było dobrze. Byliśmy w Śródmieściu, na terenach zajętych przez powstańców, gdzie toczyło się w miarę normalne życie. Jeśli można tak nazwać chodzenie z wiadrami w poszukiwaniu wody czy gotowanie stawy na wolnym powietrzu w wielkich garach. Na budynkach łopotwały dumnie biało-czerwone flagi, których nie widziałem od lat. A w środku, jak gdyby nigdy nic, grano w dupnika. Przez chwilę zastanawiałem się, czy tylko w męskim

towarzystwie, czy może w zabawie brały też udział łączniczki i sanitariuszki; kilka ładnych dziewcząt mignęło mi, kiedyśmy wchodzili do budynku, nazwanego dumnie sztabem.

– Co tak stoisz? – zdziwił się Michalski. – Siadaj. Albo kładź się jak ja. Zasłużyliśmy.

– Tak myślisz?

– Pewnie. Porządek musi być.

Nie chciałem mu mówić, że dokładnie te same słowa słyszałem od tamtych. Może też chcieli walczyć jak wszyscy, ale otwarte, opuszczone w pośpiechu mieszkania okazały się zbyt wielką pokusą. Jakże prawdziwe jest stare porzekadło, że okazja czyni złodzieja.

W niewielkiej izbie bez okien, która wcześniej chyba była jakimś kantorkiem czy magazynkiem, stały dwie prycze. Nie powiem, kusiło mnie, żeby zzuć buty i wyciągnąć się na tej wolnej. Władek chyba wyczuł, że się kryguję.

– Gdyby mi ktoś z chłopaków o tym powiedział, pewnie zaśmiałbym mu się w twarz. Antek, nie zachowuj się jak dziewczica w składzie porcelany.

– Stoń – poprawiłem go, ale znów nie zwrócił na to uwagi; ciekawe, czy była to głuchota spowodowana wybuchem bomby, czy może jednak jedna z cech dowódcy.

– No, zrzucaj buciory. Pewnie twoje giry śmierdzą nie bardziej od moich.

Wciąż nie mogłem się jakoś przyzwyczaić do tych koszarowych powiedzonek. Jeszcze niedawno Władzio przemykał ulicami, przygarbiony, szary jak wszyscy, bo bardzo nie chciał, żeby rozpoznano w nim konspiratora. Nie wszyscy mieli z tym problem i paradowali w bryczesach i butach „na szklankach”, a w ostatnie dni lipca to już prawie z żelastwem na wierzchu.

Zzułem więc buty i położyłem się na pryczy. Po chwili splotłem dłonie za głowę. Przymknąłem oczy, ale szybko ponownie je otworzyłem, by znów nie oglądać celi w szkole opanowanej przez szabrowników. Nieznośne gorąco oblało mi twarz i szyję.

Na szczęście odezwał się Władek

– Pamiętasz, Antek, kiedy i gdzie tak ostatnio leżeliśmy? – zapytał.
– Pewnie – odpowiedziałem. – Zimą. W mieszkaniu na Mokotowskiej...
– I już mi podpadliście, żołnierzu. – Westchnął, unosząc się szybko na łokciu. – Prawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: nigdy nie byłem w żadnym mieszkaniu na Mokotowskiej! W ogóle nie pamiętam, co robiłem zimą.
Przygryzłem wargę. Miał rację: wysypałem się jak amator. Jak małe dziecko, które próbuje nieudolnie kłamać.
– Tak jest, poruczniku Szymonie – odpowiedziałem.
– No, podobacie mi się, żołnierzu. Będą z was jeszcze ludzie. – Zaśmiał się krótko, a potem ziewnął, nie zasłoniwszy ust.
Po chwili już spał, lekko pochrapując. A ja, wbrew rozkazowi, znów znalazłem się w mieszkaniu przy Mokotowskiej...

*

– Teee, fajna dziupla! – ocenił Władek, siadając na krawędzi tapczanu. – Moja na Wolskiej się nie umywa.
– Pułkownikowska. Awansujesz, zasłużysz na wygody, to się pomyśli – dobiegł z kuchni męski głos, któremu towarzyszył szum wody w kranie i szcęk naczyń.
– Kiedy to będzie... – mruknął z rezygnacją Michalski.
Przez kilka chwil rozglądał się po ścianach. W pewnym momencie jego wzrok zatrzymał się na obrazie wiszącym naprzeciwko okna. Było to znane Babie lato Józefa Chełmońskiego. Przechylił głowę jak zdziwiony pies. W końcu nie wytrzymał: podniósł się z tapczanu i dotknął palcem obrazu. Zaskrobał.
– Ty, to jest przecież olej! – zawołał.
– O czym mówisz? – Muzyka na dwa garnki i łyżkę nagle umilkła.
– O Chełmońskim. Widziałem ten obraz przed wojną. Ale to chyba nie jest oryginał, co?
Człowiek, z którym prowadził ten dziwny dialog, nie odpowiedział: znów zmywał. Poczułem się w obowiązku wyjaśnić to i owo koledze, ponieważ orientowałem w temacie.

– Z jednej strony może to być oryginał – zacząłem – ponieważ żyjemy w czasach, kiedy ludzie są w stanie pozbyć się ukochanych dzieł sztuki, aby kupić chleb i słoninę. Z drugiej zaś strony jest wielu, którzy wyczuli w tym świetny interes. I zatrudnili malarzy-kopistów, a także przekonujących pośredników. Tym sposobem w Generalnej Guberni mamy w tej chwili być może nawet dwadzieścia obrazów Babie lato Chełmońskiego, trzydzieści Lecących żurawi i tyle samo Patroli powstańczych Kossaka. I każdy właściciel jest pewien, że kupił oryginał, którym puszy się przed znajomkami.

Michalski przez dłuższą chwilę słuchał w milczeniu moich wywodów. I może słuchałby jeszcze, próbując pojąć, jak tak w ogóle można, gdyby nie człowiek z kuchni. Wszedł do pokoju, wycierając dłoń w białą lnianą ściereczkę.

– Lubię porządek – rzekł gwoli wytłumaczenia.

Był to mężczyzna około trzydziestki, postawny, przystojny. Nietrudno było zgadnąć, co robił przed wojną i czym się zajmuje teraz. Wytarł do końca dłoń i podał ją Władkowi.

– To jest właśnie ten człowiek, o którym ci opowiadałem. – Michalski wskazał na mnie.

– Antek – przedstawiłem się, ściskając rękę nowego znajomego.

– Miło mi. Herbaty?

Obaj z Władkiem powiedzieliśmy, że chętnie się napijemy. Dzień był zimny i nieprzyjemny, jak to w styczniu. Od kilku tygodni mieliśmy już rok 1944, o którym mówiono, że wiele zmieni. Ja specjalnie w to jednak nie wierzyłem.

Oficer poszedł do kuchni, by nastawić wodę. Gdy wrócił, kazał nam zająć miejsca przy stole, po czym od razu przeszedł do rzeczy.

– Pan był aktorem, prawda... – zapytał, a może stwierdził, bo przecież musiał wiedzieć, z kim gada; byle kogo Władek przyprowadzić mu na kwaterę, w dodatku tajną, nie mógł.

– Tak. Przed wojną pracowałem z Maksymilianem Winterem – odpowiedziałem.

– Znam, oczywiście, czytałem i podziwiam. A potem?

Przełknąłem ślinę. Tak, tym, co było potem, raczej nie powinno się

chwalić. Ale przecież człowiek ten i tak wiedział, więc została mi tylko szczerłość.

– W „Komedii” na Kredytowej. Kilka epizodów w kiepskich sztukach dla gawiedzi... – tłumaczyłem się z grzechów.

W tym momencie odezwał się Władek. Jeszcze nie byłem pewien, czy po to, by przyjść mi w sukurs, czy zrobić niedźwiedzią przysługę.

– Antek miał również propozycję, aby przyjąć angaż w Theater der Stadt Warschau, czyli dawnym Polskim przy Karasia. Miał rozpracować jego dyrektora i kolaboranta Leo Coxa, ale sprawa skończyła się, jak się skończyła. Pamięta pan?

– Tak, pamiętam. – Gospodarz potarł się po policzku. – Ale do rzeczy, panowie. Przypomnę jeszcze, że wszystko, co zostanie w tych murach powiedziane, objęte jest tajemnicą służbową. Mówię to tylko dla porządku, albowiem pułkownik Hieronim i obecny tu porucznik Michalski ręką za pana, panie Antku. A zatem za kilka dni planujemy w tym miejscu przyjęcie dla większej liczby krewnych. Jest pan na nie zaproszony.

I tyle. Spojrzał na mnie wyczekująco.

– To dla mnie wielki zaszczyt – odpowiedziałem nieswoim głosem.
– Czy mam coś przynieść?

– Nie. Wystarczy, że przypomni pan sobie kilka zdań w pewnym języku.

– Niemieckim?

Zaśmiali się jednocześnie.

– Tego akurat nie trzeba nikomu przypominać – zauważył oficer. – Uczymy się go niechęć każdego dnia. Czasami boję się, że jeszcze dobrych kilka lat po wyzwoleniu będziemy wszyscy całkiem nieźle „szprechać”. Choć może i dobrze, bo jakoś trzeba się będzie dogadywać z robotnikami, którzy nam będą odbudowywać i porządkować Warszawę. Zresztą nie tylko Warszawę, ale całą Polskę...

Widząc, że tamten najwyraźniej zaczyna się zagalopowywać i być może zaraz zacznie snuć wizję Rzeczypospolitej Obojga Narodów od morza do morza, Bożej Opatrzności i temu podobnych dyrdymałów,

którymi nas kiedyś z takim zapalem karmiono, Michalski chrząknął znacząco, po czym zwrócił się do mnie.

– Pamiętasz naszą wyprawę do Pięknej Heleny? Zaraz przed maturą? – zapytał.

Oczywiście, że pamiętałem naszą niefortunną wizytę w jednym z burdeli w Śródmieściu. Pamiętałem to wszystko o tyle dobrze, że w momencie, kiedy większość nas już miała erekcję, do lokalu wtargnęła policja. I zamiast z dziwkami w pokojkach wylądowaliśmy wszyscy na podłodze, myśląc usilnie, jak się z tego wykaraskać. Baliśmy się, że za taki wybryk mogą nas nie dopuścić do matury. Albo wręcz relegować ze szkoły! Wtedy, pamiętam, przyszedł mi do głowy szalony pomysł. Zaraz też wcieliłem go w życie, dzięki czemu jako jedyny uniknąłem odpowiedzialności.

– O co ci dokładnie chodzi? – zapytałem Władka mimo to.

– Ty już wiesz. – Uśmiechnął się, po czym puścił oko do przełożonego.

Gospodarz klasnął w dłonie, a nawet zatarł je z zadowoleniem.

– Cieszę się, że myślimy podobnie.

Po czym wstał, także dlatego, aby zdjąć z kuchenki czajnik, w którym gotowała się woda. Szczegóły omawialiśmy już przy prawdziwej czarnej herbacie. Nie byłem jednak w stanie należycie się nią delektować. Myślałem o czekającym mnie zadaniu. Z jednej strony było banalnie łatwe, wręcz niewinne. Z drugiej, niosło pewne ryzyko.

*

Spotkaliśmy się w tym samym miejscu tydzień później. I w o wiele szerszym gronie, bo do dziupli wszedł niemal tuzin ludzi. Wszyscy byli mniej więcej moimi rówieśnikami, choć zauważyłem też kilka nastoletnich dziewcząt. Słyszałem jakieś pseudonimy, ale, jak to zwykle bywało przy takich okazjach, nie zapamiętałem ani jednego. Trochę nieswojo się czułem, ponieważ pośród bojowców zabrakło Władka. Wiedziałem zresztą, że tak będzie.

Był piątek, 28 stycznia, godzina ósma rano.

– Proszę o ciszę. Pobieramy broń – zakomenderował gospodarz, w tamtym miejscu i momencie mój jedyny znajomy.

Podchodzili po kolei do otwartej skrzynki, jak podczas mszy świętej podchodzi się po komunię. Po chwili wszyscy mężczyźni trzymali w rękach steny, rewolwery i empi. Rozległ się zbiorowy zgrzyt przeładowywanej broni, dla wielu najpiękniejsza muzyka. Zapachniało oliwką do konserwacji. Tylko ja i dziewczęta nic nie dostaliśmy. Ale byłem na to przygotowany. Wyznaczono dla mnie zupełnie inną rolę.

– Wychodzimy pojedynczo, ostrożnie. Potem wszyscy na punkty, jak było ustalone – komenderował gospodarz.

Maszerowałem wraz z czterema najlepiej uzbrojonymi konspiratorami w kierunku Alej Ujazdowskich. Niby razem, a jednak osobno. Z racji dzielących nas odległości nie rozmawialiśmy. Widziałem jednak, że wszyscy są niezwykle skupieni. Może już w wyobraźni widzieli tę chwilę, kiedy mierzą do celu, ze spokojem i zimną krwią naciskają spust. Albo ciskają w stronę wroga filipinkę...

– Chyba mamy towarzystwo – usłyszałem w pewnej chwili.

Prosto na naszą piątkę parł patrol złożony z trzech żandarmów. Półksiężycy na ich piersiach odbijały światło styczniowego poranka. To był właśnie ten moment, w którym musiałem odegrać swoją rolę. Oderwałem się od grupy i przyspieszyłem kroku.

To ja byłem jednym z granatów. Od Niemców dzieliło mnie około dwudziestu, dwudziestu pięciu metrów, kiedy sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem zawleczkę. Był nią... paszport, doskonale podrobiony dokument zaprzyjaźnionego z III Rzeszą państwa.

– *Jó reggelt kívánok! Magyar vagyok* – wyrzuciłem z siebie.

Były to jedyne słowa, które zrozumiałby każdy Węgier: powitanie i informacja, że jestem Węgrem. Następne, które wydobyły się z moich ust, były tylko przypominającym język węgierski bełkotem. To właśnie nim zawsze rozśmieszałem do łez kolegów w Batorym i to dzięki tej umiejętności udało mi się wyrwać wtedy z policyjnej obławy w burdelu. Teraz miały sprawić – one, a także paszport, który trzymałem w ręce – że niemieccy żandarmi ujrzą we mnie

zagubionego w Warszawie Madziara. I, co najważniejsze, nie zatrzymają idących na akcję chłopaków. Tak to sobie Władzio wymyślił, a ja się zgodziłem. Może myślałem, że taka historia się nie zdarzy i będę mógł sobie z ukrycia obejrzeć akcję. Ale się zdarzyła.

– *Was?* – fuknął dowódca, kiedy stanąłem przed patrolem.

No to znów uraczyłem ich porcją niedorzeczności, wachlując się podróbką. Żandarm wziął paszport do ręki i zaczął przewracać strony. Kątem oka zobaczyłem, jak czterej zamachowcy spokojnie znikają za rogiem ulicy. Wykonałem swoje zadanie. Tylko co dalej?

Wtedy przyszli mi z pomocą sami Niemcy.

– *Zug? Hauptbanhhof?* – zaczął dopytywać jeden z żandarmów.

Energicznie pokiwałem głową, dodając jeszcze kilka słów, ale żaden z nich nie oznaczał po węgiersku pociągu ani tym bardziej Dworca Głównego, po czym wstrzymałem oddech. Sekundy mijały.

– *Geradeaus.* – Ten sam życzliwy, a jednocześnie przytomny Niemiec wskazał mi Aleje, a potem machnął ręką w lewo. – *Und links.*

Wybełkotałem coś jeszcze w podzięcie, bo jakoś mi nagle ze łba wyleciało, jak jest po węgierski „dziękuję”. No i nie ruszałem się z miejsca.

– *Geradeaus* – powtórzył tamten Niemiec, który miał dziś może dobry dzień, myślami krążył nad swym poletkiem i obejściem gdzieś w środkowej Rzeszy, po czym jeszcze raz pokazał dwa gesty ręką, jakże podobne, a jednocześnie jak inne od tych, które wykonywał na co dzień, oddając honory przełożonym.

Uśmiechnąłem się na znak, że rozumiałem. Dopiero wtedy dowódca oddał mi paszport, wciąż jednak bacznie mi się przyglądał. Widać nie wszyscy byli myślami daleko stąd. Ukłoniłem się i ruszyłem na kolej. W każdej chwili spodziewałem się usłyszeć strzały. Ale nie z broni żandarmów, a naszych. Minuty życia „Kata Warszawy”, bo właśnie na niego zasadzili się chłopcy, były policzone.

Ale nic się nie działo. Doszedłem aż na ten Dworzec Główny, na wypadek, gdyby ktoś się do mnie przyczepił. Może ogarniała mnie

paranoja. Pokręciłem się po głównej hali, wyszedłem na peron, po czym opuściłem budynek bocznym wyjściem. Wróciłem na Jasną i czekałem w swoim pokoju, przy otwartym oknie, co zimą było szaleństwem. Ale tak bardzo chciałem usłyszeć szczekanie karabinów, huk wybuchów, wycie syren. Bo wiedziałem, kto naciska spust i wyciąga zawleczkę. Jednak nie usłyszałem nic poza zwykłym szumem miasta. Stróż zamiatał podwórko ze śnieżnego pyłu, gdzieś za ruinami Filharmonii szczekał pies.

Wtedy w mojej głowie pojawiła się nawet myśl, że ktoś ze mnie po prostu zakpił. Im bardziej o tym myślałem, tym byłem bardziej pewny, że tak się właśnie stało. Nie wiedziałem tylko, dlaczego właśnie ja. Wtedy też po raz kolejny tej wojny znienawidziłem konspirację.

*

– Wyjechał niespodziewanie z miasta, więc nasza akcja została odwołana. – Leżący na pryczy Władek Michalski przewrócił się leniwie na prawy bok; obudził się kilka chwil wcześniej, ponieważ za oknem coś huknęło, a wtedy ja zadałem mu gnębiące mnie od ponad pięciu miesięcy pytanie. – Udało nam się go dopaść dopiero po kilku dniach, pierwszego lutego. Wszystko odbyło się tak, jak zostało zaplanowane.

– Dlaczego mnie nie powiadomiliście, że akcja została przełożona? – zapytałem.

– Nie wiem. Być może dowództwo uznało, że Niemcy dwa razy nie złapią się na ten sam numer z zagubionym w Warszawie Węgrem.

– Ale przecież mogłem się przydać. Robić coś innego.

– Antek, oddychaj nosem. Poza tym jakoś nigdy się nie garnąłeś do wojaczki. Najważniejsze, że wszystko się udało. Dostaniesz swój Krzyż Walecznych.

– Mam gdzieś Krzyż Walecznych.

– No to Virtuti. Najważniejsze, że dowódca SS i policji na dystrykt warszawski zapłacił za wszystko, co zrobił. Za łapanie, uliczne egzekucje, tortury na Szucha. Chociaż gdyby to ode mnie zależało,

powinien umierać długo i w męczarniach. Poczuć na własnej skórze działanie wszystkich narzędzi, którymi posługiwali się jego podwładni.

Doskonale wiedziałem o wszystkim, co tamtego dnia wydarzyło się w Alejach. O egzekucji generała w jego własnym samochodzie, o brawurowej ucieczce naszych, ewakuacji rannych. I o śmierci chłopaków, którzy z mostu Kierbedzia skoczyli do Wisły, też wiedziałem. Czyli nie obyło się bez strat. Kto wie, może skakałbym z nimi? Warszawska ulica opowiadała o tamtych wypadkach przez długi czas. A ja czułem się trochę jak ten aktorzyzna, który brał udział we wszystkich próbach, nawet generalnej kostiumowej, wypruwał z siebie żyły, zdzierał gardło. Ale w ostatniej chwili, na premierowym przedstawieniu, zastąpił go ktoś inny.

Tłumaczenie Władka było jednak całkiem przekonujące: tego samego Węgra w tym samym miejscu szkopy mogły po prostu nie kupić. Kto wie, czy swoją decyzją dowództwo akcji nie uratowało mi życia. Nie było co narzekać.

– Chodź lepiej coś zjeść, bohaterze. – Wstał z pryczy, trafiając bezbłędnie stopami w cholewy stojących na podłodze oficerek.

– Masz rację.

Wyszliśmy na korytarz. Coś się musiało dziać, bo pełen był biegających tam i z powrotem łączników, dziewcząt i chłopców, czasem nawet bardzo małych, ubranych w krótkie spodenki.

– Cholera, chyba się kroi jakaś grubsza awantura – mruknął Szymon-Władek. – Mam nadzieję, że zdążymy jeszcze coś wrzucić na ząb...

Przed garkuchnią stała długa kolejka. Na szczęście zaraz znalazł się ktoś, kto załatwił nam jedzenie bez kolejki. Dla oficera. Nikt nie zaprotestował, załapałem się i ja. Już po chwili przysiedliśmy z Michalskim na jakichś skrzynkach i pałaszowaliśmy zupę. Była gęsta i gorąca. I smaczna, choć zabrakło jednego ważnego składnika: soli.

– Dla oficera. Dla oficera! – rozległ się znów podniesiony głos.

Podniosłem wzrok znad menażki. Ten sam chłopak, który uchronił nas przed staniem w kolejce, niósł kolejne naczynie. Po chwili

ujrzałem szczęściarza, który za chwilę zaspokoi głód. I łyżka wypadła mi z ręki. Był to bowiem osobnik w zbyt dużym mundurze z kołnierzem z malinowymi łapkami, które przed wojną oznaczały przynależność do korpusu wojskowych prawników. Jeden z tych, którzy sądzili mnie na Mokotowie. A o tym, co się wtedy stało, świadczył bandaż na jego głowie.

A zatem przeżył bombardowanie. Przeżył i za chwilę rozpozna we mnie niemieckiego szpiega.

– Dlaczego nie jesz? – zapytał Władek. – Nie smakuje ci?

– Przeciwnie, jest pyszna – mruknąłem.

– Aż tak dobrze tu nie gotują, nie musisz kłamać.

– Da się zjeść – poprawiłem się.

– No to wiostuj, bracie, bo coś czuję, że za chwilę zrobi się w Śródmieściu gorąco.

Przypomniałem sobie, że przed walką jeść się nie powinno z uwagi na ewentualne rany jamy brzusznej, ale nie chciałem dyskutować. Chciałem zniknąć.

– Jem, jem – odpowiedziałem tylko.

Nagle zaczął mi przeszkadzać ten brak soli w zupie.

VI

Nie zdążyliśmy jeszcze porządnie przełknąć, gdy, jak wieszczęt Michalski, rozpętała się burza. Wiele bym dał, żeby to była prawdziwa burza z piorunami, padał deszcz, ale prawdziwy, nie deszcz kul, odłamków i fragmentów gruzu i szkła, z których każdy niósł śmierć, w najlepszym razie mniej lub bardziej ciężkie rany. Przez dłuższą chwilę staliśmy w bramie kamienicy, dokąd zbiegliśmy z garkuchni, i spoglądaliśmy na ulicę. Jakbyśmy rzeczywiście schronili się tylko przed wodą z nieba i czekali, aż osłabnie, przetrze się i będzie można iść dalej.

Nad cywilami usiłowali zapanować ludzie z opaskami na rękach. Na szczęście nikt nie leżał na bruku. Ostrzał trwał, ale pociski czy miny z miotaczy, o których już wiedziałem, że nazywa się je „krowami”, waliły gdzieś dalej. Marne to chyba jednak było pocieszenie, bo i dla niemieckiego celowniczego milimetr w jedną lub drugą.

– Panie poruczniku, rozkaz z dowództwa! – Przed Szymonem wyrósł jak spod ziemi chłopiec w harcerskim mundurze.

Spod przykurzonego daszka rogatywki z szarą przekrzywioną lilijką spoglądały wielkie ufne oczy. Łącznik miał trzynaście, może czternaście lat i spoconą, brudną twarz. Jakby pół dnia spędził, bawiąc się z kolegami w piwnicach i komórkach na węgiel. Odruchowo dotknąłem swojej. Stałem z czoła pot, a potem spojrzałem na zewnętrzną stronę dłoni; widniały na niej ciemne smugi, ale nie miałem pewności.

– Dziękuję. Spocznij. – Michalski odebrał papier, od razu go rozłożył i przebiegł wzrokiem po kilku liniijkach tekstu.

Spoglądałem mu przez ramię, co nie było zbyt grzeczne, ale ciekawość zwyciężyła. Zdążyłem zauważyć, że trzęsą mu się ręce. Nie mogłem jednak odcyfrować hieroglifów wypisanych zapewne ręką jakiegoś wyższego oficera, może nawet generała.

Po chwili Michalski mruknął coś pod nosem, złożył rozkaz i schował

go do kieszonki munduru na lewej piersi. Zauważyłem, że nie zapiął guzika z orzełkiem.

– Mam czekać na odpowiedź? – chciał wiedzieć nastoletni łącznik.

– Nie.

Chłopak wyprężył się, zasalutował, wykonał przepisowe „w tył zwrot” i wybiegł z bramy, od razu znikając nam z oczu.

– Złe wieści? – zapytałem przyjaciela, choć zdradzał go wyraz twarzy.

– Muszę iść – odpowiedział szybko.

– Do Kampinosu?

Na szczęście powiedziałem to niezbyt głośno; ponieważ tłumek wokół nas był coraz gęstszy, co chwila wpadała tu jakaś zagubiona dusza. Przyglądałem się dokładnie i dyskretnie każdemu, mógł tu trafić także znajomy prawnik w stopniu kapitana.

Władek, zamiast odpowiedzieć, spojrział na mnie ze zdziwieniem, a może z wyrzutem. Nie byłem pewien. Zresztą nawet gdyby coś powiedział, to pewnie i tak nic bym nie zdołał usłyszeć. W tej samej chwili trzasnęło bowiem tak, jakby niebo się nad nami rozerwało, a z sufitu bramy, w której staliśmy, posypały się płaty tynku.

– Uważaj na siebie... – rzucił, po czym podążył śladem harcerza, znikając tak samo gwałtownie, zupełnie jakby obaj skoczyli w przepaść.

Tak się zresztą poczułem. Jakbym miał go nigdy więcej nie zobaczyć. Nie miałem pewności, czy aby nie padł zaraz, bo niemieccy artylerzyści wzięli się i do naszego kawałka miasta. I czy nie leży teraz martwy, przysypany gruzami, może kilkanaście kroków stąd...

Ostrzał zakończył się równie szybko, jak się zaczął.

– Chyba dali spokój – powiedział ktoś w głębi bramy.

Ludzie zaczęli opuszczać kryjówki. Kilka osób spotkało się na samym środku ulicy. Nad czymś się pochylali. Dopiero gdy sam wyszedłem z bramy, dostrzegłem, że to rozbita drewniana skrzynka. Gorączkowo chowali coś po kieszeniach. Sekundę później wiedziałem wszystko.

– To są daktyle z magazynów na Stawkach! – zawołała jakaś

kobieta, po czym zaczęła biec w tamtym kierunku.

Wieść o rozbiciu niemieckich magazynów na Stawkach rozeszła się szybko, więc nie był to dla mnie nowy temat. Ludzie opowiadali nie tylko o mundurach i zapasach żywności, które tam znaleziono, ale też o... skrzyniach wypełnionych sztabkami złota. Plotka głosiła, że miano je przeznaczyć dla węgierskich oddziałów, które, liczne i dobrze uzbrojone, stacjonowały pod Warszawą. Żeby się przyłączyli do powstania.

Jeszcze kilka osób rzuciło się bez opamiętania w stronę tej skrzynki z daktylami, którą ktoś upuścił w ferworze ucieczki i która nie wytrzymała upadku. A ja uświadomiłem sobie, że chyba jeszcze nigdy nie próbowałem daktyli. Nawet przed wojną u pana Bajtla, znajomego sklepikarza, któremu często pomagałem przy rozładunku towaru. Miał banany, pomarańcze, cytryny, brazylijską kawę. Ale daktyli jakoś nie pamiętam...

Zostałem w bramie zupełnie sam. Ludzie tutaj najwyraźniej mieli już we krwi zarówno ciągłe chowanie się przed ostrzałem, jak i szybkie powroty do zajęć przerywanych przez niemieckie ataki. W którą stronę iść? Władka nie było. Kapitana, który mógł rozpoznać we mnie niegdysiejszego podsądnego, też nigdzie nie widziałem. No i w moim plecaku niczego nie brakowało...

Ale za wcześnie było na radość.

– Hej, panie – usłyszałem nagle czyjś ostry głos.

Zbliżał się w moją stronę jakiś mężczyzna. Pierwsze, na co zwróciłem uwagę, to jego spodnie. Miał na sobie pumpy. Były wyjątkowo szerokie, co czyniło jego właściciela niskim i wyjątkowo niekształtnym.

– Panie! – powtórzył głośniejszym głosem, bo nie zareagowałem na jego pierwsze wołanie.

– Słucham. – Zacząłem nerwowo poprawiać pasek plecaka na lewym ramieniu, bo zrobił się zbyt ciasny.

Zatrzymał się metr ode mnie i przez chwilę z zaciekawieniem mi się przyglądał, jakby w poszukiwaniu dystynkcji czy czegoś, co kazałoby mu stanąć przede mną w pozycji zasadniczej. Miał na sobie zielony

mundur, a na naramiennikach naszyte krokiewki oznaczające stopień starszego sierżanta. Na głowie nosił czarny beret z orzełkiem, choć tu krokiewka była tylko jedna. Nie miałem jednak czasu zastanawiać się na tym paradoksem, albowiem identyfikacja została zakończona. I przebiegła pomyślnie. Dla niego. Ale dla mnie, niemającego na sobie żadnych belek, podchorążackich wężyków ani tym bardziej gwiazdek – wręcz przeciwnie. Przekonałem się o tym, kiedy wykonał gest ręką i odezwał się w te słowa:

– Pan pozwoli ze mną.

Lodowany dreszcz smagnął mnie po plecach. Mimo że człowiek ten nie sięgnął po broń, bo jej po prostu nie miał.

– Ale o co chodzi? – chciałem wiedzieć.

– Pan się nie boi. Po prostu trzeba pomóc. – Uśmiechnął się.

Poczułem się nieco lepiej, choć wciąż niezbyt pewnie.

– Ja się nie boję – mruknąłem, co oczywiście prawdą nie było, bo przecież miałem pietra, że każą mi nosić i grzebać zabitych ludzi albo, co gorsza, zabitych i spalonych. – Po prostu się spieszę – dodałem jeszcze.

– Każdemu się spieszy – skwitował z powagą.

Podążyłem niechętnie za nieznanym, regulując w końcu przyciasny rzemień plecaka. Ludzie na środku ulicy wybierali z dna skrzynki ostatnie daktyle. Mała, może siedmioletnia dziewczyna rytmicznie poruszała buzią; pewnie miała pełne usta owoców.

*

Przecieliśmy jezdnię. Nad naszymi głowami wiatr niósł gęsty dym, czarny podszyty rudym. Sierżant zakaszał kilka razy, spojrzął w niebo i zaklął pod nosem.

– Z daleka? – zapytał, bo pewnie bagaż, mimo że niewielki, kazał mu widzieć we mnie uciekiniera; niewiele się zresztą mylił, a ja nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu.

– Z Sadyby – skłamałem gładko.

– Jeszcze się trzyma?

Nie byłem do końca pewien, czy chodzi mu o mnie, czy o tę daleką

dzielnicę. Ale postawiłem na to pierwsze.

– Oby. Zostawiłem tam chorą matkę. Na ulicy Okrężnej. Zna pan?

Przytaknął. I na szczęście nie drążył dalej. Ciekawe, kim był wcześniej. Zanim wszystko się zaczęło. Wyglądał mi na jakiegoś majstra z budowy. Albo pracownika gazowni, choć mógł też być zawodowym sierżantem, choćby intendenty. Minąłem go kilka razy na ulicy, tak jak mija się na co dzień dziesiątki, jeśli nie setki przechodniów. A może on zapamiętał mnie, choćby z teatru „Komedia”, i tym śmieiej zaczął? Najważniejsze było, że zacząłem wierzyć, iż ze strony tego człowieka nie czeka mnie nic złego.

Musiałem przerwać te dywagacje, ponieważ weszliśmy w kolejną bramę. Na środku podwórka trzech mężczyzn w różnym wieku szarpało się z jakąś drewnianą skrzynią. Miała może ze dwa metry długości, ponad półtora szerokości i metr wysokości.

– Tylko? – zdziwił się na mój widok jeden z nich.

Ja też się zdziwiłem, bo był w tym towarzystwie najwyższy, najlepiej zbudowany, a zatem pewnie i najsilniejszy.

W odpowiedzi sierżant w zbyt wielkich pumpach splunął pod nogi.

– Następnym razem sam sobie szukaj – prychnął.

Przez dłuższą chwilę staliśmy i gapiliśmy się na tę skrzynię. Co mogło być w środku? Nie miałem bladego pojęcia. Na pewno nie daktyle, skoro nie mogło sobie z nią poradzić czterech dorosłych, zdrowych mężczyzn. Spojrzałem po twarzach dwóch pozostałych. Ciekawe, czy ich też zgodzono do tej pracy tak jak mnie...

– To co, panowie? Próbuje czy opowiadamy sobie kawały? – Sierżant splunął znacząco w dłoń, po czym rozejrzał się po obecnych.

– Spróbujmy – odrzekł ponuro ten najwyższy.

– Pan niech się złapie za tamten koniec. – Znajomy brodą wskazał mi miejsce, które miałem chwycić i unieść.

Skrzynia miała nóżki, niskie co prawda, ale dzięki temu można było wsunąć palce pod spód i rwać. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz dźwigałem cokolwiek ciężkiego. Nawet podczas przeprowadzki Czesia i jego rodziny na Lwowską do przeniesienia mieliśmy zaledwie

kilka tobołków, bo para nie dorobiła się jeszcze niczego. Oczywiście prócz córeczki.

– Na „trzy”! – zawołał ten wielki, ale odliczać zaczął sierżant, co do końca utwierdziło mnie w przekonaniu, że panowie są w dobrej komitywie.

– ...dwa, trzy – stęknął.

Szarpnąłem, na ile starczyło mi sił. Skrzynia jednak nawet nie drgnęła. Coś tam tylko w niej stuknęło, brzęknęło.

– Cholera! – zaklął wielki. – Nawet na palec...

– A co tam jest w środku? – zapytał milczący dotąd cywil, jeden z dwóch.

Był to mężczyzna w średnim w wieku, ubrany bardzo dziwnie: miał na sobie górę od smokingu, a pod nią letnią, kraciatą, rozpiętą niemal po pępek koszulkę. Taki wieczny birbant z „Ziemiańskiej”, który w jeden z nielicznych trzeźwych poranków wyskoczył do sklepu po bułki.

Nikt mu jednak nie odpowiedział. Czekałem na dyrdymały w rodzaju „to tajemnica wojskowa”, względnie „mniej wiesz, krócej będziesz przesłuchiwany”. A tutaj nic! Nie za bardzo mi się to spodobało. Wysunąłem więc palce spod tajemniczej skrzyni i otrzepałem dłonie, jakby robota była skończona. Po czym spojrzałem na tego, przez którego się tutaj znalazłem.

– Mamy chyba prawo wiedzieć, sierżancie – rzekłem z mocą i manierą, którą podpatrzyłem u pana prokuratora na własnym procesie.

Powstańcy wymienili spojrzenia, po czym ten wielki spojrzał na mnie, ale bykiem. Można było stracić kilka centymetrów wzrostu pod takim wzrokiem. A słuchając go, jeszcze kilka. Tylko o tym akurat nie dane mi było się przekonać, a to z powodu pojawienia się nowej osoby. W drzwiach kamienicy stanął jakiś starszy, korpulentny pan.

– I jak, jak? Da radę? – dopytywał, spoglądając to na nas, to na skrzynię.

– Ciężko, panie starosto – powiedział osiłek, oglądając sobie

dłonie, dokładnie ich wierzchnią część, co mogło trochę dziwić, bo to przecież druga strona miała bezpośrednią styczność z nieoheblowaną powierzchnią tajemniczej skrzyni.

Znałem dobrze ten gest. Nie kto inny jak mój ojciec też zawsze wykazywał nagłe zainteresowanie stanem swoich paznokci, kiedy chłop, do którego przyjechał po mięso na handel, chciał za nie za dużo. Chwilę tak milczeli obaj, a tata w tym czasie zauważał jakiś brud, który od razu usuwał. Po czym gospodarz miękkł i schodził z ceny.

– Nawet nie drgnie – wsparł kolegę sierżant w kiepsko dopasowanych pumpach, przesuwając beret ku tyłowi głowy.

Mężczyzna nazwany starostą zamachał rękami w powietrzu. Drobiąc kroki, zaczął krążyć wokół skrzyni i naszej piątki, która wciąż tkwiła na swoich stanowiskach.

– Co ja zrobię, co ja zrobię, rany boskie... – mamrotał rozpaczliwie.

– Może więcej ludzi trza?

To odezwał się ostatni z ekipy, którego jeszcze nie dane mi było usłyszeć. Zresztą może i dobrze, bo z racji sporych ubytków w uzębieniu strasznie sepleniał. I chudy był tak, że wydawało się, że wiadra z wodą by nie dźwignął. Nie wiadomo, z jakich powodów nie siedział teraz na zapiecku w swojej chatce pod Grójcem czy Mińskiem. Pewnie ten duży z sierżantem capnęli go tak jak mnie do pomocy. Na bezrybiu i rak ryba.

I kto wie, może się dumny chłop i obruszył, że każą mu dźwigać nie broń czy amunicję potrzebną do zabijania znieprawionego wroga, co pewnie uczyniłby z ochotą, ale czyjąś prywatną własność, o czym się właśnie przekonałem. Jednak nie miałem zamiaru oponować. Przeciwnie, zaczynało mnie to ciekawić, a nawet... bawić. Zachodziłem w głowę, co też ta ciężka jak diabli skrzynia może kryć. I skąd ją właściwie wywleczono, bo na pierwszy rzut oka nie miała prawa przecisnąć się przez żadne z drzwi, które tu były. A może jeszcze nikt jej stąd nie ruszał? Wypełniono ją, najpewniej po ciemku, a ty teraz kombinuj, człowieku...

– Ludzi mamy dosyć – rzekł półgębkiem osiłek, nie odrywając

wzroku od paznokci. – Tylko może należałoby ich lepiej przekonać.

Pan starosta, a chyba był nim w istocie przed wrześniem, zatrzymał się w pół kroku. Tylko z pozoru sprawiał wrażenie nieporadnego dziadunia. Przez chwilę spoglądał po twarzach sierżanta i jego konfratra. Nas jakoś nie był łaskaw zauważyć.

– Dostaliście pieniądze – warknął.

Spojrzałem znów w stronę sierżanta, jednak ten nie zaszczylił mnie tym samym.

– Nie przeczę. – Ositek rozpiął kieszonkę mundurowej bluzy, która ciasno opinała mu piersi, i wyciągnął z niej paczkę papierosów; nikogo jednak nie poczęstował.

Gdzieś niedaleko rozsierzdził się karabin maszynowy. Starszy pan kilkoma ruchami uporządkował zmierzwione włosy.

– Więcej pieniędzy nie mam... – rzekł.

– Nie muszą być pieniądze. Co komu dzisiaj po młynarkach, drogi panie starosto, kiedy wszystko się pali, a ludzie jedzą własne psy.

– To co mam zrobić?

Ositek postukał w deskę.

– A otworzy pan starosta tę tajemniczą skrzynię ze skarbem Alibaby i czterdziestu rozbójników, podzieli się z nami, to i łatwiej będzie nam dźwigać.

Starzec zakrył usta i nos dłonią, również dla ochrony przed gryzącym dymem, który zaczął się wdzierać na podwórko przez bramę.

– Poczekajcie chwilę... – rzekł, po czym zniknął w drzwiach oficyny.

Ten w górze od smokingu i sepleniący od razu usiedli na ziemi, oparli się plecami o krótszą ścianę nieszczęsnej skrzyni. Ositek, który opierał się o jej drugi koniec, poczęstował sierżanta papierosem, a gdy ten wziął, wyciągnął rękę także w moim kierunku; stałem akurat w połowie długości, jakbym nie potrafił albo nie chciał się zdecydować, z kim trzymam.

– Na. Dla spokojności.

– Nie palę – odpowiedziałem.

Schował paczkę z powrotem. Inni marzyli, by w tym miejscu rychło

znalazły się ordery za dzielność. On i sierżant najwyraźniej mieli zamiar spędzić najbliższy czas zupełnie inaczej. Kto wie, może się już nawojowali ponad miarę, może położyli już trupem tuzin esesmanów, a teraz postanowili zadbać o siebie, bo trafiła się okazja. Albo wybrali tę drogę, bo nie wierzyli w zwycięstwo...

– Chodź pan trochę bliżej – mruknął do mnie sierżant.

Zrobiłem, jak chciałem. Właściwie to sam powinienem podejść do właściciela pumpów i zażądać wyjaśnień w sprawie pieniędzy. Ledwo jednak o tym pomyślałem, mężczyzna poruszył ten dość niezręczny temat.

– Oczywiście, dla pana też mamy dolę – rzekł szeptem, puszczając do mnie oko.

– Przed chwilą pana kolega powiedział: co komu dzisiaj po młynarkach – zauważyłem. – Trudno się z nim nie zgodzić.

– Oczywiście, ma pan całkowitą rację.

– Racją jeszcze nikt się nie najadł, jeśli to nie racja żywności – przypomniałem sobie zasłyszane gdzieś słowa.

– Jeśli stary pęknie i otworzy ten sezam, jest pan również liczony.

– A co tam może być?

– Cholera go wie – wtrącił się osiłek. – Zgarnął nas godzinę temu z barykady, mówiąc, że trzeba jego ranną córkę przenieść do szpitala. Uwierzylimy, bo przecież każdy by uwierzył, co chwila ktoś tu ginie. Wchodzimy, patrzymy, a tu stoi takie nieszczęście. Tylko spojrzałem, już wiedziałem, że nawet w dziesięciu możemy nie dać rady tego ruszyć. Mówię to staremu, a on na to, że za chwilę będzie miał ciężarówkę. Oszalał chyba! Ale dobrze. Zawsze mnie uczyli, żeby wariatom przytakiwać.

– Próbowaliśmy ruszyć to cholerstwo we czterech – podjął sierżant – ale nie dało rady. Wtedy stary wysłał mnie po ludzi. Ale udało mi się przekonać tylko pana.

– Raczej przestraszyć – sprostowałem.

Uśmiechnął się niewinnie.

– Przepraszam – bąknął. – Jakoś wszyscy się mnie boją, a dzieci to już w ogóle. Przed wojną byłem pedłem w szkole w Piasecznie. Może

miętówkę? – Wyciągnął w moim kierunku okrągłe blaszane pudełeczko.

Na to nie wpadłem. Przynajmniej jedna tajemnica została rozwiązana. Nie chciałem mu mówić, że może wystarczyłoby pozbyć się tych koszmarnych portek, które robiły z niego gnoma. A cukierkiem się poczęstowałem. Nie chciałem też pytać, dlaczego nie wrócili na barykadę, gdy się okazało, że zostali, mówiąc delikatnie, wprowadzeni w błąd. Było jasne, że pan starosta usiłował czmychnąć z miasta z całym majątkiem. I kto wie, może naprawdę skombinował gdzieś tę ciężarówkę, która wywiezie go w bezpieczne miejsce. Szabrownicy, którzy dali się nabrać na moją sutannę, już dawno i z radością poderżnęliby panu staroście gardło od ucha do ucha, skrzynię rozwalili w drobny mak, a zawartość rozwlekli jak hieny padlinę. A to oznaczało, że nie rozmawiałem z ludźmi złymi, a tylko z takimi, którzy chwilowo ulegli słabości.

I może dumałbym tak dalej, gdyby w drzwiach oficyny ponownie nie pojawił się starszy pan. Tym razem nie był sam...

*

– Pobrudził się pan. – Wyciągnęła w kierunku mojego czoła rękę, w której trzymała białą chusteczkę obszytą błękitną koronką.

– Nie trzeba...

Zareagowałem jednak za późno, a głowę odsunąłem do tyłu nie na tyle daleko, by ręka tej dziewczyny musnęła powietrze.

– Już po wszystkim – rzekła z uśmiechem.

Zanim schowała chustkę z powrotem do torebki, zauważyłem, że na śnieżnobiałym perkalu został ciemny, tłusty ślad. W warunkach, w których przebywaliśmy od pewnego czasu, dbanie o takie rzeczy jak smużka brudu na skórze było ostatnią rzeczą, o której można było pomyśleć. Choć zdarzały się wyjątki. Na taki wyjątek właśnie w tej chwili patrzyłem.

Teraz najlepiej by było powiedzieć coś mądrego i zabawnego jednocześnie.

– Zawsze słyszałem te słowa po zastrzyku, którego się bałem –

przypomniałem sobie.

– Mnie też się pan boi?

Od odpowiedzi na to pytanie zwolnił mnie mężczyzna w kraciastej czapce na bakier, który stał oparty o ścianę zaledwie metr od nas. Kiedyś taki typek o chwackiej minie i z zapałką w zębach mógł cię zaczepić na Targowej i prosić o pożyczanie dwudziestu groszy. Prośbę motywowałaby dodatkowo jego ręka wsunięta za pazuchę lichej marynary albo do kieszeni portek. Nietrudno było zgadnąć, co w niej trzymał. Jednak dzisiaj nie. Dzisiaj ten człowiek pełni niezwykle ważną i pożyteczną funkcję.

– Przechodzić, ale szybko. – Wskazał ręką czerwony wianek rozbitych cegieł, przez który przed chwilą przedostała się na naszą stronę ostatnia osoba.

Było to kolejne przejście, więc już się nie certowaliśmy, kto ma iść. W normalnych warunkach najpierw przeszłaby kobieta, ale teraz wszystko było postawione na głowie i to mężczyzna parł pierwszy, by w razie czego zasłonić ją sobą. Ale moja towarzyszka i tę nową zasadę zmieniała, oświadczając, że będzie awangardą.

– Już niedaleko... – pocieszyła mnie jeszcze, po czym pochyliła głowę i zniknęła w przebitym w ścianie otworze.

– „Po prostu wzięła cię dziewczyna, a potem jest już z tobą źle...” – zanuciłem bezwiednie stary szlagier.

Zrobiłem to naprawdę cicho, ale mimo to zaraz po tym, jak ruszyłem jej śladem, dogoniło mnie warknięcie człowieka, który kierował ruchem.

– I cisza ma być!

Wykute przejście było krótkie. Po chwili znaleźliśmy się w oświetlonym karbidówkami korytarzu piwnicznym. Był wąski i nadal trzeba było przemieszczać się gęsiego. Nie byliśmy sami, ktoś dreptał za mną. Pytanie dziewczyny, czy jej też się boję, wciąż więc pozostawało bez odpowiedzi. Zresztą nie tylko ono. Nadal nie umiałem odpowiedzieć na jeszcze jedno, może nawet ważniejsze. Mianowicie: co ja właściwie tutaj robię?

*

Opowiadka pana starosty, jakoby jego córka była ciężko ranna i potrzebowała pomocy, okazała się tylko po części nieprawdziwa. To znaczy siwowłósy pan miał córkę. Ale nic jej nie dolegało, prócz tego, że się bała wybuchów. Mało tego! Wyglądała, jakby ją jakimś cudownym sposobem przeniesiono z Nowego Świata sprzed września: dobrze ubrana, ze starannie upiętymi w kok włosami. No i czysta, czego nie można było powiedzieć o łączniczkach czy sanitariuszkach, które mijiałem podczas swojej wędrówki, ani o dziewczynach, dla których najważniejszym celem było ocalenie swych bliskich.

Ale gdyby nawet miała twarz czarną od sadzy, to i tak by mi się podobała. Czasem tak jest jak w tej piosence Fogga, którą sobie przypomniałem. I kiedy wyszła z ojcem na podwórko, wiedziałem, że już nie dotknę tej cholernej skrzyni. Nawet za pieniądze, które starszy pan jednak jakoś zdołał odszukać w mieszkaniu. I że to cholerstwo najpewniej zostanie na tym podwórku, bo przecież żadna polska ciężarówka, a tym bardziej wojskowa, nie miała prawa się tutaj znaleźć!

Gdy starosta zaczął rozdzielać kasę, dziewczyna potoczyła po nas wzrokiem. Jej spojrzenie zatrzymało się na mnie w tym samym momencie, kiedy jej ojciec wcisnął mi do ręki górala. Wtedy odezwała się w mnie natura riksarza, uśpiona od pewnego czasu. Czekala tylko na odpowiedni moment.

„Córka musi się jak najszybciej znaleźć na Złotej. Potrzebny jest dobry przewodnik” – powiedział wtedy pan starosta, przypatrując się po kolei każdemu z naszej piątki.

Ale ona już wybrała. Mnie. Poznałem to po jej spojrzeniu.

„To moje okolice” – powiedziałem, bo tak przecież było.

Dziewczyna wróciła po coś do mieszkania. Umieściłem plecak na swoim miejscu, poprawiłem rzemienie i stanąłem z dala od skrzyni na wypadek, gdyby jednak chcieli mnie jeszcze wykorzystać. Zauważyłem, że podwyżka jakoś tragarzom sił nie dodała. Tylko stękali głośniejsze. Wyglądało na to, że starosta będzie musiał otworzyć

swój sezam. Zanim zrobi to niemiecki pocisk artyleryjski albo bomba.
„Możemy iść” – usłyszałem.

Wróciła. Też miała plecak, ale dużo mniejszy od mojego. Głowę wzorem wiejskich gospodyń obwiązała wzorzystą trójkątną chustą, pantofelki zamieniła na solidne traperki. Reszta pozostała bez zmian.

Opuściliśmy podwórko i ruszyliśmy ulicą. Wtedy po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, co ja właściwie najlepszego wyczyniam? Nie miałem przecież pojęcia, jak się dostać na Żłotą. Kobieta w jakiś sposób poznała jednak moje myśli, a może zdradziła mnie niepewna mina, bo w pewnym momencie trąciła mnie łokciem i powiedziała z zawadiackim uśmiechem:

„Wiem doskonale, jak trafić, bo tam pracuję. Proszę się mnie trzymać. I mówić mi Wera”.

*

– Stój, do cholery! – Tym razem jej dłoń dotknęła nie mojego czoła, ale piersi; właściwie to dostałem całkiem silnego kuksańca.

Zatopiony w myślach, zupełnie nie uważałem, co się wokół mnie dzieje. Dupa ze mnie, a nie przewodnik po podziemiach walczącej Warszawy.

– Co z tobą? – zapytała Wera.

– Nic. Mało spałem – próbowałem się tłumaczyć, trąc oczy.

Przez chwilę jej twarz wykrzywiał grymas złości, ale i to nie było w stanie uszczknąć jej nic z urody. Wręcz przeciwnie: wydała mi się jeszcze bardziej pociągająca. I dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że zwróciła się do mnie per „ty”. Zawsze miałem z tym problem, bo nie byłem pewien, czy obowiązuje to także w drugą stronę. Postanowiłem poczekać i po prostu się nie odzywać.

Staliśmy na końcu kolejnego ogonka.

– To chyba już Aleje Jerozolimskie – powiedziała, zdejmując swój plecak. – Tutaj zawsze trwa to dłużej. No i trzeba iść na czworakach, bo przez cały czas tłuką.

Słowa te nie tyle mnie przeraziły, ile zdziwiły. Bardziej pasowały mi bowiem do kaprała z linii. A może i ona brała udział w powstaniu?

Przecież nie wiedziałem nawet, czym się zajmuje, dokąd właściwie idziemy i co niesie na plecach. Może sidolki. Powiedziała tylko, że pracuje na Złotej, ale to była dość długa ulica. Jeśli jeszcze była i coś tam stało...

– Zastanowiłeś się? – zapytała, zanurzając prawą rękę w plecaku.

– Co? Nad czym? – mruknąłem niezbyt przytomnie.

– Obudź się wreszcie, człowieku – sarknęła Wera, przewracając oczami. – Chodzi mi o odpowiedź na pytanie, czy się mnie boisz.

Zaśmiałem się, ale sztucznie to wyszło, jakoś wymuszenie. Właściwie to, bądźmy szczerzy, drewno. I ona to wiedziała. Dlatego szybko zaspokoiliem jej ciekawość.

– Nie. Skąd! – prychnąłem. – W ogóle co to za głupie pytanie...

– Może i tak. Tak, masz rację. Szkoda życia na głupie pytania. W takim razie zadam ci inne. Czy wiesz, dlaczego to właśnie ciebie wybrałam?

Poczułem, że między koszulą i brezentem plecaka a moimi plecami przeciska się kropla potu. Kto mógł przypuszczać, że do niebezpiecznego marszu przez zasnuite dymem pożarów miasta los dorzuci mi jeszcze taką rozrywkę.

– Nie mam pojęcia – odrzekłem.

– Ja właściwie też nie. Może po prostu chciałam iść z kimś, kogo... znam.

– Przecież się nie znamy.

– Jesteś pewien?

Tak naprawdę to niczego już pewien nie byłem. Takie słowa mogły być zupełnie niewinne, ale mogły też być uwerturą całkiem nieprzyjemnych rzeczy. Choćby szantażu. Mimo że nie biegałem teraz po mieście w mundurze, raczej trudno by było powiedzieć, że jestem przykładnym obywatelem Generalnej Guberni, pokornym Untermenschem. Jak wielu, swoje miałem za uszami. Choćby ten udział we wspomnianym kilka godzin wcześniej w rozmowie z Władkiem ataku na niemieckiego generała, szefa SS. Nie zabiłem go co prawda, a nawet trupa na oczy nie widziałem. Ale palce przecież w tym maczałem.

Niedaleko rozległ się jazgot wystrzałów. Może ruszyło jakieś natarcie, ale nikt spośród ludzi stojących przed nami i za nami nie wiedział, kto naciera na kogo. I czy jeszcze jest po co stać w tej kolejce...

– Dlaczego nic nie mówisz? – zapytała, a gdy nie odpowiedziałem, odezwała się zmienionym, cieplejszym głosem: – Przepraszam, że tak z tobą gram. I że przeszłam na „ty” bez uprzedzenia. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Nie mam – burknąłem. – Raczej wolałbym się dowiedzieć, czy my naprawdę się znamy.

– Tak. Widziałam cię kilka razy w „Komedii”.

W pierwszej chwili omal nie parsknąłem śmiechem. Zdołałem się jednak opanować, bo przed nami grupa kobiet zaczęła głośno i chóralnie odmawiać modlitwę w intencji, żeby nas tutaj wszystkich zaraz nie zasypało. Tumult wystrzałów wyparł nosowy, miarowy pomruk wybuchów.

– Trochę czasu minęło – rzekłem obojętnym tonem, w duchu modliłem się jednak, żeby nie wdawała się w szczegóły, a najlepiej odpuściła.

Zaraz też wszystko zaczęło mi się w głowie układać. Było wielce prawdopodobne, że i pan starosta bywał w teatrzyku o kiepskiej renomie, gdzie na scenie aktorzy kopali się po tyłkach i podstawiali sobie nawzajem nogi, a na widowni publika zrywała boki ze śmiechu, ba!, czasem nawet głośno komentowała to, co się działo w światłach rampy. Składała się bowiem, czego nie mogłem do dziś zapomnieć, a może nie stanie się to nigdy, w znacznej mierze z ludzi prostych, większych lub mniejszych kombinatorów, kurew, czasem też osobników, którzy szybko wzbogacili się dzięki dostawom dla niemieckiego wojska. W taki oto prosty sposób wyjaśniłem sobie obecność Wery na spektaklach w „Komedii”. Z drugiej strony jakoś trudno mi było wyobrazić ją sobie, jak siąka nosem, drapie się po plecach czy komentuje. Zastanawiające było także, że jej ojciec zwijał manele, bo robiło się gorąco, a ona była tutaj ze mną. Jak sama powiedziała, w drodze do pracy.

– Byłeś całkiem niezły – oceniła.

– Każdy by był w takiej roli. – Zaśmiałem się. – Wejść na scenę z tacą, oberwać po ucho, dostać kopniaka, a na koniec się potknąć.

– To też trzeba umieć. Uważam, że nieważne jest, gdzie się gra, ale serce, które się wkłada w to, co się robi.

– Proszę cię...

– Podobno pracowaliście nad czymś bardziej ambitnym.

Zaskoczyły mnie te słowa. Nawet bardzo, bo przecież do premiery nie doszło. Mało tego! Sztuka była w powijakach, kiedy dyrekcja zdecydowała, że nic z tego nie będzie. Zdołałem jednak nad sobą zapanować i zapytałem, markując obojętny ton:

– A skąd ty to właściwie wiesz?

Nie odpowiedziała, ponieważ kobiety w naszym sąsiedztwie modliły się coraz głośniej, a może po prostu było ich więcej. W pewnym momencie któraś zaczęła płakać: najpierw było to ciche łkanie, które po paru chwilach przeszło w spazm. Kilka bab pocieszało nieszczęsną, co osłabiło siłę modlitwy.

– O, chyba się coś wreszcie ruszyło. – Towarzyszka mojej wędrówki wspięła się na palce i spojrzała ponad głowami tłumu przed nami.

Miała rację. Zaczęli puszczać. Modły zamilkły po „módl się za nami grzesznymi...”.

– I pamiętaj, tyłek przy ziemi – zaśmiała się jeszcze Wera.

Zanim doszliśmy do miejsca, w którym zaczynała się przeprawa przez arterię, przebiegająca w wąskim rowie, przystawaliśmy jeszcze dwukrotnie. Żaden z tych postojów nie trwał dłużej niż pięć minut. Kilka razy zerkałem na dziewczynę. Wyglądała na spokojną, skupioną. Bądź co bądź, szła tędy nie pierwszy raz. Tylko wargę zagryzała.

Ale oto i Aleje Jerozolimskie. Moje Aleje! Ileż to razy jeździłem tędy tramwajem. Ileż to razy mknąłem riksą z zachodu na wschód albo ze wschodu na zachód. Mijając wylot Brackiej, zawsze myślałem o domu, który przecież stał kilkaset metrów dalej. Zastanawiałem się, co też w tej chwili mogą porabiać moi najbliżsi. Ile razy zagłębiałem się w ten kamienny wąwóz, przeskakiwałem nitki jezdni i tory

tramwajowe, byle szybciej, bo gdzieś tam czekało i stygło życie. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że kiedyś będę po Alejach pełznął, w dodatku nie będąc pijanym, pewnie zaśmiałbym się głośno.

– Następny. Następny. Głowa nisko, kuper jeszcze się przyda! – nadawali na przemian dwaj rośli powstańcy, którzy kierowali ruchem.

– Cześć – rzuciła do nich Wera, kiedyśmy już wreszcie doszli do „śluzy”.

– Serwus, gwiazda – odpowiedzieli niemal jednocześnie, po czym ten po lewej zapytał: – Masz dziś wieczorem robotę?

– Tak – odpowiedziała. – Zapraszam.

– W takim razie może wpadniemy z bratem.

Słowa te spowodowały, że zgubiłem rytm, co w tak ważnym momencie, jakim było wchodzenie do transzei, mogło być odebrane jako wahanie. Może nawet objaw tchórzostwa. Widząc to, jeden z braciszków pchnął mnie bezceremonialnie w plecy.

– Nie pękaj, chłopie! – zawołał wesoło, po czym powtórzył starą śpiwkę: – Głowa nisko, kuper jeszcze się przyda.

Żeby cię w twój nie kopnął – pomyślałem ze złością.

Znaleźliśmy się w szczelinie i teraz jedyne, co widziałem, to był kuper, ale Wery. Całkiem zresztą zgrabny, co zauważyłem jeszcze na podwórku, kiedy się odwróciła, aby wrócić do mieszkania. Posuwaliśmy się do przodu powoli, ale bez zatrzymywania. Spodziewałem się gwizdzących kul nad głową, jednak panowała cisza, jeśli nie liczyć dalekich odgłosów walk. Wciąż też nie dawało mi spokoju jedno pytanie: dlaczego tamci dwaj nazwali moją towarzyszkę gwiazdą?

*

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Wera.

Rozejrzałem się na boki, a także pod nogi. Zadarłem wysoko głowę, co akurat było zdrowym przyzwyczajeniem każdego warszawiaka w sierpniu czterdziestego czwartego, bo przecież w każdej chwili mógł się pojawić na niebie złowróbnny cień. Rozglądałem się jak ten

chłopek, który pierwszy raz wysiadł na warszawskim Dworcu Głównym, oniemiały z zachwytu prostaczek, który nigdy nie widział drapaczy chmur w rodzaju PAST-y i Prudentialu.

Staliśmy przez kinem „Palladium”, które Niemcy przemianowali na „Helgoland” i zakazali wstępu Polakom, choć nie dotyczyło to działającej w tym miejscu sceny. Wiedziałem, że miała jeszcze gorszą renomę niż moja „Komedia” przy Kredytowej.

– Tutaj pracujesz? – zdziwiłem się.

– Owszem – potwierdziła, po czym zerknęła na zegarek. – Szósta. Mamy jeszcze trochę czasu do rozpoczęcia programu. Wejdiesz?

Ktoś mnie potrącił ramieniem. Złotą w obu kierunkach przemykali bowiem ludzie, zarówno powstańcy, jak i cywile. Nagle bardzo zapragnąłem znaleźć się w zamkniętym pomieszczeniu. Czy bezpiecznym, to już inna sprawa, wszak na własnej skórze się przekonałem, jaką siłę ma rzucona z samolotu bomba.

– Chętnie – odpowiedziałem głucho.

Weszliśmy do środka. Ku mojemu zaskoczeniu kino było pełne ludzi. Taki tłum widziałem w tym miejscu ostatni raz chyba w marcu 1939 roku, kiedy w nowiutkim, bo niespełna od roku działającym lokalu grali melodramat *Trzy serca* według Dołęgi-Mostowicza. Dziś „Palladium” było schronieniem dla wszystkich, którzy musieli uciekać ze swoich domów. Ludzie siedzieli pod ścianami, leżeli na podłodze. Młodzianka sanitariuszka zmieniała opatrunek na głowie jakiegoś mężczyźnie. Małe dziecko płakało. Na szczęście na środku obszernego holu zostawiono wolne miejsce, więc przeszliśmy dalej bez problemów.

– Chyba jeszcze trwa film. – Wera podeszła do drzwi, otworzyła je i zajrzała do środka.

Rzeczywiście, z sali kinowej dobiegła moich uszu jakaś muzyka.

– Zaraz się skończy – stwierdziła.

Znów musiałem mieć dość niewyraźną minę, bo pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Kino działa od pierwszych dni powstania – wyjaśniła. – Na szczęście udało nam się znaleźć kilka całych kopii filmów. Chcesz

obejrzeć? – Wskazała na salę.

– Może później – bąknąłem.

– A kto z nas zaręczy, że jutro będzie...

Zeszliśmy po schodach, by po chwili zatrzymać się przed jakimiś drzwiami.

– Zapraszam do mojego królestwa. – Wera nacisnęła klamkę.

Oto znalazłem się w najprawdziwszej aktorskiej garderobie. Było w niej wszystko, co powinno się znaleźć w takim miejscu: krzesło, szafa, a przede wszystkim toaletka z lustrem otoczonym żarówkami. W rogu pomieszczenia stał nawet miękki fotel obity bordowym pluszem.

– Jesteś aktorką? – zapytałem.

– Aktorkami to są Barszczewska i Smosarska – zachnęła się Wera, by szybko dodać: – Ja tylko recytuję wiersze dla tych ludzi.

– Wiersze? Teraz?

– Owszem. Mickiewicza. I ty mi w tym dzisiaj pomożesz.

Wszystko stało się jasne. Ciekaw byłem tylko, czy o tym, co chce ze mną zrobić, zdecydowała jeszcze na podwórku, czy może przyszło jej to do głowy dopiero podczas drogi. Tak czy inaczej, udało się jej. Nie miałem zamiaru protestować, choć normalne, to pewnie odwróciłbym się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami. A teraz?

– Ale ja nie nauczę się tekstu, Wera... – Spojrzałem bezradnie na swoją omegę, która wskazywała już trzy kwadranse na siódmą wieczorem. – Za mało czasu.

– Nie musisz. Wystarczy, że będziesz pięknie i z uczuciem czytał.

To powiedziawszy, podeszła do niewielkiej etażerki, z której wyciągnęła tomik poezji naszego najważniejszego wieszca. Po chwili wertowałem poźółtkę strony.

– Jeszcze kilka dni temu była za to czapa – zauważyłem.

– Tak jak za większość rzeczy, włącznie z wyglądem – odpowiedziała Wera.

Już się chciałem pochwalić, że coś o tym wiem i nawet w płonącym getcie byłem, ale zmilczałem. Widziała mnie na scenie, ale to było za mało, żebym miał się zdobyć aż na taką szczerość. Zresztą kto wie,

co tam było w tej skrzyni jej ojca. Może srebrne menory albo meble zrabowane z mieszkań małego getta, kiedy je likwidowano?

Dziewczyna zniknęła za parawanem i zaczęła się przebierać. Odwróciłem się dyskretnie i specjalnie zamasyżyłem wertowałem kartki książeczki, udając, że nie interesuje mnie nic poza tym, co przez stu laty napisał zakochany młodzieniec z Nowogródka.

– Co konkretnie miałbym przeczytać? – zapytałem po chwili.

– Nie wiem. Wybierz coś – sapnęła Wera.

– *Śmierć pułkownika?*

Zaśmiała się. Oderwałem wzrok od książki. Znad parawanu wystawały przez chwile nagie ręce Wery.

– Trochę ryzykowny wiersz – oceniła.

– Dlaczego? To przecież o Emilii Plater, bohaterce powstania styczniowego.

– Wiem. Ale padają tam mocne słowa: „pułkownik ich kona”. A pułkownicy zwykle nie giną. Od tego są przecież szeregowcy.

– Rozumiem.

– Chociaż z drugiej strony wiem, że są teraz w Warszawie oddziały, w których starszych oficerów jest więcej niż szeregowych. Tak czy inaczej, będzie lepiej, jeśli poszukasz czegoś innego...

– A ty co wybrałaś?

– Myślałam o *Odzie do młodości*.

Chciałem się zemścić, więc szybko znalazłem na końcu książeczki spis treści, a następnie odszukałem wspomniany przez Werę wiersz. Przebiegłem wzrokiem po wersach.

– „Niech nad martwym wzlecę światem. W rajską dziedzinę ułudy...” – przeczytałem półgłosem. – Rzeczywiście bardzo krzepiące.

Nic nie odpowiedziała. Po chwili usłyszałem stukot obcasów na drewnianej podłodze. Wera wyszła zza parawanu. Miała na sobie długą, białą, jedwabną suknię z głębokim dekoltem i bufiastymi rękawami, zakończonymi koronkami. Na głowie zaś takiegoż koloru lekki kapelusz z szerokim rondem i czerwoną wstążką. Nie ma co, zbaraniałem.

– I jak? – zapytała niewinnie, choć byłem pewien, że zdawała sobie doskonale sprawę z wrażenia, jakie na mnie zrobiła. I jakie robi na słuchaczach.

– Pięknie – oceniłem i zaraz z zakłopotaniem podrapałem się po głowie. – Tylko że ja nie mam stroju, który by pasował do twojej sukni.

– Coś na to poradzimy. – Wera ujęła się pod boki. – Na razie poszukaj kilka ładnych wierszy.

*

Za pięć ósma wieczorem staliśmy za kulisami. Przedstawienie trwało od pół godziny. Rozpoczął je *Mazurek Dąbrowskiego* puszczony z płyty; do muzyki od razu przyłączył się chór. Męskie głosy przeważały nad kobiecymi, a to z tego powodu, że na wieczorny spektakl przybyła wcale liczna grupa powstańców. Być może byli między nimi także owi braciszkwowie, którzy pełnili służbę przy przejściu przez Aleje Jerozolimskie.

Rozwiązaliśmy kwestię stroju. Miałem na sobie własną koszulę, którą mi Wera pięknie odprasowała, a także jakiś dziwny czarny surdut z wyszywanymi żółtą muliną klapami. Cholera wie, kim była postać, który go wcześniej nosiła. O wiele łatwiej było chyba stwierdzić, kim nie była: Cześnikiem z *Zemsty*, Konradem-Gustawem z *Dziadów* ani Kordianem. Jak powiedziałem, w czasie wojny działał w „Palladium” teatrzyk, do którego łaskawie pozwolono przychodzić Polakom. Nie grano tam jednak niczego z klasyki. Ani, jak sądzę, niczego mądrego.

– Masz tremę? – zapytała Wera.

– Skąd! – prychnąłem.

– Bajuj, bajuj.

– Poważnie. Dla mnie to pestka.

Łgałem jak pies. Tak naprawdę trema zżerała mnie po kawałku. Nie przypuszczałem, że po tylu latach przerwy będę miał jeszcze możliwość powrotu na scenę. W dodatku w takich okolicznościach. Na widowni nie siedzieli przecież nuworysze, ale, jak

przypuszczałem, normalni ludzie, którzy zostali zmuszeni do ucieczki z domów. A także bojownicy, dla których dzisiejszy wieczór być może będzie jednym z ostatnich ziemskich wyższych doznań...

Oczywiście nie byłbym sobą, gdybym wcześniej nie zerknął dyskretnie na widownię. Zawsze mnie to jakoś uspokajało, bez względu na to, czy wszystkie miejsca zostały zajęte, czy przeciwnie, świeciły pustkami. To chyba tak jak dowódca, który nie rozpocznie natarcia, jeśli nie pozna pola walki. Póki co trwał „ostrzał” w postaci koncertu fortepianowego. Grano oczywiście tego, którego pomnik już dawno zniknął z Łazienek Królewskich, czyli Chopina. Chociaż nie była to lubiana przeze mnie, żywiotowa *Etiuda Rewolucyjna*.

Muzyka urwała się nieoczekiwanie. A po niej zamiast braw – cisza. Przestraszyłem się, że jakaś zabłąkana kula wpadła do środka i trafiła nieszczęsnego pianistę. Mało to się nasłuchałem przez te dni o ludziach, którzy umierali, jedząc zupę w tanim barze, co to go właściciel w porę nie zamknął. Zajrzałem przez szparę w kulisie. Pianista żył i wstawał właśnie ze stołka, żeby się uklonić. Dopiero po chwili zerwały się oklaski.

– Teraz my. – Wera pociągnęła mnie za rękaw. – Pokaż głębę.

Spojrzałem na nią zdziwiony. Ale ona już miała w ręku tę swoją chustkę obszytą koronkami, która teraz bardzo jej pasowała do stroju, i znów dotykała nią mojego czoła.

– Spociałeś się – mruknęła.

– Nawet nie zauważyłem.

Powoli opuściła rękę, jednak wciąż na mnie patrzyła. Nasze twarze dzieliło może ze dwadzieścia centymetrów. Nie, nie mogłem dłużej czekać. Najwyżej wejść na tę cholerną scenę z czerwonym policzkiem albo śliwką pod okiem. Ruszyłem do ataku. W tym samym momencie Wera obróciła głowę i zrobiła krok do przodu, tak że moje usta trafiły w pluszową kotarę.

– A teraz przed państwem chwila poezji! – zaanonsował z niesłabnącym zapałem niewidzialny konferansjer.

Dołączyłem do dziewczyny i ukloniłem się. Policzki pewnie miałem czerwone, ale nie od uderzenia, czego się obawiałem, ani nie za

sprawą tremy, ale ze wstydu. Może tak samo czuł się w tej samej chwili młodziutki strzelec, któremu nie udało się sięgnąć niemieckiego oficera, choć przecież był jak na dłoni, murowany!

Znów odezwały się oklaski. Pianista zaczął nam cichutko akompaniować.

– „Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy! Młodości! dodaj mi skrzydła!” – zaczęła recytować Wera; знаła ten wiersz na pamięć, mówiła z zamkniętymi oczami.

A ludzie słuchali jak zaczarowani! Młodzi, starzy, kobiety, mężczyźni, dzieci. Ci w mundurach i ci w cywilu. Ktoś by mógł pomyśleć, że może właśnie teraz, kiedy na zewnątrz rozpętało się piekło, kiedy umierają ludzie i płoną całe ulice, potrzebna by im była właśnie durna farsa z grubymi dowcipami. A jednak nie. Potrzebowali frazy Mickiewicza i akordu Chopina...

Drgnąłem, bo publiczność znów zaczęła klaskać.

– Dajesz... – syknęła Wera.

Uniosłem przed sobą jakieś sztywne okładki w półskórku, które znalazłem w garderobie i w których umieściłem tomik poezji. Zacząłem czytać to, co sobie wybrałem i co przećwiczyłem, ze świadomością zarówno delikatności słowa, jak i tego, że gdzieś tam, w kątku kina, być może siedzi starsza osoba, która niedosłyszy.

I znów aplauz. I znów kolej na Werę, która kolejny wiersz zakończyła mocnym akcentem: krzykiem i tupnięciem nogą. Szczególnie to ostatnie na teatralnych deskach zawsze się sprawdzało. Jeszcze dłonie w pięści zacisnęła, aż jej zbieleły knykcie. Spoglądałem na nią z podziwem. Była naprawdę dobra. I pomyśleć, że być może pchnęły ją do tego moje pożalowania godne występy w „Komedii”!

Dureń! – zrugąłem sam siebie w duchu. Przecież to oczywiste, że były inne przyczyny, lepsze spektakle i zdolniejsi aktorzy. Wcześniej wymieniła nazwiska dwóch wielkich gwiazd polskiego kina, które zresztą i ja zawsze podziwiałem.

Ukłoniliśmy się nisko jeszcze raz.

– Dziękuję... – odczytałem z ruchu warg dziewczyny; w kątku jej

lewego oka błysnęła łezka.

– A teraz, drodzy słuchacze, wyświetlimy najnowszą kronikę powstańczą – zapowiedział ten sam głos konferansjera.

Mogliśmy wreszcie wyjść za kulisy.

– Dziękuję za pomoc. – Wera pocałował mnie w policzek.

– To ja dziękuję.

Byliśmy znów sami, do tego uwagę publiczności ściągały najnowsze doniesienia – idealne warunki, by spróbować jeszcze raz. Tym razem miałem przed sobą nie tylko piękną dziewczynę, ale też utalentowaną aktorkę.

– Chodź, popatrzymy – szepnęła Wera; była podekscytowana jak mała dziewczynka, która pierwszy raz przyszła do kina.

Mieliśmy zza kulis dobry widok na ekran, na którym właśnie pokazywano płonące budynki, hitlerowców wychodzących z jakiegoś bunkra z podniesionymi rękami i biało-czerwoną chorągiew łopoczącą na dachu.

Potem ujrzeliśmy jakieś wnętrze. Przy stole siedzieli trzej mężczyźni. Pierwszy z nich był drobnej budowy ciała z czarnym, wąskim wąsikiem, dzięki któremu przypominał fryzjera. Drugi miał na sobie wojskowy mundur sprzed września z dystynkcjami kapitana, na którego kołnierzu przszyto łapki koloru malinowego (na filmowej taśmie był tylko szary) z czarnymi wypustkami. Trzeci zaś ubrany był tylko w białą koszulę, miał czerwoną twarz, a jego czoło szpecił mars. Siedzieli blisko siebie. Ich spojrzenia były utkwione w jednym punkcie. Poniżej, wypisany białymi, nieco krzywymi literami, ukazał się tytuł reportażu: NIEMIECKI SZPIEG PRZED SĄDEM POLOWYM.

A potem kamera pokazała tego szpiega...

– Pocałuj mnie – szepnęła w tym momencie Wera.

VII

Była już ciemna noc, kiedy znalazłem się na podwórzu kina. Siąpił drobny, ciepły deszczyk. Wciągnąłem do płuc potężny haust powietrza, które wyjątkowo nie było przesycone dymem. Zadarłem głowę, wystawiając wciąż rozpaloną twarz na działanie życiodajnej wilgoci. Kiedy poczułem na czole i policzkach pierwsze krople, pomyślałem o Werze. O jej dłoni trzymającej białą chustkę, którą wcześniej troskliwie wytarła mi twarz. Zrobiła to dwa razy. I poczułem niewymowny żal, że być może nigdy już więcej nie zobaczę kobiety, którą niespełna pół godziny wcześniej posiadałem.

Stało się to w jej garderobie, do której czmychnęliśmy zza kulis zaraz po tym, jak się pocałowaliśmy. Na tym miękkim fotelu z bordowego pluszu, który stał w kącie. Dłuższą chwilę mocowałem się z niezliczonymi haftkami jej staromodnej sukni, wyobrażając sobie męki autora recytowanych dziś przez nas wierszy, który w cichym dworku pod Nowogródkiem dobierał się do Maryli Wereszczakówny.

Jednocześnie z obawą zerkałem w stronę drzwi. W każdej chwili ktoś mógł przecież nacisnąć klamkę. Ktoś, kto w recytatorze poezji rozpoznał niebezpiecznego niemieckiego szpiega z powstańczej kroniki filmowej. Obraz był czarno-biały, kopia kiepska, a zbliżenia tylko dwa i krótkie. Ale jednak. Poza tym zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że w tym momencie narażam także tę dziewczynę. Jednak zwierzęcy instynkt był mocniejszy. Nigdy nie wierzyłem w opowieści o ludziach, którzy w obliczu zbliżającego się końca myślą tylko o jednym i rozpinają rozporek. Teraz sam tego doświadczyłem...

Kiedy po wszystkich Wera zasnęła na chwilę, zwinięta w kłębek na fotelu niczym mały kociak, szybko się ubrałem, złapałem plecak i czmychnąłem z garderoby. Kino nie spało, wciąż przecież siedzieli w nim ludzie. Część z nich także na widowni, która na noc stawiała się

jedną wielką salą noclegową. Podejrzywałem, że miejsce to przeznaczone również na kwatery dla walczących. I może gdzieś tam właśnie dyskutowano o obejrzanym filmie.

Nie mogłem zostać w tym miejscu ani chwili dłużej!

Czy naprawdę nikt mnie nie rozpoznał? – zastanawiałem się gorączkowo. Być może było tak, że, owszem, ten czy ów to dostrzegł, pewnie nawet podzielił się tym z osobą siedzącą obok. Ale wytłumaczono to jako przypadkowe podobieństwo. Niepodobna przecież, żeby hitlerowski szpieg recytował polskie poezje.

Pewności jednak nie miałem.

– Stój, kto idzie? – gruchnęło w ciemności.

No właśnie...

– Swój – odpowiedziałem.

Nie byłem pierwszy naiwny i wiedziałem, że takie słowa mogą kosztować dziurę w brzuchu, jeśli miało się pecha trafić na nerwowego wartownika. Ten jednak chyba do takich nie należał, choć też nie miał zamiaru ustąpić. Zaraz bowiem rzucił, trochę ciszej:

– Hasło!

– Nie znam hasła. Jestem aktorem. Przed chwilą miałem tutaj występ... – wydukałem, siląc się na ton lekki, zabarwiony bezradnością.

Trochę musiało potrwać, nim chłopak, którego nie wiadomo właściwie po co postawiono na straży, wszystko sobie w głowie poukładał. Jeszcze musiał zaświecić mi latarką prosto w twarz. Na szczęście miała słabą baterię, więc nie musiałem mrużyć ani zastaniać ręką oczu.

– A, to pan. Poznają. Niech pan przechodzi – powiedział wreszcie i dodał: – Zresztą ja i tak nie mam broni...

Ruszyłem przed siebie, po chwili mijając chłopięcy profil. I jakoś żał mi się zrobiło tego bezbronego człowieka, co pewnie nawet osiemnastu lat jeszcze nie miał. Nagle zapragnąłem, żeby poczuł się ważny, a przynajmniej ważniejszy niż cieć, którym był. Mimo że wciąż liczyłem się z tym, że w każdej chwili ktoś może jednak wyskoczyć za mną z bronią w rękę i okrzykiem „ręce do góry!”, a

może nawet *Hände hoch!*, zatrzymałem się.

– Nie wie pan czasem, jak trafić na Jasną? – zapytałem, udając znów bezradność, żeby młody poczuł się ważny, a przynajmniej ważniejszy niż do tej pory.

– A dokładnie to gdzie? – chciał wiedzieć. – No wie pan, jedna ulica jak... szachownica.

– To znaczy?

– Parzysta nasza, nieparzysta ich, a za pięćdziesiąt metrów odwrotnie.

– Naprzeciwko Filharmonii – sprecyzowałem.

Podrapał się z zakłopotaniem po rozwichrzonej czuprynie. Mimo kiepskiego oświetlenia odniosłem wrażenie, jakby chłopak unikał mojego wzroku. Chyba się domyślałem, dlaczego tak się dzieje. Jednocześnie potwierdzały się moje przypuszczenia, że kamienica Harczyka została zajęta przez wroga.

– Trudno powiedzieć – mruknął w końcu. – Ale ja bym się tam nie pchał, proszę pana.

– A gdybym jednak musiał? Na przykład dostarczyć lekarstwo choremu dziadkowi... – wypaliłem bez namysłu, za to z przyklejonym uśmiechem.

– To trzeba iść najpierw Złotą na zachód.

– W stronę Marszałkowskiej?

– Zgadza się. Tam są nasze posterunki, ale już trochę groźniejsze niż ja. Mogą odstrzelić bez słowa, więc niech pan lepiej uważa.

Chciałem jeszcze zapytać o hasło, które zapewne uratowałoby mi życie, ale skonstatowałem, że pewnie każdy taki posterunek i każda barykada miała swoje. Może nawet zmieniane co parę godzin. Musiała mi wystarczyć ta przepustka wystawiona na Mokotowie. Podziękowałem mu więc za dobre słowo i radę, po czym skierowałem kroki w stronę wyjścia z podwórka. Wtedy dogonił mnie głos młodziutkiego wartownika:

– Fajnie pan recytował wiersze.

– Dziękuję – odpowiedziałem, mile polectany.

– Tego szwabskiego szpiega, co go sądzili, też pan klawo zagrał.

Prawie jak Bodo!

*

Szedłem niemal po omacku. Ulica, którą znałem jak własną kieszeń i którą przemierzyłem w jedną i drugą stronę setki, jeśli nie tysiące razy, zamieniła się w ciemną, obcą i wrogą dolinę. Bynajmniej nie martwą... Przystawałem za każdym razem, kiedy stopą rozgniotłem jakiś kawałek szkła albo potrąciłem cokolwiek, co spowodowało hałas. Zastygałem wówczas w bezruchu niczym zwierzę i wstrzymywałem oddech. Nasłuchiwałem. I coraz bardziej tęskniłem za przytulną garderobą, w której została śpiąca Wera. Jeszcze nie było za późno, żeby do niej wrócić.

A potem niech się dzieje, co chce... – myślałem.

Jednak po chwili udawało mi się otrząsnąć. Brnąłem dalej, gotowy na to, że w każdej chwili mogę usłyszeć szczęk odbezpieczanej broni. W głowie już układałem słowa, które miały mi być w tym ważnym momencie za tarczę. Paradoksalnie – miękkie musiały być, żeby nikomu po tamtej stronie nie przyszło do głowy, że to jakiś Niemiec próbuje się zakraść pod polskie pozycje na rzut granatem.

Kolejny krok. Spod nóg coś czmychnęło z piskiem. Wzdrygnąłem się, bo najpewniej był to szczur, który wybrał się na spacer nocną porą. Ciekawe, jak na nową rzeczywistość zareagowały mieszkające w Warszawie zwierzęta. Psy, które boją się burzy, a ta przecież trwała teraz bez przerwy, koty pozbawione wygodnych legowisk, a nawet myszy i szczury, które piwnicami musiały się teraz dzielić z ludźmi szukającymi schronienia przed bombami. Nie wiedziałem, co dzieje się z naszym białym królikiem Leo. Może zdążył się ukryć przed wrogiem w jakimś ciemnym kącie...

– Dokąd to? – Zatrzymał mnie męski głos, który dobiegł z prawej strony i jakoś z dołu, może z tej kupy gruzu wysokiego na dwa metry; głos ów wydał mi się pozbawiony emocji, stanowczo zbyt łagodny jak na wartownika.

– Na Jasną – odpowiedziałem równie obojętnie.

– Tak po ciemku? – zachichotał ten ktoś.

- A żeby to pierwszy raz! – prychnąłem. – Ale do domu trzeba.
- Tam już nic nie zostało.
- No co pan...
- Codziennie bombardują. Nic już nie zostało...

Zimny dreszcz smagnął mnie przez plecy niczym bicz, na ukos, a serce załomotało o klatkę żeber. I nagle znenawidziłem tego Bogu ducha winnego człowieka. Mimo iż jego twarz wciąż pozostawała ukryta w mroku, oczami wyobraźni zobaczyłem śmiejącą się cwaniacko, poczerwieniałą gębę, ze śliną spienioną w kącikach ust.

- A idź pan w cholerę – warknąłem pod nosem.
- Ty, uważaj, uważaj! – ten ktoś odwzajemnił się błyskawicznie.

Zaraz też usłyszałem stęknienie i chrobot przesuwanego gruzu; facet, najwyraźniej rozeźlony, prawdopodobnie zdecydował się wyleźć ze swojej gawry. Nie zamierzałem jednak dawać mu tej satysfakcji. Ledwo zrobiłem kilka kroków, poczułem uderzenie w plecak i odgłos upadającego kamienia. Wielu na moim miejscu pewnie by zawróciło, ale ja, tak jak nie nauczyłem się palić, tak nigdy nie byłem skory do bitki.

– A idź sobie, idź! – poleciało po chwili śladem kamienia. – Wszystkich wariatów powypuszczali ze szpitala...

– Zamknąłbyś się Oleksiak, do cholery! – usłyszałem inny głos, tym razem kobiecy, schrypnięty, a może zagniewany. – Ludzie chcą spać.

– Sama się zamknij! – odkrzyknął człowiek nazwany Oleksiakiem.

Zwolniłem kroku i obejrzałem się przez ramię. Awanturnik schylał się, pewnie po następny kamień. Byłem już jednak zbyt daleko, żeby zdołał mnie trafić. Usłyszałem stęknienie i byłem pewien, że za chwilę usłyszę też odgłos upadającego kamulca. Tak się stało, ale wcześniej poczułem jednak kolejne uderzenie; na szczęście furia trafił znów w plecak, a dokładnie w krucyfiks, bo coś zadzwoniło.

– O ty...

Może bym i zawrócił, by nauczyć prostaka dobrych manier, gdyby nagle nie zaczęli strzelać. I to całkiem blisko, ku udręce kobiety, której nie spodobała się nasza dysputa, bo chciała spać. Strzelano też flarami, które kąpały całą Złotą w czerwonym świetle.

Przypadłem do muru. Rozpoznałem witrynę sklepu z obuwiem, który przed wojną mieścił się w kamienicy pod dziesiątym, na rogu Marszałkowskiej. Tylko zamiast szyby miała dyktę. Pamiętałem piękne markizy i że krótko po śmierci matki kupowaliśmy tu z ojcem buty na zimę dla nas obu...

Tłukli coraz mocniej, ale niepodobna było ustalić, skąd, kto i dlaczego. Przesunąłem się w stronę drzwi i nacisnąłem klamkę. Nie robiłem sobie wielkich nadziei. Tym większe było moje zdziwienie, gdy drzwi ustąpiły. Szybko wśliznąłem się do środka, po czym dopadłem szpary między deskami w witrynie. Coś stuknęło za moimi plecami. Odwróciłem się. Pod ścianą stało dwóch powstańców w niemieckich panterkach. W rękach trzymali zdobyczne hełmy i empi, marzenie każdego chłopaka od Sadyby po Żoliborz. Jeśli Rosjanie w końcu sforsują Wisłę i znajdą się na jej lewym brzegu, może dojdź do nieporozumień. No bo jak tu odróżnić sprzymierzeńca od wroga, kiedy obaj mają na sobie takie same mundury? I jeszcze nie założą biało-czerwonych opasek. Tak jak ci tutaj...

– Ale łupią, co? – Machnąłem głową w kierunku witryny. – Pewnie sam Hitler na inspekcję przyjechał.

Nie zaśmiali się. Już wiedziałem dlaczego. Obtarłem nos wierzchem dłoni i nie spuszczałem z nich wzroku. Zresztą z wzajemnością.

– *Hände hoch!* – usłyszałem, wcale nie wysilone ani nie łamane.

Puściłem żądanie mimo uszu. Zrobiłem krok w stronę drzwi, ale coś ciężkiego zważyło mi się na głowę i zapanowała wreszcie cisza, o której tak marzyła sąsiadka Oleksiaka.

Wtedy upadłem po raz drugi...

*

Z tym zamachem wysoki sędzie, to ja nie miałem nic wspólnego. Owszem, widziałem sprawców, kiedy wczesnym rankiem dwudziestego ósmego stycznia tego roku zgromadzili się w mieszkaniu na Mokotowskiej. To był piątek, pechowy dzień, w co wielu ludzi wierzy... A zatem widziałem wszystko, jednak nie znałem ani nazwisk tych ludzi, ani nawet pseudonimów. Tylko jednego z

nich, najstarszego, tytułowano pułkownikiem. Czy byłem świadkiem pobierania przez nich broni? Tak. Ale mnie, niech ja skonom, nie dali do ręki pistoletu ani granatu. Nawet takiego domowej roboty!

Dzień, w którym wyznaczono akcję, naprawdę okazał się pechowy, ponieważ niemiecki generał wyjechał z Warszawy i wszystko trzeba było odwołać. O tym, co się wydarzyło po kilku dniach, dowiedziałem się z gazet. Swoje wiedziała też ulica. Nie słyszałem huku wystrzałów z broni zamachowców, za to nie mogłem nie usłyszeć salw plutonów egzekucyjnych, które potem na ulicach miasta dokonały krwawego odwetu...

Czy byłem w dniu zamachu w Szpitalu Przemienienia na Pradze? No tak, nie mogę zaprzeczyć. A co tam robiłem? Niech sobie przypomnę... Już wiem! Przywiozłem kiełbasę. No przecież! Cóż ja mogłem innego robić. Nawet dokładnie pamiętam, co to była za kiełbasa...

*

– Jałowcowa! – Doktor Nowak pociągnął nosem.

– Taką pan zamówił u taty – potwierdziłem, niepewny, o co mu może chodzić. – Jest naprawdę świeża.

– Wszystko się zgadza, panie Antku. Jestem przekonany, że ta kiełbasa jeszcze wczoraj biegła po lesie albo podwórku. – Uśmiechnął się, po czym szybko z powrotem zawinął w papier przyniesiony przeze mnie skarb. – Lepiej nie drażnić lwa – wyjaśnił szeptem, po czym schował zawiniątko do skórzanej teczki, tę zaś zamknął na klucz.

– Mam nadzieję, że będzie panu smakować, doktorze – chciałem zakończyć te ceregiele.

– Oczywiście, że będzie – zachnął się medyk, by nieco ciszej zapytać: – Ile się należy za te luksusy, panie Antku?

– Tak jak się umawialiśmy.

Chwilę później transakcja została dokończona. Zrealizowałem kolejne zamówienie jako goniec, a jednocześnie wiceprezes rodzinnej firmy zajmującej się dożywianiem wiecznie niedożywionej,

okupowanej Warszawy.

Siedzieliśmy w gabinecie doktora. Za oknem prószył śnieg. Luty 1944 roku najwyraźniej miał zamiar pokazać mieszkańcom tej szerokości geograficznej, że nie bez powodu tak się nazywa.

– I jak panu w nowym miejscu? – zapytałem.

– Ujdzie – odparł.

– Spokojniej niż w Tworkach?

Ostatni raz widzieliśmy się właśnie tam, w szpitalu dla nerwowo i psychicznie chorych, do którego dojechałem kolejką WKD wraz z Władkiem Michalskim. Mój przyjaciel-konspirator miał wtedy pewne problemy z emocjami i niezbędne okazały się konsultacje ze specjalistami, a w związku tym kilkudniowa hospitalizacja.

Tamtego dnia, a było to jesienią ubiegłego roku, siedziałem w westybulu szpitala, kiedy pojawił się doktor Nowak. Nie dość, że od razu mnie rozpoznał, gdyż początek naszej znajomości miał miejsce jeszcze przed wojną, to na dodatek doskonale pamiętał, z czym mnie wówczas do niego przywieziono (pracował w szpitalu na Solcu, mnie zaś znaleziono w krzakach nad Wisłą). Był to mianowicie „obrzęk tułowia oraz kończyn dolnych i górnych, złamanie zamknięte lewej ręki, wstrząs mózgu”. Lekarz najpierw wyrecytował jednym tchem pełne „przyjemności” i „subtelności” zdanie, a dopiero potem się ze mną przywitał.

– Owszem, tu jest trochę spokojniej – odparł po dłuższej chwili. – Na pewno bliżej. To ważne, bo już zaczynały mi doskwierać te ciągłe dojazdy pod Pruszków.

– Szczególnie zimą.

– Szczególnie zimą. Poza tym zaczynało się tam robić niebezpiecznie, bo przywozili coraz więcej chłopaków z lasu. Ja nie mam nic przeciwko konspiracji, przecież pan wie. Ale gdyby SS weszło, to nie patrzyliby, kto jest chory naprawdę, kto się dekuje, a kto robi zastrzyki i wynosi baseny z gównem, tylko rozwaliliby równo wszystkich. Tak jak to zrobili w Gostyninie, Kochanówce koło Łodzi, Otwocku czy wielu innych szpitalach. Teraz nie składam wariatów, choć, tak między nami mówiąc, tym, którzy do mnie trafiają,

niewiele chyba brakuje...

– To znaczy?

Nachylił się nisko nad biurkiem, przy którym siedzieliśmy.

– Niedaleko są dworce, Wileński i Wschodni, a na nich bardzo nieprzyjemni bahnschutze – rzekł półgłosem. – Nie dość, że nieprzyjemni, to jeszcze nerwowi. Taki najpierw strzela, a dopiero potem próbuje myśleć. Efekty tej radosnej działalności, a mam tu na myśli zarówno strzelających, jak i postrzelonych, możemy na co dzień oglądać w naszym szpitalu. Czy to naprawdę nie można przejść przez tory w miejscu do tego wyznaczonym, panie Antku? Zgodnie z przepisami?

– Człowiek by chciał, ale nie zawsze może. – Mrugnąłem do niego.

Opadł ciężko na krzesło i westchnął. Ja natomiast spojrzałem na zegarek. Dochodziła pierwsza po południu. To w połączeniu z zapachem kiełbasy, który unosił się w gabinecie doktora Nowaka, kazało mi już powoli myśleć o powrocie na Jasną i jakimś obiedzie.

– Będę leciał, doktorze. – Wstałem z krzesła, które zwykle grzali petenci, od chorych, przez ich rodziny, aż po wspomnianych bahnschutzów, którzy przyjeżdżali do szpitala przy Sierakowskiego bynajmniej nie po to, by zapytać o zdrowie tych, których trafili.

– Jeszcze raz dziękuję za przesyłkę. – Nowak uśmiechnął się, podając mi rękę, która przed laty poskładała mnie do kupy.

– Polecamy się na przyszłość.

Rozległo się pukanie do drzwi. Ten, kto nas niepokoił, zrobił to jednak tylko kurtuazyjnie, bo nacisnął klamkę, nie czekając na pozwolenie. Na progu stała pielęgniarka.

– Doktorze, jest pan potrzebny. Nagła operacja – wyrzuciła z siebie i już jej nie było.

– Pewnie znów przywieźli kogoś z bocznicy – sarknął lekarz.

Zdawałem sobie sprawę, że w takich sytuacjach liczy się każda minuta, i szybko wyskoczyłem na korytarz.

– Widzi pan, panie Antku, taka to moja dola. – Nowak przekręcił klucz w zamku, w gabinecie został wszak jego skarb. – Chodźmy. To po drodze.

Szybkim krokiem i w milczeniu pokonaliśmy szpitalny korytarz. Nowak minę miał groźną, a może tak tylko odznaczało się na jego twarzy skupienie, jakże przecież niezbędne przed rozpoczęciem krojenia człowieka. Tak czy inaczej, wszyscy schodzili nam z drogi. Tak jak ten pacjent w niebieskim szlafroku, chudy chłopina z plastrem na lewym policzku, który wyszedł z sali po lewej i już otwierał usta, żeby o coś zapytać. Cofnął się jednak szybko, jakby na szyi doktora nie wisiał stetoskop, ale granat bez zawlecзки.

Zeszliśmy na pierwsze piętro. Tam, jak przypuszczałem, znajdował się blok operacyjny, gdzie na Nowaka czekał już pacjent. Włożyłem czapkę. W połowie korytarza stało trzech mężczyzn. Mieli na sobie płaszcze, co odróżniało ich od pacjentów, a nad ich głowami unosiły się gęste kłęby tytoniowego dymu. Czułem, że może być z tego niezła chryja. I nie pomyliłem się.

– Co jest, do jasnej cholery! – krzyknął doktor, kiedy dzieliło nas od nich dziesięć, może dwanaście kroków. – Tutaj się nie pali.

Odwrócili się jak na komendę. Na widok ich twarzy omal nie krzyknąłem. Stali przede mną ci sami ludzie, których kilka dni temu uratowałem przed kontrolą żandarmów, ściągając na siebie ich uwagę bełkotem udającym język węgierski...

– Przepraszamy, doktorze – odezwał się jeden z nich, po czym zaczął szybko odbierać od towarzyszy tłące się papierosy, które następnie schował do kieszeni szarego płaszcza w jodełkę. – Tu jest nasz kolega.

– Z raną postrzałową? – zgadywał Nowak.

– Tak. Z postrzałową.

– Pewnie znów biegał jak ten łoś po torach na Wschodnim, co?

Zauważyłem, że wymienili szybkie, porozumiewawcze spojrzenia.

– Zgadza się, doktorze – potwierdził skwapliwie ten od papierosów, które w tej chwili najpewniej wypalały mu trzy piękne dziury w podszewce płaszcza. – Przechodził przez tory w niedozwolonym miejscu.

– Bardzo mu się spieszyło do chorej matki... – wtrącił drugi.

Nie, chyba mnie nie poznali. Od chwili, kiedy widzieliśmy się

ostatni raz, minęło kilka dni, przez które zdążyłem trochę zarosnąć. Instynkt podpowiadał mi, że właśnie tak powinno zostać. Zresztą prawie się nie znaliśmy. Z drugiej strony fakt, że widziałem ich fasujących spluwy ze skrzynki, można by było śmiało porównać z intymną sytuacją damsko-męską. Dlatego głębiej nacisnąłem czapkę na oczy, wsunąłem ręce do kieszeni, co miało znamionować szeroko pojętą obojętność, i cofnąłem się o krok.

Tymczasem z sali, przed którą staliśmy, wystawiła głowę pielęgniarka, która wcześniej wywołała doktora Nowaka z gabinetu.

– O, jest pan już. Zaraz zaczynamy – powiedziała.

Lekarz bez słowa zniknął za drzwiami. Nie pożegnał się ze mną, co w każdej innej sytuacji odebrałbym jako afront. Ale nie teraz. Teraz pragnąłem być naprawdę przezroczysty. I tak chyba było, ponieważ tamci wciąż nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.

– Będzie lepiej, jeśli panowie poczekają na zewnątrz. Kolega jest w najlepszych rękach – powiedziała siostra do chłopaków.

Nie protestowali. Po chwili zostałem sam. Oparłem się o ścianę i przykniąłem oczy.

Już widzę minę Władka, kiedy mu o tym opowiem – pomyślałem. Pewnie nie będzie zbyt szczęśliwy, gdy się dowie, że jeden z ludzi, którzy mieli wykonać wyrok na kacie Warszawy, dał się głupio trafić bahnschutzowi. Jak ten łoś. Nowak miał jednak głowę do trafnych i złośliwych porównań. Znów poczułem znajome ssanie w żołądku, dużo silniejsze niż w gabinecie doktora. Nie musiałem już nawet spoglądać na zegarek. Organizm wiedział najlepiej, czego mu potrzeba. Tylko że tamci najprawdopodobniej czekali przy głównym wejściu od ulicy Sierakowskiego...

– Przepraszam panią, czy jest tutaj jakieś tylne wyjście? – zapytałem przechodzącą akurat korytarzem salową.

Kobiecina otaksowała mnie badawczym spojrzeniem, ja z kolei zatrzymałem wzrok na blaszanych basenach, które niosła. I zaraz z odrazą go odwróciłem, bo coś w nich chlupało. Ale widać przeszedłem pomyślnie tę próbę i, mimo zarostu, który urody raczej nie dodawał, salowa ujrzała we mnie rycerza nowych czasów.

– A jest, jest – zaskrzeczała, a jej prawa ręka z basenem uniosła się niepokojąco przy akompaniamencie bulgotu; zrobiłem krok w tył. – Przez kotłownię pan musisz iść.

– Prosto?

– Prosto i w dół.

– Bardzo dziękuję. Do widzenia – rzuciłem przez ramię.

Nietrudno było trafić. Po chwili poczułem na twarzy chłodny powiew. Nacisnąłem klamkę drzwi, za którymi miałem nadzieję ujrzeć otwartą przestrzeń. I była tam. Ale jako tło. Tło munduru granatowego policjanta...

Jak zapewne wysoki sąd wie, kolorek ten, delikatnie mówiąc, nie cieszył się wśród mieszkańców Warszawy zbyt wielkim szacunkiem. Jednocześnie tych kilka lat okupacyjnej nocy wystarczyło, żeby na widok tegoż nauczyć ich pewnych zachowań. Ważną rolę odgrywał tu układ rąk. Nie było co prawda tak wielu możliwości jak w marynarskim kodzie, zwanym semaforem, ale na warszawski codzienny użytek starczyło.

Najbezpieczniej było trzymać je opuszczone wzdłuż tułowia. Ale gdy kto chciał oszczędzić sobie i panu przodownikowi czasu, od razu je podnosił. Bywało też, że w zatrzymanym do kontroli nagle odzywał się potomek husarzy króla Sobieskiego. Zazwyczaj działo się tak po wypiciu kilku głębszych. Wówczas granatowy widział przed sobą wyciągnięte ręce i zaciśnięte w kułak pięści. I już tylko od niego zależało, czy zdoła ująć ciosom. Najrzadszym, niemal chyba niespotykanym układem rąk osoby, która miała nieprzyjemność stanąć przed policjantem, było szerokie rozłożenie ramion. Taki serdeczny, przyjacielski gest.

Tamtego dnia, 1 lutego 1944 roku, ja taki właśnie gest wykonałem. Pod czarnym lśniącem daszkiem czapki rozpoznałem bowiem znajomą twarz.

– Jarek!

– Antek! – Szkolny kolega rozpoznał mnie również, po czym uściskaliśmy się serdecznie; w duchu błogosławiłem swoją decyzję wyjścia przez kotłownię, bo aż strach było pomyśleć, gdyby do tego

spotkania doszło w głównych drzwiach Szpitala Przemienienia, na oczach tamtych trzech palących papierosy w oczekiwaniu na wieści o stanie zdrowia kumpla.

Nie pomyślałem wtedy, że pojawienie się tutaj Jarosława Lenca i operacja, którą przeprowadzał właśnie doktor Nowak, mogą mieć ze sobą coś wspólnego. Być może moją czujność uspiło to, że stał przede mną znajomy.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał Jarek, przesunąwszy czapkę palcem wskazującym ku tyłowi głowy.

– Wpadłem do znajomego lekarza – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – A ty? Z tego, co pamiętam, ostatnio przenieśli cię do Piotrkowa...

Machnął lekceważąco ręką.

– Zgadza się – rzekł niegłośnie. – Ale wróciłem. Miesiąc temu. Jak to mówią, „lepszy w wolności kęsek lada jaki niżli w niewoli przysmaki”.

– Było aż tak źle?

– Powiedzmy, że tęskniłem za domem. – Chrząknął, po czym przesunął czapkę z powrotem ku przodowi i nacisnął nisko, tak żeby długi daszek utrudniał rozpoznanie jej właściciela. – Dali krokiewkę i jestem teraz starszy przodownik. A tutaj mamy robotę.

No tak, Lenc nie był sam. Na podwórku szpitala, za załomem muru stał drugi granatowy i ćmił papierosa.

– Chodź już, Koźmiński – ponaglił go Jarek.

Tamten zaciągnął się ostatni raz, po czym pstryknął niedopałkiem w stronę śmietnika, gdzie białaty jakieś zużyte bandaże, kawałki rozbitego gipsu i strzępy pościeli. Podszedł do nas i zasalutował leniwie na powitanie. Był to chłop w stopniu posterunkowego, wysoki, z dziobatą twarzą i lekkim zezem zbieżnym.

– Musi być jakaś gorąca sprawa, skoro nie wchodzicie głównym wejściem – zaśmiałem się wymuszenie, po czym zrobiłem krok w bok, bo wciąż stałem w przejściu.

Lenc kazał wchodzić Koźmińskiemu. Gdy podkomendny zniknął w korytarzyku prowadzącym do kotłowni szpitala, nachylił się nad

moim uchem i ściszym głosem ni to zapytał, ni to stwierdził:

– Pewnie słyszałeś, co się dzisiaj wydarzyło w Alejach Ujazdowskich.

– Nie. Jakiś wypadek? Tramwaj obciął girę pijakowi? – błaznowałem niestrudzenie i nie bez przyjemności, chociaż gdzieś w tyle głowy już mi się coś tam kołatało, coś jednocześnie złego i dobrego.

– Stuknęli szefa SS i policji na cały dystrykt.

– Ale tak na amen?

– Na amen. Niemcy dostali szału. Wiadomo, że po stronie zamachowców jest kilku rannych, więc kazali nam sprawdzać wszystkie szpitale. Chyba nie muszę ci mówić, że jeden nasz patrol wszedł po bożemu, czyli głównym wejściem...

Poczułem, jakby mi kto twarz nagle przystawił do rozpalonego pieca. I już wiedziałem, że to nie żadni bahnschutze postrzelili tamtego, ale esesmani z najbliższej obstawy generała.

Nie, nie mogę dać po sobie poznać, że wiem, o co chodzi – postanowiłem.

– Ale tak w biały dzień? I jeszcze w Alejach? – udawałem pierwszego naiwnego, w dodatku, dla bezpieczeństwa, lekko oburzonego.

– Jak widzisz – mruknął przodownik, by dodać półgłosem: – Swoją drogą, należało się tej świni za to, co robił...

Takie słowa w ustach granatowego? Brzmiały niezwykle krzepiąco, nie powiem. Lenc wciąż był Lencem, kilka razy ratował mnie z opresji. Ale nigdy nie wypowiadał się w ten sposób. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy może powinienem złapać Jarka za łokieć, pociągnąć na stronę i powiedzieć o wszystkim, co wiedziałem. Mógłby stanąć pod drzwiami sali, do której po udanej, mejmy nadzieję, operacji trafi ranny. Albo każe to zrobić posterunkowemu Koźmińskiemu, jeśli mu ufa. A wszystko w myśl starej zasady, że pod latarnią najciemniej.

Już otwierałem usta, żeby zacząć, kiedy w drzwiach ponownie pojawił się posterunkowy z dziobatą twarzą i zezem.

– Szefie, chyba coś mamy – rzucił z sapką i przejęciem.

Jarek poprawił pas z wielką kaburą, coś do mnie mruknął, ale go nie rozumiałem zupełnie, po czym podążył śladem podwładnego. Echo korytarza zwielokrotniło tupot dwóch par ciężkich butów...

A ja? Byłem wolny. Miałem wolne ręce. I czyste. Mogłem sobie iść. Na obiad, o którym przypominało mi znów ssanie w żołądku, albo na dziwki. Dokądkolwiek dusza zapragnęła! Doktor Nowak też nie powinien mieć chyba z tego powodu żadnych nieprzyjemności, bo przecież wykonywał tylko swoją pracę. Ratował człowieka, do czego zobowiązywała go złożona w odpowiednim czasie przysięga Hipokratesa, czy jak się to nazywa. Gdyby tego generała tutaj przywieźli, podziurawionego jak przetak, też stanąłby sumiennie przy stole operacyjnym i wziął do ręki lancet. A zatem Nowak również będzie mógł iść, zaraz po tym, jak umyje ręce z krwi tamtego chłopaka. Do domu, aby z dumą pochwalić się kiebasą jałowcową, którą mu sprzedałem. Albo na dziwki. Dokądkolwiek dusza zapragnie...

A może ktoś ich ostrzeże i zdąży wstrzyknąć operowanemu jakiś środek, by potem wmówić policji, że pacjenta nie zdołał uratować? Skoro pracował w Tworkach, gdzie połowa hospitalizowanych to byli zdrowi na umyśle konspiratorzy... A może właśnie dlatego się stamtąd przeniósł, by nie musieć już ryzykować.

Przeciąłem podwórko.

– Nie uratujesz go. Nic nie zrobisz – przemawiałem sam do siebie, zaciskając do bólu w pięści dłońie ukryte w kieszeniach płaszcza.

A jeśli to Władek?! – zmroziła mnie myśl nagła niczym strzał w ciemności, choć zamiast huku rozległ się trzask zmiażdżonego pod podeszwą kawałka żużlu.

Przecież nie miałem pojęcia, kim jest ranny. Michalski co prawda nie wybierał się z nami na akcję wtedy, pod koniec stycznia, a przynajmniej ja nie spotkałem go tamtego ranka w punkcie zbornym. Ale to przecież nie oznaczało, że nie było go w Alejach Ujazdowskich dzisiaj. Mało tego: powinien się tam dzisiaj znaleźć! To on powinien osobiście wykończyć zbrodniarza serią ze swojego

stena.

Nogi same zaniósł mnie na ulicę Sierakowskiego. Jakiś pies grzebał w śmietniku, gdzie białaty zużyte opatrunki. Kto wie, może miał nadzieję dokopać się do amputowanej, jeszcze ciepłej ludzkiej kończyny. Śnieg przestał padać, było szaro i mglisto. Praga żyła swoim codziennym, leniwym życiem...

Był wysoki sąd kiedyś na warszawskiej Pradze? Wysoki sędzie?

O, przepraszam, to ty, Jarek... To znaczy, chciałem powiedzieć, panie przodowniku. Naprawdę myślałem, że to sędzia...

Wpadłem tutaj tylko po to, aby dostarczyć klientowi towar. Naprawdę! Wiem, że to nielegalne, ale bądźmy ludźmi. Już nie patrz tak na mnie...

Ale dlaczego odpiąłeś kaburę? Hej, daj spokój, do cholery!

Przecież jesteście kolegami...!

*

– Jarek!

– Nie. Tylko Heniek...

Zamrugałem powiekami. Obraz się uspokoił, taśma filmowa wróciła na swoje miejsce. Na tle nikłego światła karbidówki rysował się charakterystyczny cień policyjnej czapki. Inne światło odbijał blaszany orzełek. Był mały, dużo mniejszy od wojskowego, a warszawska ulica się śmiała, że to ze wstydu tak się skurczył.

Wiedziałem już, że człowiek, który się nade mną pochylał, to nie Lenc. Na szczęście. A może wręcz przeciwnie...

– Słyszysz mnie pan? – zapytał szeptem.

Rozejrzałem się na boki w nadziei, że ostatni obraz przed utratą świadomości był jednak omamem. Ale nie był – dwaj Niemcy stali wciąż pod ścianą, bynajmniej nie z podniesionymi rękami. Jeden był niemal głowę niższy od drugiego. Żaden nie patrzył w moją stronę.

Co w takim razie interesowało ich bardziej od Polaka, co to nieopatrznie otworzył drzwi, których nie powinien był otwierać, w dodatku nie usłuchał rozkazu i trzeba mu było dać w łeb? To proste: sytuacja na ulicy. Nie wiedziałem, ile czasu minęło od chwili, kiedy

się tutaj znalazłem, ale na Złotej jak rzucali grochem o podłogę, tak rzucali.

– *Scheise* – zaklął jeden z nich.

Na stole, w otoczeniu otwartych konserw, stał krucyfiks Czesia Bielawnego. Pewnie już go pogryźli, żeby sprawdzić, czy ze szlachetnego kruszcu odlany. Obok leżał mój plecak zmięty jak ściera.

– Może pan wstać? – zapytał mnie granatowy.

– Mogę. Tylko nie wiem, czy... wypada – odrzekłem, ponieważ jeden z Niemców, tych których wziąłem za powstańców, wciąż celował we mnie lufę swego empi, a tłusty paluch pewnie utulał cyngiel.

– Wypada, wypada – odpowiedział granatowy. – Tylko proszę nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów...

Nijak mi nie pasowały te słowa do osobnika, który na co dzień niestrudzenie, za trzydzieści srebrników, które u nas nazywały się młynarkami, lżył bliźniego swego. W najlepszym razie, bo mógł przecież użyć mocniejszych środków przekazu w postaci pałki, kajdanek, czubka czy obcasa buta. Pistoletu. Albo po prostu wykręcić numer na gestapo, a tam już wiedzieli, co robić...

– Gdzie ja właściwie jestem? – zapytałem z głupia frant.

– W sklepie z butami – odpowiedział z roztargnieniem.

Zaraz się przekonałem, co jest przyczyną tej nagłej utraty uwagi, a właściwie to jej zawłaszczenia przez kogoś innego: do pomieszczenia, które kiedyś było główną salą handlową, weszło dwóch kolejnych Niemców. Bez trudu rozpoznałem mundury lotników; często spotykało się takich na ulicach Warszawy i w knajpach. Srogo mógł się pomylić ten, kto myślał, że jak latają, to są łagodniejsi niż ci na ziemi. Często to właśnie z lotnikami dochodziło do awantur, kiedy jakiś nastolatek próbował zwędzić któremuś pistolet, licząc na to, że taki to na pewno jest mocny tylko za sterami swojego messerschmitta.

Jeden z nich coś zagadał po niemiecku, a granatowy od razu mu odpowiedział. Nie rozumiałem, co mówili, ale najpewniej chodziło o

mnie. Za lotnikami kulał jeszcze jeden człowiek, który ubrany był w inny mundur. Nie byłem pewien, ale chyba był to strażnik bankowy.

– Niezła ekipa, co? – zaśmiał się policjant.

Nic nie powiedziałem. Prowokatorzy różnej maści nigdy nie mieli ze mną łatwo.

– Brakuje tylko matrosa z U-Boota – mruknął niezrażony moim nikiem milczeniem, by zaraz dodać, ale już z poważniejszą miną: – Najgorsze jest to, że nie wiadomo, którzy z nich to naprawdę Wehrmacht i Luftwaffe, a którzy to esesmani...

No to stąpasz po kruchym lodzie, brachu – pomyślałem.

– Nie rozumiem – powiedziałem.

– Kiedy wybuchła awantura, niektórzy zaczęli gorączkowo szukać dla siebie innych mundurów. Wiedzieli, że kiedy wpadną w nasze ręce, nie będzie litości.

– W nasze?

Teraz to on zmilczał. Może nie dosłyszał, bo wokół nas zatrząsły się mury.

– Siedzimy tu już od dwóch dni – podjął po chwili, kiedy się uspokoiło. – Lada chwila skończy się jedzenie.

Przerwał, ponieważ tamci przy drzwiach zaczęli coś szemrać między sobą. Zrozumiałem jednak tylko wcześniejsze słowo, czyli dobrze znane *Scheise*.

– Na szczęście jest woda, bo nałapaliśmy do wiader – dokończył, a ja wyczułem w tych słowach ucznia szkoły powszechnej, którego rozpiera duma z powodu zrobienia jakiegoś dobrego uczynku.

Od ludzi, którzy mieli szczęście wrócić w jednym kawałku z Pawiaka, słyszałem, że takie gadanie o banalnych rzeczach ponoć pozwala przeżyć pod celą. Nie zwariować. A to gołąb przysiadł na parapecie, a to na ulicy przy areście samochód omal nie rozjechał psa. Deszcz zaczął padać. W tym przypadku pomyślałem jednak, że właściwie guzik mnie to wszystko obchodzi. Niech sobie zdychają szkopy i ten ich sprzedawczyk z nimi. Heniek, a może raczej Heinrich! Za pięć lat naszej udręki. Bez kilkunastu dni. Jednak szanse na to, że stanie się to szybko i dane mi będzie wszystkich ich przeżyć,

zbliżały się ku zeru. Nawet w śmiertelnej gorączce, wydając ostatnie tchnienie, któryś z nich może przecież zmienić kąt spustu. Jeśli już nie w myśl tego, co im wkładali szuflą do głów, doktryny o rasie panów i Untermenschach, to na pewno z czystej zazdrości...

– *Ruhe!* – syknął któryś.

Spojrzałem w kierunku witryny sklepu. Przez szpary pomiędzy kawałkami dykty, którą ją obito, widać było przemykające cienie. Kanonada jakby przycichła. Może ukryci tu żołnierze z kilku wrogich formacji czekali, niczym pająki, aż w sieć wpadnie ktoś następny. Z jednej strony byłoby mi trochę raźniej, z drugiej – uchowaj Boże. Chyba że wbiegliby tutaj chłopcy z rozpylaczami, a wtedy należałoby paść plackiem na ziemię. To chyba wiedział każdy w miarę przytomny i obyty w tym mieście człowiek. Niezależnie od tego, czy liznął cokolwiek z wojskówki, czy nie.

W tym momencie przypominałem sobie pierwsze kadry z kroniki filmowej, którą zza kulisy oglądałem w „Palladium”. Te z hitlerowcami w podartych, osmolonych mundurach, którzy wychodzili z jakiejś nory z podniesionymi rękami i otwartymi ze zdumienia gębami. Piękny był to widok, szczególnie po tylu latach.

Jednak ci tutaj bynajmniej nie wyglądali na takich, którzy za chwilę wyjdą na ulicę z białą szmatą na kiju od szczotki. A to oznaczało walkę. Gdybym przeżył ewentualny atak, rozważałem, to ktoś, kto oglądał tę kronikę do końca, a w dodatku, w przeciwieństwie do tamtego młodego wartownika bez broni, potrafił odróżnić dokument od fabuły i fikcji, wiedziałby, kim jestem i co tutaj robiłem. I pewnie zaraz leżałbym obok tej zbieraniny.

Jakkolwiek się obrócił, dupa z tyłu – pomyślałem.

*

Cienie po drugiej stronie zniknęły, a ostrzał ustał. Jeden z Niemców zdjął hełm. Zaczął szeptem rozmawiać z drugim, popatrując w moim kierunku. Strażnik bankowy podwinął nogawkę portek i jakby nigdy nic zaczął masować blade goleń. Oł, przerwa w walce, popas, czas wolny. Pewnie, że lepiej by było spędzić go w towarzystwie swoich,

posłuchać tęsknego *O mój rozmarynie*. Ale i za *Lili Marleen* też bym się pewnie nie pogniewał. Wiadomo było jednak, że żadnych śpiewów nie będzie, bo przecież znajdowaliśmy się na terenie kontrolowanym przez naszych.

I nie wiem, czy właśnie ta świadomość, że być może za ścianą, na Złotej, siedzą ludzie żądni zemsty, czy też fakt, że strażnik bankowy zsuł w pewnej chwili but, a w dodatku skarpetkę i zaczął ją strzepywać, mamrocząc coś pod nosem – spowodował, że się przelało. Po prostu nie zapanowałem nad sobą. Język wziął górę nad umysłem.

– Co chcecie ze mną zrobić?! – wyrzuciłem z siebie, a zrobiłem to na tyle głośno, by nie tylko ściągnąć uwagę wszystkich ukrywających się w sklepie, ale i pewnie również tych, którzy staliby pod drzwiami.

No i napytałem sobie biedy.

– *Was?* – szczechnął jeden z tych z Wehrmachtu, ten niższy, po czym szybkim, niezdarnym krokiem, który nie miał nic wspólnego z butnym przytupem podczas defilad, zaczął się zbliżać w moim kierunku.

Okrągła czarna czeluść wylotu lufy automatu w rękach tego człowieka zdawała się na moich oczach zwiększać swoją średnicę...

– *Übersetzen!* – Niemiec spojrzał na granatowego, żeby przetłumaczył moje słowa.

Dopiero teraz zauważyłem zarost ciemniejszy na twarzy wroga wespół z brudem, bo przecież wody nałapali jedynie do picia. Spoglądały na mnie błyszczące, złe oczy. Policjant o imieniu Heniek coś odpowiedział. Może był to wierny przekład moich słów, którego od niego zażądano, a może coś zupełnie innego. Choćby wytłumaczenie, że właściwie niczego ważnego nie mówiłem. Bo i tak było. Mało to razy podobne pytania padały w „tramwaju” na Szucha czy celach Pawiaka albo Daniłowiczowskiej? Zawsze puszczano je mimo uszu.

Jednak okazało się, że tym razem *Untermensch* doczeka się odpowiedzi.

– Oni chcą, żebyś się skontaktował z dowództwem powstania –

powiedział w pewnej chwili mój tłumacz.

– Co takiego?! – parsknąłem.

Granatowy przeciągnął ręką po zmęczonej twarzy. Ech, o ileż trudniejsze to było niż kierowanie ruchem na skrzyżowaniu śródmiejskich ulic czy rozbijanie bimbrowni.

– Oni myślą, że jesteś księdzem, powstańczym kapelanem – ciągnął po chwili.

No to wszystko było jasne. Wciąż zbierałem żniwo jednej decyzji, którą podjąłem w opuszczonym mieszkaniu Bielawnego i która wydawała mi się ze wszech miar słuszna.

– To dlatego wciąż żyję... – mruknąłem.

– Chyba tak. Myślą, że ciebie dowództwo posłucha.

– Ty też tak uważasz?

– *Übersetzen!* – Niemiec uderzył granatowego w plecy lufą automatu.

Ten najpewniej wiedział dobrze, że jestem blagierem, chociaż z drugiej strony byłoby to na pewno trudne do wykrycia. A już na pewno przez Niemców, którzy do naszych kościołów raczej nie zachodzili.

– Czego chcą? – zapytałem.

– Wyjść stąd bezpiecznie. Z bronią. A potem opuścić miasto – odpowiedział, a zaraz potem skwapliwie przełożył na niemiecki wypowiedziane przez nas zdania stojącemu nad nim żołnierzowi.

Czyli jednak to miało jakiś sens – przeszło mi przez myśl.

– Po tym wszystkim, co z nami robili, mielibyśmy teraz puścić ich wolno... – Zawiesiłem znacząco głos.

– To tylko żołnierze.

– Żołnierze też strzelali w ulicznych egzekucjach.

Uświadomiłem sobie, że od kilku chwil Heniek nie przekłada na niemiecki naszej rozmowy, a tamci się tego nie domagają. Chyba powinienem mu za to podziękować.

– Nie wiem tylko, w jaki sposób miałbym to zrobić. – Podrapałem się po głowie, choć oczami wyobraźni już widziałem, jak zaraz za drzwiami uskakuję w bok, daję nura między ruiny i wymykam się z

matni.

Przez twarz policjanta przemknął blady, ale jednak uśmiech.

– Mamy telefon – powiedział, po czym spojrzął na Niemca, jakby w oczekiwaniu na pochwałę. – Zadzwonisz do swoich i powiesz, jaka jest sytuacja.

– Żartujesz?

– Nie. Godzinę temu działał...

Aż się za głowę złapałem. To oznaka zdziwienia, że jeszcze sieć telefoniczna w Warszawie funkcjonuje, tak jak powinna. Skoro rzut kamieniem stąd normalnie pracowało kino i teatr, tamtejsze kable elektryczne były całe, to i te od telefonów również mogły. Chodziło o to, że po raz drugi w ciągu krótkiego czasu ktoś żąda ode mnie rzeczy, o której kilka dni wcześniej nawet bym nie pomyślał. A gdybym to zrobił, to pewnie zaraz odegnałbym tę myśl. Ze zwykłego strachu.

Ale to się działo naprawdę! Podczas gdy inni strzelali do szkopów, z czego kto tam miał, rzucali w ich kierunku sidolki, filipinki, wykonane przez siebie butelki z benzyną, a jeśli tego nie stało, to i bezsilne przekleństwa – ja po raz drugi miałem zagrać rolę pośrednika. Negocjatora, a może kupczyka. Jak zwał, tak zwał – pewne było jedno: znów oszukiwałem. Niewinnie, w dobrej wierze, ale rzecz trzeba było nazwać po imieniu. Mogłem sobie również tłumaczyć, że to tylko kolejna rola, zadanie aktorskie. Podobne do tego, które wykonałem na prośbę Wery.

Nie wiem, czy wywnioskowali po moim wyrazie twarzy, że się da, czy też zrozumieli naszą rozmowę z granatowym, w każdym razie już zmierzał w naszym kierunku strażnik bankowy. Miał na nogach oba buty, a w rękach niósł stary, być może pamiętający jeszcze poprzednią wojnę aparat telefoniczny. Wyglądał niczym służący, który z uroczystą miną niesie swojemu panu aparat.

– *Telefonieren!* – warknął Niemiec.

Widziałem teraz wszystkich. Spojrzenia tych dwóch, lotników i strażnika bankowego, wśród których być może byli esesmani, i granatowego policjanta utkwione były we mnie. Powoli

wyciągnąłem rękę i podniosłem słuchawkę z widełek. Przyłożyłem ucho do mniejszego sitka, w nadziei, że nie usłyszę sygnału.

Ale był. W dodatku tak głośny, że na pewno słyszeli go stojący najbliżej.

– Działa – ogłosiłem nie wiadomo czemu. – *Fertig.*

– *Telefonieren!*

Zacząłem powoli wykręcać numer. Był tylko jeden, który w tej chwili pamiętałem. Jeśli w moim mieszkaniu odezwie się ktoś po niemiecku, oddam słuchawkę najstarszemu stopniem. Wszystko będzie jasne: powstańczy sztab został zdobyty i niech sobie o tym do woli szprechają, niech się śmieją, jakby siedzieli nad kuflem bawarskiego piwa.

Ostatni ruch tarczą. Pewnie starali się zapamiętać kolejne cyfry, szczególnie ten cerber z Banku Rzeszy. Mocniej przycisnąłem słuchawkę do ucha. Kiedy usłyszałem pierwszy dłuższy sygnał, wstrzymałem oddech. Za chwilę wszystko będzie jasne...

Wtem coś stuknęło. Chyba o drzwi sklepu. Niemcy jak na komendę podnieśli broń, wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Jeden z lotników zaczął się skradać w stronę wyjścia i źródła hałasu. Jeszcze mocniej ścisnąłem słuchawkę, w której właśnie wybrzmiał trzeci sygnał.

– Nic z tego... – powiedziałem do siebie, choć mógł to również usłyszeć granatowy.

Znów coś stuknęło, tyle że głośniej. Ktoś najwyraźniej dobierał się do drzwi sklepu. Powstańcy? A może szabrownicy?

– Johann, *komm* – powiedział szeptem do jednego z lotników wyższy z wehrmachtowców.

Wezwany zrobił krok w jego kierunku. W tym samym momencie ujrzałem toczący się po podłodze granat. Ktoś wrzucił go przez uchylone drzwi, lecz nie te wejściowe, na które wszyscy się gapili i które wciąż pozostawały zamknięte, ale od zaplecza. Tak, to były nasz, polski, powstańczy głos w negocjacjach. Nasze warunki ich kapitulacji. Już nie byłem do niczego potrzebny. Moja rola zakończona. Oklasków ani orderu nie będzie. Wyjątkowo fałszywie,

wręcz rozpaczliwie wybrzmiał kolejny sygnał w słuchawce. Nie wypuszczając jej jednak z rąk i nie spuszczać wzroku z granatu, który zatrzymał się dokładnie na środku sklepu, wykonałem przepisowe „padnij”.

– *Mein Gott...!*

Huk wybuchu zdusił wołanie do tego, którego imię z taką dumą nosili na klamrach pasów. Tych samych, za które zatykali granaty, by je później wrzucić do dołów wypełnionych żywymi ludźmi. Miałem wrażenie, że wszystko, co znajdowało się wewnątrz pomieszczenia, pęka na drobne kawałki: ściany i meble, podłoga i sufit. Pękały z obrzydliwym chrzęstem i chlupotem ciała rażone odłamkami i palone ogniem. A potem nastąpiła nagła, głucha i przerażająca cisza. Nie zakłócił jej ani jeden jęk, ani nawet jedno najcichsze słowo skargi. Pył bezszelestnie kładł się na ciałach zabitych.

W pewnej chwili coś jednak zakłóciło tę niepodobną do niczego innego śmiertelną ciszę. Był to głos. Dziwny, zduszony, jakby dochodził z innego świata. Jakby dusza jednego z zabitych właśnie Niemców wołała z najniższych kręgów piekła.

– Halo! Halo!

Usiłując złapać oddech, wyciągnąłem rękę spod blatu stołu, który przykrywał mnie niczym pancierz. Po chwili palce trafiły na znajomy kształt. Podciągnąłem rękę z powrotem.

– Halo! – usłyszałem ten sam głos. – Jest tam kto?

Trzy ostatnie słowa sprawiły, że zachciało mi się znów żyć. W moim mieszkaniu był Polak!

– Tata? – Zakaszlałem w słuchawkę.

– Nie. Moje nazwisko Michniewicz.

– Co?!

– Pan Antek? Zaraz poproszę pana ojca, proszę chwilę poczekać...

Wtedy coś spadło mi na kark i potylicę. Coś jak wielka kula śnieżna. Poczułem, jakby tysiąc kryształków rozsypało mi się po głowie i plecach.

– Antek? To ty, synku? – zabrzmiał w słuchawce znajomy głos.

Teraz już nie tylko gęsty pył, ale i rzewność nie pozwalała mi

wydobyć z siebie słowa. Zdołałem tylko wykrztusić, że to ja. Potem mówił już tylko on, a jak czułem, jakby z każdym słowem coś bardziej wciskało mnie w podłogę.

– Antek, posłuchaj mnie. Jestem na Jasnej, ale muszę zaraz wyjść. Stała się zła rzecz. Ci bandyci, którzy mnie kiedyś pobili na szlaku, pamiętasz... Potem ich dopadliśmy, zabraliśmy fanty i zostawiliśmy gołych w lesie pod Czachówkiem. Oni się teraz odezwali. Mają Alinę i Leszka. Grożą, że ich zabiją. Muszę iść...

Intermezzo

Ostatnie promienie słońca oblewały pomarańczowym światłem najwyższe piętra wieżowców Chomiczówki i Bemowa, kiedy starszy mężczyzna wstał powoli z fotela z powycieranymi podłokietnikami i podszedł do okna. Otworzył je i wciągnął do płuc haust sierpniowego wieczornego powietrza.

– Od świętej Anki zimne wieczory i ranki – mruknął. – Znacie takie przysłowie, młodzi przyjaciele?

Dwoje nastolatków wciąż siedziało bez ruchu. O tym, że to żyjące istoty, świadczyły jedynie opadające co chwila powieki i lekko unoszące się zielone harcerskie chusty.

– Może napijecie się herbaty? – zapytał mężczyzna.

Na te słowa dziewczyna poderwała się z krzesła.

– Pomogę panu.

Po kilku minutach byli z powrotem. Harcerka o imieniu Karolina niosła w rękach tacę z trzema filiżankami.

– Niestety, nie zdążyłem niczego kupić do herbaty – usprawiedliwiał się gospodarz.

Młodzi coraz popatrywali na mężczyznę, prawdopodobnie czekali na dalszy ciąg opowieści. Jednak starszy pan zdawał się pochłonięty bez reszty piciem naparu.

W pewnej chwili harcerz spojrział na zegarek.

– O kurczę! – mruknął. – Nie wiedziałem, że jest już tak późno.

– Rodzice się będą martwić? – zaniepokoił się starszy pan.

– Chyba nie. Wiedzą, że jest rocznica wybuchu powstania i mogę być w tej chwili w wielu miejscach. Na przykład w muzeum albo na Powązkach. Wieczorem na placu Piłsudskiego będzie jakiś koncert. Ale mogę do nich zadzwonić. – Sięgnął do kieszeni, skąd wydobył telefon.

– Rób tak, żeby było dobrze. – Gospodarz się uśmiechnął.

Ponownie podszedł do okna i zaczerpnął kolejną porcję powietrza, tym razem jednak przy akompaniamencie cichego rzęzenia, które

wydobyło się z gardła, a może płuc; nie trzeba być wielkim znawcą życia, by wiedzieć, że człowiek ten nie cieszy się doskonałym zdrowiem. Najlepszym przykładem dzisiejsza historia z Alej Jeruzolimskich. Jednak kiedy snuł swoją opowieść, a robił to z wielkim zaangażowaniem, swadą i pasją, wydawał się młodnieć. Świadczył o tym jego mocny głos, brak sapania, które przestraszyło jego gości podczas mozolnej drogi do mieszkania. Świadczyły o tym iście młodzieńcze ruchy, które wykonywał, pokazując na wiszącej na ścianie mapie miasta poszczególne punkty.

– Tak – mruknął. – Kolejny pierwszy sierpnia. Na szczęście dzień już się kończy. Kilkadziesiąt godzin będą jeszcze płonąć znicze na grobach, kilka dni więdnać złożone na nich kwiaty. Mamy jeszcze przed sobą parę spotkań, podczas których będziemy wspominać tamte wydarzenia. Niektóre wesoło, jak zdobycie koszar czy magazynów na Stawkach, inne smutno, jak wybuch czołgu pułapki na Starym Mieście. Tych tragicznych jest więcej. Zawsze było. Choć z każdym rokiem zdajemy się coraz mniej o tym pamiętać.

Przerwał. Zamknął okno i starannie zaciągnął zasłony.

– Po minucie ciszy o godzinie „W” – ciągnął po chwili – po złożeniu kwiatów na grobach poległych powstańców i pomordowanych bezbronnych cywilów, znów przyjdzie czas na parady grup rekonstrukcyjnych, rewie mody, śpiewanie powstańczych piosenek na hip-hopową nutę i buńczuczne „pamiętamy!”, rzucane znad puszek z piwem na wiślanych bulwarach. Przyjdzie czas na przepychanki, pyskówki, buczenie i gwizdy podczas składania kwiatów i wieńców przed pomnikami i miejscami kaźni, bo jedni uznają, że ci drudzy nie są tego godni...

Przerwał. Para młodych ludzi spoglądała na niego w napięciu.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli już pójdziecie do domu – powiedział cicho starszy pan.

Chłopak uniósł się na krześle, jakby tylko na to czekał. Ale jego towarzyszka powstrzymała go zdecydowanym gestem.

– Nie dokończy pan opowieści? – zapytała z żalem, ale i nutką pretensji.

– Zaciekawiała was? – rzucił obojętnie starszy pan.

– Bardzo – odrzekł chłopak.

Ale gospodarz spojrział wymownie na zegarek.

– Już naprawdę późno – zauważył. – Ja też jestem zmęczony. Ledwo wczoraj wieczorem wróciłem do Warszawy po dłuższej nieobecności i trudno mi się zaaklimatyzować. Idźcie do domów, a jak jutro nie znajdziecie dla siebie nic ciekawego, to wpadajcie do mnie. Powiedzmy o ósmej, jeśli oczywiście będzie wam się chciało wstać. Zresztą i tak nigdzie się nie wybieram. Wtedy opowiem wam o dalszych przygodach Antka i jego przyjaciół.

Nie oponowali. Chwilę później się pożegnali. Starszy pan podziękował za okazaną mu pomoc, para nastolatków zaś – za ciekawą opowieść. I w domyśle, że nie musieli sprawdzać w praktyce, ile nauczyli się na kursie udzielania pierwszej pomocy.

Uściski rąk. Zgrzyt zamka w drzwiach. Kroki na schodach.

– Do metra? – zapytała dziewczyna, kiedy znaleźli się na ulicy, a gdy harcerz potwierdził niemo, ruszyli w stronę Świętokrzyskiej.

– I co, Karolina? – odezwał się on. – Przyjdiesz jutro?

– Nie wiem. Prawdę mówiąc, planowałam wyskoczyć z rodzicami nad Zalew Zegrzyński. Ma być całkiem ładnie, a potem podobno już zacznie się jesień. Tak mówią górale. Ale chyba zrozumieją, gdy powiem, że mam inne obowiązki...

– Górale?

– Rodzice, głupi! – Trąciła go łokciem w przedramię.

– Ale chyba spełniliśmy już nasz dobry uczynek – powiedział, spoglądając w perspektywę Świętokrzyskiej zakończoną różowymi, postrzępionymi chmurami.

– A co? Ty już nie chcesz odwiedzić tego człowieka? – Harcerka zerknęła na kolegę z ukosa.

– Tego nie powiedziałem.

Cisza. Równy rytm kroków. Nieraz to ćwiczyli na zbiórkach, choć równie często zastanawiali się, po co to robią. Żadne z nich nie wybierało się przecież do wojska. A jednak trenowali musztrę.

Weszli do metra. Oboje mieszkali w samej dzielnicy, więc mogli

dotrzeć na miejsce jednym pociągiem. A to oznaczało jeszcze kilkanaście minut razem. Mogli wypełnić ten czas rozmową. Ta jednak się nie kleiła. Każde z nich chyba na swój sposób przeżywało wszystko, co usłyszeli od tamtego człowieka.

– O czym myślisz, Marcin? – zapytała Karolina, kiedy siedzieli w luźnym już o tej porze wagonie warszawskiego metra.

– Zastanawiam się, co ja sam bym zrobił, gdyby się zaczęło – odpowiedział szybko.

Nie musiała dopytywać, co ma dokładnie na myśli. Tego dnia, który zakończył się w tak nieoczekiwany sposób, nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości. Inna rzecz to odpowiedź na pytanie. Ile tak naprawdę były dzisiaj warte słyszane na ulicach okrzyki? Czy naprawdę oznaczały, że ci, którzy je wznosili, poszliby z bronią w rękę na PAST-ę i PWPW? Czy może tylko ograniczyliby się do spuszczenia łomotu napotkanemu na ulicy osobnikowi o ciemniejszym kolorze skóry albo noszącemu zbyt wąskie spodnie...

– Ja również o tym pomyślałam – przyznała Karolina. – I nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wyobrażam sobie, co czuliby moi rodzice, gdybym zginęła. A przecież wtedy walczyli prawie sami młodzi ludzie. I większość nie wróciła już nigdy do domu...

Niecały kwadrans później dojechali do jednej z południowych dzielnic Warszawy. Tutaj ich drogi się rozchodziły. Był to jednocześnie moment, aby podjąć wiążącą decyzję w sprawie jutrzejszego spotkania.

– Nie pokazałem ci jednej rzeczy. – Marcin znów sięgnął po telefon, przez chwilę operował palcami na ekranie, wreszcie podsunął aparat towarzysze pod nos. – Zrobiłem to zdjęcie, kiedy byliście w kuchni.

– Co to jest? – Dziewczyna ostrożnie wzięła aparat do ręki i zaczęła przekręcać w różne strony.

– Wygląda na przekrój poprzeczny łodzi. Do tego coś, co kojarzy mi się z ramą obrazu. Obok, jak widzisz, wypisano jakieś cyferki i litery. Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Po prostu kartka z rysunkiem wystawała z brulionu, który zacząłem wertować, kiedy tam przyszliśmy. I pewnie odłożyłbym ją na miejsce, gdyby była

zwyczajną kartką.

– A nie była?

– Nie. Rysunek został wykonany na odwrotnej stronie biletu lotniczego z Tel Awiwu. Wczorajszy lot...

Dziewczyna oddała telefon. Była sceptyczna.

– Przecież sam nam pół godziny temu powiedział, że wczoraj wrócił do Warszawy i nie może się zaaklimatyzować. Wielu Polaków mieszka dzisiaj w Izraelu. Bynajmniej nie dlatego, że tutaj im było za zimno. A rysunek? Po prostu facet nudził się podczas podróży i namalował sobie łódkę. Mój tata też ciągle gada, że chciałby sobie kupić na starość coś do pływania. I najlepiej, żeby to nie była deska.

– Zaśmiała się.

Zaraz jednak spoważniała. Wszyscy pasażerowie, którzy wraz z nimi wyszli z pociągu metra, byli już poza stacją. Mimo to rozejrzała się na boki i ściszyła głos.

– Ja też nie powiedziałam ci o jednej rzeczy.

– O czym? – Marcin zmarszczył brwi pod daszkiem harcerskiej rogatywki. – Zwędziłaś coś temu dziadkowi?

– No co ty! – obruszyła się. – W życiu niczego nie ukradłam. Skąd taki pomysł?

On jednak zignorował jej oburzenie. Po chwili spokojnie zapytał:

– To co się stało?

– W szafie tego człowieka widziałam milicyjny mundur.

– Jesteś pewna? Nie policyjny?

– Nie.

Harcercz aż zagwizdał.

– To co? Nie idziemy tam jutro... – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Nie idziemy – zgodziła się.

– Ale na bank?

– Na bank. Swoje zrobiliśmy.

Ciche klaśnięcie uderzających się w przyjaznym geście dłoni. Po chwili para nastolatków w harcerskich mundurach rozeszła się w przeciwne strony. Z otwartego okna niedalekiego bloku dobiegł strzęp powstańczej piosenki.

*

Mężczyzna podniósł wzrok znad sterty starych czarno-białych fotografii i odłożył na bok czerwony flamaster, którym wcześniej zaznaczył coś na leżącym nieco dalej planie miasta. Zdjął okulary i przeciągnął dłonią po twarzy. W duchu podziękował temu komuś, kto, mimo późnej pory, zdecydował się wystukać jego numer telefonu. Właśnie wybrzmiewał piąty sygnał.

Dzisiaj niektórzy już po trzecim daliby sobie spokój, szczególnie młodzi – przeszło mu przez myśl.

Jednak ten, który dzwonił, wiedział dobrze, co robi. Gospodarz podniósł się z krzesła i podreptał do aparatu, który stał w rogu pokoju na kuchennym taborecie. Zanim podniósł słuchawkę, przysunął sobie jeszcze jedno z krzesel, na których kilka godzin temu siedzieli harcerze. Klepnął, aż zatrzeszczało.

– No?

– Cześć, ojciec – w słuchawce odezwał się męski głos.

– Cześć, synek.

– Wiedziałem, że jeszcze nie śpisz. Chciałem cię zapytać, jak minęła podróż.

– W porządku. Zresztą co to za podróż, raptem trzy godziny z haczykiem. – Starszy mężczyzna zaśmiał się, po czym niespiesznie przełożył słuchawkę z prawego ucha do lewego. – Kiedyś to ludzie podróżowali...

– Dobra, dobra – przerwał mu rozmówca. – Wiesz bardzo dobrze, że nie pytam o turbulencje ani stewardesy, ale o to, jak się czujesz. My tutaj wciąż mamy wyrzuty sumienia, że wypuściliśmy cię samego do Warszawy. Szczególnie teraz, latem.

– Gdybym mieszkał w Polsce i przyjechał latem do was, to można by było się martwić – rzekł nie bez racji stary. – Tutaj jest dość chłodno. Jutro ma być trochę cieplej, a potem podobno już zacznie się jesień.

– Tam gadanie. Sara nie spała pół nocy...

– To trzeba było żonę czymś zająć. – Stary zachichotał, szybko

jednak spoważniał. – Nie martwcie się. Szybko załatwię, co mam załatwić, i wracam. Udało mi się wydobyć z archiwum wszystkie materiały. Teraz tylko trzeba nad tym trochę pogłódkować.

– Pozostają jeszcze polskie przepisy – zauważył mężczyzna po drugiej stronie. – Cała urzędnicza machina, papierki, paragrafy...

– Na razie nie chcę o tym myśleć – uciął starszy pan. – Jak znajdę to, co mam zamiar znaleźć, wtedy się będę martwił. I zakończmy już tę rozmowę. Jestem zmęczony...

– Dobranoc, tato.

– Nie martw się o mnie, synu. Złego licha nie rusza. Na razie. *Lajta tow.*

Delikatnie odłożył słuchawkę na miejsce i zapatrzył się w półmrok mieszkania. Po chwili z krótkim stęknieniem dźwignął się z krzesła i podszedł do okna. Wraz z rześkim powietrzem do środka wpadł szum miasta. Na niedalekiej Marszałkowskiej właśnie hamował tramwaj, jeden z tych starych, które wciąż jeździły po mieście. Gdzieś dalej rozpaczliwie jęczała syrena karetki pogotowia, a może policji.

Mężczyzna przypomniał sobie zdarzenie sprzed kilku godzin, do którego doszło w pobliżu skrzyżowania Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej. Tylko on wiedział, co tak naprawdę było przyczyną tego, że nagle poczuł się gorzej. Wiek, nadmiar wzruszeń spowodowany wspomnieniami? Z pewnością też. Przede wszystkim jednak wątpliwości. Nie miał ich ani wtedy, gdy wchodził na pokład samolotu, a potem spoglądał na oddalającą się ziemię. Nie miał nawet wówczas, kiedy wyszedłszy z taksówki, którą dotarł do Śródmieścia z Okęcia, przez dłuższą chwilę nie mógł znaleźć kluczy do mieszkania. Tak naprawdę i z tym jakoś by sobie poradził. Prawdziwy gliniarz niewiele przecież musi różnić się od złodzieja, jeśli poważnie myśli o tym, aby go złapać. Złośliwi mówią, że to tylko różnica jednego zwoju mózgowego na korzyść tego pierwszego. Gdyby więc nie zabrał kluczy, jakoś by wszedł...

Nie, chodziło o coś innego...

Wtem rozległ się dzwonek. Nie telefonu, ale u drzwi. Starszy pan

spojrzał na zegarek. Zbliżała się dziesiąta wieczorem.

Kogo to może nieść o tej porze? – zapytał sam siebie.

Dzwonek zadźwięczał ponownie. Mężczyzna skierował kroki w stronę drzwi mieszkania. Mijając szafę w przedpokoju, zawahał się. Sekundę później sięgnął do środka i z kabury ukrytej pod wiszącą na wieszaku niebieską mundurową bluzą wyciągnął broń.

W chwili gdy ją odbezpieczał, dzwonek odezwał się trzeci raz. Mężczyzna nie mógł nie skojarzyć tego z teatrem i ostatnią chwilą przed rozpoczęciem przedstawienia...

*

Poznał ją od razu. Niewiele dały duże przeciwsłoneczne okulary ani słomkowy kapelusz z szerokim rondem i błękitną wstążką, a także rozpuszczone włosy. Podobnie jak letnia sukienka w kwiaty. Pewnie większość tych, którzy wczoraj widzieli tę dziewczynę w szarym harcerskim mundurze i w ciężkich butach, dałoby się zwieść. Ale nie Marcin.

– No chodź, chodź. Nie udawaj! – zawołał z uśmiechem.

Nie zareagowała. Pewnie próbowała jeszcze kombinować. Dopiero kiedy pomachał jej na pożegnanie, odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku bramy kamienicy, w kilku susach przecięła ulicę Sienkiewicza.

– Wiedziałem, że się złamiesz – rzucił półgębkiem; on też miał na sobie cywilne ciuchy: krótkie dżinsowe spodnie i koszulkę z kolorowymi nadrukami.

– O czym ty mówisz? Ja tylko tędy przechodziłam – zachnęła się Karolina, nerwowym gestem poprawiając okulary.

– Dobra, dobra. Chodź szybciej, bo już jest po ósmej. – Szeroko otworzył przed towarzyszką drzwi klatki schodowej, których ktoś zapomniał domknąć.

Szybko wspięli się na właściwe piętro.

– Jeszcze jest szansa, żeby się wycofać – powiedział Marcin, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

– Dzwoni, nie gadaj – fuknęła. – Jak będzie nudno, to jakoś się

wyłgamy. I jeszcze zdążę dojechać do Nieporętu.

Nacisnął przycisk. Usłyszeli chrobot starego dzwonka. Czekali na odgłos zbliżających się kroków, szcęk klucza w zamku. Ale za drzwiami mieszkania, w którym wczoraj wysłuchali opowieści z czasów powstania warszawskiego, panowała głucha cisza.

– Może jeszcze śpi? – mruknął Marcin.

– Snem wiecznym – wyrwało się Karolinie.

W innym wypadku zaśmialiby się z udanego, choć makabrycznego żartu, bo oboje lubili czarny humor. Wiedzieli jednak, co wydarzyło się wczoraj. Dlatego harcerz nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Wpadli do środka i od razu rozbiegli się w poszukiwaniu mężczyzny. Ćwierć minuty później znaleźli się w tym samym miejscu. Na twarzach obojga widać było ulgę.

– Spokojnie – sapnął Marcin. – Po prostu wyszedł i zapomniał zamknąć drzwi. Poczekamy tu na niego, co? Chyba że masz już dosyć?

– Poczekajmy – zgodziła się dziewczyna.

Nogi same zaniósły ich do największego pokoju, w którym siedzieli wczoraj. Nic się w nim nie zmieniło od wczoraj. Chociaż...

– Spójrz, Karolina. To właśnie ten bilet. – Marcin wskazał na leżący na blacie stołu blankiet, na którym wykonano rysunek, jak przypuszczali, przedstawiający przekrój poprzeczny łodzi. – O co tu chodzi? – jęknął, mierzwiąc ręką gęstą czuprynę.

Wtem trzasnęły drzwi wejściowe. Para nastolatków szybko wyprostowała się nad stołem; nie było nic złego w tym, że oglądali leżące na blacie materiały, choć z drugiej strony nikt chyba nie lubił, jak mu się ktoś szarogęsił w domu.

Usłyszeli kroki, które każde z nich pewnie usiłowało w wyobraźni przyporządkować do poznanego kilkanaście godzin wcześniej człowieka. Ale na progu salonu stanął ktoś inny. I nie wiadomo, co bardziej przeraziło tych dwoje: fakt, że nie był to ich znajomy, czy to, że zupełnie nie zdziwił się ich obecnością. A może słowa, które człowiek ten wypowiedział, zacierając z zadowoleniem dłońie:

– To jak, zuchy? Gotowi na dalszą opowieść?

VIII

- Czy pan jest wariatem?
- Wariatem?
- Od Jana Bożego. Niemcy rozbili szpital i mnóstwo ich rozbiegło się po mieście...
- Niemców?
- Wariatów! – Nie dał się zbić z pantałyku.

Miał dziewięć, może dziesięć lat. Gdyby urodził się trochę wcześniej, nie utrzymaliby go w domu i pewnie teraz biegałby po mieście z powstańczą pocztą. Albo już leżał przysypany ziemią czy gruzem. A tak to był przy matce. W szpitalu. Pracowała tu jako pielęgniarka. Kręcił się pomiędzy łózkami, trochę pomagał, ale na szczęście nie dopuszczali go do ciężko rannych. Przed wszystkim jednak zagadywał chorych. Jedni go odpędzali jak natrętną muchę, inni przeciwnie, zaczęli rozmawiać. Ja byłem w gronie tych drugich. Mimo wszystko.

– Dlaczego myślisz, że jestem wariatem? – zapytałem. – Wyglądam na takiego?

Przez chwilę przyglądał mi się krytycznie. Pewnie niejedno już tutaj widział, wiele zła i ludzkich nieszczęść. Matka, zajęta przy pacjentach, nie mogła uchronić go od makabrycznych widoków, zatkać uszu, by nie słyszał rozdzierających krzyków rannych, przekleństw tych, którzy ich tu przynieśli, i jeszcze gorszych w wykonaniu lekarzy. Kto wie, może przez te dni przybyło temu chłopcu kilka lat.

– Nie wiem, jak pan wygląda – odpowiedział po chwili. – Ma pan przecież całą głowę owiniętą bandażami. Ale ciągle gada pan sam do siebie. Zupełnie jak wariat.

Miałem już na końcu języka, że pomylił adresy, choć jest całkiem blisko, ale zmilczałem. Zamiast tego zapytałem:

– Widziałeś ty już kiedyś takiego?

– Nie. Tylko czytałem w książkach.

– Aha.

– Ta choroba nawet się jakoś nazywa...

Zrobił mądrą minę, a nawet zaczął się drapać po głowie. Ciekawe, czy wszystkie te gesty podpatrzył u ludzi w ciągu ostatnich dni, czy może wcześniej. Zresztą nieważne. Interesowało mnie, co jest we mnie takiego, co każe temu smarkaczowi podejrzewać, że urwałem się ze szpitala przy Bonifraterskiej. Chociaż mógł mieć trochę racji. Kiedy mnie tutaj przywieźli, podobno majaczyłem w gorączce. A potem nawet żądałem widzenia z jakimś wysokim oficerem z głównego sztabu powstania. O tym wszystkim usłyszałem, leżąc już na łóżku. Myśleli, że śpię. I rzeczywiście owinięto mi cały łeb szarpami. Zostawili na szczęście otwory na usta i, dużo węższe, na oczy. Te ostatnie, jak sobie tłumaczyłem, były jak oko kamery filmowej. Mogłem też swobodnie oddychać i jeść. Z tym pierwszym było w miarę dobrze, z drugim nieco gorzej. Jak to w lazarecie podczas wojny...

– Rozdwojenie jaźni – odpowiedziałem.

– Co? – chłopak był zdeorientowany.

– Tak się właśnie nazywa ta choroba. Mam znajomego lekarza, który kiedyś pracował w szpitalu psychiatrycznym...

Miałem nadzieję, że po tym smarkacz sobie pójdzie, by gdzieś w zacisznym kącie, jeśli jeszcze jakieś w tym miejscu istniały, przetrwać nowe trudne słowo. Ale on nadal siedział.

– Wody... – jęknął mój sąsiad.

Chłopak wybiegł z sali, być może by uczynić zadość prośbie chorego. Wtedy sięgnąłem pod siennik, skąd wyciągnąłem brulion. Otworzyłem go, chwyciłem wyslizgujący się spomiędzy kartek ołówki i zacząłem przewracać strony. Niewiele tego było. Zatrzymałem wzrok na zapisanych kilka godzin wcześniej wersach, po czym cofnąłem się do początku.

– Wyszedłem z domu około pierwszej po południu. Na Nowym Świecie złapałem „szesnastkę”, którą dojechałem na Czerniakowską... – przeczytałem półgłosem.

– A pan z Czerniakowa? – usłyszałem naraz blisko siebie; stanowczo zbyt blisko, także ze względu na zapachy, zaraz bowiem poczułem znajomy, ale i tak trudny do zniesienia smrodek, będący pomieszaniem woni garkuchni, potu i, czego byłem najmniej pewien, choć to może tylko kwestia czasu, trupiarni.

– Nie. Już panu mówiłem, że jestem z Miedzeszyna – twardo trzymałem się pierwszego kłamstwa, które powstało nie dalej jak wczoraj.

– Tak. Z Miedzeszyna. Pamiętam! Oczywiście, że z Miedzeszyna.

Jeśli miałbym wskazać prawdziwego wariata dziewięcioletniemu synowi pielęgniarki, to nastąpiłoby to właśnie teraz. Ale małego nie było. Może i dobrze. Nie byłem pewien, czy osobnik ów wyszedł z rozbitego szpitala Jana Bożego, o czym wspominał chłopak, czy może coś mu się poprzestawiało teraz, podczas walk. Grunt, że naprawdę nie było z nim dobrze. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało, że coś jest nie tak. Ot, zwykły facet około czterdziestu lat, nieogolony i zabiedzony. Co drugi mijany na ulicy wyglądał podobnie. Miał na sobie szarą marynarkę, niegdyś pewnie bardzo elegancką, dziś do cna wyświechtaną, pod którą łyskała biel piżamy.

Kiedy znalazł kogoś, kto okazał chociaż cień zainteresowania tym, co tamten miał do powiedzenia, to już umarł w butach. Oczy mężczyzny powiększały się, zaczynał rozglądać się na boki. Nachylał się nad ofiarą, narażając ją na wdychanie nieprzyjemnych woni, ściszał głos. I zaczynał mówić. Za każdym razem to samo. Był aktorem w monodramie, choć pewnie w swojej głowie słyszał wiele głosów. Ja widzem byłem już dwa razy. Może dlatego, że z mojej twarzy trudno było wyczytać, czy jestem zaciekawiony opowieścią, czy może w tej chwili śpię.

Teraz szykował się trzeci raz.

– Pan wie, że żadnego powstania nie ma... – zaczął i zanim zdążyłem zaprotestować, przycupnął półdupkiem na krawędzi mojego łóżka.

Nie musiałem potwierdzać ani zaprzeczać. To nie miało sensu.

– Jak to? – bąknąłem tylko.

Wiedziałem, że i tak powie, co będzie chciał, a gdy wdam się w dysputę, może będzie to trwało dwa razy dłużej. Że też jeszcze nie trafił na jakiegoś wyższego oficera, który by go obsobaczył. A może nawet – nieważne: wariat czy nie – postraszył sądem polowym!

– Oni wszyscy tylko udają, że do siebie strzelają. Niemcy robią to, proszę pana, żeby odstraszyć Ruskich, co siedzą za rzeką.

Przez szparę w bandażach ujrzałem, jak mój sąsiad, ten, którego męczyło pragnienie, podnosi głowę ze zgiętego łokcia.

– Nasi tak samo – perorował przybysz. – Żeby nie myśleli, że tu sobie swój kołchoz założą, nasze kościoły na stajnie przerobią. Wszystko to tylko na niby...

– Skąd się w takim razie biorą ranni i zabici, a?! – zapytał ten mój sąsiad.

Wariat chrząknął, spojrzał w kierunku drugiego łóżka. Przez chwilę miałem nadzieję, że przesiądzie się i tamtego będzie męczył swoimi teoriami. Ale tak się nie stało.

– Proste – odrzekł po chwili. – Na linii obwodowej stoi ogromna armata... „o, jaka wielka! Pod każdym kołem żelazna belka...”. I to ona ostrzeliwuje Śródmieście.

– To się akurat zgadza – przerwał mu tamten. – Przy cmentarzach powązkowskich zatrzymał się pociąg pancerny i to on tak tłucze. Tylko skoro Niemcy i Polacy, jak pan przed chwilą powiedziałeś, nie walczą ze sobą, to czyje jest to działo, a?

– Szwedzkie! – odparł błyskawicznie wariat i poruszył się na moim łóżku, aż niepokojąco zaskrzypiały w nim sprężyny.

– Szwedzkie?! – parsknął równie głośno sąsiad.

– Tak jest. Kolubryna. To ta sama, która ostrzeliwała klasztor jasnogórski.

– Panie, co pan...

– Ta sama, niech ja skonam! – Uderzył się pięścią w cherlawe piersi, aż zadudniło.

Aktor znów mnie nie zawiódł. Nie pomylił się ani razu. A i publiczność odgrywała swoją rolę: zawsze znalazł się bowiem ktoś, kto dał się wciągnąć i zadał pytanie, wyraził wątpliwość bądź

oburzenie. A najlepiej wszystko jednocześnie. Dzisiaj był to mój sąsiad. Przynieśli go tutaj rano i jeszcze nie miał przyjemności poznać wujcia-wariatku. Już uniósł się na łokciu, już głowę czerwoną ze złości otwierał, żeby dać wyraz swemu oburzeniu, kiedy do naszej salki wkroczyła jedna z pielęgniarek.

– Panie Kula, do siebie proszę – przegoniła natręta łagodnie, ale stanowczo, tak jak to tylko siostry potrafią.

Potulnie wstał z mojego łóżka i skierował kroki w stronę drzwi. Tam jednak przystanął, odwrócił się i jeszcze puścił do nas oko.

– Na szczęście znam osobiście imię pana Kmicica, który dziś w nocy rozsądzi prochem to cholerstwo – rzucił półgłosem, zaśmiał się szatańsko, wreszcie zniknął.

– Panie, co to było?! – Sąsiad aż sapał z oburzenia. – Jak to można coś takiego powtarzać...

– To nieszczęśliwy człowiek – wtrąciła się pielęgniarka. – Pierwszego dnia powstania esesmani zastrzelili jego całą rodzinę...

Mimo że, jak wspomniałem, już trzy razy słyszałem tę fantastyczną, godną Juliusza Verne'a opowieść, dopiero teraz dowiedziałem się, jak nazywał się ten chory. A przede wszystkim co go spotkało.

Niestety, mój sąsiad nie wyglądał na przekonanego.

– Ależ przecież coś trzeba z tym zrobić. Izolować takich ludzi... – gardłował.

– Niech się pan uspokoi – powiedziała kobieta. – Mamy swoje przepisy i staramy się ich trzymać.

Nie odezwał się. Może i miał zamiar, ale zamiast tego tylko się zakaszał. I to jak! Myślałem, że zaraz płuca wypłuje. Nakrył się kołdrą. Pielęgniarka przez chwilę wpatrywała się w niewielkie okienko, w które zaopatrzona była nasza salka. Słoneczny blisk położony na jej twarzy. Miałem wrażenie, że przez chwilę się uśmiechała. Może przypominał jej się jakiś ciepły, spędzony z kimś bliskim dzień lata, które w tym roku zostało w tak gwałtowny sposób przerwane.

– Jak się pan czuje? – zapytała sąsiada, kiedy udało mu się zapanować nad kaszlem.

– Nieźle – dobiegło spod kołdry.

Czułem, że czai się w tym jakiś podstęp. I że swoją deklaracją męczyzna popełnił błąd. Na twarzy siostry nie pozostało nic z zachwyty, który rozjaśnił ją przed paroma chwilami. Znow była pielęgniarką w szpitalu powstańczym, który przed niemieckimi bombami miał uchronić wielki krzyż na dachu. Ale była to tylko teoria, o czym przekonałem się już wiele razy.

– A co? – zapytał głosem drżącym jeszcze po kaszlu, a może już ze strachu.

– A nic – odrzekła, po czym wyszła z kanciapy.

Przewróciłem się na łóżku, układając na wznak.

– Swoją drogą trochę racji ma ten wariat. – Mój sąsiad westchnął.

– Co pan mówi? – zdziwiłem się.

– No tak. Czasami sobie myślę, że ta cała awantura rozpętała się tylko po to, żeby sobie panowie majorowie i pułkownicy, a co drugi z nich to właśnie Kmicic, mogli z szaf mundury powyciągać. I dowodzić dzieciakami. Przepraszam, szwadronem pancernym, kurwa jego mać! Choć ostatni pancierz, w jaki stukali, to był pancierz żółwia z tego transportu, który kilka lat temu zalał Warszawę, a ludzie nie wiedzieli, jak to zjeść. Pamięta pan?

Zamiast odpowiedzieć, sięgnąłem ręką pod głowę, gdzie pod poduszką kryłem swój plecak. Chciałem znow otworzyć zeszyt. Ale zamiast tego zacząłem przywoływać w myślach wszystko to, co się wydarzyło. Nie bez znaczenia było, co usłyszałem o panu Kuli, a dokładnie o przyczynie jego szaleństwa...

*

Tym razem nie straciłem świadomości. Ani na chwilę. Jak padłem na podłogę, po której kiedyś klienci testowali buty, które planowali nabyć, tak wciąż na niej leżałem. Być może właśnie dzięki temu, że w porę się tam znalazłem, wciąż byłem cały. Zrobiło się ciemno, a wewnątrz sklepu przy Złotej dziesiątce wypełniło się gryzącym dymem.

Nie straciłem też słuchu, choć przecież huknęło ledwo krok ode mnie. Pełne rozpaczny Mein Gott!, którym jeden z ukrywających się

Niemców pożegnał się z tym światem, a kto wie, może jednocześnie powitał z tamtym, mieszało się w mojej głowie z jękami dogorywających. I tupotem butów, bo do środka zaraz wpadli powstańcy. Tak sądziłem, że to byli oni, chociaż pewności nie miałem, wszak równie dobrze mogło dojść do pożalowania godnej omyłki. Albo egzekucji na dezterterach...

I jeszcze jedno wciąż mi dźwięczało w uszach: głos ojca, który znajdował się ledwo o kilkaset metrów stąd. Mimo to głos ten wydał mi się oddalony o setki kilometrów, w dodatku oddzielony ode mnie morzem i górami. Wiele bym dał, żeby tak właśnie było. Żeby tata, Alina i mały byli bezpieczni gdzieś daleko, bardzo daleko stąd!

Ale tak nie było. I nie miałem pewności, czy twarz zalewa mi moja własna, czy cudza krew, a może to jednak ta nieznośna gorączka, która pojawia się u mnie zawsze z wielkim, paraliżującym strachem. Dlatego z ulgą powitałem szum, który zaczął wypełniać mi głowę.

„Czysto, poruczniku! Wszyscy zlikwidowani!” – usłyszałem w pewnej chwili męski głos.

Znieruchomiałem jak ta jaszczurka pod kamieniem. Nie wiedziałem już, czy chcę, żeby mnie znaleźli, czy nie.

„Niezła zbieranina” – powtórzył ktoś niemal te same słowa, których użył granatowy policjant o imieniu Heniek, mój tłumacz i negocjator, którego pracę przerwał tak okrutnie rzucony do sklepu granat.

„Zabierajcie broń. Przy okazji sprawdźcie, czy aby nie przebierańcy” – odezwał się głos trzeci, najniższy i sprawiający wrażenie najpoważniejszego, może należący do dowódcy.

Do tupotu dołączył odgłos przewracanych i, tego jeszcze nie wiedziałem, pozbawianych ubrań ciał. Z zabitych nie zrywano jednak portek, ale nie z tego powodu, że było to zbyt trudne. No, ewentualnie ktoś łakomił się na buty, porządne, skórzane. Chodziło o bluzy, kurtki mundurowe, koszule.

„Ciężkie bydlę, cholera!” – zaklął jeden z chłopaków, po czym jęknął z wysiłku.

„Spało się to na naszej krzywdzie. Sprawdzaj dokładnie, czy aby

nie farbowany lis” – instruował głos dowódcy.

Byli coraz bliżej mnie. Wtedy podjąłem decyzję. W efekcie jęknąłem przejmująco, a do tego cichutko wezwałem Matkę Boską i jej Syna.

„Kapitanie. Jeden żyje!”

„Nie ruszaj!”

„Ale to chyba jest nasz”.

Był już przy mnie. To dziwne, ale poczułem zapach pasty do butów. Czyjeś ręce zaczęły mnie obmacywać. Nie protestowałem, gdy zdarli ze mnie koszulę. Domyślałem się, o co chodzi. Poszukiwali esesmanów, których można było rozpoznać po gustownym tatuażu pod pachą. U mnie też go szukali.

„To może być nasz” – zameldował żołnierz, a dopiero potem pochylił się i zwrócił do mnie: – „Jest pan cały?”.

„Tak” – odpowiedziałem, bardzo wyraźnie, by czasem ja nie zaśmierdziało.

Człowiek ten nie bez trudu zdjął żyrandol, który spadł prosto na mnie po wybuchu granatu. Wiedziałem też, że owe ciepło, które zalewało mi oczy, to nie pot, a tym bardziej nie rumieniec, ale moja własna krew, mimo że bólu wciąż jakoś nie czułem.

Po chwili ten, którego brałem za dowódcę oddziału, zadał mi kilka pytań. Musieli się upewnić, czy nie kombinuję i czy nie jestem aby foksem, który w godzinę próby opowiedział się przy narodzie, co go wykarmił. No to opisałem, z przerwami na zaczerpnięcie powietrza, jak przedzierałem się z Mokotowa, a gdy zaczął się ostrzał Złotej, wszedłem do sklepu w poszukiwaniu schronienia. Właściwie wszystko się zgadzało. Żeby było bardziej dramatycznie, dodałem jeszcze, że Niemcy grozili mi śmiercią...

Wyniesiono mnie na zewnątrz. Przed oczami wirowały mi jakieś światła, nie byłem jednak pewien, czy to jeszcze rakiety, które latały nad tą częścią Śródmieścia, czy może gwiazdy, które się widzi, kiedy z głową coś nie tak. Mimo że byłem na granicy omdlenia, starałem się nie wypuścić z ręki paska plecaka, w którym wciąż miałem swoje, a właściwie Czesiowe skarby. Pewnie jeszcze o nie zapytają.

W podwórku położyli mnie na ziemi. Od razu zajęła się mną sanitariuszka.

„Wszystko będzie dobrze, proszę leżeć spokojnie” – pocieszała.

Coś do mnie potem mówiła, ale rozumiałem znaczenie co trzeciego słowa. Ta cholerna lampa musiała nieźle przyrznąć mi w łeb, nie ma co. Dziewczyna, w której raz widziałem twarz Aliny, a raz matki, zaczęła pracowicie okręcać mi głowę bandażami. Wkrótce skrzyżowały się na czole, nosie. Wreszcie znacznie ograniczyły mi pole widzenia. Byłem pewien, że dziewczyna przedobrzyła. Ale nie protestowałem. Mało tego: byłem jej za to wdzięczny.

Na noszach zanieśli mnie do szpitala. Miałem wrażenie, że to trwa i trwa. Co chwila przystawaliśmy – tak dla odpoczynku, jak i po to, aby tradycyjnie poczekać na swoją kolej przed wąskim przejściem. Na miejsce dotarliśmy o brzasku. Dopiero wtedy zasnąłem. Mimo że potem usłyszałem, jakoby majaczyłem w gorączce i żądałem widzenia z jakimś wysokim oficerem z głównego sztabu powstania.

Dobrze, że nikt nie wziął tych moich próśb poważnie. Chyba...

*

Oczywiście, że bardzo dobrze pamiętałem tamtych drani, którzy skrzywdzili ojca i których dopadliśmy niedaleko stacji kolejowej w Czachówku, między Warszawą a Radomiem, by się srogo zemścić. Ja, tata i Franek Bela, który już wtedy zasłużył na miano specjalisty od spraw niemożliwych i wyciągania kolegów z matni. Tamtego dnia to potwierdził. Dzięki spluwie, którą w pewnym momencie wydobyl z kieszeni, nasza praca nad zmiękczeniem rzeżymieszków przebiegła dużo łatwiej. I szybciej, bez trudu bowiem zdążyliśmy na powrotny pociąg do Warszawy. I bynajmniej nie wróciliśmy do domu z pustymi rękami...

Czy zdawałem sobie sprawę, że tamci mogą kiedyś wrócić i próbować się zemścić? Owszem, myślałem o tym. Jednak im bardziej tamte wydarzenia oddalały się w czasie, tym rzadziej wracałem do nich w myślach. Czy ojciec też? Tego nie wiedziałem, bo o tym nie rozmawialiśmy. Szczególnie potem, kiedy pojawiła się

Alina, a następnie Leszek. Kto wie, może i ojciec obawiał się, że kiedyś mogą wrócić, bo przecież ich nie zabiliśmy (choć Bela pewnie potrafiłby to zrobić bez mrugnięcia okiem), a tylko zostawiliśmy w lesie, jak ich Pan Bóg stworzył, przywiązanych do drzew ich własnymi paskami...

Niejasności było więcej. Na przykład pan Michniewicz, o którym myślałem, ba!, byłem pewien, że nie żyje. Miał się dobrze, sądząc po głosie. W takim razie kogo widziałem wtedy na Wilczej, jak nazywał się człowiek, który leżał w łóżku z rozplatanym gardłem? Sami bandyci udający żandarmów powiedzieli przecież – nie bez dumy zresztą – że zaszlachtowali Michniewicza, bo nie chciał oddać pieniędzy po dobroci. Ktoś tak poharatany nie mógł się przecież wylizać...

Gryzłem się z myślami, a tymczasem do naszej kanciapy weszła pani Gertruda. Była to osoba otyła, ale żwawa, do tego wygadana jak mało kto. Nie miałem pojęcia, co robiła przed wrześniem, a potem przed sierpniem, ale oczami wyobraźni widziałem ją na Kercelaku handlującą zieleniną. Względnie starymi szmatami. Teraz pomagała w szpitalu, bo przecież nawet po rannych zdobywcach najważniejszych gmachów miasta trzeba było gówna i siki wnosić...

– Dzień dobry, pani Gertrudo – przywitałem się.

– Dzień dobry, panie Frankenstein – odpowiedziała.

Tak mnie nazwała, kiedy ujrzała po raz pierwszy. To była kława kobita! Nie obraziłem się, broń Boże, ale też nie wyprowadzałem jej z błędu, że tak się nazywał przecież naukowiec, twórca monstrum, a nie ożywiony przez niego trup, a z tym drugim jej się pewnie skojarzyłem, z głową całą poowijaną bandażami.

– Co słyhać na mieście? – zapytałem, co też było czymś w rodzaju naszego zwyczaju.

– Podobno Woli już nie ma... – odpowiedziała z powagą.

– Jak to nie ma?

– Ano tak.

Była w tym tak prawdziwa jak wtedy, gdy, jak sobie niestrudzenie wyobrażałem, przekonywała klienta na targu, że marchew, którą

sprzedaje, ledwo dzisiaj rano została wyrwana z ziemi. Choć prawda była taka, że leżała tam już od ponad tygodnia.

Pomyślałem o dzielnym Józku Knapie, któremu zawdzięczałem życie, i jakoś markotno mi się zrobiło. Szybko straciłem ochotę na żarty, tym samym wracając do stanu permanentnego przygnębienia, spowodowanego słowami ojca wypowiedzianymi przez telefon tamtej nocy. Z drugiej strony bywały chwile, w których zastanawiałem się, czy naprawdę je wówczas usłyszałem. I czy to wszystko aby mi się tylko nie przyśniło...

Pani Gertrudzie też chyba daleko było do śmiechu. Podeszła do łóżka, na którym jeszcze kwadrans temu leżał i rzeził mój sąsiad, i bez słowa zaczęła zdejmować szarą, poplamioną poszwę z kraciastego koca, który zastępował kołdrę. Robiła to jakoś nerwowo; miałem nawet wrażenie, że raz czy dwa sprane płótno trzasnęło w szwach.

– A co z nim? – zapytałem.

– Co ma być? – Wzruszyła ramionami.

Poczułem, że zaszała pomyłka i trzeba interweniować.

– Chyba wyszedł tylko na chwilę – powiedziałem nieśmiało.

Kobieta zastygła w bezruchu i spojrzała na mnie z góry. Dobrze już poznałem to spojrzenie mówiące „co ty wiesz, dzieciaku”. Byłem pewien, że za chwilę wróci do przerwanej czynności; w lazarecie było przecież co robić. Jednak stało się inaczej: Gertruda nagle klapnęła ciężko na łóżku mojego sąsiada, które teraz miało być łóżkiem kogoś innego, i zaczęła płakać.

– Ludzie opowiadają straszne rzeczy – powiedziała przez łzy. – Że nawet kobiety i dzieci zabijali bez litości, a potem palili na ulicach...

Usiadłem na łóżku. Serce mi się krajało na widok bólu, który łamał tę kobietę. Odkąd pamiętałem, marnym byłem pocieszycielem. Poza tym sam znajdowałem się na granicy rozpacz. Jednak postanowiłem spróbować.

– To na pewno tylko plotki, pani Gertrudo – odrzekłem najłagodniej, jak tylko potrafiłem. – Ludzie różnie gadają, każdy zawsze coś tam od siebie jeszcze doda...

Ale ona tylko pokręciła głową. Potem wytarła nos w chustkę, westchnęła i dokończyła pracę. Czyli przewróciła zdjętą przed chwilą poszwę na nice i ponownie oblekła nią koc. Podobnie postąpiła z poduszką. Tylko prześcieradło położyła czyste, brudne zaś wrzuciła zmiętolone do przyniesionego ze sobą worka. Wojenne standardy higieny już mnie nie dziwiły.

– Będzie miał nowego kolegę – ogłosiła, po czym opuściła salę.

Wtedy potwierdziły się moje podejrzenia. I postanowiłem, że pytany o zdrowie, będę narzekał i kwilił, choćbym się czuł jak młody bóg. Leżałem w lazarecie od wczoraj. Nie wiedziałem, co znajdowało się w tym budynku przed wybuchem powstania. Zresztą, czy miało to znaczenie? Siedziałem już w areszcie, który był kiedyś suszarnią, potem zamknęli mnie w szkole (i to po raz pierwszy, bo nigdy nie zostałem za karę po lekcjach!), by na końcu trzymać na muszce bergmanna w sklepie z butami. No i za każdym razem ciemniżył mnie kto inny...

Ciężko rannych powstańców wprost z linii walk znoszono, a następnie operowano i kładziono na parterze i na pierwszym piętrze. Moja kanciapa wraz innymi pomieszczeniami znajdowała się na drugim, dochodziły tu więc jedynie stłumione krzyki rannych i nerwowe nawoływania personelu. Za to lepiej było słychać krążące nad miastem samoloty, co też oznaczało, że jak w nas w końcu pieprzną, to klitka będzie pierwsza. Nie miałem jednak pewności, czy lada chwila nie przyniosą tutaj kogoś, kto będzie narzekał na coś więcej niż pragnienie, duszący kaszel i gadkę wszędobylskiego wariata.

Ledwo o tym pomyślałem, coś stuknęło na progu. Przekręciłem głowę, by lepiej widzieć. Zwoje bandaży stłumiły jęk, nad którym nie zdołałem zapanować.

– Czołem! – przywitał się gromko przybysz.

– Dzień dobry... – wymamrotałem, odruchowo podciągając oburącz kołdrę, to znaczy obleczony w poszwę koc.

Na progu stał powstaniec w rozpiętej do połowy, spranej bluzie mundurowej. Na naramiennikach błyszcząły dumnie dwie

pięcioramienne gwiazdki wycięte z konserwy. Mężczyzna wspierał się na kulach, jego prawa noga było cała w bandażach. Tu i ówdzie przebijały ciemne plamki.

– Podporucznik „Sokół” – przedstawił się, mimo wszystko wypinając do przodu pierś.

– ...acki.

– Miło mi.

Końcówki szczudeł zastukały o podłogę i oficer wszedł do środka. Zaraz jak duch pojawiła się pielęgniarka i troskliwie pomogła mu usiąść na łóżku. Kule odstawiła starannie na bok.

– Jakby źle się pan poczuł, proszę wołać – powiedziała na końcu z uśmiechem.

Kiedy zostaliśmy sami, podporucznik Sokół cmoknął. Uznałem to za wyraz aprobaty dla dziewczyny. Bardziej chyba dla jej urody niż zaangażowania.

– No i w końcu na mnie trafiło. – Westchnął i poklepał się po poranionej kończynie. – Trzy dni pod bankiem na Bielańskiej, a i tak nie chcieli mi dać kredytu. – Śmiech przeszedł w syk bólu.

Co mnie tak przeraziło? Czy to, że ja pewnie też będę musiał wkrótce ustąpić miejsca komuś, kogo przynieśli prosto z linii? To też. Zresztą może i dobrze by się stało, bo przecież wciąż się zastanawiałem, jak dostać się do domu. Ojca bym tam pewnie nie zastał, co sprawiłoby, że gryzłbym się jeszcze bardziej. Ale mogło być też tak, że wszystko już się skończyło, bandyci dostali swoją dolę i uwolnili zakładników.

– A ty gdzie walczyłeś? – zapytał mój nowy znajomy.

W tym momencie pożałowałem, że tamta nadgorliwa sanitariuszka nie obandażowała mi również ust. Pomyślałem nawet, czy nie spróbować udawać głuchego. W końcu jednak ten granat huknął tuż obok. Albo kogoś takiego jak pan Kula. Wszystko to byłoby lepsze niż podanie konkretnego epizodu z krótkiej historii powstania, której, chcąc nie chcąc, trochę liznąłem przez te dni. Mogłem być przecież u boku Władka zdobywającego elektrownię na Powiślu, jak i jednym z żandarmów łapiących szpiegów na Mokotowie.

– Niech zgadnę – wycelował we mnie wskazującym palcem; na razie – więzienie na Daniłowiczowskiej!

Zamiast potwierdzić czy zaprzeczyć, jeszcze bardziej zacisnąłem palce na krawędzi kołdry. No po prostu wariat Kula jak malowany. Oficer, zupełnie niezrażony brakiem odpowiedzi, już otwierał usta, by, ku mojej udręce, być może je ponowić, gdy na szpitalnym korytarzu rozległy się krzyki i odgłos tupania.

– Alarm! Wszyscy do schronu! – rozpoznałem głos pani Gertrudy, głos zaprawiony w bojach na Kercelaku.

– Co się dzieje? – Sokół przytomnie sięgnął po swoje kule, ale nie można już było odnieść tego określenia do jego wzroku.

– Nalot – wyjaśniłem, tym samym grzebiąc swoje szanse na zostanie wariatem albo niemową. – Musimy jak najszybciej zejść na dół.

Wpadła pielęgniarka, ale już inna niż ta, która go przyprowadziła. Oficer wykuśtykał z salki. Za nim ja. Byłem już na korytarzu, kiedy przypomniałem sobie o swoich rzeczach ukrytych w różnych częściach szpitalnego łóżka, czyli dzienniku i plecaku z krucyfiksem. Nie mogłem ich zostawić.

– Co pan wyprawia, Frankenstein?! – zawołała za mną Gertruda, która akurat znalazła się w sąsiedztwie.

Ale ja miałem już skarby w ręku. Szybko wsunąłem brulion i ołówek do plecaka i ściągnąłem sznurek. Wciąż nie było słychać charakterystycznego wizgu nurkujących samolotów, nie mówiąc już o wybuchach.

– Już idę, idę.

Po chwili schodziliśmy w dół całą szerokością schodów. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest nas na tym piętrze aż tyle. I że są także ciężko ranni. Czysta rozpacz i ból były w tym pochodzie. Pomyślałem, że gdyby Jacek Malczewski żył i miał jeszcze raz namalować swoją słynną Melancholię, powinien stanąć ze sztalugami albo ze szkicownikiem właśnie tutaj.

– Szybciej, szybciej, na miłość boską! – ponaglała rannych jedna z sióstr.

Wszystkich świętych wzywali i inni. Już któryś jęknął i runął w dół, ale na szczęście szybko go zatrzymali. Sekundę później rozległ się pierwszy wybuch. Na parterze utworzył się zator. Miałem wrażenie, że wdepnąłem w coś miękkiego, nie miałem jednak odwagi spojrzeć pod nogi. Jakiś lekarz biegł tam i z powrotem w zakrwawionym fartuchu. Znów huknęło, tym razem budynek aż się zatrzęsł.

– Do schronu, do schronu – powtarzały niestrudzenie pielęgniarki.

Zagwizdało, zawibrowało nie nad nami, ale od strony wyjścia. Huk wybuchającej bomby wstrząsnął powietrzem, a do środka wpadł obłok pyłu niczym para spod kół oczekującego na odjazd parowozu.

Na szczęście byliśmy już w piwnicach.

*

Czy ktoś prosi w piekle o coś do pisania?

Owszem. Jest nawet kilka możliwości. Są tacy, którzy, na przykład, chcieliby spisać testament. Niemożliwe? Nie całkiem. Podejrzewam, że taki na przykład pan starosta, którego poznałem, ten od wielkiej skrzyni, ojciec Wery, na pewno chciałby o to zadbać. I jeśli nie przygotował stosownych, opatrzonych wieloma pieczęciami dokumentów wcześniej, zapewne zrobiłby to w obliczu zbliżającego się końca. Żeby na przykład nie było wątpliwości, komu ma przypaść kamienica w Śródmieściu. Czy w ogóle jeszcze stoi, to już inna rzecz...

Inną kategorię piszących pod gradem kul stanowili bez wątpienia służbiści. Albo ich podkomendni. Cokolwiek się działo, należało sporządzić raport, a w nim opisać, w jaki sposób wykorzystano broń oddziału, czyli pistolet typu vis, sztuk jedna, i dwanaście sztuk amunicji.

No i literaci, gatunek trzeci. Wcale nie chroniony. W szczególności autorzy poezji. Znałem kilku. Mnie jednak jakoś nigdy nie ciągnęło do pisania. Aż do teraz. Poczuję, że muszę w jakiś sposób uporządkować wszystko, co się wydarzyło w ciągu tych kilku dni. Uporządkować i może spróbować zrozumieć. Tak czy inaczej – zapisać.

Kiedy zeszedliśmy do schronu, niemal od razu wyjąłem z plecaka brulion i ołówki. Mimo tego, co działo się na zewnątrz, pisało mi się lekko.

– To wiersze? – zapytała jakaś kobieta.

Siedzieliśmy w piwnicy. Szczęściem nie na gołej posadzce, a na zwiniętych dywanach. Jedno obok drugiego, niczym kury na grzędzie. Część miała głowy uniesione ku sufitowi, jakby wypatrywali na nim pęknięć czy zarysowań, część zaś, przeciwnie, nisko opuszczone. Modlić się można było w obu przypadkach. I ludzie się modlili. A ja pisałem.

– Nie – odpowiedziałem zawstydzony.

Osobą, która zwróciła uwagę na moją pracę, była pani w średnim wieku. Miała duże oczy, które sprawiały wrażenie zmęczonych, a jej ciemne włosy poprzetykane były licznymi nitkami siwizny. Na jej granatowym żakiecie grubą warstwą osiadł pył. Miałem wrażenie, że skądś znam tę kobietę.

– Nie trzeba się wstydzić. – Uśmiechnęła się.

Nad nami zamruczało, stęknęło boleśnie. Światła pod sufitem przygasły na chwilę. Nie gasły za to modlitwy.

– „...Orędowniczko nasza, Pośredniczko nasza, Pocieszycielko nasza...” – klepały kobiety jak wiele razy wcześniej.

Czy wtedy bałem się bardziej? Nie wiem, może tak. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że od chwili wybuchu powstania minęło kilka miesięcy. Może nawet pół roku. Okrzepłem przez ten czas, a skóra mi zrogowaciała.

– Mój syn pisze wiersze – wyjaśniła ściszym głosem, a więc wbrew temu, co przed chwilą stwierdziła.

– Naprawdę? – udałem zainteresowanie, choć nie zachwyty, bo i po co?

– Tak. Może pan zna? Jan Bugaj.

– Nie, niestety nie – odpowiedziałem w pierwszym odruchu.

– A Jan Krzyski? – zapytała, a kiedy, nie dociekając, czy mówi o tej jednej osobie, czy o dwóch, pokręciłem głową, wciąż z tym samym uśmiechem wyjaśniła: – To wszystko są tylko pseudonimy, pod

którymi Krzyś publikował...

W tym momencie serce uderzyło mi mocniej.

– Jaki Krzyś? – chciałem wiedzieć. – Czy aby nie Baczyński?

Oczy kobiety powiększyły się jeszcze bardziej, a jej twarz rozjaśnił uśmiech. Nie zdołało go zetrzeć ani kolejne ciężkie tąpnięcie nad naszymi głowami, ani głośny, zawodzący wręcz płacz jakiejś kobiety, ani jęki rannych.

– Zna go pan? – Aż podniosła dłonie do ust.

– Oczywiście. Chodziliśmy razem do Batorego. To znaczy on był w młodszej klasie. Po wrześniu też kilka razy się widzieliśmy.

– Boże...

– Jeden raz byłem nawet w państwa mieszkaniu na Hołówki.

Już miałem wspomnieć, że spotkałem się wtedy nie tylko z Krzysztofem, ale również z jego żoną Barbarą, ale w porę ugryzłem się w język. Przypomniałem sobie bowiem, że panie nie darzyły się zbyt wielką sympatią. Co prawda od tamtego czasu mogło się sporo zmienić, ale wolałem nie ryzykować. Pani Stefania, bo tak miała na imię matka poety, przez dłuższą chwilę kręciła głową w milczeniu. Nie spuszczała ze mnie wzroku. Czułem, że kolejne pytania mogą już nie być tak proste. I nie pomyliłem się.

– A może go pan widział? – zapytała ledwo słyszalnie.

Nie musiałem dopytywać, czy chodzi jej o to, czy spotkałem go po pierwszym sierpniu. Na szczęście ani go nie widziałem, ani o nim nie słyszałem. Czy brak wiadomości jest lepszy od złych wieści? Sam nie wiem. Gdybym nie zadzwonił w sklepie z butami do domu, nie usłyszał od ojca hiobowych wieści, pewnie nadal tkwiłbym w błogiej nieświadomości. No, nie do końca może błogiej, bo jednak w każdej chwili coś mi na łeb spaść mogło.

– Nie, nie widziałem – odpowiedziałem z przepraszającym uśmiechem.

– Nie wiem nawet, czy zdążył na miejsce zbiórki. Wszystko się wydarzyło tak nagle...

– Wielu chłopaków nie dotarło, ale potem znaleźli inne oddziały – pocieszyłem ją.

Tym razem w język się nie ugryzłem, chociaż może powinienem. Zamiast kłapać dziobem, zdusić temat w zarodku. To by było zdrowsze. No, ale stało się. Musiałem w takim razie dorzucić coś bardziej krzepiącego. Oczywiście coś, co mogło pocieszyć matkę powstańca, smarkacza często, nie musiało jednocześnie podobać się innym. Na przykład dowódcom.

No to dorzuciłem, choć bardzo cicho:

– Słyszałem, że dużo oddziałów wyszło do Puszczy Kampinoskiej, jeszcze na początku powstania.

– Myśli pan, że Krzyś mógł być w jednym z nich? – zapytała z nadzieją; miałem wrażenie, że w jej oczach zaświeciły się łzy.

– To bardzo możliwe – potwierdziłem, rad z osiągniętego efektu, by dodać: – Stamtąd też można prowadzić działania zaczepne...

To z kolei zbyt mądre nie było. Przekląłem się w duchu za tę niefrasobliwość. Na szczęście pani Baczyńska już nie drażyła.

– Co się panu stało? – Wyciągnęła rękę w kierunku mojej obandażowanej głowy, ale szybko ją cofnęła.

– Nic takiego – odpowiedziałem. – Taki mały wypadek...

– Alarm odwołany – dobiegło wreszcie od progu piwnicy. – Już po wszystkim. Możemy wracać. Tylko po kolei, spokojnie.

– A jest jeszcze do czego? – burknął jakiś mężczyzna.

*

Modlitwa urwała się w pół zdania. Ludzie zaczęli się dźwigać z podłogi. Szybko ukryłem dziennik z powrotem w plecaku i podniosłem się. Wyciągnąłem rękę w stronę pani Baczyńskiej. Skorzystała z pomocy, ale miałem wrażenie, że się zawstydziła. Już mieliśmy ruszyć w kierunku wyjścia, gdy ktoś zawołał rozpaczliwie:

– Ksiądz!

W tym samym momencie kilka metrów od siebie ujrzałem ludzi pochylających się nad kimś, kto leżał na podłodze.

– Czy jest tu ksiądz? – inny głos, dużo spokojniejszy, ponowił pytanie.

Powinno się chyba raczej wołać lekarza. W końcu nie byliśmy na

pustyni czy w lesie, a w szpitalu. Zaciśnąłem palce na materiale plecaka. Pani Baczyńska właśnie wychodziła ze schronu.

Tymczasem tłumek ludzi stojących nad kimś, kto prawdopodobnie właśnie kończył ziemskie bytowanie, gęstniał. Znów usłyszałem modlitwę. Tym razem jednak nie proszono w niej Najwyższego, by oszczędził szpital...

Podszedłem bliżej. Ujrzałem leżącego na noszach młodego chłopaka z obandażowaną klatką piersiową. Pochylał się nad nim mężczyzna w zakrwawionym kitlu i ze stetoskopem na szyi. A więc to już był ten moment. Gdzieś tam pewnie matka tego chłopca odchodziła od zmysłów, martwiąc się o syna, który poszedł się bić. Być może nawet jedyne, jakiego miała. Pani Baczyńska nie była odosobnionym przypadkiem...

Zdecydowanym gestem sięgnąłem do plecaka i poczułem chłód jedwabiu stuły, odchrząknąłem dla poprawy głosu... W tym samym momencie po mojej prawej stronie ujrzałem przedzierającą się przez gęstniejącą tłuszczę postać. W półmroku mignęła biel koloratki.

– Ja jestem księdzem! Proszę mnie przepuścić.

Szybko cofnąłem rękę, jakby w plecaku było coś, co gryzie. I odetchnąłem z ulgą. Duchowny, a był to mężczyzna dużo starszy od mnie, przystąpił do ostatniego namaszczenia. Odwróciłem wzrok. Potem zacząłem się dyskretnie wycofywać. Mniej niż minutę później było po wszystkim, gdyż kobiety zaczęły chórem odmawiać *Wieczny odpoczynek...*

Wypatrywałem pani Baczyńskiej, bo przecież nasza rozmowa nie została zakończona. Właściwie nie wiedziałem, czy znalazła się tu przypadkiem, czy może jest pacjentką szpitala. Jednak nigdzie jej nie widziałem. Na domiar złego na parterze właśnie rozpętało się piekło. Budynek szpitala nie ucierpiał podczas nalotu, choć wszędzie roznosiła się woń spalenizny. Wnoszono rannych, którzy nie mieli tyle szczęścia co my. Lekarze dokonywali pierwszej selekcji, sanitariuszki biegały od jednego rannego do drugiego, ktoś dał się wniebogłosy. Spostrzegłem nawet tego księdza ze schronu: niezmordowany, w rozpiętej, szarej od pyłu sutannie, wypatrywał,

czy i dla niego znajdzie się zajęcie.

– Nie stój pan tu, do ciężkiej cholery! – Ujrzałem tuż przed sobą wykrzywioną w złości twarz jednego z medyków.

Szybko wróciłem do swojej sali. Podporucznik Sokół leżał już na łóżku z ranną nogą wspartą o jego szczyt. Panisko. Na mój widok szparko dźwignął tułów.

– Jest pan cały? – zapytał. – Martwiłem się.

– Wszystko w porządku – odparłem. – Dziękuję za troskę.

– Słyszałem, że na dole ktoś umarł.

– Zgadza się. Młody chłopak.

– Cholera.

Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, czemu ma służyć to wypytanie. I dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że oficer przeszedł na „pan”. Miałem nadzieję, że to zwiększy między nami dystans. I że mój sąsiad nie ponowi kłopotliwego pytania, gdzie walczyłem. Niestety, po chwili przekonałem się, że mogą być o wiele gorsze.

– Czy my się czasem już gdzieś nie spotkaliśmy? – zapytał Sokół, by zaraz uściślić: – To znaczy pański głos wydaje mi się skądś znajomy.

– Naprawdę? – Chrząknąłem.

– Tak. A przyznam się, że mam do głosów szczególną pamięć. Przed wojną kręciłem się trochę po Polskim Radiu...

Poczułem, jak kropelki potu zmiękczają zwoje bandaży na mojej głowie, a przetyk wysycha na wiór. Ech, jakże przydałby się właśnie teraz kolejny nalot i alarm. Albo wizyta ciekawskiego synka pielęgniarki, który pytał, czy jestem wariatem. Czy samego wariata, pana Kuli.

– Po radiu? – powtórzyłem z głupia frant.

Nic nie powiedział. Wiedziałem jednak, że czeka na odpowiedź. Czeka, nie spuszczać ze mnie wzroku. Jak wędkarz, który wparuje się w ruchy spławika kołyszącego się na tafli jeziora. Może bez złych intencji, ot, coś mu się rzeczywiście skojarzyło, ale oczywiście może się mylić.

– Wszyscy cali? – W drzwiach pojawiła się głowa pielęgniarki, tej

ładnej.

To był mój anioł. Anioł, który raz, że przeganiał czarne myśli, a dwa – wyciągał rękę, by wybawić mnie z kłopotu.

– Tak! – odpowiedziałem dziarsko.

Spojrzała na mnie.

– To dobrze. Bo właśnie chcę pana zabrać.

– A co się stało?

– Nic. Ale trzeba w końcu zobaczyć, co tam jest pod tymi bandażami. Może jaki amant filmowy...

Tak, to był mój anioł. Ale śmierci. Z filmem miałem wiele wspólnego, szczególnie ostatnio. I może jak amant wyglądałem. Czarny charakter też przecież mógł zachwycać widza. Może nawet powinien. Bardziej od szlachetnego bohatera, musiał przecież zaskarbić sobie sympatię wielu ludzi, by ich potem z całą perfidią wykorzystać.

Sięgnąłem po plecak, którego nie zdążyłem umieścić z powrotem pod poduszką. Miałem w nosie, co o tym pomyśli mój sąsiad, podporucznik Sokół. Tylko się krzywo uśmiechnął.

– Bez obaw, panie kolego – rzucił jeszcze za mną. – Nie zginie.

*

Byłem jak ta mumia egipska, którą odnaleziono po latach i teraz zabrali się do niej naukowcy. Oczywiście różniłem się od niej w sposób zasadniczy – żyłem. Mogłem nawet zrobić psikusa lekarzowi i pielęgniarce, którzy odwijali bandaże z mojej głowy, i krzyknąć znieścaka. Swoją drogą aż dziw, że znaleźli na to czas, zważywszy na to, co widziałem na dole jakiś czas temu. No, chyba że było to działanie uzasadnione wyższą potrzebą. Na przykład rozkazem. I nawet wiem, kto mógłby go wydać...

– Ale pana zabalsamowali, nie ma co – zaśmiał się lekarz, jakby w jakiś nadprzyrodzony sposób udało mu się przeniknąć kości mojej czaszki i poznać myśli.

Nie widziałem go tutaj wcześniej. Pewnie był nowy, a może tylko kręcił się gdzie indziej. Ledwo o tym pomyślałem, znów twarz

zapałała mi ogniem. Pokoik dwa na trzy, nazwany szumnie ambulatorium – o czym informowała tabliczka na drzwiach, a właściwie arkusik kartonu z wypisanymi kawałkiem węgla literami – znajdował się na pierwszym piętrze, na końcu korytarza. Było tu wyjątkowo cicho i spokojnie. Okno zabito dyktą. Doskonałe miejsce na przesłuchanie.

– I zaraz będzie wszystko wiadomo... – rzekł medyk niczym iluzjonista na kinderbalu, z zadowoleniem i tajemniczo.

Poszarzały i zakrwawiony tu i ówdzie zwój spadł do wypełnionego w połowie wiadra na odpadki. Brak bandaża na głowie spowodował, że zrobiło mi się zimno. A może to ze strachu...

– No, całkiem nieźle to wygląda – ocenił po chwili. – Myślę.

– Zakładamy nowy, doktorze? – zapytała siostra, która miała nadzieję, że rozpozna we mnie amanta filmowego.

– Myślę – powtórzył – że wystarczy przemyć rany i przykleić kilka plastrów.

Po czym bez słowa wyszedł z ambulatorium, dziewczyna zaś przystąpiła do pracy.

– Gotowe – ogłosiła minutę później.

– Dziękuję – bąknąłem, po czym wstałem z zydelka i odruchowo dotknąłem głowy; miałem na niej tylko kilka plastrów.

– Od razu lepiej – rzekła z zadowoleniem.

– Co pani ma na myśli?

Nie odpowiedziała. Ciszę wypełnił metaliczny szcęk narzędzi na szklanym stoliku, przy którym zaczęła się krzątać. Jako że wciąż utrzymywaliśmy kontakt wzrokowy, dzięki okrągłemu lusterku wiszącemu na ścianie, zmusiłem się do wykrzywienia ust w uśmiechu. Schyliłem się po bagaż.

– Mogę wracać do siebie? – zapytałem jeszcze.

*

Niezatrzymywany przez nikogo dotarłem do głównego holu szpitala. Od drzwi wyjściowych dzieliło mnie zaledwie kilka kroków. Czułem, że taka okazja może się już nie powtórzyć, dlatego

podjąłem decyzję.

– O, to znów pan – usłyszałem naraz za sobą kobiecy głos.

Odwrociłem się. To była pani Stefania, matka Krzysia Baczyńskiego. Siedziała pod schodami, na skrzynce.

– Wychodzi pan? – W jej głosie wyraźnie wyczułem żal.

– Nie – odpowiedziałem bez namysłu, po czym kilka razy poruszyłem prawym ramieniem, bo właśnie przez nie przewieszony miałem plecak, który mógł zrodzić pytanie kobiety. – Wolę mieć zawsze wszystko przy sobie.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że Baczyńska rozpoznała mnie, mimo że nie miałem już na głowie turbanu, przez który dla jednych byłem wariatem, dla drugich trupem, którego ożywił filmowy szarlatan. Nie mogła poznać mnie po głosie, bo to przecież ona mnie zatrzymała, odezwała się pierwsza...

– Widzę, że zdjęli panu opatrunek – stwierdziła, przyglądając mi się badawczo.

– Już można było to zrobić.

Tak. To był właściwy moment, by zapytać.

– Właściwie to jak mnie pani rozpoznała?

– Sama nie wiem. Może mi serce podpowiedziało. Przyjaciele mojego Krzysia to właściwie też jakby moje dzieci, prawda? A tak naprawdę to po ubraniu i tym pana plecaku wagabundy.

Coś mnie ścisnęło w dołku. A potem szarpnęło porządnie, ale znów pomyślałem o Alinie i moim przyrodnim braciszku, którzy byli w brudnych łapach kolejowych opryszków. Nie, nie mogłem czekać ani chwili dłużej! Już nabierałem powietrza, by pożegnać się z panią Stefanią, jednak ta znów odezwała się pierwsza. W dodatku głosem niemal błagalnym:

– Czy mogę pana prosić, żeby mnie zaprowadził do mojej sali? Nie chciałybym prosić nikogo z personelu, zawracać głowy. Jestem tu trochę z łaski, po znajomości...

– Rozumiem.

– Coś nie tak z nogą, bardzo boli. Ale przecież to i tak nic, gdy się patrzy na tych wszystkich rannych ludzi. W szczególności dzieci.

Pojąłem, że prawdopodobnie ta nieszczęsna kobieta ślęczała tutaj od chwili, gdy można było opuścić schron po alarmie lotniczym. Wszyscy się rozeszli, a o niej jednej zapomnieli. Ja też. Teraz miałem okazję naprawić ten błąd.

– Oczywiście, że tak – powiedziałem.

Pomogłem jej wstać. Wsunęła rękę pod moje lewe ramię i ruszyliśmy po schodach na górę. Szliśmy bardzo powoli, pokonując stopień za stopniem. Mijali nas i wyprzedzali, raz nawet niosąc rannego na noszach. Ktoś nawet fuknął niecierpliwie. Jedyne, co mogłem zrobić, to tylko zęby zacisnąć.

Wkrótce dotarliśmy na miejsce.

– Dziękuję panu, panie... – Spojrzała na mnie pytająco.

– Przyjacielu Krzysia – rzuciłem bez namysłu; może było to niezbyt grzeczne, ale tak właśnie podpowiadała mi w tym momencie intuicja.

Pani Baczyńska otworzyła usta ze zdziwienia. Szybko się odwróciłem i już byłem na korytarzu. I zaraz tego pożałowałem: oto prosto na mnie kuśtykał podporucznik Sokół. Towarzyszył mu jakiś powstaniec w panterce i niemieckim hełmie na głowie. W rękę nonszalancko niósł najważniejszy zdobyczny element niemieckiego wyposażenia, czyli pistolet maszynowy empi.

Kątem oka ujrzałem uchylone drzwi. Błyskawicznie odbiłem w prawo i wśliznąłem się do środka. Luźna sprzączka plecaka uderzyła o drewnianą futrynę.

Widzieli mnie czy nie?

Przyczaiłem się i czekałem, aż przejdą.

– Może wejdziemy tutaj – usłyszałem naraz głos sąsiada z sali, a zaraz potem kolejne stuknięcie końcówki kuli o podłogę.

– A można? – Ten drugi się zawahał.

Jednym spojrzeniem omiotłem pomieszczenie. Wielkością przypominało naszą salkę. Tu jednak nie było łóżek, tylko jakieś szafy i szafki. Na decyzję miałem niewiele czasu. Ot, tyle, ile Sokołowi zajmie przekonanie samego siebie, że jako oficer może wejść wszędzie, nie musząc pytać nikogo o pozwolenie. A potem

przekazanie tego towarzysowi.

Domykałem drzwiczki szafy dokładnie w tym samym momencie, gdy oni zamykali drzwi wejściowe. I tak jak jeszcze przed chwilą byłem szpiegiem tylko w mniemaniu żandarmów, którzy mnie ujęli na Mokotowie, sądu, który zastanawiał się nad moim losem, i widzów powstańczej kroniki filmowej, tak teraz stawałem się nim naprawdę. Jedno skrzyknięcie drzwi albo jakiegokolwiek części szafy, o której nawet nie wiedziałem, co w sobie kryje, i będzie po mnie.

– Dobra, teraz możesz powiedzieć, co się dzieje – rzekł Sokół.

Powstaniec zdjął hełm, długo milczał.

– Tydzień, może dziesięć dni i będzie po wszystkim – rzekł wreszcie.

– Zupełnie jakbym słyszał lekarza.

– Przy dobrych wiatrach dwa tygodnie.

– Czyli tak, jak myślałem. – Podporucznik potarł czoło zewnętrzną stroną prawej dłoni, by po chwili zapytać: – Są w ogóle jeszcze jakiegokolwiek szanse, żeby się wydostać z miasta?

– Tak. Dlatego przyniosłem ci mapy, na których zostały zaznaczone dwa szlaki. Nie mają takich nawet w najwyższym dowództwie...

Wyjął zza pazuchy złożone arkusze papieru, które Sokół, bez zaglądania, schował do kieszeni, po czym mruknął:

– Rozumiem, że masz też dla siebie.

– Naturalnie. Każdy chce żyć.

Za ścianą rozległy się detonacje, cała seria. Kiedyś słyszałem, że jeśli nie ma się możliwości ucieczki do schronu podczas bombardowania, można schować się pod łóżkiem. Albo w szafie właśnie. Wtedy jest promil więcej szans na przeżycie. Wyobraźnia dodała jednak swoje i zaraz ujrzałem siebie, jak leżę w tej szafie, przysypany kilkoma tonami gruzu. Żywcem pogrzebany. Zanim się do mnie dokopią, odgryzę sobie palce ze strachu. A potem normalnie się uduszę...

Grzmoty ucichły. Dzięki temu znów słyszałem, co mówią tamci.

– Jesteś pewien, że to on? – zapytał ten w panterce.

– Na dziewięćdziesiąt procent – odpowiedział podporucznik Sokół.

- Posturę ma podobną. Głos też, a jak wiesz, mam do nich pamięć.
- Widzieliśmy się tylko raz.
- Dwa razy. Właśnie zdejmują mu bandażę. Idę o zakład, że rozpoznam także tę gębę...
- Mam zostać w szpitalu?
- Nie trzeba. Poradzę sobie.
- Masz broń?
- Nie zadawajcie głupich pytań, żołnierzu...

Szafa, w której siedziałem, była jak pudło rezonansowe gitary. Słyszałem, jak wali mi serce. Byłem niemal pewien, że tamci za chwilę podejdą i otworzą drzwi. Wtedy Sokół od razu zrobi użytek z broni, a mebel zamieni się w moją trumnę. Była jeszcze inna możliwość: wyjść z szafy i od razu paść na kolana, by błagać o litość, a potem próbować się wytłumaczyć. Nie odwrotnie.

Wyszli. Nie oznaczało to jednak, że mogę odetchnąć. Byłem pozbawiony tak kamuflażu, jak i nadziei, że oficer wzięt mnie jednak za kogoś innego.

– Kurwa mać.

Po chwili wylazłem z szafy, ostrożnie wyjrzałem na korytarz. Tamtych nie było. Już miałem podążyć w kierunku schodów, które zaprowadziłyby mnie do wyjścia, gdy ujrzałem biel fartucha.

– Jeszcze nie w sali? – zapytała z pretensją ta sama pielęgniarka, która kilkanaście minut wcześniej nieświadomie pozbawiła mnie pancerza.

– Właśnie szedłem – bąknąłem. – Poza tym już się dobrze czuję. Moje miejsce pewnie przyda się komuś innemu.

Ważniejszemu – dodałem jeszcze w duchu.

Ale ona zdawała się tego nie słyszeć. Ujęła mnie za łokieć i lekko pchnęła.

– Widzę, że sam nie trafi.

– Chyba nie...

– To zaprowadzę.

Poddałem się. Mogłem próbować jeszcze sztuczek z rodzaju nagłego upadku i udawania ataku apopleksji. Jednak pokornie

posuwałem się do przodu...

Ale Sokoła nie było.

– O, widzę, że pański kolega w toalecie – pielęgniarka w prosty sposób zinterpretowała jego brak, do mnie zaś rzekła: – Niech się położy. Może jutro wypuszczą...

Wyszła. Ciężko klapnąłem na łóżko i przez chwilę wstuchiwałem się w jej oddalające się kroki. Tak naprawdę jednak chyba czekałem, aż usłyszę inne, dużo wolniejsze, wzbogacone złowróżbnym stukaniem szczudeł.

W pewnym momencie mój wzrok padł na łóżko oficera. Spod poduszki coś wystawało. Wstałem, zaraz jednak usiadłem z powrotem.

– Jak mieć wrogów, to za coś – mruknąłem do siebie.

Pomogło. Po chwili trzymałem w ręku mapy, które kilka chwil wcześniej Sokół dostał od powstańca w panterce. W tej samej chwili rozległ się niezawodny krzyk pani Gertrudy:

– Alarm! Wszyscy do schronu!

IX

Zupełnie inaczej go sobie wyobrażałem, tego Michniewicza z Wilczej dwadzieścia, którego miałem odwiedzić w drodze powrotnej z Czerniakowa pierwszego sierpnia. A może po prostu górę wzięło to, co widziałem: jakiś człowiek z poderżniętym gardłem, który leżał w zakrwawionej pościeli. Właściwie to nawet nie widziałem twarzy trupa.

– Napije się pan herbaty? – zapytał Michniewicz, ten prawdziwy, z którym tamtej nocy przez chwilę rozmawiałem przez telefon.

– Widzę, że zdążył się pan już zadomowić – mruknąłem.

– Przepraszam. – Wyszedł do kuchni, a po chwili usłyszałem odgłosy krzątania. Wystarczyło przymknąć oczy, by wyobrazić sobie minione chwile. Nie ma powstania. Jest, owszem, okupacja, łapanki, wywózki i uliczne egzekucje, ale siedzimy wszyscy w domu. Bezpieczni, najedzeni. Alina rządzi w kuchni, Leszek śpi. Lada chwila można się spodziewać powrotu taty. Jak u Mickiewicza. Może posiniaczonego, może bez pieniędzy i towaru, ale całego.

Niestety, wszystko to było tylko pięknym wspomnieniem. Kiedy kwadrans temu dotarłem do kamienicy Harcyka, wydawało się, że nikogo w niej nie ma. Stan czystości podwórka pozostawiał wiele do życzenia; stróż Wincenty Wasiak nigdy by do czegoś takiego nie dopuścił. Ale naszego stróża już nie było wśród żywych, od pół roku, odkąd zgarnęli go do budy, gdy wychodził z jakiegoś sklepu. Od tamtej pory mieszkańcy sami dbali o czystość. Z różnym skutkiem. Sam nawet kilka razy zamiatałem nasze niewielkie podwórko drapakiem. A wybuch powstania zwolnił wszystkich od tych obowiązków...

Ale jednak ktoś był w budynku. Zamykane okienko zadzwoniło szybko, skądś dobiegło stłumione kaśkanie. Kto wie, może przecinając podwórko na ukos, przez cały czas byłem trzymany przez kogoś na muszce?

– Jak pan tutaj dotarł? – zapytał Michniewicz, stawiając filiżanki, każdą inną, na stole.

– Jakoś dałem radę – odparłem enigmatycznie.

– Duży tłok?

– Jak na Marszałkowskiej.

Trochę dziwna to była rozmowa. Zupełnie jakbyśmy sobie gadali o śnieżycy, która szalała nad Warszawą, a nie o otwartej wojnie, w której każdy krok człowieka mógł być tym ostatnim.

– Ma pan przepustkę? – naciskał.

– Tak. Wystawili mi ją jeszcze na Mokotowie, kiedy się przebijałem do pana. I przebiłem się. A nawet pana widziałem.

W kilku zdaniach, również po to, żeby zakończyć ten dziwny dialog, opowiedziałem mu o tym, co się wydarzyło na Wilczej, w mieszkaniu, które wziąłem za jego mieszkanie.

– Nie wiem, kto to mógł być – westchnął, kiedy skończyłem.

Spojrzałem na niego z uwagą.

– Mówili, że to pan. Że pan nie chciał oddać czegoś po dobroci, więc...

– Ale to nie byłem ja. Jestem tu chyba, nie? Żyję, kurwa!

– Spokojnie...

– A może chciałby pan, żebym to był ja, co?! – Ostatnie słowa niemal wykrzyczał.

Nie powiem, dał mi szacha. Opuściłem wzrok. Był mniej więcej w wieku taty, więc mógł też podnieść na mnie głos. Potem sięgnąłem po herbatę i wypięłem kilka łyków. Kiedy ostatnio ją piłem? Chyba jeszcze pierwszego rano. Wtedy też po raz ostatni widziałem ojca. Zamknął za mną drzwi. Otworzył je już ktoś inny. Z początku myślałem, że pomyliłem piętra. Po tym wszystkim, co przeżyłem, co widziałem i słyszałem, mogło się przecież tak zdarzyć. Już dawno zdjęliśmy z drzwi metalową tabliczkę z numerem mieszkania, podobnie jak większość lokatorów. Głównie po to, aby nie ułatwiać pracy tym, co lubili budzić ludzi o szarej godzinie.

Odruchowo cofnąłem się o krok. Wtedy mężczyzna zapytał, czy jestem Antek. Kiedy potwierdziłem, po prostu wciągnął mnie do

środku.

– Dobrze, że wcześniej zamieniliśmy tych kilka słów przez telefon, bo pewnie wziąłbym pana za ducha – powiedziałem, by nieco rozładować sytuację.

– Dobrze – burknął, uciekając spojrzeniem w bok.

– Dlaczego pan tu właściwie siedzi? – zapytałem.

– Przepraszam, już sobie idę. – Podniósł się gwałtownie z krzesła i zaczął dopinać guziki kardiganu koloru kawy z mlekiem.

Przewróciłem oczami.

– Nie to miałem na myśli. Chodzi mi o to, że siedzi pan w mieszkaniu, podczas gdy wszyscy sąsiedzi ukrywają się w piwnicach.

– Nie jestem szcurem, żeby siedzieć w piwnicy – warknął.

– Tak właśnie myślałem.

Znów pomilczeliśmy.

– Nie jest pan ciekaw, gdzie ojciec? – Spojrzał na mnie ciężko.

Potarłem dłonią nieogolone policzki. Kusił łazienka, a w niej pędzel i żyletka. Kusił mnie mój własny pokój i łóżko. Wiedziałem jednak, że to wszystko będzie musiało poczekać. Tak, od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem tego człowieka w naszym domu, zastanawiałem się, co dalej.

– Poszedł po rodzinę – wydukałem, co wiedziałem. – Mam nadzieję, że pan mi powie coś więcej. Jak w ogóle do tego doszło?

Sięgnął po filiżankę, ale zaraz odstawił ją z powrotem.

– Tak naprawdę to niewiele wiem – podjął po chwili. – Przyszedłem na Jasną, bo nie doczekałem się pana na Wilczej. I nie wracajmy już do tego tematu, panie Antoni. Może potem się dowiem, kogo tamci zabili. Pod warunkiem że sam przeżyję...

Mogłem mu powiedzieć, że bandyci udający żandarmów już nie robią nikomu krzywdy. I że sam byłem świadkiem, jak sprawiedliwości staje się zadość. Ale dałem spokój. Nie to było w tej chwili najważniejsze.

– W każdym razie – ciągnął – ojciec pana czekał na tę przesyłkę. Zostałem nieco dłużej, niż zamierzałem, bo sytuacja wciąż była niepewna. A kiedy już można było iść, odezwali się oni. Nie mogłem

pańskiego taty zostawić w takiej sytuacji samego...

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Tamci dzwonili dwa razy. Za pierwszym pański tata rzucił słuchawką, niemal ją roztrzaskując. Potem tego żałował. Na szczęście odezwali się ponownie, kwadrans później. Wtedy już z nimi rozmawiał, chociaż widziałem, że nerwy ma jak postronki. Gdyby zamiast słuchawki ścisnął szyję gęsi czy kaczki, jak w banku mielibyśmy ptaka na kolację.

Mimo wszystko uśmiechnąłem się na to porównanie. Pan Michniewicz znów sięgnął po filiżankę z herbatą, tym razem z sukcesem. Po chwili mówił dalej:

– Powiedzieli, że mają żonę i synka taty. Złapali ich na wsi, dokąd wyjechali na wakacje. Pana ojciec mówił, że musieli planować to od dawna, śledzić was. Na koniec zażądali pieniędzy...

– Ile? – zapytałem i wstrzymałem oddech.

– Dwa tysiące.

– Co?!

– Niestety...

– Za oboje?!

– Za głowę. I dolarów, nie młynarek.

Aż się za swoją złapałem. Głowę, na której wciąż znajdował się niewielki opatrunek założony przez ładną pielęgniarkę. Ciekawe, kiedy zauważyli, że mnie nie ma. Pewnie w chwili, kiedy dziewczyna albo ktoś z personelu dokonał zwyczajowej kwerendy po zakończonym nalocie. Trzy godziny. Tyle zajęło mi dotarcie na Jasną. Bez pomocy map. No właśnie, a Sokół? Czy domyślał się, kto mu buchnął ten swego rodzaju glejt, który dawał szansę na przeżycie? Pewnie podejrzewał, że zrobił to facet, który już miał swoje za uszami...

Dlaczego myślę o czymś, o czym powinienem zapomnieć? – zastanawiałem się.

– Nie mamy tyle pieniędzy – powiedziałem, by zaraz się poprawić:

– To znaczy ojciec nie ma, z tego co wiem...

– Wygrzebał tysiąc młynarek z małym haczykiem. Nie wiem, po ile

chodzi dolar.

– Ja też tego nie wiem. Mało kogo to teraz tak naprawdę obchodzi. Możesz mieć siennik wypchany amerykańskimi dolarami czy brytyjskimi funtami, ale co z tego, kiedy leci na ciebie deszcz żelaza, a wokół pali się powietrze.

– Twarda waluta to jednak wciąż twarda waluta – upierał się pan Michniewicz.

– Ale ojciec jej nie ma. Nie ma nawet żądanej kwoty w młynarkach.

– A jednak tam poszedł.

– Nie zapytał go pan, co zamierza?

– Oczywiście, że zapytałem – zachnął się mężczyzna. – Odpowiedział, że ma swój plan. I gdyby tamci nie chcieli wypuścić żony i małego...

Zawahał się. Prawdopodobnie dopiero teraz uświadomił sobie, że powiedział o kilka słów za dużo. Jak znałem ojca, pewnie zakazał Michniewiczowi udzielać mi zbyt wielu informacji. A jeśli tak, to tata wierzył, że prędzej czy później dotrę na Jasną.

– To co? – Utkwiłem wzrok w siedzącym naprzeciwko mnie rozmówcy i zmarszczyłem brwi, by srogo wyglądać, choć tak naprawdę każdy mój mięsień, czułem to bardzo dobrze, był w tym momencie mięciutki niczym ślimak.

– To on zostanie i będą mogli zrobić z nim, co zechcą. Zemścić się za tamto. Tak powiedział. Byle tylko wypuścili rodzinę... – powiedział Michniewicz, po czym odetchnął z ulgą, jakby zrzucił z siebie jakiś wielki ciężar.

– Naiwny jak dziecko – warknąłem ze złością.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Przecież tego nie robią. Mało tego: będą mieli trzy głowy zamiast dwóch.

– A od kogo mieliby wtedy zażądać za nie okupu?

– Zostałem jeszcze ja. Pewnie wiedzą, że żyję, skoro śledzili ojca i dokładnie wszystko zaplanowali. A jeśli zrezygnują z pieniędzy, to po prostu się zemszczą. Dla samej zemsty. Ja wiem, co to za ludzie, panie Michniewicz... – Głos uwiązał mi w gardle.

Wstałem i zrobiłem kilka kroków po naszym największym pokoju. Również po to, żeby spróbować zgubić czarne, najczarniejsze myśli, które zaczęły krążyć w mojej głowie. I bynajmniej nie po to, by coś wymyślić.

Ja już wymyśliłem. I to jeszcze w chwili, kiedy Michniewicz podał cenę za wolność i najprawdopodobniej także życie moich bliskich. Diabeł tkwił jak zwykle w szczegółach.

– Wie pan, dokąd ojciec poszedł? – zapytałem niegłośno.

Mężczyzna wstał. Obaj wiedzieliśmy, że nasza rozmowa zmierza ku końcowi.

– Panie Antku...

– Gdzie ich trzymają?

Po chwili rozłożyłem na stole ukradzione Sokołowi mapy.

*

Miasto. Umęczony więzień skulony na środku celi, który usiłuje zasnąć po całym dniu przesłuchań i tortur. Wie, że w każdej chwili może usłyszeć zgrzyt zasuw w drzwiach i tupot ciężkich buciorów, które noszą strażnicy.

Gdzieś tam, może w dalekim Londynie, a może jeszcze dalej, za oceanem, dokąd dotarły wieści o bohaterskim zrywie Polaków, ktoś wyobrażał sobie młodych ludzi czyszczących broń przy nikłym świetle karbidowej lampki. Cichutko rozbrzmiewa *Warszawianka*. Ktoś, komu w pamięci utkwiły powstańcze obrazy Grottgera, był pewien, że siedzące w piwnicach kobiety tną koszule na szarpie i wyszywają sztandary, które jutro zostaną zatknięte na barykadach. Albo pochyla się nad świeżymi grobami tych, którzy za wolność zapłacili cenę najwyższą...

Gównno do tego obrazu nijak mi nie pasowało. Zwykłe gównno, w które wdepnąłem przez nieuwagę, ledwo parę chwil po wyjściu z domu. Ludzkie. Ktoś je zostawił na samym środku skrzyżowania Jasnej i Sienkiewicza, korzystając z osłony nocy. Całkiem spore, więc najprawdopodobniej na głód nie narzekał. Zakręcone.

– Ja cię pieprzę – przekląłem, wycierając but o krawędź płyty

chodnikowej.

– To podobno przynosi szczęście – usłyszałem męski głos, a następnie stłumiony chichot.

– Dziękuję ja za takie szczęście – burknąłem, wciąż trąc z zapałem podeszwą o szorstką powierzchnię.

Dopiero teraz się obejrzałem. Niespiesznym, nieco rozkołysanym krokiem zbliżał się do mnie mężczyzna o wyglądzie cwaniaczka. Tłący się ogryzek papierosa w kąciku ust, ręce po łokcie w kieszeniach. Nie miał opaski ani broni. A przynajmniej ja jej nie widziałem.

– Pan stąd? – zapytał, ruchem głowy wskazując na moją kamienicę.

– Nie – skłamałem. – Tylko odwiedziłem chorą ciocię.

– To ktoś tu jeszcze został? – W jego głosie niedowierzenie mieszało się z drwiną. – Prócz cioci?

– Owszem. Trzy plutony szturmowe.

Skrzywił się, jakby rozgryził ziarenko pieprzu. Cofnął się o krok, jeszcze raz otaksował wzrokiem budynek, ja zaś nabrałem pewności, z kim mam do czynienia.

– Może pan wejdzie? – drażniłem go dalej. – Dowódca swój chłop, przyjmie bez szemrania. Potrzeba nam takich chojraków.

I już go nie było. Oddalając się szybkim krokiem, oglądał się coraz przez ramię, raz lewe, raz prawe. Myślałem, że sobie kark skręci. Łapska wciąż trzymał w kieszeniach.

– Thompsona dadzą! – zawołałem jeszcze za nim.

– A idź pan w chuj! – odkrzyknął.

– Jakbyś pan wyczuł... – westchnąłem.

Tak, złodziej, podobnie jak gówno, nie pasował do tej misternej układanki. Ale był. I to pewnie niejeden. Ten, jak przypuszczałem, na szczęście tylko kradł. A nie, jak tamci, kradli i gwałcili, a potem z zimną krwią zabijali. Podziękowałem w duchu Michniewiczowi, że mimo wszystko trwał na posterunku. Rozejrzałem się dokoła na wypadek, gdyby w pobliżu czaili się kamraci łobuza. Ale nikogo nie było. Co się dziwić, była czwarta nad ranem. Chłodno, głodno, choć dom obok. Psia wachta. Jeszcze nie zaczęło nawet szarzeć.

Coś mnie obudziło około trzeciej, jakiś koszmar senny, ale nie pamiętałem dokładnie, co to było. Potem nie mogłem już zasnąć. Ubrałem się, wypilem herbatę, zostawiłem panu Michniewiczowi, który spał w sypialni ojca i Aliny, kartkę. Po wczorajszym był chyba na mnie obrażony. Wyszedł z pokoju kilka chwil po tym, jak zacząłem studiować mapę.

Starałem się poruszać bezszelestnie. Nie było to łatwe, wszędzie walały się śmieci, kawałki gruzu i szkła. No i jeszcze ta kupa na środku skrzyżowania...

– No to ciach, babkę w piach – mruknąłem pod nosem, poprawiając ramię plecaka na prawym ramieniu.

Nie wiedziałem, dlaczego go nie zostawiłem w domu. To znaczy zawartości, czyli całego tego księżowskiego majdanu. Może ze strachu, że rzeczy, które nie były moją własnością, a w dodatku przedstawiały jakąś wartość, mogą przepaść w pożarze. Albo poślakami się na nie ktoś pokroju tego chłystka, którego właśnie wystraszyłem nieistniejącym wojskiem.

A może zacząłem traktować krucyfiks niczym talizman, który przyniesie mi szczęście? Bo szczęścia akurat bardzo potrzebowałem. Chyba jak jeszcze nigdy dotąd...

*

Kwadrans później dotarłem do Marszałkowskiej. Zupełnie ciemna i wyludniona, zrobiła przynębiające wrażenie. Jeszcze niedawno to właśnie tutaj zaczynały się wszystkie moje wyprawy – większe, mniejsze i te całkiem małe. Wskakiwałem do tramwaju, który wiozł mnie do szkoły. Albo nieco bliżej, na Dworzec Główny, skąd ruszałem w Polskę pociągiem.

Teraz miałem przed sobą o wiele dalszą drogę niż na stację czy do szkoły. I świadomość, że będę musiał pokonać ją na własnych nogach. Jak na ironię, zważywszy na nazwę miejsca, do którego planowałem się dostać.

– Dokąd? – zapytał wartownik, który chwilę wcześniej zastąpił mi drogę, gdy chciałem chyłkiem przemknąć obok barykady.

– Na Koło – odpowiedziałem.

Spojrzał na mnie spod okapu niemieckiego hełmu.

– W jakim celu? – naciskał.

– Na grzyby – wypaliłem, nie spuszczać z niego wzroku.

– Co?

– A tak. Ostatnio trochę padało i podobno już się zaczynają powoli pokazywać...

– Przestańcie żartować – powiedział, po czym przeniósł wzrok na przepustkę, którą bez wezwania przedstawiłem mu do kontroli.

Ledwo na nią spojrział, wyprężył się na baczność.

– Przepraszam, panie poruczniku. – Szybko oddał mi papier, jakby ten parzył.

– Nie ma problemu. Musicie być czujni. Wróg nie śpi.

– Tak jest!

Zasalutował niezgrabnie, jak zaś, uśmiechając się dobrotliwie, schowałem starannie dokument do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wciąż tkwiła tam również stara przepustka.

Jakie było moje zdziwienie, kiedy w chwili, gdy rozłożyłem mapy Sokoła w swoim mieszkaniu, wypadł z nich plik przepustek wypisanych in blanco. I to nie byle jakich, bo wystawionych przez dowództwo Kedywu. Podporucznik Sokół był naprawdę nieźle zaopatrzony na tę ważną, może najważniejszą w życiu podróż. I pewnie też nieźle wkurzony, kiedy się okazało, że wybierze się, ale palcem po mapie. I nawet to nie!

W jednej chwili zrozumiałem, że mogę teraz stać się, kim tylko zechcę. Wymyśliłem sobie pseudonim i awansowałem się do stopnia porucznika. Potem zaraz zrezygnowałem z tego pierwszego, gdy przypomniałem sobie, jak sam śmiałem się z buńczucznych przydomków. Postanowiłem, że będę się przedstawiał własnym imieniem.

Władek Michalski, który by zdobyć oficerskie gwiazdki, musiał swoje przemaszerować, przesiedzieć w lesie, iskając wszy, a potem w warszawskiej dziupli, pewnie uduśliłby mnie za to gołymi rękami. Potem przepraszał, ratował, cucił, doprowadzał do porządku, ale

tylko po to, żeby po chwili znów zacząć mnie mordować. W tej chwili jednak liczyło się tylko jedno: życie ojca, Aliny i małego Leszka. Gdyby trzeba było, zostałbym nawet pułkownikiem.

– Powodzenia – rzucił jeszcze wartownik, przekonany, że wykonuję jakąś niezwykle ważną, a może nawet straceńczą misję; gdyby stał przed nim Sokół, też pewnie by tak pomyślał, a w dodatku współczuł, widząc drewniane kule.

– Dziękuję. I wzajemnie – odparłem.

Młody wartownik odprowadzał mnie wzrokiem. Może podziwiał, może zazdrościł. Nie wiedział jednak, że tuż koło rzemienia plecaka siedzi moja dusza. A w plecaku nie ma marszałkowskiej buławy, którą, jak powiadają, nosi każdy żołnierz, tylko równie ciężki krucyfiks.

Miałem tam coś jeszcze. Coś, co miało rozwiązać wszystkie nasze problemy.

*

Drewniana łyżka stuknęła o dno menażki. Przechyliłem blaszane naczynie, aby nabrać więcej zupy jarzynowej. Choć była bardzo wodnista i niedosolona, właściwie ugotowana z resztek, nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek wcześniej miał w ustach podobny przysmak.

– Repeta dla porucznika? – zapytał strzelec Kokos.

Zdawałem sobie sprawę, że z tym był problem drobny, bo każdy jadł tylko po jednej porcji, a żywności brakowało.

– Nie trzeba. – Zdecydowanie pokręciłem głową. – Najadłem się. Dziękuję.

– To ja może umyję menażkę. – Inny chłopak, noszący pseudonim Komar, ochoczo poderwał się z miejsca, zaraz go jednak osadziłem z powrotem.

– Nie ma mowy.

Wstałem z ziemi i skierowałem kroki w stronę studzienki, gdzie pod kranem, który wcześniej służył ludziom odwiedzającym groby bliskich, myliśmy nie tylko naczynia i sztucce, ale także i siebie. Nie

wypadało przecież pożyczonej menażki i łyżki oddawać brudnej. Zajęło mi to kilka chwil. Kiedy wróciłem, siedzieli na tych samych miejscach.

Od chwili mojego wyjścia z mieszkania upłynęła okrągła doba. Oddział, w którym się znajdowałem, zajmował pozycje w cieniu wysokich drzew, między grobami cmentarza ewangelickiego przy Żytnej. Nigdy tu wcześniej nie byłem. I niekoniecznie były to pozycje, a raczej kwatery. Jakkolwiek to brzmiało.

Wymuszona przez okoliczności beczynność spowodowała pewne rozpasanie. Dwóch chłopaków zniknęło nawet na kilkanaście minut.

– Wiecie, widzieliśmy grób Stefana Żeromskiego – pochwalił się kolejny powstaniec o pseudonimie Tolek (a może było to prawdziwe imię), gdy wrócili na stanowisko.

Reszta oddziału przyjęła te rewelacje z obojętnością, choć wszyscy doskonale wiedzieli, kim był wspomniany człowiek. Literatura, sztuka? Komu to było teraz potrzebne. Potrzebny był im dowódca! Nowy, bo dotychczasowy, niewiele od nich starszy kapral podchorąży, zginął. Stało się to przed trzema dniami.

Wpadliśmy na siebie zupełnie przypadkowo w okolicach Dzielnej. Tak jak to się stało na Marszałkowskiej, wyciągnąłem przepustkę i przygotowałem starą śpiewkę. Wartownik długo przyglądał się dokumentom. Już zacząłem się denerwować. Miałem za sobą nieprzespaną noc i wiele kilometrów w nogach, bo jakoś nie trafiła się podwózka. Zaraz napatoczył się oficer, kapitan. Jego mundur jakimś cudem był świeżo wyprasowany, czysty, srebrne elementy lśniły, a rogatywkę jakby dopiero co z szafy wyjął. Jak się taki uchwycił? Pomyślałem wtedy, że mogą być kłopoty.

Kapitan z podobną uwagą przejrzał moje papiery.

„Antek?” – zapytał.

– Zgadza się – potwierdziłem.

– Ale nie „Rozpylac”?

Nic nie odpowiedziałem.

– Na Koło? – odezwał się po krótkiej chwili.

– Na Koło.

– A nie zabralibyście ze sobą kilku chłopaków? – Ściszył głos i nie czekając na odpowiedź, jął tłumaczyć: – Nie utrzymamy długo naszych pozycji, więc chcę przynajmniej oszczędzić ludzi. A na Kole i powietrze lepsze, i do rogatek miasta bliżej.

Szczerzy był, nie ma co. Jeszcze porozumiewawczo mrugnął. Czy wypisując sam sobie przepustkę, awansując się do oficerskiego stopnia, dopuszczałem do siebie myśl, że sprawy mogą przybrać taki właśnie obrót? Prawdę mówiąc nie. Ale odetchnąłem z ulgą, bo to oznaczało, że mogę dalej grać swoją rolę. A po chwili nawet podziękowałem losowi, że zesłał mi właśnie takie rozwiązanie. W kupie przecież rańniej i bezpieczniej. Tak to sobie wówczas, na szybko i na gorąco, tłumaczyłem.

– Nie ma problemu – odpowiedziałem, by dodać z groźną miną: – Ale maruderów nie zniosę, więc niech ich pan kapitan ostrzeże, że tempo będzie szybkie.

W odpowiedzi uśmiechnął się i zasalutował. A pięć minut później, w ciągu których mogłem spokojnie stamtąd czmychnąć, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłem, przyprowadził chłopaków. Tych, którzy mieli być ocaleni. Na oko żaden nie miał osiemnastu lat. Może nawet szesnastu. Przedstawili mi się po kolei stopniami (sami strzelcy) i pseudonimami (Kokos, Komar, Tolek, Sambor i najmniejszy, może dwunastoletni Myszołów, czyli najbardziej drapieżny w towarzystwie), z których, jak to zwykle u mnie bywa, nie zapamiętałem ani jednego.

Potem oficer powiedział, że zostawia nam jednego stena i trzydzieści pestek, życzył powodzenia i pożegnał się. Kiedy sobie poszedł, rozłożyłem mapę, by zaplanować dalszą marszrutę. Z miejsca mnie otoczyli, ale żaden nie odezwał się słowem. Albo czuli respekt, albo strach. A może po prostu żaden nie potrafił czytać map.

Zatem miałem oddział. Oddziałek. W odwrocie. Było więc niemal tak samo jak w przypadku Władka Michalskiego, który otrzymał w spadku ludzi. On jednak wiedział, co z nimi robić. Ja – nie za bardzo... W ciągu następnej godziny z niewielkim hakiem dotarliśmy na

cmentarz ewangelicki. Stacjonowało tu już kilka oddziałów, a w dodatku działała kuchnia polowa. Zza muru dochodził jednostajny odgłos wystrzałów i wybuchów.

– Dorzynają kolejną ulicę Woli... – powiedział Kokos, zaciskając palce na rączce jedyne go stena.

– Kiedy idziemy, poruczniku? – zapytał Komar.

– Na razie mamy pozostać na tym cmentarzu – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo myjąc menażkę, zasięgnąłem języka.

Starałem się ze wszystkich sił, żeby głos mi przy tym nie zdrzał. Ręce zająłem, rozkładając mapy na granitowym nagrobku. Moi podkomendni już do nich nie zaglądali.

– Oby nie na zawsze – burknął tylko któryś, chyba czarnowłosa Sambor.

*

W ciągu ostatnich dni spałem już w różnych miejscach. Ale jeszcze nie między grobami! Ułożyliśmy się pokotem, tak że jeden nie widział drugiego, przykryli, czym tam który miał. Na szczęście po ciepłym dniu zapowiadała się także całkiem znośna noc. Przytuliłem głowę do plecaka i usiłowałem zebrać myśli. Miałem wyrzuty sumienia. Dręczyła mnie myśl, że być może ojca w tej chwili katują, a ja wciąż nie dotarłem na miejsce. I obawa, że nie zdołam wyprowadzić tych chłopców, którzy mi zaufali, w bezpieczne miejsce.

Musiałem usiąść.

– Co jest, poruczniku? – zaniepokoił się jeden z nich, Komar.

– Nic – mruknąłem. – Śpij.

Postanowiłem pozbyć się nadmiaru płynów. Wstałem i podążyłem w kierunku miejsca, wcześniej przez nas upatrzonego, gdzie grobów było najmniej. Ledwo jednak rozpiąłem rozporek, usłyszałem kroki. Ktoś do nas szedł. Uświadomiłem sobie, że zostawiłem plecak...

Na szczęście chłopcy okazali się czujni.

– Kto idzie?! – zawołał groźnie Kokos, czemu towarzyszył szcęk przeładowywanego stena.

– Spokojnie – odpowiedział męski głos. – Porucznik Błyskawica.

Zaczęli podnosić się z ziemi, któryś nawet stuknął obcasami.

– Szukam ochotników do wypadu na linię obwodową – zaczął przybysz. – Oddział kapitana Jana z „Brody” chce zniszczyć pociąg pancerny, który od dłuższego czasu ostrzeliwuje z ciężkiej artylerii nasze pozycje. Chcemy wspomóc „Brodę”.

Zgubcie brzytwę – pomyślałem.

– Ale... – zaczął któryś, jednak na więcej nie starczyło mu odwagi.

Jednak oficer chyba uznał, że trafił pod właściwy adres.

– Wymarsz za pół godziny z Okopowej w rejonie cmentarza żydowskiego – nadawał dalej, zupełnie jakby już ich zgodził. – Droga jest czysta. Czy ktoś się zgłasza?

Ciekawe, który raz powtarza tę gadkę? Może pierwszy, a może dziesiąty... – zastanawiałem się.

Odpowiedział mu jakiś ptak. Jaki? Cholera jedna wie! I o tej porze? Chociaż to dziwne trochę, bo przecież wszystkie się stąd wyniosły, przepłoszone niekończącą się kanonadą. Czemu ten człowiek przyszedł akurat do nich? Czy wcześniej pytał już kogo? Nie wiem, dlaczego nie podszedłem i tego nie przerwałem. Jako dowódca, a tak naprawdę to przecież opiekun. Jednym pociągnięciem brzytwy właśnie. A raczej dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej, zanim Tolek wyrzucił z siebie, nie zważając na późną porę.

– Tak jest, panie poruczniku! – huknęło spod tablicy o trudnym do odczytania, nie tylko ze względu na panujący półmrok, napisie.

Stał wyprężony na baczność. Usta, przez które wyrzucił z siebie gniew, wciąż pozostawały otwarte. Były takie i wówczas, gdy oficer potrząsał energicznie ręką chłopaka.

– Dziękuję wam, chłopcy – rzekł z zadowoleniem, jeśli nie wzruszeniem. – Wierzę, że się sprawicie. Będę wnioskował do dowództwa o Krzyże Walecznych. Dla wszystkich!

– A dacie broń? – zapytał zasparym głosem najmniejszy Myszołów, ale Błyskawica już szedł z powrotem.

Dopiero gdy się oddalił na dobre – jak błyskawica, czyli zygzakiem, klucząc między grobami zmarłych luteranów – pozostali zaczęli

wstawać niczym upiory. Nikt nie odezwał się słowem. Kiedy podszedłem, Tolek spoglądał na mnie, jak uczeń spogląda na nauczyciela, który nakrył go w szkolnej toalecie na paleniu papierosów albo podczas klasówki na ściąganiu.

– Panie poruczniku, ja tylko... – zaczął.

– Ani słowa – przerwałem mu.

Było za późno na reklamację. Podniosłem plecak. Z jednej strony byłem pełen obaw, bo te dzieci miały żyć. Z drugiej, cieszyłem się, że wreszcie ruszymy się z tego cmentarza.

– Jeśli mamy zdążyć, musimy się zbierać. – Westchnąłem.

*

Dniało. Leżeliśmy całą szóstką, jakby nie było już w nas życia i zakrwawione truchło każdego, rozorane przez kule albo odłamki, było gotowe do pochowania w ziemi. Bądź, co bądź, było chyba dużo prostsze, polania benzyną i spalania. Ale my żyliśmy. Tylko w sercach nadal łomotał strach, a w uszach wibrował dźwięk, który przetaczał się nad naszymi głowami przez kilkanaście ostatnich minut.

Nocne natarcie na pociąg pancerny numer 75, stojący na warszawskiej linii obwodowej między Kołem a Powązkami, zostało przez Niemców odparte. Odparte, to zresztą mało powiedziane. Oni pruli do nas właściwie od niechcienia. Kilka razy odzywały się nawet ciężkie działa, w które uzbrojony był pociąg. Byliśmy dla nich niczym insekty...

Tego, że ja i mój oddziałek młokosów, których miałem zadanie wyprowadzić z miasta w bezpieczne miejsce, został odcięty od reszty oddziału szturmującego linię obwodową, jeszcze nie próbowałem ocenić w żaden logiczny sposób. Nie mówiąc już o strategicznym. Na szczęście nikt nie wysłał nas do szturm, więc i żaden nie zginął. Nie miałem pojęcia, na czym ma polegać pomoc, o którą prosił porucznik Błyskawica. Może tylko na pozbieraniu poległych. Tego zresztą też nie zrobiliśmy.

– Co teraz? – zapytał Komar.

Mimo że przez całą drogę na miejsce, a był rozkaz zachowania

całkowitej ciszy, odgrażał się, jak pewnie pierwszego dnia powstania, że Niemcom dadzą łupnia, jego sten nie wystrzelił ani razu. Nikt z chłopaków nie zapytał też, dlaczego ja nie miałem w ręku broni.

Leżeliśmy więc, za plecami mając mury cmentarzy – Starych Powązek i tatarskiego, po prawej jakieś zabudowania, skąd wiatr niósł woń końskiego nawozu, po lewej zaś, choć niewidoczny stąd, musiał znajdować się Lasek na Kole.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Te świny na pewno zaraz wyjdą z nasypu – spekulował Tolek.

– Po co? – chciał wiedzieć Kokos.

– Dobić rannych i złapać, a potem rozwalić takich jak my – odpowiedział z zastanawiającym spokojem Sambor.

Trwała szara godzina, czas na pograniczu nocy i dnia. Dla człowieka, który nie śpi, bo nie może lub nie chce, ponoć najgorsza, bo żyć się wtedy odechciewa jak o żadnej innej porze. Poranna rosa zaczynała już srebrzyć trawy, przenikać przez materiał mundurów i cywilnych ubrań, bo nie każdy z nich zdążył zdobyć sorty, które upodabniałyby go do żołnierza.

– Jaja mi zaraz przymarzną do ziemi – jęknął Komar.

Sambor ściągnął z głowy niemiecki hełm z wymalowanymi dwiema poziomymi liniami – białą i czerwoną. Włosy miał mokre i pozlepiane w strąki, oczy spuchnięte. Wyglądał jak ktoś, komu jest już wszystko jedno.

– Niżej – warknąłem do niego.

On jakby nie dosłyszał. Co więcej: jeszcze bardziej podniósł głowę i siedzenie.

– Schyl się, do cholery! – krzyknął Kokos, a Myszołów poparł te słowa czynem: szarpnął Sambora i pociągnął w dół.

W tej samej sekundzie powietrze rozpruła seria.

– Zobaczyli nas – warknąłem. – Musimy dostać się do tamtego zagajnika. Wśród drzew mamy większą szansę...

Ale oni nawet nie drgnęli. Ja zresztą też. Strach obdzielił wszystkich sprawiedliwie. Sambor powoli, jakby nic się nie stało, wkładał z

powrotem na głowę hełm. Dopiero gdy kilkanaście metrów od nich rozerwał ziemię granat, zaczęliśmy się czołgać: łapczywie, niczym niemowlęta ciekawe świata, na szczęście wszyscy w jedną stronę. Któryś zapłakał, szybko starając się zamaskować to udawanym kaszlem. Może zresztą był to tylko kaszel, swoje przecież na mokrej i zimnej ziemi przeleźliśmy.

Od strony nasypu poszły jeszcze dwie serie, po czym karabin zamilkł. Zasycały zwalniane hamulce, rozległ się stłumiony pisk i pociąg pancerny zaczął toczyć się, najpierw powoli, potem coraz szybciej w stronę Dworca Zachodniego. Zamarliśmy niczym płazy, które wyczuły obecność wroga i chcą wtopić się w otoczenie, aby za chwilę zaatakować lub – przeciwnie – przeczekać.

– Na pewno ktoś został. – Nie byłem w stanie uwierzyć w nasze szczęście. – Piechota albo bahnschutze. Muszą być za nasypem...

Wtem zaszeleściły zarośla, ledwo kilka metrów przed nami. We mgle zamajaczył mundur strażnika kolejowego. Komar spojrzał na mnie; zrozumiałem go bez słów i skinąłem głową. Nie bez powodu to on dysponował jedynym stenem. Przewrócił się na lewy bok, przywiódł przed siebie broń i nie celując, nacisnął spust. Gruchnęło. Niemiec padł w wysoką trawę. Chłopak najpierw się porzygał, a potem zerwał z ziemi i runął w kierunku, skąd wyszedł nieprzyjaciel. Nie wystrzelił już jednak, ponieważ najbliższa okolica była czysta.

Pół minuty później staliśmy przed drewnianą budką bahnschützów, ukrytą wśród krzaków. Prócz nas nie było tu nikogo. Ucichł nawet stukot kół pociągu. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę, że to stan chwilowy i odgłos wystrzału prędeż czy później kogoś ściągnie.

– Trzymaj! – Komar rzucił w stronę Kokosa schmeissera wydobytego ze strażniczej budki.

– Dzięki.

– Jedna lufa więcej. Tylko co nam po takim zasranym bunkrze? – zastanawiał się głośno.

Po chwili z budki dobiegł głos Sambora.

– Chodźcie tutaj. Coś mam!

Radzą sobie naprawdę nieźle, smarkacze – pomyślałem nie bez

podziwu.

Wszedłem do środka ostatni. Chłopcy stłoczeni na niewielkiej powierzchni pochyłili się nad stolikiem, a właściwie niewielkim parapetem przytwierdzonym do jednej ze ścian. Wnętrze wartowni cuchnęło potem i dymem papierosowym.

– Przecież to niemiecki plan miasta. Zobaczcie, naszkicowali tu ruchy wojsk – stwierdził Tolek, z trudem panując nad emocjami, które zresztą udzieliły się i reszcie oddziału.

– Czyszczą Wolę – jęknął ledwo słyszalnie Kokos. – Jak tak dalej pójdzie, dzisiaj będą przy Halach Mirowskich...

– My jesteśmy tutaj. – Komar bezbłędnie trafił brudnym paznokciem w miejsce na skraju mapy. – W nocy przeszliśmy stąd.

Palec wskazujący przesunął się od jednego zielonego pola w kierunku drugiego; pierwsze pokryte było maleńkimi krzyżykami, drugie zaś kótkami. Potem przeciął linię oznaczającą tory kolejowe, ale nie zatrzymywał się, tylko brnął dalej w zieleń, by w końcu znaleźć się poza papierem.

Chłopcy spojrzeli po sobie. A potem na mnie. Jakby szukali potwierdzenia, a jednocześnie zwolnienia ze słowa, które nieopatrznie dali porucznikowi Błyskawicy; zresztą od tamtego czasu człowieka tego nie spotkaliśmy.

– Wyprawa na pociąg pancerny zakończyła się niepowodzeniem... – zacząłem.

Stojący na progu budki Myszołów poruszył się niespokojnie.

– Słuchajcie, chyba słyszę silnik...

– Lepiej się stąd zwijajmy. – Kokos jednym ruchem porwał mapę z parapetu.

Kilka chwil potem nasz oddziałek znalazł się na nasypie kolejowym. Nie było stąd widać wroga. Dopiero gdy weszliśmy na pierwsze tory, w perspektywie zamajaczyło kilka mundurów w kolorze granatowym i feldgrau. Po pociągu pancernym numer 75 nie było śladu. Przycupnęliśmy nisko i w takiej pozycji zaczęliśmy się skradać w stronę, gdzie zielenił się Lasek na Kole, oddzielający osiedla robotnicze w okolicach Obozowej od Fortu Bema. Kilka poruszonych

butami kamyków szarego tłucznia potoczyło się w dół.

*

Promienie prażącego od rana sierpniowego słońca z trudem przeciskały się przez swego rodzaju dach, który nad naszymi głowami tworzyły korony klonów i dębów. Wąska leśna ścieżka, nabrzmiata żyłami korzeni rosnących po bokach drzew, zakręcała ostro w lewo. Przy drodze leżały dwa powalone drzewa, układające się w literę L. Mimo że nie zarządziłem postoju, mali powstańcy zaczęli po kolei na nich siadać. Tolek wyciągnął zza pasa manierkę z resztką wody. Dostałem ją pierwszy. Woda była zatęchła, ale zimna. Aż bolały zęby. Pociągnąłem łyk i oddałem blaszane naczynie, które przez chwilę wędrowało z ust do ust.

Było jak na wycieczce za miasto. Nie dochodził tu huk wybuchów, a może po prostu walczące strony jeszcze nie zaczęły kolejnego dnia boju o miasto. Nawet odezwały się ptaki, może te, które dotarły tu, tak jak my, z piekła, a może miejscowe.

Po kolei przyglądałem się każdej twarzy. Kokos, Komar, Tolek, Sambor i najmniejszy Myszołów. Stan broni: od dwóch godzin dwie lufy i mój plecak, w którym, jak pewnie myśleli, też znajdowała się broń, bo co to za dowódca bez gnata? I dwadzieścia dziewięć pestek do stena. Jedna została na nasypie linii obwodowej w zastrzelonym strażniku kolejowym.

Zastanawiałem się, ilu wcześniej wrogów zabili ci chłopcy, którzy powinni byli w tej chwili kopać piłkę, a nie walczyć. I nie umierać w imię czyichś politycznych ambicji! Na szczęście tych pięciu miało ocaleć. Właściwie to chyba już ocalało. Wierzyłem w to głęboko. Może już niedługo nie tylko słońce, które pracowicie pięto się ku zenitowi, rozjaśni ich twarze. Dziś jednak były zacięte, poszarzałe nie tylko od kurzu. Przedwcześnie postarzałe...

Już układałem w głowie słowa, którymi miałem zamiar się z nimi pożegnać, kiedy nagle usłyszałem głos Tolka. Jako jedyny nie usiadł na pniu, nie uspił w sobie czujności.

– Chyba ktoś idzie.

W tym samym momencie rozległ się trzask łamanej suchej gałązki.

– *Hande hoch!* – krzyknął potężny facet w wyświechtanej skórzanej kurtce, który pojawił się nie wiadomo skąd.

Z góry po ścieżce, którą planowaliśmy iść, zbiegało dwóch następnych; to właśnie ich usłyszał Tolek. Ale to nie koniec: z drugiej strony, dróżką, którą przyszliśmy, zbliżało się jeszcze dwóch. Wszyscy ubrani byli bardzo podobnie.

– Spokojnie, chłopcy – powiedziałem, w duchu zaś przeklinałem sam siebie za zbyt wczesną radość, że zdołałem ich ocalić.

– *Hande hoch!* – powtórzył ten, który wylazł z lasu, celując w nas z niemieckiego empi.

Szybko i zgodnie wykonaliśmy polecenie. Chwila bacznej obserwacji wystarczyła jednak, by ocenić, że to nie są Niemcy. Przecież w tym *Hande hoch!* było coś dziwnego. No i buty ich jakies kiepskie. Jeśli Ukraińcy albo Rosjanie z RONA, to gorzej. Poza tym ich było pięciu, nas o jednego więcej. Przebierańca, uzurpatora, ale o tym nikt prócz mnie nie wiedział.

– Kim jesteście? – zapytałem tak po prostu, jakbyśmy spotkali się na jakimś wakacyjnym górskim szlaku.

Przez twarz olbrzyma w skórze, twarz, którą dzieliła długa, ukośna blizna, przebiegł grymas. A może, bo niczego człek już nie był pewien po takiej nocy, był to uśmiech.

– Polacy? – zapytał.

Ani my, ani oni nie mieliśmy na rękawach opasek w barwach narodowych. Nie wiem dlaczego, ale rozkazałem zdjąć je chwilę po tym, jak przekroczyliśmy tory. A czemu oni ich nie mieli?

Powoli opuściłem ręce.

– Aleście nas nastraszyli. – Odetchnąłem z ulgą, wyczekując jednocześnie podobnej reakcji ze strony tamtego.

Ale się nie doczekałem. Tajemniczy leśni, wszak nawet niewielki Lasek na Kole mógł mieć swoich, nie opuszczali broni i nie przestawali w nas celować.

Co się dzieje, do cholery? Kim są ci ludzie? Może to znów jakiś zakamuflowany oddział żandarmerii, do której miałem szczęście od

samego początku?

Wtedy moi chłopcy zaczęli sobie przypominać, że mają języki w gębach.

– Kim jesteście? – powtórzył moje pytanie strzelec Komar.

– Wojsko Polskie – padła szybka odpowiedź. – A wy kto? Żydzi?

– Co?! – prychnął z kolei Kokos, co mogło być wyrazem zarówno zaskoczenia, jak i pogardy; znałem go przecież tyle co nic, podobnie jak resztę.

– To może czerwoni? – naciskał tamten, a na jego twarzy pojawił się kpiący uśmieszek; widać już pewny był zwycięzcy.

– Czego od nas chcecie? – burknąłem, przysuwając bliżej siebie plecak.

Jednak olbrzym z blizną nie dał się sprowokować. Wycelował we mnie brudnym palcem i spokojnie zadał kolejne pytanie, a dotyczyło ono, no właśnie, chyba sam tego chciałem...

– Co masz w tym plecaku?

Nie odpowiedziałem. Ale nie zapanowałem też nad odruchami i palce prawej dłoni kurczowo zacisnęły się na rzemieniu. Podniosłem się z pnia i stanąłem na szeroko rozstawionych nogach.

– Pewnie złoto – spekulował tamten, wciąż z tym samym uśmieszkiem.

– Złoto? – powtórzyłem, jakbym pierwszy raz słyszał to słowo, choć przecież pamiętałem ze szkoły nawet symbol chemiczny tego cennego kruszcu.

– A co?

– A gówno! – warknąłem.

I zaraz tego pożałowałem. Oprych w skórzanej kurtce i z blizną na gębie wyprowadził błyskawiczny cios, trafiając mnie precyzyjnie w żołądek. Skuliłem się i upadłem na kolana. I tak sobie klęczałem przed nim jak pokonany przed zwycięzcą, wciąż próbując złapać oddech. Młodociani powstańcy w milczeniu przyglądali się mojemu poniżeniu.

– Grzeczniej, Żydku – wycedził przez zęby bandyta. – Bo jeszcze możesz wylądować tam, gdzie twoja mamusia, tatuś i siostrzyczka.

Wtedy z pomocą przyszedł mi, a właściwie nam wszystkim, milczący dotąd Sambor. Tak samo jak kilka godzin wcześniej, kiedyśmy leżeli na nasypie, ściągnął z głowy hełm, otarł rękawem pot z czoła, po czym wbił wzrok w tamtego i wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Jesteśmy obstawą tego oficera – szybko wskazał ruchem głowy na mnie – i wykonujemy tajną misję. Musimy dostać się jak najszybciej do sztabu w Puszczy Kampinoskiej. To sprawa wagi najwyższej. Proszę umożliwić nam kontynuowanie misji...

Nawet jego druhowie patrzyli na niego, jakby widzieli go po raz pierwszy. Ja zaś, tak jak przed paroma chwilami przyglądałem się twarzom smarkaczy, tak teraz zacząłem przyglądać się nieproszonym gościom. Próbowałem sobie przypomnieć gęby tamtych rzezimieszków, których w lesie pod Czachówkiem próbowaliśmy nauczyć dobrych manier i którzy teraz chcieli wyrównać rachunki. Od chwili kiedyśmy przecięli linię kolejową, trzeba się było liczyć z tym, że możemy się na nich napatoczyć. Ale czy to któryś z nich? Parę lat w końcu minęło. Na pewno nie był to ten, który mnie uderzył.

– A ja jestem, kurwa wasza mać, królem brytyjskim – prychnął w odpowiedzi na tyradę Sambora.

Tak naprawdę to dopiero teraz poczułem strach. I może właśnie dzięki temu nie podskoczyłem, kiedy rozległ się huk wystrzału. Kula dosięgła człowieka z blizną, który stał najbliżej. Oberwał chyba w brzuch. Wypuścił w rąk empi. Niemal w tej samej chwili zaczęli się zginać ci, którzy do nas mierzyli z dwóch stron. Po jednym z każdej pary, podczas gdy ci drudzy rzucili się do ucieczki. Wyglądało to jak wyuczony i wyreżyserowany w najdrobniejszych szczegółach układ choreograficzny.

Ale już ruszyła za nimi pogoń. Komar i Tolek kilkoma uderzeniami pięści i kopniakami, czego mogli się nauczyć zarówno na podwórkach Pragi, jak i Mokotowa, powalili tego, który chciał zwiać w stronę Warszawy, a Kokos eleganckim kopnięciem, jakby wykonywał rzut karny, wytrącił z ręki nóż, a następnie poprawił,

trafiając z skroń drugiego, co to planował uciec w głąb lasu. Orkiestrowy tusz i towarzysząca mu gimnastyka trwała kilka sekund. Po tym czasie wszyscy napastnicy leżeli na ziemi: martwi bądź tylko unieruchomieni. Nie wiedzieliśmy tylko jednego – kto jest naszym wybawicielem, komu zawdzięczamy życie.

– Wszystko pod kontrolą, poruczniku! – zawołał w moim kierunku Komar.

– A dziękuję, dziękuję – dobiegł zza zakrętu jeszcze jeden głos.

Jak na komendę odwróciliśmy się i spojrzeli w tamtym kierunku. Oto wielkimi krokami sadił w naszą stronę uśmiechnięty żołnierz. Przymrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć, a może po to, by powstrzymać łzy. Był to bowiem Władek Michalski we własnej osobie. Porucznik, ale ten prawdziwy. Rozpięta głęboko mundurowa kurtka, zamiast rogatywki, którą nosił ostatnio, beret, ale nonszalancko wsunięty pod naramiennik, w ręku bergmann – wyglądał jak myśliwy wracający z udanego polowania. Wiele zresztą w tym było prawdy.

– Bacność! – zawołałem, by sprawiedliwości stało się zadość, a jednocześnie uprzedzając wszelkie pytania i niedomówienia. – Panie kapitanie...

– Jeszcze poruczniku – sprostował Władek, a ja odetchnąłem z ulgą, bo właśnie pozbyłem się kilku ewentualnych kłopotliwych pytań ze strony podkomendnych; drugą sprawą było nie wysypać się z wymyślonym pseudonimem: – Melduję grupę specjalną...

– Dobra, dobra – przerwał mi szkolny kolega.

Po czym najnormalniej w świecie wpadliśmy sobie w ramiona. Wydawało mi się, że wcale nie jest zdziwiony, że mnie widzi.

– Władek, kurwa, co to było? – Głos mi się zaczął łamać.

– Bandyci. To tylko zwyczajni bandyci... – syknął, po czym kopnął w bok jednego z leżących, który próbował wstać z ziemi. – Na których od dawna polowałem – dokończył.

X

Czysty przypadek? Opatrzność Boża? Nazywajcie to, jak chcecie! Ważne było, że znów udało mi się wyjść w jednym kawałku z opresji, choć żołądek nadal mnie bolał po uderzeniu bandziora z blizną na gębie. A do tego ocalić tych, którzy mieli być ocaleni. Mimo że znaleźli się pod moją opieką nie do końca zgodnie z moimi planami, nigdy bym sobie nie darował, gdyby któremuś z nich coś złego się stało. Niezależnie od tego, czy byłby to krewki Komar, dziwny i nieobliczalny Sambor czy niewinny Myszołów. Udało się bez najmniejszego draśnięcia. Może tylko portki mieli mokre. Niekoniecznie od porannej rosy.

Nie mogłem jednak dopuścić do tego, aby Michalski, cudownie odnaleziony po wielu dniach przyjaciel, dowiedział się o mistyfikacji.

– Co ty tutaj robisz, do ciężkiej cholery, Antek? – zapytał półgłosem, chwyciwszy mnie pod ramię, kiedy już szliśmy leśną ścieżką.

– To długa historia – odrzekłem.

– Oby każdy z nas miał kiedyś do opowiedzenia właśnie taką.

– Szukam ojca. Ma kłopoty.

– Czyżby porachunki z przemysłowego szlaku?

Niemal stanąłem w miejscu.

– Skąd wiesz?!

– Nietrudno zgadnąć. Różne szumowiny wylazły na świat, aby skorzystać z całego zamieszania. My się bijemy o Warszawę, a inni kradną. Sam przecież poznałeś fałszywych żandarmów. A teraz ci tutaj...

Smętnie zwiesiłem łeb.

– Ojciec jest gdzieś tu blisko czy wypuszczasz się pod Grójec? – zapytał po chwili.

– Z tego, co udało mi się dowiedzieć, to to pierwsze. Prawdopodobnie przebywa w jednym z domków przy ulicy

Dobrosława.

– No to załatwimy to, póki jestem rozgrzany. – Władek podniósł zawadiacko broń, za pomocą której kilka chwil wcześniej załatwił już inną sprawę.

Nie powiem, było to wielce kuszące rozwiązanie: wpaść do środka i wszystkich wytluc, tak jak nasi wytlukli do nogi i bez apelacji Niemców ukrywających się w sklepie obuwniczym przy Złotej. Zaraz jednak pomyślałem o Alinie i Leszku, a nawet o ojcu. A co, jeśli tamci zrobią im krzywdę? Nie, nie mogłem podjąć takiego ryzyka...

– Muszę to zrobić sam – powiedziałem twardo, choć nogi ugięły się pode mną na samą myśl, że będę musiał podjąć pertraktacje ze zbirami, którzy pałają żądzą zemsty.

– Jak chcesz.

Odwrócił się i spojrzał na swoje dzieło: ocalonych i pokonanych. Jeśli chodzi o tych ostatnich, to ci, lekko postrzeleni, szli noga za nogą, eskortowani przez Komara ze stenem i Kokosa z karabinem. Ci tylko poturbowani zaś nieśli na noszach skleconych z gałęzi i pasków swojego martwego herszta. Władek tłumaczył, że do zdjęcia.

– Opowiesz mi kiedyś, jak się między nimi znalazłeś, co? – Władek Michalski spojrzał na mnie z ukosa.

Ech, jakże wtedy wierzyłem, że będzie jeszcze jakieś „kiedyś”. Wszystko przecież za tym przemawiało: słońce, szum, drzew, śpiewające ptaki.

– Pewnie, że tak – obiecałem. – Ty mi chyba też jesteś dłużny małą opowiastkę, co, Szymonie?

– Część jest co prawda ściśle tajna, ale myślę, że da się załatwić.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie kwaterował jego oddziałek. Okazało się, że są tu tylko tymczasowo i lada chwila mają iść dalej. Czy do wspomianej wcześniej tak często Puszczy Kampinoskiej, nie dociekałem. Dowiedziałem się za to, co robił Michalski w tamtym miejscu.

– Ludzie z okolicy skarżyli nam się na tych bandziorów – powiedział. – No to wziąłem rozpylacz i wyszedłem sobie na grzyby...

– Na grzyby?! – parsknąłem śmiechem, bo przecież sam jeszcze nie

tak dawno tłumaczyłem tym swoją wycieczkę na Koło.

– Podobno już się zaczęły pojawiać, chociaż ja znalazłem tylko kilka psiaków. – Machnął ręką z pogardą i rezygnacją.

Oddziałek podporucznika Szymona stacjonował w pierwszym obejściu przy lesie. Oficer musiał mi to zresztą powiedzieć, bo nie zwiastował tego żaden dym z ogniska, nie mówiąc już o partyzanckim śpiewie. Nie widać też było żadnego wartownika, choć byłem pewien, że każdy nasz ruch jest dokładnie obserwowany.

– Nieźleś się obłowił! – zawołał ktoś, kogo jeszcze nie dane nam było zobaczyć.

– Tym razem ani rydz, ani Fryc – zaśmiał się Władzio.

Po chwili znaleźliśmy się w niewielkiej stodółce. Siano nagle ożyło, już któryś z Władkowych żołnierzy skoczył ze sporej wysokości, lądując z radością tuż przed swym dowódcą. Moi z kolei, ledwo zobaczyli kopki siana, dalej się na nie gramolić, by wyrwać choć kilka chwil snu. Po tym, co przeszli, należało im się.

– Kiedy stąd wychodzicie? – zapytałem Władka.

– Dzisiaj wieczorem – odpowiedział dowódca, by dodać: – Niech śpią i zbierają siły. Potem damy im coś na ząb. Zachowało się jeszcze co nieco ze szkopskich magazynów.

Z kolei bandyci, których obejrzał i opatrzył lekarz, pochowali na skraju lasu swojego herszta. Bez honorów, choć się przecież przedstawił jako polski żołnierz. A potem kazano im się rozebrać do bielizny i puszczono wolno. Władek długo stał w drzwiach stodółki i odprowadzał wzrokiem czwórkę rzezimieszków, którzy coraz oglądali się za siebie, czy ktoś aby im w plecy nie celuje.

– Myślisz, że nauczyłeś ich rozumu? – zapytałem przyjaciela.

– Oczywiście, że nie – odparł. – Gównno zawsze wypłynie. Ale lepiej później niż teraz.

– Święte słowa.

Korzystając z chwili spokoju, wyciągnąłem z plecaka mapy, które ukradłem w szpitalu, i rozłożyłem je na ziemi. Nie miałem zamiaru ukrywać faktu, że je mam. Zastanawiałem się tylko, czy Michalski uzna je za jakieś wielkie rewelacje; mogło się przecież okazać, że

Sokołowi sprzedano lipę, a ja bez powodu miałem wyrzuty sumienia. Z drugiej strony przez pół Warszawy mnie przeprowadziły...

Podporucznik Szymon kucnął obok mnie i przez dłuższą chwilę w milczeniu przyglądał się kolorowym rysunkom. Potem zaczął wodzić palcem po papierze.

– Coś mi się tutaj nie zgadza – mruknął, po czym sięgnął do swojego mapnika, z którego wydobył wyświechtaną sztabówkę; rozłożył ją obok.

Zerkałem na niego, ciekaw reakcji. Czułem się dokładnie jak smarkacz, który wyniósł na podwórko nową zabawkę, by się nią pochwalić przed innymi smarkaczami. W dodatku jest pewien, że mu się to uda.

– Skąd ty to masz, Antek? – usłyszałem wreszcie pytanie, na które czekałem.

– Od tych, którzy mają was wszystkich w głębokim poważaniu – odrzekłem. – Tylko tyle ci mogę na razie powiedzieć.

Przeciągnął dłonią po twarzy, westchnął ciężko.

– Są twoje, Władek – wreszcie wypowiedziałem zdanie, które kołatało mi się w głowie właściwie od chwili, kiedy ujrzałem go, samotnego krzyżowca, na leśnej drodze. – Wyprowadź wszystkich, których jesteś w stanie wyprowadzić.

– A ty?

Ponownie sięgnąłem do plecaka jak ten iluzjonista do cylindra po białego królika i wyciągnąłem mapę, którą chłopcy znaleźli u bahnschutzów i którą mi oddali.

– Mam niemiecką sztabówkę. Jeszcze ciepła. – Rozłożyłem i ją przed sobą.

Nic nie powiedział. Chyba go zbiłem z pantafyku tymi asami, podczas gdy on miał tylko kiepskiego waleta. Jeszcze przez dobrych kilka chwil wodził wzrokiem po moich mapach, porównując je ze swoją. Wreszcie zaczął je składać starannie, by na koniec umieścić w mapniku.

– Dziękuję. – Ucisnął mi dłoń.

– Nie ma za co.

– Gdybyś jednak zmienił zdanie, mam kilku kozaków, którzy nawąchali się prochu. Pójdą chętnie. A jeśli nie, to przynajmniej zapamiętaj, że wychodzimy stąd o zmroku. Na Sochaczew.

– Czy to nie ten sam kierunek co Berlin?

– Dokładnie tak. Dołączcie do nas jak najszybciej, gdy tylko uda wam się geszeft.

– Będę pamiętał...

Wyprostowaliśmy się, otrzepaliśmy dłonie z kurzu i żółtkłych, suchych drobin, które zaścielały ziemię. Chwilę później usłyszałem znajomy głos:

– Panie poruczniku, panie poruczniku!

To wołał Myszołów, ten najmniejszy. Może bał się, nomen omen, myszy spotkanej w stodółce, jak ten Stefek Burczymucha z wierszyka dla dzieci, który pamiętałem z dzieciństwa. Szybko zarzuciłem plecak i wyszedłem na podwórko.

– Co się narodziło? – zapytał Myszołowa Władek.

– Ale ja do porucznika – wyjaśnił mały, chyba naprawdę czymś bardzo przejęty.

– Porucznik musiał już iść – rzekł ze spokojem oficer. – Teraz ja jestem twoim dowódcą, więc mów jak na spowiedzi, co się dzieje...

Więcej już nic nie słyszałem. Po kilku chwilach znalazłem się na drodze prowadzącej w kierunku osiedla robotniczego na Kole. Okolica sprawiała wrażenie wymarłej. Za cholerę nie wiedziałem, kogo mam się spodziewać: powstańców, Niemców, a może ataku nagusów, których wspaniałomyślnie wypuściliśmy zaledwie kilka chwil wcześniej.

Nikt mnie jednak nie zatrzymywał. Dotarłem na ulicę Dobrosława i odnalazłem właściwy domek. No właśnie, czy właściwy. Michniewicz mógł coś przecież pokręcić. Albo porywacze zmienić metę. Dom otoczony był żywopłotem, kiepsko utrzymanym. Bez wątpienia jednak pełnił funkcje maskujące. Ledwo się bowiem do niego zbliżyłem, usłyszałem męski głos; dobiegał z niewielkiej drewnianej komórki zaraz za bramką, która musiała pełnić rolę budki strażniczej.

– Czego?

Podałem nazwisko, zupełnie jakby mnie miano za chwilę zaanonsować na salonach u pana radcy albo ambasadora.

– Właż do środka – usłyszałem po chwili. – Tylko żadnych numerów.

No to wlażłem. W paszczę lwu. I... psu w dupę.

Dokładnie tak samo, trochę górnolotnie, a trochę nieprzystojnie, pomyślałem sobie tamtego dnia, pierwszego lutego 1944 roku...

*

– Panowie, jest kłopot – rzuciłem do chłopaków kurzących przed głównym wejściem do Szpitala Przemienienia, który mieścił się czasowo przy ulicy Sierakowskiego na Pradze, w dawnym Żydowskim Domu Akademickim.

A już byłem przecież na ulicy, w drodze do Zygmuntowskiej, gdzie miałem zamiar złapać tramwaj i przez most Kierbedzia dotrzeć do Śródmieścia. Wykonałem swoją pracę, dostarczyłem kiełbasę doktorowi Nowakowi. A jednak wróciłem...

Spojrzeni na mnie, jakbym mówił w jakimś obcym języku. Nie szukając długo – po węgiersku na przykład. Jeden z mężczyzn nie przerwał nawet żmudnej czynności, jak to na wietrze, zapalania kolejnego papierosa.

– Każdy ma jakiś kłopot, panie – rzucił inny obojętnie. – Szczególnie w tych czasach.

– Szczególnie w takim miejscu jak szpital... – dodał z nostalgią trzeci.

Po czym wszyscy trzej zaczęli udawać, że nie interesuje ich nic prócz przejeżdżającej właśnie po Sierakowskiego chłopskiej furki z drzemiącym woźnicą na koźle.

Ostrożni byli, nie ma co. Nie dać się podejść byle prowokatorowi, szpiclowi, który przybrał minę pełną bóleści, jakby mu przed chwilą wymordowali całą rodzinę – to była podstawa w tej robocie. Żadnych porozumiewawczych spojrzeń, trącania się łokciami, deptania po palcach. Oni po prostu wiedzieli. Podobno chłopcy, którzy się ukrywali w dziuplach, mieli w zwyczaju podnosić

słuchawkę telefonu, jak który miał telefon, dopiero po dziesiątym, a nawet dwunastym sygnale. Kto się chciał naprawdę połączyć, czekał cierpliwie.

Miałem jeszcze jeden ruch w tej grze: przypomnieć im, kim jestem. Nie mogli nie pamiętać. No, chyba że do każdej takiej akcji zatrudniali innego błazna, którego zadaniem było odciągnięcie uwagi. Ktoś gadał po węgiersku, inny może po japońsku, a jeszcze ktoś po prostu udawał wariata. Chociaż może nie, zważywszy na akcję o kryptonimie T4. Lepszy był atak apopleksji.

No i najważniejsze – nie poznali mnie. Jeszcze kilka chwil temu byłem w stanie na jednym wydechu powiedzieć im, że to ja. A następnie, równie szybko, ostrzec przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. W szpitalu, w którym doktor Nowak operował właśnie rannego podczas akcji konspiratora – może właśnie tego, który parę godzin wcześniej w Alejach Ujazdowskich wykonał wyrok na kacie Warszawy – znajdowali się granatowi policjanci.

– No, tak. Mają panowie rację – stropiłem się.

Pewnie myśleli, że chcę poprosić o papierosa. Może nawet któryś byłby tak dobry i mnie poczęstował. Bylebym się tylko odpieprzył i poszedł sobie. Mieli przecież swoje problemy. Wciąż byli w nerwach, niepewni, czy operacja się uda i kolega przeżyje.

A może wiedzieli, że ja wiem, kim są. Takich jak oni rozpoznawało się przecież bez trudu. I że poszedłem po rozum do głowy, przecież nie ściąga się nikogo z posterunku, bo gdzieś tam kogoś leją żandarmi albo bahnschutze i przydałaby się pomoc. A jeśli na nią już za późno, to przynajmniej jakiś odwet. W ten sposób myśląc, do niczego byśmy nie doszli. Może nawet dzisiejszego zamachu nie dałoby rady przeprowadzić, kto wie...

– Do widzenia – bąknąłem.

– W lepszych czasach – odpowiedział z wąskim uśmiechem ten, który przekonywał mnie, że każdy ma jakiś problem, po czym zaciągnął się głęboko dymem i pstryknął papierosem wprost pod koła przejeżdżającej rikszy.

Dopiero kiedy znalazłem się ponownie na szpitalnym korytarzu,

nadeszła refleksja. Właściwie to co chciałem osiągnąć? Doprowadzić do strzelaniny w szpitalu, bo przecież było jasne, że ci trzej mają coś pod płaszczami. A jednym z granatowych, który kontrolował praską lecznicę, był przecież Jarek Lenc. Mimo że nosił znieawidzony przez mieszkańców Warszawy mundur, nieraz oddawał mi przecież cenną przysługę.

Nie mogłem doprowadzić do awantury. Ledwo o tym pomyślałem, na końcu korytarza mignęły granatowe mundury w towarzystwie białego fartucha. Wyglądało na to, że policjanci zwrócili się o pomoc do kierownictwa szpitala. Oznaczało to, że albo dotrą we właściwe miejsce szybko i bezbłędnie, a wtedy będzie po zabawie, albo lekarz, jeśli ma związek z konspiracją, będzie ich zwodził, kluczył po piętach, zaglądał do magazynów, których nikt od dawna nie otwierał, i gipsowni. Wszystko po to, aby moment ten jak najbardziej odwlec...

– Antek?

To był Nowak. Spodziewałem się zakrwawionego kitla i rąk, po łokcie. Tymczasem znajomy medyk trzymał je w kieszeniach i przyglądał mi się z zaciekawieniem. Ale, ale! Czyżby tak szybko uwinął się z operacją...

– Myślałem, że już dawno wyszedłeś – zdziwił się.

Pociągnąłem go na stronę i zapytałem szeptem:

– Co z tym rannym?

– Nie wiem, czy mogę... – Zawahał się, ale kiedy przewróciłem oczami, zaczął mówić dalej: – Na razie zrobiliśmy, co mogliśmy. Wyjęliśmy kule, pozszywaliśmy patrochy. Na szczęście było co, bo jak kolega ratował Dawidowskiego w marcu tamtego roku... – Machnął ręką, westchnął, zaraz jednak jakby się przebudził. – A dlaczego właściwie pytasz? To jakiś twój znajomy? Też szmugler?

Najwyraźniej wciąż myślał, że ratuje życie mężczyźnie postrzelonemu na Dworcu Wschodnim podczas łążenia po torowisku. Trochę mnie to dziwiło, bo przecież wcześniej pracował w Tworkach, gdzie połowę stanu pacjentów stanowili ukrywający się konspiratorzy. Chyba należało go wreszcie wyprowadzić z błędu.

– Nie. To jeden z tych, którzy dzisiaj zabili w Alejach niemieckiego generała – wyrzuciłem z siebie jednym tchem. – Resztę doktor obsobaczył na korytarzu, bo palili...

Aż się za głowę złapał. Prawdę mówiąc, spodziewałem się takiego efektu.

– I właśnie w szpitalu jest policja. – Wbiłem ostatni niewidzialny gwóźdź.

Tym się jednak chyba nie przejął. A może po prostu ponownie poczuł zew. Ów dreszczyk emocji, który towarzyszył mu jeszcze niedawno.

– Chodź. – Teraz to on pociągnął mnie silnie za rękaw płaszcza.

Kilkadziesiąt minut wcześniej schodziliśmy razem na dół, dokąd wezwała doktora pielęgniarka, teraz pieliśmy się ku górze. Ale powód był ten sam.

– Zawieźliśmy go pod dwunastkę – poinformował mnie lekarz, kiedy już znaleźliśmy się na właściwym piętrze.

– To bezpieczne miejsce? – chciałem wiedzieć.

– Tak samo jak jedenastka i trzynastka. A w przesady nie wierzę – mruknął pod nosem. – Zobaczę, co da się zrobić. Poczekaj tu.

Chciałem zapytać, co właściwie ma na myśli i czy może zamierza przenieść rannego gdzie indziej, na przykład do piwnicy albo na strych. Ale Nowak już wśliznął się do środka i zamknął za sobą cicho drzwi. Opadłem ciężko plecami na ścianę i wbiłem wzrok w sufit. Zastanawiałem się, dokąd zdążyłbym dojechać, gdybym nie wrócił do szpitala...

– Tutaj już naprawdę nie ma czego oglądać, drodzy panowie – dobiegło naraz od strony klatki schodowej.

– Pan pozwoli, doktorze, że sami to ocenimy.

Drugi głos rozpoznałem bez pudła – to był Lenc. Było więc za późno, by przynieść rannego. Niewiele myśląc, wśliznąłem się do szpitalnej sali numer dwanaście. Doktor Nowak właśnie nakrywał prześcieradłem twarz zamachowca. Ujrawszy moje pytające spojrzenie, pokręcił głową. To nie był kamuflaż na potrzeby chwili; ten człowiek naprawdę nie żył.

– Niepotrzebnie tu wchodziłeś – powiedział jeszcze. – Możesz mieć kłopoty...

Nic nie odrzekłem. Za to pomyślałem o czymś innym niż ewentualne pytania przodownika Lenca, który lada chwila mógł wkroczyć do sali w towarzystwie ordynatora i drugiego granatowego policjanta o nazwisku Koźmiński.

– Gdzie są rzeczy osobiste tego człowieka? – zapytałem.

– Według przepisów powinny być w depozycie, ale prawdopodobnie jeszcze tam nie dotarły. Czyli są... – Lekarz zawiesił głos, po czym nagle wykonał gwałtowny skłon.

Zrobiłem to samo. Chwilę potem, dokładnie w tym samym momencie, gdy otwierały się drzwi sali numer dwanaście, podtrzymywany przez doktora Nowaka i trzymający się kurczowo za brzuch, robiłem pierwszy krok w stronę drzwi.

– Myślałem, że już dawno wyszedłeś – zdziwił się Lenc, używając nawet tych samych słów co Nowak przed paroma chwilami, a dopiero potem zaniepokoił: – Co ci jest?

– To chyba zapalenie otrzewnej – odpowiedział za mnie lekarz. – Proszę nas przepuścić! Nie ma czasu...

– Tak, każda chwila jest ważna – lekarzowi przyszedł w sukurs ordynator.

Granatowi rozstąpili się i to tak szeroko, jakbym miał nie chorobę kiszek, ale co najmniej dżumę.

– A ten chłopak z Dworca Wschodniego właśnie umarł, panie ordynatorze – rzucił jeszcze przez ramię niezawodny doktor Nowak, po czym obaj zniknęliśmy za progiem.

*

Tak zakończyła się moja przygoda w Szpitalu Przemienienia. Jak się pewnie domyślicie, nie miałem żadnego zapalenia otrzewnej ani nawet bólu brzucha spowodowanego nerwami. Nie miałem też od tamtego czasu żadnego kontaktu z konspiratorami, którzy związani byli z zamachem w Alejach Ujazdowskich. Jak przypuszczałem, oni bardzo by chcieli. Nie mieli jednak pewności, że chodzi o mnie.

Czarną teczkę z dobrze wyprawionej skóry, którą zabójca generała zabrał z jego samochodu chwilę po wykonaniu wyroku, potem nie odstępował ani na chwilę, a na koniec wyjęto mu ją z bezwładniejących od narkozy rąk, no więc ową czarną teczkę wynieść ze szpitalnej sali za pazuchą, niekoniecznie udając przy tym chorobę, mógł przecież każdy...

*

– Stój!

Zatrzymałem się w pół kroku. Drzwi domku za moimi plecami zamykały się bardzo powoli i zadziwiająco wręcz, zważywszy na to, jak wyglądały, bezgłośnie.

– Łapy do góry! – zabrzmiało kolejne polecenie.

Jako że plecak miałem w tej chwili tam, gdzie należało go nosić, bez trudu uniosłem obie ręce nad głowę. Co oczywiście nie oznaczało, że chętnie. Z drugiej strony w piątym roku wojny należało się już do tego przyzwyczać. I podnieść wysoko, żeby nie było wątpliwości. Nawet wtedy, kiedy się nie widziało wycelowanej w swoją stronę lufy. A tak było właśnie w tym przypadku. Nie wiedziałem, z kim mam nieprzyjemność, a to oznaczało, że wciąż nie miałem pewności, czy trafiłem pod właściwy adres. To, że podałem nazwisko, nie świadczyło o niczym. A głos niewiele mi mówił.

Znalazłem się w mrocznym przedsionku. I niskim, bo palcami rąk niemal dotykałem nieoheblowanych desek sufitu. Na drugim końcu mojego istnienia, pod stopami, skrzypiała podłoga. Roznosiła się tutaj woń charakterystyczna dla wiejskich obejść, którą znałem z niegdysiejszych wojaży z ojcem po guberni. Była to mieszanka potu, zgniłej trawy, zbutwiałego drewna i smażenia. I pomyśleć, że wciąż znajdowałem się w granicach Warszawy. Z drugiej strony tam czuć było teraz smołą, spalonymi ludzkimi włosami i mięsem, fosforem...

– Co masz w tym plecaku? – padło pytanie; głos dochodził z przodu, z izby.

Tym razem nie mogłem sobie pozwolić na to, by być hardym czy niegrzecznym. Stawka, o którą grałem, była zbyt wysoka.

– Fanty – odpowiedziałem.

– Fanty? – zdziwił się chyba także tym, że znam fachowe słownictwo.

– Tak.

– A nie wybuchną aby?

– Tego to ja już nie wiem...

Jeśli się zaśmiał pod nosem, zadając pytanie, to pewnie teraz uśmieszek zniknął z jego gęby. Tak to sobie wyobrażałem. Jednak nie żałowałem wypowiedzianych słów. Przyszedłem tu po prośbie, ale kwilił nie będę.

– Wchodź do środka. Tylko powolutku, jak do kościółka. Ręce nadal wysoko – instruował mnie z wprawą.

– O niczym innym nie marzę od kilku dni...

Wyglądało na to, że na mnie czekali. Przekroczyłem próg izby. Tutaj również panował półmrok za sprawą zabitych okien, co zdążyłem zauważyć już wcześniej. Sekundę później ktoś zaświecił mi prosto w twarz latarką. Odruchowo opuściłem prawą rękę, aby przestonić oczy.

– Ręce. Było mówione! – krzyknął ten sam osobnik.

Zrobiłem, jak chciał. Przymrużyłem oczy i przeszedłem do rzeczy.

– Gdzie jest moja rodzina? – zapytałem.

– Dowiesz się w swoim czasie.

Dotąd zaczejeni w ciemności, rzucili się na mnie z impetem z dwóch stron. Otrzymałem cios w żołądek, który, mimo że nie był tak silny jak tamten na leśnej drodze, sprawił, że zgiąłem się wpół. Wtedy drugi z napastników kilkoma ruchami zdarł mi plecak. Kiedy poczułem, że mnie obmacują, odruchowo zwarłem uda. Zaraz jednak któryś zmusił mnie do tego, żebym stanął w rozkroku, kopniakiem w wewnętrzną kostkę lewej nogi. Zacisnąłem zęby, jednocześnie wciąż usiłując złapać oddech po pierwszym uderzeniu.

– Czysty, szefie – zameldował jeden wysokim głosem.

– Dawać go tutaj.

W chwili gdy dokładnie naprzeciwko mnie, tam skąd świeciło światło, otworzyły się następne drzwi, wykręcili mi ręce do tyłu.

Pchnęli. Prowadzony w sposób, w jaki prowadzi się ludzi niebezpiecznych – co właściwie mogło mi schlebiać – znalazłem się w następnym pomieszczeniu. Tu było już o wiele jaśniej. Od razu ujrzałem siedzącego za stołem mężczyznę. Od razu go też poznałem – to był jeden z tamtych. Wtedy, kiedyśmy ich dopadli w lesie pod Czachówkiem, miał na sobie okropny zielony szalik. Właściwie to oni wtedy zaczęli, zaczepili mnie, pytając, czy mam papierosa. A kiedy odparłem, że nie, to czy może mam parę złotych na zbyciu. Miałem, owszem, ale kilka ciosów, których zresztą i tak nie zadałem, bo sprawą zajął się niezawodny Franek Bela i jego spluwa.

– I co, synku, znów się spotykamy? – odezwał się z pełnymi ustami, przed nim leżało bowiem pęto kiełbasy, pół bochenka chleba, czyli rzeczy, za które ludzie kilka kilometrów stąd z pewnością by się zdeptali, i stała wypełniona w połowie flaszka popularnej wódki, którą też by nikt nie pogardził.

Poczułem, jak krew uderza mi do głowy. Ten widok, te słowa pełne pogardy, włącznie z tym jego „synku”.

– Gdzie moja rodzina? – zapytałem ponownie.

– Jaka rodzina? – udał głupiego.

Zauważyłem, że flaszka wódki jest jedna, ale szklanki dwie. Obie napełnione. Wtedy jednak nie dało mi to jeszcze do myślenia. Szarpnąłem się, ale tamci zareagowali w porę. Jeden z nich podniósł rękę, którą wciąż trzymał mnie za nadgarstek. Nie potrzebował nawet wkładać w to wiele wysiłku. Lata praktyki. Musiałem się wykazać ogromną siłą woli, żeby nie wrzasnąć. Ale dokazałem tego i skończyło się tylko na cichym jęknięciu i wykrzywieniu gęby.

– Ojciec, jego żona i półtoraroczne dziecko – wyliczyłem półgłosem.

Zrobił wielkie oczy. A nawet cofnął rękę, która najpewniej miała sięgnąć po kolejny kawałek kiełbasy. Następnie spojrzał pytająco na kamratów.

– Widzieliście tu kogoś takiego, chłopaki?

Pokręcili głowami. Herszt bandy zrobił minę niewiniątka i rozłożył szeroko ręce.

– Sam widzisz – przerwał pantomimę.

Zacisnąłem dłonie w pięści, mimo że nadal mnie mocno trzymali. Nie zareagowali jednak na tę zmianę.

– No widzę – mruknąłem.

Byłem pewien, że facet się ze mną drażni. Mógł to robić, bo to ja przyszedłem do niego.

Po chwili dał znak ręką. Wtedy jeden z mężczyzn podszedł do stołu i wysypał nań zawartość mojego plecaka. Najgłośniej o blat stuknął oczywiście krucyfiks, najciszej upadł niemiecki plan Warszawy.

– Co my tu mamy? – Bandziór uniósł ręce nad stołem w geście błogostawieństwa, przez dłuższą chwilę wodził wzrokiem po fantach; jak można się było domyślić, największe zainteresowanie wzbudził srebrny krzyż. – Obrobicieś kurię biskupią?

– Nie. To własność przyjaciela.

– Bajuj, bajuj, będziesz w raju.

– Jak pan nie chce, niech pan nie wierzy... – odpartem ze spokojem.

Dopiero po sekundzie uświadomiłem sobie, że tłumaczę się, jakbym stał przed oficerem policji, a nie przed zwyczajnym bandziorem! Tymczasem on przez chwilę ważył w ręku krucyfiks, jakby przeliczał jego wagę na liczbę głów, które ocali. Dwie, może tylko jedna. A jeśli tak, to kto doczeka się ułaskawienia i odzyska wolność – ojciec, Alina czy może niewinne dziecko? A nam powtarzano, odkąd pamiętałem, że Chrystus oddał życie za wszystkich ludzi...

– Jaka ciekawa mapa. – Zaszeleścił papierem. – Też dostałeś od przyjaciela?

Przełknąłem ślinę.

– Zresztą nieważne – rzucił półgębkiem, po czym sięgnął po szklankę i wypił z niej łyk wódki czy samogonu (nie byłem ciekaw), a potem zakąsił kawałkiem kiełbaski.

To właśnie ona, kiełbasa, była wszystkiemu winna. Zrobiona przez chłopa w dobrej wierze, następnie sprzedana i przywieziona do miasta, gdzie cieszyła oko, zmysł powonienia, a wreszcie podniebienie. Za każdym razem obserwowałem reakcje ludzi,

którym dostarczałem towar: wzruszenie, niedowierzanie, że to nie sen. Czasem było to zawstydzenie, a nawet nabożna wręcz cześć, jaką oddaje się tykanej w kościele hostii...

Prawda była jednak taka, że gdyby ojciec mój w pierwszym roku wojny nie zajął się szmuglem, nie spotkałby na swojej drodze złych ludzi, z których jeden siedział w tej chwili przede mną. Kto wie, może zajadał się, kiep pierdolony, kiełbasą od tego samego gospodarza, u którego zaopatrywał się tata. A może to właśnie jemu ją zabrał! Ojciec musiał się przecież wybrać na wyprawę z wałówką, choćby niewielką. Także dlatego, że miał wrócić z najbliższymi. Albo przeciwnie – uciekać z miasta. Tak czy siak – nie sam.

– I to wszystko? – Bandyta spojrzał na mnie.

– Nie rozumiem – sapnąłem, ponieważ tamci dwaj nie chcieli zwolnić uścisku.

Mężczyzna chyba to zauważył.

– Puśćcie go, chłopaki. Będzie greczny – rzucił do nich i zaraz przeniósł spojrzenie na mnie. – Będziesz, prawda?

– Tak.

Uczynili zadość poleceniu. Wyprostowałem się z ulgą i zacząłem rozcierać nadgarstki.

– Pytałem, czy to wszystko – powtórzył tamten, nalewając znów alkoholu do szklanki, a robił to przesadnie wolno, a w efekcie: głośno. – Mówiłeś, że masz jakieś fanty. Trochę mało jak za ludzką wolność. A kto wie, może nawet życie...

Drgnąłem. Tylko tyle, bo przecież obiecałem, że nie będę wierzgał. Podejrzewałem zresztą, że nie zdążyłbym dopaść stołu, bo zaraz by mnie capnęli ci dwaj.

– Kogo ma pan na myśli? – zapytałem, po czym znacząco spojrzałem na boki. – Przecież tu nie ma nikogo prócz nas.

– Szybko się uczysz, synku. – Herszt bandy zatarł z zadowoleniem dłoń.

– Proszę tak do mnie nie mówić.

– Racja. Ojciec jest tylko jeden. Właśnie jednego złapaliśmy kilka dni temu, jak się tutaj do nas zakradał ciemną nocą. Może

sprawdźmy, czy to aby nie twój ojczulo, co?

Dał znać głową. Jeden z zakapiorów jakby tylko na to czekał. Ruszył żwawo w kierunku kolejnych drzwi, znajdujących się na prawo od stołu, przy którym siedział jego szef. Były dość małe, więc zanim je otworzył, domyśliłem się, że to pewnie jakaś komórka, składzik, ewentualnie dawna spiżarnia. Tak też było. Z tą różnicą, że zamiast miotły czy wiadra, zamiast kolejnej chłodnej flaszki samogonu bandzior wyciągnął stamtąd... mojego ojca. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że trafiłem pod właściwy adres.

*

Tata miał związane sznurem ręce i nogi, usta zaś zakneblowane brudną szmatą. Nie zauważyłem sińców ani zadrapań, co oczywiście nie oznaczało, że nic mu nie jest. Bandyta trzymał go za kołnierz kurtki jak nastoletniego złodziejaska złapanego na gorącym uczynku. Z tą różnicą, że tata się nie szarpał.

– I co? – zapytał bandzior nie bez satysfakcji.

– To mój ojciec – przyznałem, bo nie było sensu kombinować.

Znów zatarł dłonie.

– A zatem chyba ubijemy interes.

Nie potwierdziłem, ale i nie zaprzeczyłem. Wciąż spoglądałem na tatę. Oczy łaskotała mi wilgoć, a serce się krajało, choć przecież już widziałem go i pobitego (sprawca siedział dwa metry ode mnie i uśmiechał się!), i sponiewieranego do cna. A nawet siedzącego na ławie oskarżonych, jeszcze przed wojną. Jednak chyba nikt z nas nawet w najczarniejszych snach nie spodziewał się, że kiedyś przyjdzie nam przeżywać coś takiego...

– Ubijemy – powtórzyłem głucho. – Jeśli zobaczą resztę rodziny.

Na te słowa ojciec zaczął się dziwnie zachowywać: kręcił zapamiętałe głową i usiłował coś powiedzieć, ale niczego nie byłem w stanie zrozumieć. O co mogło mu chodzić? Nie chciał, żebym ich wykupił?

Herszt bandy znów dał znak i jego człowiek na powrót wepchnął ojca do kanciapy. Następnie zamknął drzwi. Mimo to nadal

słyszałem jego miarowe rzęzenie.

– Resztę rodziny? – rzucił z lekceważeniem człowiek, który pragnął zemsty za niegdysiejszą krzywdę. – Za ten krzyżyk i starą szwabską mapę?

– To nie są rzeczy, które jestem gotów wymienić za swoich bliskich – wypowiedziałem wreszcie zdanie, które wcześniej powtarzałem sobie wiele razy.

– Domyślam się – warknął, po czym znów dał znak swoim ludziom. – Jechać z nim.

Znów mnie dopadli. Tym razem nie po to, by unieruchomić, zapobiec ewentualnemu atakowi na ich wodza, na co, nie ukrywam, nadal miałem ochotę.

Nie. Oni... zaczęli zdzierać ze mnie ubranie – najpierw koszulę, potem spodnie. Przy pierwszym przeszukaniu nie znaleźli broni, co oczywiście nie świadczyło o tym, że nie mam przy sobie innych rzeczy. Przemysłowcy i handlarze żywnością prześcigali się w pomysłach na schowki. Sam podróżowałem kilka razy pociągiem z tułowiem obwiązany pętami kiełbasy. Ojciec wymyślił też specjalną saszetkę, w której trzymał banknoty. Miał ją najprawdopodobniej przy sobie i teraz, w dodatku pełną. Dlatego podobnej szukali u mnie.

Nie stawiałem oporu. Po chwili stałem na środku izby w samych gaciach. Zupełnie tak samo jak herszt bandy tamtego wieczoru w lesie pod Czachówkiem.

– Niczego – zameldował mu jeden z jego ludzi.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Mam je w Warszawie. Dokładnie na Woli...

– Podobno nie ma już Woli – skwitował błyskawicznie tamten.

– Ale są cmentarze. Tam ukryłem pieniądze.

– Na cmentarzu?

– W jednym z grobowców.

Przez chwilę patrzył na mnie, jakbym przybył z jakiejś obcej planety.

– Co nam dziś po młynarkach! – prychnął z pogardą i miną, jakby

mu dali do powąchania świeżą kupę. – Ludzie umierają na ulicach, mając pełne ich kieszenie.

Właściwie to czekałem na te słowa. Jak szuler na pokerowe „sprawdzam!”.

– Mam dolary – powiedziałem, by zaraz sprecyzować: – Pięć tysięcy dolarów w nowiułkich banknotach.

I wstrzymałem oddech w oczekiwaniu na efekt tych słów. Słów, których jeszcze nigdy nie wypowiedziałem na głos. Czy dlatego, że nie mogłem uwierzyć w to, co się stało? A może po prostu bałem się, że ktoś usłyszy, a wtedy będzie bieda? Ktoś – czytaj: oni. Nie Niemcy. Swoi!

W teczce, którą tamtego dnia wygarnąłem spod szpitalnego łóżka martwego zamachowca, a następnie – za podszeptem doktora Nowaka – udając ostre zapalenie otrzewnej, wsunąłem za pazuchę, było aż zielono od dolarów. Przekonałem się o tym, gdy otworzyłem ją w zaciszu mieszkania na Jasnej. Twarda waluta była w stanie przekonać każdego, nawet w ostatnim kręgu piekła.

Nie wiedziałem, czy zamachowiec, który 1 lutego 1944 roku w Alejach Ujazdowskich wykonał wyrok na szefie SS i policji na dystrykt warszawski, wiedział, co wyniósł z samochodu, być może capnął w ostatniej chwili, ryzykując życie. Czy zdawał sobie z tego sprawę podporucznik, a wtedy jeszcze podchorąży Sokół, bo to on był jednym z tych, którzy nerwowo palili papierosy pod salą operacyjną, a potem przed wejściem do Szpitala Przemienienia na Pradze? Z tego, co usłyszałem, ukryty kilka dni temu w szafie kanciapy powstańczego szpitala, rozpoznał mnie. A swoimi późniejszymi czynami utwierdziłem go w tym przekonaniu.

To wszystko nie było już jednak ważne, bo oto pieniądze miały zmienić właściciela. W głębi duszy czułem, że prędzej czy później tak się stanie. Skarb był dobrze schowany w jednej z drewnianych skrytek, które ojciec zbudował w naszym mieszkaniu na początku okupacji. Jedne z nich mieściły miniaturowe spizarki, inne na przykład radio, którego tata nie oddał, mimo że za jego słuchanie groziła śmierć. Były tak dobrze i zmyślnie ukryte, że Niemcy

musieliby otrzymać donos, żeby do nich dotrzeć. A byle kogo na Jasną nie wpuszczaliśmy. Nie mówiąc już o słuchaniu radia przy osobach postronnych. Tata zresztą rzadko słuchał wiadomości, bardziej interesował go jazz, a tego w zachodnich rozgłośniach nie brakowało.

Gdy Michniewicz zasnął, otworzyłem i szybko opróżniłem skrytkę. Właściwie bez wielkiego żalu. Były to pieniądze, które zdawały się parzyć. A ryzykować bąble można było tylko w jednym przypadku – czarnej godzinie. Ta właśnie nadeszła. Nigdy bym się jednak nie spodziewał, że dolary trzeba będzie oddać nie okupantom, ale Polakom...

– Baju, baju. – Bandzior przerwał moje rozmyślania, o których nawet nie byłbym w stanie powiedzieć, czy trwały kilka sekund, czy pół minuty.

Spodziewałem się takiej reakcji.

– Pański wybór. Ja tylko mówię, jak jest. Zastrzel pan wszystkich i zostaniesz z niczym – rzuciłem pewnie i twardo, z lekką domieszką lekceważenia; ten tekst zdążyłem przećwiczyć po drodze.

Problem w tym, że ciało zagrało zupełnie inaczej. Nagle zacząłem bowiem dygotać. Tamten nie mógł tego nie zauważyć. I nie wykorzystać.

– Pękasz, co? – zapytał nie bez satysfakcji.

– Nie.

– Bujasz mnie i właśnie wyszło szydło z worka.

– Myli się pan. Nie bujam.

– Czyżby?

– Po prostu trochę zimno się zrobiło – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, wciąż stałem tu przecież z samych gaciach i na bosaka.

Wychylił szklankę i odstawił na blat nazbyt głośno.

– To już teraz wiesz, skurwielu, jak my się czuliśmy, gdyście nas wtedy zostawili przywiązanych do drzew pod Czachówkiem! Powinienem zrobić z wami to samo.

Było więc jakieś „ale”. Czyżbym naprawdę zainteresował tego człowieka swoją ofertą? – zastanawiałem się.

– Skąd właściwie masz te dolary? – zapytał po chwili.

I na to byłem przygotowany. Postanowiłem, że wykorzystam pewną historię, która mi się przydarzyła w czasie, kiedy jeździłem rikszą. I dodam do niej trochę inne zakończenie. Pewnego dnia odebraliśmy z ojcem w okolicach ulicy Towarowej tajemniczy nesesor. Tak naprawdę to miał to zrobić ktoś inny, bo ktoś inny posługiwał się wówczas naszą rikszą żywicielką, ukradzioną kilkanaście dni wcześniej. Myśmy ją tamtego dnia psim śwędem odzyskali, znaleźli kartkę z adresem i postanowili – tak z ciekawości, jak i dla zarobku – zlecenie zrealizować.

Jako że towar, jak powiedziałem, miał odebrać inny rikszarz, nie mieliśmy oporów, żeby w cieniu najbliższej bramy zajrzeć do neseseru. Był w całości wypełniony „sałatą”, co w połączeniu z następnym adresem, a była to niemiecka kawiarnia „Mitropa” na Dworcu Głównym, zaczynało się układać w pewną całość. Adresat przesyłki, który pojawił się po kilku chwilach, mimo że był kompletnie pijany, wiedział, do kogo ma podejść.

„Jestem Lothar Götze. Strażnik z Pawiej. Boisz się mnie?” – wybełkotał.

Nie bałem się. No, może trochę. Nietrudno się było domyślić, że w neseserze była łapówka, dzięki której ktoś miał wyjść z Pawiaka.

Ale nie wyszedł. Götze kazał się wieźć na Litewską, która znajdowała się w dzielnicy niemieckiej. Ale nigdy tam nie dotarł, ponieważ na Koszykowej wyznaczyli mu metę chłopcy z rozpylaczami. Sam o mało wtedy nie dostałem po głowie. Nesesor zniknął. I tutaj dochodzimy do momentu, kiedy opowieści należało dać nowe, lepsze zakończenie.

– Dostał serię i nawet nie zipnął, a kasa szczęśliwie została u nas – dokończyłem opowieść. – Teraz od pana zależy, czy ubijemy interes.

– Skąd mam wiedzieć, że nie wciskasz mi ciemnoty, synku?

Przełknąłem kolejnego „synka”, po czym wskazałem ruchem głowy na drzwi, za którymi znajdował się ojciec.

– Tam siedzi gwarancja – powiedziałem, by dodać szybko: – Mam nadzieję, że kobietę i małe dziecko potraktowaliście lepiej...

Nie odpowiedział. Tylko czknął, co w sumie też mogło być jakimś komunikatem i starczyć za wiązkę inwektyw. Następnie niespiesznym gestem, co irytowało mnie coraz bardziej, sięgnął po butelkę i przelał z niej do szklanki resztę alkoholu. Dziwne, wciąż sobie aplikował, a ja jakoś nie widziałem po nim, żeby był bardziej pijany.

– Zrobim tak – podjął po chwili. – Pójdiesz teraz po tę kasę z dwoma moimi ludźmi.

Teraz to ja nijak nie zareagowałem. Chyba zrozumiał, bo zaraz się wyprostował na krześle, potem odchrząknął i rzekł uroczyście:

– Ja gwarantuję, że twojej rodzinie włos z głowy nie spadnie. Mogę przysiąc. – Dotknął dwoma palcami prawej ręki stojącego przed nim krucyfiks z Czesia Bielawnego.

Dobrze wiedziałem, ile są warte takie gesty. Sam przecież niedawno „błogosławiłem” mordercom. Dlatego wciąż uparcie milczałem, nie spuszczając wzroku z bandziora. Było to jak stąpanie po kruchym lodzie. Baczyński, gdyby to słyszał, pewnie zrugałby mnie za nadużywanie takich sformułowań. Tak, należało się wysilić. A zatem było to niczym balansowanie na linie. Zupełnie jak to, które miało miejsce na, a raczej nad placem Napoleona, co na własne oczy widziałem przed dwoma laty. Sprowadzeni skądś akrobaci wyczyniali istne cuda, a wszystko ku uciechu gawiedzi, a tej – mimo iż mówiło się, że to nawet gorsze aniżeli wizyta w kinie czy w teatrze – przyszło wówczas na pokaz całkiem sporo.

Ja również znalazłem się pośród szacownej publiczności. Byłem tam, chociaż nie przyszedłem specjalnie, a jedynie, zaciekawiony zbiegowiskiem, zatrzymałem się w drodze powrotnej do domu, a Jasna przecież niedaleko. Gwoździem programu był zjazd akrobatki po linie ze szczytu wieżowca Prudentialu aż do Chmielnej. Przyznam, strachu się najadłem, kiedy śmigła w powietrzu. A kilka kobiet nawet zemdłało. Na szczęście wylądowała szczęśliwie.

Od tamtej pory często ćmiłem sobie, a najczęściej działało się to na chwilę przed zaśnięciem, jak wysoko należałoby ucześcić linę, żeby wylądować na przykład w Wiśle. Albo w Puszczy Kampinoskiej,

dokąd być może właśnie wyruszał oddziałek Władka, wzmocniony przez moich smarkaczy? A gdybym chciał wylądować – czy może raczej wodować – na Bałtyku, jak wysoko nad dachami Warszawy musiałbym się znaleźć?

– No co?! – Przytomność przywrócił mi ryk bandziora.

Wzdrygnąłem się. Poczułem w ustach nieznośną suchość. Mężczyzna stał teraz na równych nogach i mierzył mnie nienawistnym spojrzeniem.

– Zgnijesz tu jak twój stary! – sarknął. – Gdzie są te pieniądze?

– Mówiłem już. Na cmentarzu protestanckim przy Żytniej – wymamrotałem z trudem.

– Cmentarz duży. Dokładnie!

– Rząd piąty, kwatery dwadzieścia „B”, grób siódmy – odpowiedziałem.

Dopiero teraz klapnął ciężko z powrotem, a krzesło pod nim zatrzęszczało rozpaczliwie. Spojrzał na swoich kamratów.

– Zapamiętaliście?

– Tak, szefie – odpowiedzieli jak na komendę.

Przeniósł wzrok znów na mnie,

– Gdzie dokładnie jest forsa?

– U stóp grobu – śpiewałem dalej jak na spowiedzi, bo coś we mnie pękło, może nieodwracalnie, jakiś punkt ciężkości się przesunął w niebezpieczną stronę, kto wie, czy nie na zawsze... – Wystarczy poruszyć taką niedużą płytę. Pieniądze są blisko, zaraz za nią, po lewej stronie...

– Nawet gdyby nieboszczyk-heretyk trzymał je w rękach, dla moich ludzi to żaden problem – oświadczył mężczyzna z diablím błyskiem w oku. – Ty się teraz módl, synku, żeby było tak, jak mówisz, że jest. Ty się głośno módl...

Zanim wyszli, związali mnie jak ojca. Różnica była taka, że nie wsadzili mi do ust knebla. Może właśnie dlatego, żebym się mógł modlić głośno. Następnie poprowadzili w stronę drzwi, za którymi trzymali tatę. Nim się spostrzegłem, byłem w środku. Zdało mi się, że zamykane za mną drzwi huknęły niczym płyta grobowca.

Zapanowała ciemność. I cisza. Słyszałem tylko oddech ojca. Działał na mnie kojąco, ale tylko przez kilka chwil. Ojciec też chyba coś ode mnie chciał, bo znów zaczął wydawać z siebie dziwnie dźwięki.

– Zaraz ci pomogę – powiedziałem szeptem.

Wyjęcie knebla z jego ust zajęło mi parę sekund. Kolejnych kilka ojciec pluł z obrzydzeniem i nierówno sapał. A kiedy się potem odezwał, żałowałem, że wyjąłem mu knebel. Bo wolałbym tych słów nigdy nie usłyszeć.

– Oni wcale nie uwięzili Aliny i Leszka – wyszeptał.

– Co?! – krzyknąłem, nie bacząc na to, że troglodycie za drzwiami może się to nie spodobać.

– Niestety. A właściwie to przecież dobrze, nie? Są wciąż bezpieczni na wsi. Cały czas byli. Tak czy owak, to była pułapka. Chodziło im tylko o nas. O ciebie i mnie. Nie wiem tylko, o którego bardziej. Ale pewnie się tego niedługo dowiemy...

XI

Takiej konstelacji jeszcze nie było: ja i ojciec pod kluczem. W dodatku w jednej celi. Z jednej strony raźniej, z drugiej – niewielkie szanse na wyjście z impasu. Przed wojną, jak wspominałem, to on siedział. Wtedy rozpacziałem, czemu się trudno dziwić, bo przecież nie miałem jeszcze dwudziestu lat. Na początku wojny zdarzyło mi się też zaliczyć słynną szkołę na Skaryszewskiej, skąd wysyłało się ujętych w łapankach Polaków w najlepszym razie na roboty do Rzeszy. Tutaj z kolei nerwów mi oszczędzono, ponieważ nie było mnie w mieście, a o wszystkim dowiedziałem się dopiero po powrocie. Wówczas można się było z tego tylko śmiać.

Ja również wiedziałem, jak to pachnie. Szczególnie miałem ku temu okazję w ostatnich dniach. Ancel. Pierdel. Dołek. Można się było do woli prześcigać w wymyślnych określeniach, a każda warstwa społeczna miała swoje. Tylko mitręga była ta sama. Ból i niepewność, co będzie.

– Rany boskie – jęknął tata, jakby wtórował moim myślom.

Tak na marginesie, cela, w której teraz nas zamknęli, była najmniejsza ze wszystkich, w których do tej pory siedziałem. Trzecia osoba by się już nie zmieściła. Chyba że na stojaka.

– Rany boskie, rany boskie... – Gdyby mógł, pewnie złapałby się w tej chwili za głowę; mogliśmy spróbować się wzajemnie oswobodzić z więzów, nie było to zadanie niemożliwe, jednak na razie wolałem nie drażnić przeciwnika.

Nie widzieliśmy się kilkanaście dni, było więc wiele do opowiedzenia. Każdy z nas miał swoją historię, bez wątplenia mrozącą krew w żyłach. Oczywiście tylko dla kogoś, kto ostatnich dni nie spędził w Warszawie. Inny tylko by machnął ręką, po czym rozpoczął swoją gadkę, która na pewno zaczęłaby się od słów: „a to jeszcze nic!”.

Nie wiedziałem, co ojciec robił zaraz po pierwszym sierpnia. Do

chwili, gdy odezwali się do niego porywacze z żądaniem. Pierwszy, a kiedy ojciec, jak opowiadał pan Michniewicz, rzucił słuchawkę, drugi telefon. On z kolei nie miał pojęcia, w co ja w tym czasie wdepnąłem. Bo że wdepnąłem, tego mógł być pewien. Jednak jak człowiek, którego ambicją przez lata było ratowanie Warszawy przed śmiercią głodową, nie mógł nie zadać mi zasadniczego pytania:

- Zdążyłeś dostarczyć towar Cieślikowi?
- Tak – odpowiedziałem skwapliwie.
- Pewnie wesele się nie odbyło. Chociaż cholera ich wie.
- Ale kiełbasę, tak czy tak, zjedli. Wyszedłem stamtąd przed piątą.

Tutaj powinna nastąpić długa opowieść o moich przypadkach. I pewnie kiedyś nastąpi. Wciąż wierzyłem, że będzie „kiedyś”, o którym kilka godzin wcześniej mówił Władek. Jemu też to byłem winien.

– Rozumiem, że miałeś dla nich jakieś pieniądze? – wróciłem do tematu.

- Przecież z gołą ręką przyjść nie mogłem.
- Zabrali?

– A jak! Zaraz potem dali kopa w dupę i zamknęli w tej komórce. Z początku się tym nie przejąłem, bo to przecież żaden Wersal, tylko tałatajstwo z kolejowego szlaku. Nie spodziewałem się, że od razu zaprowadzą mnie do Aliny i Leszka.

- Może chcieli dokładnie przeliczyć pieniądze.
- Albo sprawdzić, czy aby nie zamierzam im wcisnąć fałszywek...
- Przecież to ich własne pieniądze – zauważyłem.
- A właściwie ich nędzna końcówka.

Już nawet zdążyłem o tym zapomnieć. Że bandyci, na których wtedy chcieliśmy się odegrać za ojca krzywdę, mieli przy sobie dwie solidne walizki. Kiedy je po wszystkim otworzyliśmy, bo ojcu należało się jakieś odszkodowanie za te zadrapania i wybroczyny, aż usiedliśmy z wrażenia: były wypełnione sztabkami złota i monetami... Podejrzewaliśmy, że jest to część majątku Banku Polskiego, który został wywieziony z Warszawy we wrześniu 1939

roku. Workami i skrzyniami napchano kilka autobusów należących do Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, które miały jechać w stronę granicy z Rumunią. A po drodze najpewniej „zawieruszyło się” kilka skrzynek czy worków.

Był potem problem ze sprzedażą tego złota, ponieważ Żydzi, których pozamykano w getcie, pozbywali się go na potęgę. Czasem nawet za bochenek chleba, czego nie mogli nie wykorzystać co bardziej przedsiębiorczy warszawiacy po tej stronie muru. Ale jakoś się udało, z pomocą osób trzecich. Zostało nam tylko trochę zaskórniaków, o których istnieniu zresztą nie miałem do niedawna pojęcia. Ojciec wspominał o tym kilka tygodni temu mimochodem, przy kolacji. Takie gadanie starszych ludzi w rodzaju „gdyby coś mi się stało...”.

No i się stało, bo nasze położenie nie było zbyt dobre.

– Kiedy się zorientowałeś, że ich tu nie ma? – zapytałem po chwili.

– Powiedzieli mi – odparł ze spokojem. – Dokładnie zrobił to ten ich król, co to wtedy miał na sobie zielony szalik...

– Też to zapamiętałeś.

– A jak! Wyjątkowo koszmarny kolor.

Zaśmieliśmy się, ale jakoś krótko i płytko. Po chwili tata opowiadał dalej:

– Kazał usiąść, nawet samogonu polał, ale odmówiłem. To mu się chyba nie spodobało, bo się momentalnie najeżył. Wstał, krążył po izbie jak ta pantera w klatce w zoo na Pradze. Po chwili zaczął opowiadać, jak to omal nie umarli z kamratem tamtej nocy, kiedyśmy ich zostawili gołych w lesie.

– Jakoś wciąż mi ich nie żal – wtrąciłem.

– Trudno się nie zgodzić. Kiedy wreszcie przestał i usiadł z dupą, postanowiłem przystąpić do rzeczy i zapytałem o Alinę i dziecko. Oczywiście głupiego udawał. Zupełnie tak samo jak na początku w rozmowie z tobą. A potem znów zaczął wrzeszczeć. Miałem wrażenie, że ostatkiem sił się powstrzymuje, żeby nie dać mi po pysku. Zacząłem się nawet zastanawiać, dlaczego tak się dzieje.

– I co wymyśliłeś?

– Nic. Potem związali mnie, wsadzili szmatę do gęby i zamknęli. Usiłowałem cokolwiek usłyszeć, bo przecież w takim niewielkim domku na pewno prędzej czy później dałoby się usłyszeć niemowlaka. Sam wiesz, jaki Leszek potrafi być konsekwentny w domaganiu się jedzenia.

Dobrze pamiętałem te zbyt wczesne pobudki, które nam fundował. Plusem było jednak to, że przy tym dzieciaku ojciec wyraźnie odmłodził. Kto by się spodziewał, że Lesio stanie się, wraz z matką, wabikiem na nas obu.

Znów nasza mnie wątpliwość. Postanowiłem o to zapytać.

– Jesteś pewien, że ich tu nie ma? Że tamten nie kłamał?

– Nie.

Zamilkliśmy. Nie dlatego, że mnie zatkało, bo usłyszałem bolesną prawdę, a ojcu ulżyło, ponieważ podzielił się z kimś swoją wątpliwością, która go gryzła jak wesz. Za drzwiami naszej prowizorycznej celi rozległy się bowiem jakieś hałasy. Jak podejrzewałem, właściciel zielonego szalika został w domku przy ulicy Dobrosława.

– Może przyszedł ten drugi? – spekulowałem.

Właściwie było to nam obojętne, czy będzie się nad nami znęcać jeden człowiek, który szuka zemsty za historię sprzed lat, czy dwóch. Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi. Potem czyjeś ciężkie kroki; przez chwilę pomyślałem, że to Michalski przyszedł nam z odsieczą ze swoim wojskiem. Że nie posłuchał i wysłał kogoś moim śladem, a potem zorganizował krucjatę, żeby nas odbić z rąk bandytów.

Niestety, to nie byli nasi, albowiem przybysz (bądź przybysze) zaczął rozmawiać z hersztem bandy. Mimo że przyłożyłem ucho do drzwi, niczego nie udało mi się zrozumieć.

– Z tymi pieniędzmi ukrytymi na cmentarzu to kit... – odezwał się w pewnej chwili ojciec, a ja nie miałem pewności, czy było to pytanie, czy stwierdzenie.

Nie mogłem się doczekać, aż o to zapyta. Nie pozostało mi nic innego, jak wyjaśnić do końca i tę sprawę, opowiedzieć ojcu, jak to przez kilka miesięcy niemal spał na fortunie, za którą być może

mogliśmy sobie kupić gospodarstwo. Przy okazji mogłem się pozbyć ciężaru, a jednocześnie, nie ma co ukrywać, także... pochwalić się przygodą, która mnie spotkała.

Najpierw jednak musiałem się oburzyć. Jaki kit?! Ale nie zdążyłem. Zachrobotał klucz w zamku drzwi naszej komórki i po chwili na progu stanął bandzior. Chwiał się na nogach, w rękę wciąż trzymał butelczynę.

– I co? – odezwał się z pijackim dyszkantem.

– A nic – odpowiedziałem szybko, zapomniawszy o starej, dobre zasadzie, że milczenie jest złotem.

W tle zamajaczyły jeszcze dwie postacie. Zimno mi się zrobiło, a po sekundzie nieznośnie gorąco; byli to bowiem ci sami ludzie, którzy wybrali się na Wolę po złote runo.

Nie mogli obrócić w ciągu tego czasu, który spędziłem pod kluczem! – zastanawiałem się gorączkowo. Przecież to ledwo kilkanaście minut. Mieli samochód? Pewnie, że kradziony. Konie? Wszak okolica była bardziej wiejska niż miejska... A może wszystko mi się już pokręciło z niewyspania i nadmiaru wrażeń, których los mi nie szczędził. Właściwie to nawet nie wiedziałem, którego dzisiaj mamy. I czy to jeszcze sierpień, czy już może zaczął się kolejny miesiąc, którego nazwę wciąż tak trudno wymówić...

– Rusz dupę, synku – rzucił bandzior.

– Po co?

– Ja to po co?! Chyba nie myślałeś, że moi ludzie sami się wybiorą po tę kasę. Taki głupi nie jestem.

– Ja pójdę – zaoferował się ojciec, tym samym przyznając, że nie ma już w ustach knebla; było już jednak za późno.

– Ty, ojczulku, jeszcze sobie z nami posiedzisz – powiedział bandzior. – Jako gwarancja. Poza tym młodzi szybciej się uwiną. Nie mówiąc już o tym, że twój pierworodny sam ukrył fanty, więc bez problemu je znajdzie. Jeśli nie istnieją tylko w jego wyobraźni... – Zawiesił głós; chyba nie był tak bardzo pijany, jak mi się wydawało.

Niezdarnie podniosłem się z podłogi. Myślałem, że po tych słowach bandyty ojciec da za wygraną, pogodzi się z tym, co się stało. Ale

było odwrotnie.

– Nie wystarczy wam to, co macie?! – Szarpnął się, twarz mu poczerwieniała ze złości, a na czole pojawiła się ukośna żyłka.

– Nie wierzgaj, nie wierzgaj, staruszkule – warknął tamten.

Ale ojca tylko jeszcze bardziej to rozsierdziło.

– Jeśli coś mu się stanie, zabiję cię, skurwysynu! – zawołał, wciąż ponawiając próby zmiany pozycji.

I może by mu się to udało, gdyby nie tamci dwaj, moi przyszli kompani. Nie zauważyłem, czy ich szef dał im jakiś znak, czy zrobili to z własnej inicjatywy. Tak czy siak, rzucili się w stronę komórki, jeden mnie z niej wyciągnął, podczas gdy drugi zaczął pracować kopac tate.

– Zostaw go! – wrzasnąłem.

Ojciec, nauczony doświadczeniem, wtulił głowę między ramiona i napiął wszystkie mięśnie. Przez kilka chwil słyszeliśmy tylko odgłos kopnięć i stękanie siepacza, który się szybko zmęczył. Drugi z nich trzymał mnie w żelaznym uścisku na wypadek, gdybym próbował ruszyć z pomocą katowanemu. Wciąż byłem jednak spętany, a jedyną bronią były moje zęby; znałem takich, którzy nieźle sobie nimi radzili.

– Dostyc – przerwał wódc. – Jeszcze nam będzie potrzebny.

Młody cofnął się, nie spuszczać wzroku z ojca. Otarł usta wierzchem dłoni, wciąż dyszał. Spojrzałem na tatę, który leżał teraz na boku, z podkurczonymi nogami, niczym embrion. Wpatrywałem najmniejszego choćby ruchu, który zaświadczyłby, że przeżył atak szaleńca, kto wie, czy nie kolejny.

– Patrz i ucz się – wycedził przez zęby właściciel zielonego szalika, zatrzasnąwszy drzwi komórki. – A teraz ruszajcie.

Zmęłem w ustach ciężkie przekleństwo, pociągnąłem nosem. Drugi z bandziorów szarpnął mną na środek izby, a kiedy się tam znalazłem, zaczął wyswobadzać mnie z więzów. Na filmach kowbojskich, które przed wojną z pasją oglądałem w warszawskich kinach, takie pęta zawsze przecinano nożem, nikt się nie bawił. A ten nie: zaczął rozplątywać węzeł; być może linka była mu jeszcze

potrzebna, by związać kogoś innego. Gdy skończył, pchnął mnie w plecy.

Zrobiłem jednak tylko dwa kroki.

– Plecak – warknąłem.

– Co? – mruknął półprzytomnie, mrużąc oczy.

– Zabieram swój plecak – powtórzyłem.

Bez słowa sięgnął w stronę stołu i rzucił mi zmięty flak. Zaciśniętem palce na spłowiałym materiale i dalej trwałem w tym samym miejscu i niezmienionej pozycji. Odezwałem się jednak dopiero wówczas, kiedy na mnie spojrzął. Tym samym tonem co wcześniej.

– Z zawartością.

– Jeszcze czego!

Ujrzałem, jak dwie lufy, mauzera i zwykłego obrzya – którym posługiwali się najczęściej kłusownicy i rekieterzy – bo tak właśnie uzbrojeni byli bandyci, jednocześnie obracają się w moją stronę. Mimo to rzekłem spokojnie, acz stanowczo:

– Mapa i krucyfiks.

Przez chwilę chyba się zastanawiał. Była to wszak poważna decyzja handlowa, a człowiek ten, pomijając wszystko, w tym metody, był przecież człowiekiem interesu. Czym był kawałek srebra, być może nawet tylko posrebrzanego metalu, w porównaniu ze złotem, które już miał. I dolarami, które miał otrzymać. Nie było rady, musiał zainwestować. I zaryzykować.

– Niech będzie po twojemu, synku. Bieri! – Rzucił mi krucyfiks, który udało mi się złapać.

Dobrze, że Czesio tego nie widzi – pomyślałem jeszcze, chowając szybko krzyż w plecaku, gdzie po chwili umieściłem również niemiecką mapę.

*

Pięć minut później byłem w drodze. Zaczynało już zmierzchać, jak to u schyłku lata, wcześniej niż przed tygodniem, choć wciąż jeszcze później niż za następne siedem dni.

Gdzie będę wtedy? Czy będę żył? – zastanawiałem się.

Właściwie to niewiele się zmieniło od chwili, kiedy kilkadziesiąt godzin wcześniej wyruszałem z Żytnej w kierunku kolejowej linii obwodowej, skąd prażył w kierunku powstańczych pozycji hitlerowski pociąg pancerny. Stare, przepocone ubranie, plecak na grzbiecie, a w nim kawałek metalu i arkusz złożonego papieru. Do tego strach w sercu. Nieco inny niż wtedy, ale tak samo silny.

Nie wiedziałem przecież, czy na cmentarzu, gdzie zostawiłem swój skarb, nie zastanę rozbitego bombą grobowca. Wątpliwe było, czy ci dwaj jaskiniowcy, którzy ze mną szli, będą w stanie to zrozumieć i skwitować wzruszeniem ramion. Że siła wyższa. Taka bomba, mimo że to człowiek decydował, gdzie mniej więcej spadnie, była przecież trochę jak piorun z nieba. A może ktoś mnie obserwował, kiedy chowałem dolary, ukryty za sąsiednim pomnikiem. I gdy tylko wraz z oddziałem opuściłem ewangelicką nekropolię, spokojnie sobie sprawdził.

– Te, student – zawołał do mnie ten z mauzerem.

– Czego? – Nie zamierzałem kryć niechęci.

– Jak mamy się do ciebie zwracać?

– Już się przecież zwróciłeś – zauważyłem.

– W sensie, jakby nas żandarmeria zatrzymała – sprecyzował ten drugi.

– Jeśli zatrzyma nas niemiecka, to obyś się przeżegnać zdążył – odrzekłem ze swadą, nie patrząc w jego stronę.

– Nie niemiecka. Powstańcza – odezwał się znów ten pierwszy. – Też przecież jesteśmy powstańcy, nie?

Uchowaj Boże – pomyślałem.

Prawda była jednak taka, że udawaliśmy w tym momencie powstańczy oddziałek. Bardziej chyba patrol. Miały o tym świadczyć wyświechtane opaski, które tamci dwaj sobie założyli na ramiona zaraz po wyjściu z domu przy Dobrosława. Ile takich kręciło się jeszcze po mieście, czort raczył wiedzieć. Nie było już Żydów, których można było szantażować, wyciągając od nich ostatnie pieniądze czy rodowe pamiątki. Coraz mniej zostało też mieszkań do ograbienia, bo wszystko dokoła zamieniało się w ruinę. A jednak

złodzieje wciąż żerowali.

Wczoraj prowadziłem garstkę młokosów, dzisiaj wracałem do Warszawy z żądnymi bogactwa, bezwzględny bandziorami, którzy posłusznie wykonywali polecenia swego zwierzchnika. Ci tutaj nie omieszkali mnie oczywiście ostrzec, że mają błogosławieństwo szefa, żeby mnie kropnąć przy pierwszej próbie ucieczki albo nawet nieposłuszeństwa. Ale musieli jednak czuć choć niewielki respekt, skoro zapytali, jak mają do mnie mówić. Tak to sobie przynajmniej wtedy wytłumaczyłem.

– Porucznik Antek – przedstawiłem się po części tylko prawdziwie, choć swoją drogą za to, że wyprowadziłem tamtych, należałoby mi się przynajmniej jedna podchorążacka belka.

– Ja jestem Ślepy, a ten to Wrona – przedstawił siebie i kamrata posiadacz obrzyna.

– Wrona – powtórzył Wrona, jakbyśmy mieli przyjemność w Ogrodzie Saskim, podczas spaceru w ciepły letni dzień; brakowało tylko serdecznego potrząsania rękami.

Nie wiem, na co potrzebna była mi ta wiedza. Więźniowie raczej nie interesowali się nazwiskami strażników, szczególnie tych poślednich szarzy. Bo już tych ważniejszych znać należało, jeśli się chciało wyjść. Pieniądze musiały trafić bezbłędnie. I to chyba raczej im, Ślepemu i Wronie, zależało na tym, żebym wiedział, jak na nich wołać. Choćby właśnie podczas spotkania ze wspomnianą żandarmerią. Skąd mogli wiedzieć, że i ja mogę być na bakier z prawem. Poza tym nie zamierzałem kolegować się z kimś, kto skrzywdził mojego ojca. Choć znać imię nie zaszkodziło. Żeby się w odpowiedniej chwili odwdziżyć.

I najlepiej by było, gdyby ta chwila nastąpiła jak najszybciej. Szczytem moich marzeń byłoby spotkać teraz Władka Michalskiego, czyli porucznika Szymona, i jego ludzi kierujących się w stronę Puszczy Kampinoskiej. Albo Lasów Chojnowskich, bo i tę nazwę usłyszałem. Ci dwaj nie zdążyliby nawet pierdnąć. No, ale oddział był już najpewniej daleko...

I jeszcze jedna rzecz. Moi „podkomendni” byli uzbrojeni, a ja nie.

Ale to chyba wciąż jeszcze nikogo w Warszawie nie dziwiło.

*

Przeszliśmy przez Lasek na Kole, nie spotkawszy nikogo: ani bandziorów, ani powstańców, ani Niemców. Żadnych uciekinierów. Od Warszawy szedł niekończący się, miarowy, złowróźbny pomruk.

– Daleko jeszcze? – jęknął Ślepy, ledwo znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni.

Pomyślałem, że jeszcze niedawno drogę z Koła na cmentarz ewangelicki pokonalibyśmy tramwajem w nieco ponad kwadrans. Linii dwadzieścia dwa.

– A co? Ty nie z Warszawy? – rzuciłem przez ramię, bo kroczyłem pierwszy, i odrobinę prowokacyjnie.

On jednak nie wyczuł drwiny.

– Spod Grodziska jestem – odrzekł z powagą i przejęciem, jakby był uczniem powszechniaka, ja zaś nauczycielem.

– Piękne miasto – mruknąłem, co tamten wziął chyba za dobrą monetę.

Wiedziałem już, dlaczego wódz nie chciał puścić ich samych. Byli mocni, ale tylko na swoim terenie. A także na kolejowym szlaku, gdzieś między Warką a Radomiem, Mińskiem a Siedlcami. Warszawa była jednak dla nich nieodgadnionym labiryntem.

Kilka chwil później bez problemów przecięliśmy linię obwodową, gdzie kilkadziesiąt godzin wcześniej mogłem oglądać smutny spektakl. Nie było tu już jednak ani pociągu pancernego, ani bahnschutzów. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy aby pod moją nieobecność coś się w Warszawie nie zmieniło. Zmieniło na dobre. Może Rosjanie ruszyli się zza Wisły, a Niemcy uciekli precz, o czym wszyscyśmy marzyli od tak dawna.

– Za tymi murami są cmentarze – poinformowałem ich niczym najprawdziwszy rasowy przewodnik po Warszawie.

Wrona się przeżegnał dyskretnie. Jakkolwiek by było, zapadł już zmrok, a my mieliśmy wejść tam, „gdzie pewnikiem straszy”. Ale zaraz potem podniósł wyżej mauzera i zacisnął palce na kolbie –

bynajmniej nie po to, by strzelać do duchów. Był gotów.

Nie można było jednak powiedzieć tego o jego kamracie.

– Musimy iść akurat tędy? – W głosie Ślepego wyczułem strach.

– Będzie najbezpieczniej – odpowiedziałem bez zastanowienia, chociaż tak naprawdę nie miałem pojęcia, co nas może spotkać za murem Powązek.

Nie oponował, choć przecież mógł, bo miał argument w postaci obrzyna. Ostatecznie pomógł nam ktoś trzeci, kto akurat w tym momencie skręcił samochodem (sądząc po warkocie, była to ciężarówka, a ciężarówka prawie zawsze oznaczała kłopoty) z Tatarskiej w ulicę Ostroroga. Błyskawicznie dopadliśmy muru i skuleni, jeden za drugim, zaczęliśmy się przemieszczać w kierunku Wawrzyszewskiej. Mimo kiepskiej orientacji w okolicy rekieterzy potrafili odpowiednio się zachować. Gdzieś tutaj była brama.

Tylko czy będzie otwarta? – przeszło mi przez myśl.

– Szybciej! – zawołał Wrona, który szedł ostatni.

Miałem wrażenie, że jadący Ostroroga pojazd przyspiesza. Nasze cienie na murze zaczęły maleć i uciekać ku tyłowi. Jeszcze chwila, a na murze zostaną inne ślady, krwawe, które trudno będzie odróżnić od cegieł...

Biegący przede mną Ślepy nagle zniknął. Jeszcze kilka kroków i sam gibnąłem w lewo. Znalazłszy się po drugiej stronie, przywarłem do muru. Po chwili przez furtkę wpadł do środka zadyszany Wrona. Sekundę później tuż obok nas, niczym dzikie zwierzę, zawarczał silnik ciężarówki. Zgrzyt w skrzyni biegów, pisk hamulców.

– Zwalniają, cholera... – jęknął Ślepy.

Spojrzałem w drugą stronę. Nieprzenikniona ciemność. Ale przecież to właśnie ona nam w tej chwili sprzyjała. Kilka kroków dalej znajdowały się groby, a każdy mógł być świetną kryjówką, każda tablica – tarczą zdolną zatrzymać wystrzelone w naszym kierunku kule. Kluczyć można było niczym w labiryncie, bez końca. Nie pierwszy raz ktoś zakłócił spokój zmarłym. To zresztą nic. Nic im nie będzie... Nie miałem zamiaru czekać, aż ciężarówka, której załoga najpewniej nas dostrzegła, zatrzyma się na dobre i zaczną z

niej wyskakiwać Niemcy.

– Za mną – rzuciłem do Ślepego i Wrony, po czym runąłem w bok.

Zaraz usłyszałem za plecami chrzęst żwiru i miarowe sapanie. I, od czasu do czasu, także tłumione przekleństwa, gdy jeden czy drugi uderzył piszczelem w twardą krawędź pomnika.

– Chyba pojechali... – usłyszałem po chwili.

Nie miało już znaczenia, czy ciężarówka się zatrzymała, czy ruszyła dalej, bo jej załoga uznała, że na cmentarzu nie ma z nami szans. Poza tym pewnie kolacja stygła. Tak czy siak, byliśmy bezpieczni. Bezpieczniejsi niż na ulicy. Wzrok szybko przyzwyczaił się do ciemności, można już było odróżnić wolną przestrzeń od kawałków granitu. Jednocześnie, czułem to, mimo że nie zaglądałem do mapy, nadal przemieszczamy się zgodnie z wytyczoną wcześniej trasą, na południe, południowy wschód, czyli ku cmentarzowi ewangelickiemu, gdzie ukryłem pieniądze. Co, jak już wspomniałem, wcale nie oznaczało, że jeszcze tam były...

– Odpocznijmy chwilę – zaordynowałem; droga z Koła, a potem ucieczka na cmentarz Powązkowski zaczęły już zbierać żniwo.

Nie protestowali. Usiedliśmy na krawędzi jakiegoś grobu, obok siebie. Starłem się uspokoić oddech. W pewnej chwili Wrona wyjął coś z kieszeni. Nim zdążyłem zareagować, rozległ się trzask zapalanej zapalniczki.

– Augustryn... Nie! Augustyn. Żmi... Żmije... – próbował odczytać napis na nagrobku, a robił to z trudem nie tylko dlatego, że litery były zamazane, bardzo stare.

Szybko zdmuchnąłem nikły płomynek, choć i tak, jak mi się wydawało, za wolno. Nic nie musiałem mówić. Wrona sam dobrze wiedział, że popełnił błąd. I zaraz się o tym przekonaliśmy.

– Kto tam? – rozległ się tubalny głos.

Jak na komendę podnieśliśmy się z grobu i przycupnęli tuż za nim. Zabłyśło światło latarki elektrycznej. Jak daleko od nas? Pięć metrów? Dziesięć? Przez kilka chwil mocny promień chlastał mrok, ślizgał się po granitowych powierzchniach, odbijał się od metalowych elementów, porcelanowych zdjęć zmarłych.

– Jest tam kto? – zawołał znów głos.

Był schrypnięty, drżał, może więc należał do starca. Ślepy miał jednak na ten temat swoje zdanie.

– To duch – szepnął.

– Odezwij się, jak pragnę zdrowia!

Polszczyzna, którą słyszeliśmy, była czysta niczym Wisła przed Krakowem. A mimo to żaden z nas nie śmiał odpowiedzieć na proste pytanie ani w żaden inny sposób zakomunikować o swojej bliskiej obecności. A każdy z innego powodu.

A potem światło po prostu zgasło i zapadła cisza.

– Co to było? Co to, kurwa, było? – szeptał Wrona.

Duch! – odpowiedziałem, choć tylko, nomen omen, w duchu.

Zaczęliśmy się podnosić zza nagrobka. Przez chwilę zastanawiałem się, w którą stronę teraz, po tej nieoczekiwanej przerwie, w dodatku kosztującej mnie utratę rezonu, nie mówiąc już o orientacji przestrzennej, musimy iść. Poczulem na sobie pytające spojrzenia młodych.

– W prawo. – Pociągnąłem nosem.

Ruszyliśmy niepewnie, gęsiego. I niezdarnie, ponieważ Ślepy, jakby na potwierdzenie swojej ksywki, od razu wpadł na sąsiedni pomnik. Pewnie uderzył znów piszczelem o kamienną krawędź, bo syknął z bólu, a potem zaklął. Rozległ się dźwięk przesuwanej glinianej donicy, a może znicza. I głos, który zmienił wszystko.

– Powściągnij język, grzeszniku! – zahuczało przeraźliwie tuż przed nami.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach niczym jedna z wiewiórek, które widywałem na Powązkach, kiedy byłem tu przed laty. A potem ujrzeliśmy tuż przed nami... rozświetloną bladym światłem maskę upióra.

*

W jednej chwili potwierdziły się wszystkie obawy kmiotków, którzy kozaczyć potrafili tylko wtedy, gdy byli w grupie. Pewnie jeszcze długo będą opowiadać, jak to na cmentarzu „we Warszawie” objawił

im się najprawdziwszy duch, zło wcielone. Bez wstydu przyznają się do tego, że uciekali w popłochu, a bestia goniła ich przez pół cmentarza, tocząc pianę z pyska. Że użyć broni było niepodobna, bo przecie nie da się zabić czegoś, co już nie żyje...

Tak. Wrona i Ślepy, strażnicy, którzy mieli mnie pilnować, dali nogę. Skakali po grobach, roztrącając wypalone dawno znicze, doniczki i stoiki, które służyły jako wazony na cięte kwiaty. Widziałem ich oddalające się cienie. Widziałem dokładnie, a to dzięki silnemu światłu latarki, którą trzymał upiór. Już nim nie był. Nie był nim także wcześniej. Dla mnie.

– Co za bydlę – mruknął pod nosem, po czym skierował strumień światła na moje stopy.

– Serwus, Józek – przywitałem się.

– Serwus, Antek – odpowiedział Knap, towarzysz mojej wędrówki z Mokotowa, ten od krzyża.

Był nieogolony, włosy miał potargane, podobnie jak i garderobę. Jego postura już jakby mniej wzbudzała respekt. Mocno czuć było od niego spalenizną.

– Kopę lat, chciałoby się powiedzieć.

– I coś w tym jest, brachu.

Nie przypuszczałem, że jeszcze go zobaczę. Józek Knap z Woli. Co robił na cmentarzu Powązkowskim, w dodatku nocą? A do tego jeszcze trzymały się go żarty z latarką, którą wystarczyło oświetlić sobie gębę od dołu i od razu człek stawał się wampirem. Stara szczeniacka zabawa. Sam tak często robiłem na letnich biwakach w licealnych czasach.

– Co to za swołocz? – Kiwnął ręką w kierunku, gdzie zniknęli Wrona i Ślepy.

– Długo by wyjaśniać – odparłem, by zaraz zastrzec stanowczo: – Ale to nie moi kumple!

– Nawet nie podejrzywałem. Za mało mieli ogłady.

Usiadł na drewnianej ławeczce przy najbliższym grobie. Aż dziw, że się jeszcze uchowała w czasach, kiedy wszystko szło zimą na podpałkę. Zwiesił głowę, westchnął. Obserwowałem go z uwagą,

póki nie zgasił latarki. Potem przez kilka chwil jeszcze milczeliśmy.

– Miależ pietra? – zapytał.

– Skąd. Od razu cię poznałem. Głos też.

Prawdy w tym nie było za wiele, bo w pierwszej chwili i ja podskoczyłem, a serce na kilka sekund utkwilo mi w przetyku. Głos też się Józkowi zmienił. Zupetnie jakby jego właścicielowi nagle przybyło lat. Zaraz też przekonałem się, że wcale nie przesadziłem z tym porównaniem...

Wyciągnął z kieszeni pajdę chleba i podał mi. Odmówiłem, choć kiszki grały mi marsza już od dłuższego czasu. Ale nie dał się przekonać.

– Bierz, nie wygłupiaj się. Mam jeszcze.

Siedzieliśmy obok siebie na ławce i przeżuwali stwardniałą skórkę.

– Pamiętasz, jak niosłem ten krzyż? – zapytał po chwili.

– Trudno zapomnieć.

– Okazało się, że nie bez powodu. – Westchnął znów, jednak następne zdania zaczął wyrzucać z siebie rytmicznie, jakby dyktował tekst maszynistce z wieloletnim doświadczeniem: – Kiedy dotarłem na Wolę, właśnie dorzynali moją ulicę. Nie wiedziałem, co się stało z rodziną. Złapali mnie na Górczewskiej. Esesmani i chyba jacyś inni, co mówili po rosyjsku czy jakoś tak. Myślałem, że to koniec. Ale nie: przyłączyli mnie do Verbrennungskommando z Sokołowskiej...

– Co to takiego? – zdziwiłem się, a nawet i przestraszyłem, bo brzmiało groźnie.

– Taki oddział złożony z polskich więźniów, których nie rozstrzelano i którzy za to mieli robić porządek po egzekucjach – odpowiedział. – Co dziwne, nie zabrali mi tego krzyża ani nie wzięli za wariata ze szpitala Jana Bożego, a z takimi robili szybko porządek. Miałem go tylko odstawić na bok przy robocie.

– Jakiej robocie?

– Przy porządkowaniu zwłok zamordowanych mieszkańców dzielnicy. Leżały wszędzie. Wszędzie. Setki. Tysiące. A wśród nich, kto wie, może także moi bliscy. Część naszej grupy poszukiwała u zabitych kosztowności, które należało zaraz oddać esesmanom, a

reszta układała trupy na stosach, następnie polewała benzyną i podpałała. Kto się wyłamał, od razu kula w łeb...

Dobrze pamiętałem słowa różnych ludzi, które słyszałem w ciągu ostatnich dni, że „dorzynają Wolę”. Albo że „Woli już nie ma”. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że wyglądało to aż tak. A może ten człowiek nie mówił prawdy? Przecież prawie się nie znaliśmy, a tych kilka godzin pod celą, a potem w drodze to przecież nic. Epizod. Znajomość jak z pociągu.

Poczułem na sobie jego wzrok.

– Nie wierzysz mi, co? – zapytał.

– Dlaczego... – bąknąłem nieswoim głosem.

– Myślisz, że zwariowałem?

– Skąd! Wszystko się mogło zdarzyć...

– Tylko dlaczego zdarzyło się właśnie na Woli, co?

– Nie rozumiem.

– Czego nie rozumiesz, Antek? Paniczykom ze Śródmieścia i Mokotowa zachciało się wymachiwać szabelką albo sprawdzić umiejętności strzeleckie, choćby miało to być tylko strzelanie obcasami przed panem majorem. A kto za to zapłacił? Kto?! Robotnicze dzieci z Dworskiej, z Płockiej, z Syreny!

Nie byłem właściwym adresatem tych słów, bo przecież razem siedzieliśmy pod kluczem, zamknięci przez tych, którym się zachciało wojaczki. A on chyba najzwyczajniej w świecie musiał to wszystko komuś powiedzieć.

– Na jednym z takich stosów, a miał chyba z pięć, może nawet sześć metrów, zatknąłem swój krzyż. Esesmani pozwolili. Nawet zdjęcia jeden zaczął robić, a drugi się przeżegnał. Dyskretnie, żeby koledzy nie zobaczyli...

Sięgnął po kolejną pajdkę i podsunął mi, ale odmówiłem. Tym razem nie naciskał.

– Ja już mogę jeść – mruknął po nosem.

– Po tym wszystkim was wypuścili? – zapytałem cicho.

– Nie. Po tym wszystkim nas... rozstrzelali.

W pierwszym odruchu zachciało mi się śmiać. Mimo wszystko.

Także dlatego, że Wrona i Ślepy uciekli przed duchem, a z tego, co właśnie usłyszałem, siedział obok mnie duch. Czy duchy śmierdzą spalenizną i pożywiają się piętami czerstwego chleba?

– Zagnali nas w okolice szpitala Świętego Łazarza – podjął po chwili. – I zaczęli w nas rąbać. Nie byliśmy już im potrzebni, a świadków być nie mogło. Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale upadłem wcześniej. Może pociągnął mnie w dół ktoś, kto się przewrócił. W każdym razie po chwili leżałem, nawet nie draśnięty, ale z mokrymi portkami, pod stertą trupów. Nawet esesman dobijający rannych nie dostrzegł, że żyję. Mieli nas spalić od razu sami, bo przecież *Verbrennungskommando* już nie było, ale coś się zaczęło dziać, chyba przy Staszica. Nie wiedziałem, co robić ani ile czasu mogło upłynąć. Dopiero gdy zaczęło się ściemniać, jakoś się stamtąd wygrzebałem i ruszyłem przed siebie, by opłotkami dotrzeć na cmentarz. Tu też było niewesoło, ale przecież komuś, kto z piekła wrócił... – Zawiesił głos.

– Nie szukałeś rodziny?

– Nie. Jak ma się znaleźć, to się znajdzie. Wiem, że brzmi to okrutnie...

– Ja muszę dotrzeć jak najszybciej na cmentarz ewangelicki – powiedziałem; z powinności nie zwalniał mnie wszak fakt, że tamci dwaj spieprzyli, bo na Dobrostawa wciąż siedział mój ojciec. – Zaprowadzisz mnie?

– Kto jak nie ja – odpowiedział ochoczo, po czym podniósł się z ławeczki.

– Ale to tak teraz?

– Teraz najlepiej. Mam tylko nadzieję, że nie boisz się duchów. Wciąż tu jakieś spotykam...

*

Szerokie aleje, szpalery drzew, czasem wąskie przejścia między grobami. Józek Knap czuł się tutaj jak u siebie w domu. Z rzadka używał latarki. Ja za gwiazdę polarną miałem jego plecy, a dokładnie to rozdarcie na szwie marynarki, przez które łyskała biel jego koszuli.

Czasami drogę wskazywał nam ręką kamienny anioł, innym razem szliśmy wbrew tej wskazówce. Pod stopami szeleściły suche liście, których nikt nie sprzątnął od ubiegłej jesieni, a może i od jeszcze wcześniejszej. Wreszcie mur. Za nim cmentarz żydowski, co ogłosił Józek. Jednak tam nie wchodziliśmy. Dalej przemieszczaliśmy się wzdłuż ściany.

Szedłem tędy, tyle że w drugą stronę, całkiem niedawno, z grupą powstańców, którzy naiwnie wierzyli, że uda im się zniszczyć pociąg pancerny, a mimo to nie poznawałem. To tylko zwiększało moje obawy, czy aby na miejscu znajdę to, co znaleźć chciałem. Jak na razie Józek ani razu nie zapytał, czego tam właściwie będę szukał. A ja nie miałem pojęcia, co mam mu powiedzieć, gdy wreszcie to zrobi. Może powinienem uszczknąć nieco z tego skarbu zabranego zastrzelonemu w Alejach Ujazdowskich generałowi. Na symbolicznego obola, choć przecież wciąż zmierzałem w stronę życia.

– Już niedaleko – mruknął mój cicerone po świecie zmarłych.

– To dobrze – ucieszyłem się, bo zmęczenie coraz bardziej dawało mi się we znaki; poza tym była już pierwsza w nocy.

Byliśmy na cmentarzu ewangelickim. „U heretyków” jak to powiedział któryś z rekieterów z domku przy Dobrosława. Gdzieś tutaj znajdował się grób Stefana Żeromskiego, który znaleźli moi niedawni podkomendni.

– Coś więcej? – Spojrzał na mnie Knap.

– Rząd piąty, kwatery dwadzieścia „B”, grób siódmy – wyrecytowałem.

Przez chwilę stał i spoglądał na boki, drapiąc się po głowie. Pociągnął nosem.

– Chyba będzie tędy – mruknął wreszcie, po czym ruszył przed siebie, ja zaś wiernie za nim, nie po raz pierwszy tego sierpnia.

Nagle dostrzeżliśmy ostre światło, dokładnie naprzeciwko nas. Niemal tak samo kilkadziesiąt minut wcześniej objawił nam się Józek, dla jednych upiór, dla mnie – wybawiciel. Okazał się nim także i teraz, kiedy z całej siły szarpnął mną w bok. Pacnęliśmy na ziemię,

szczęściem w kopę zeschniętych liści. A sekundę później usłyszeliśmy gniewne:

– *Was ist denn los?!*

– Spokojnie... – szepnął Józek. – Oni mają pietra nie mniejszego niż my. Mimo że teoretycznie na takim cmentarzu powinni czuć się jak u siebie.

Kilka chwil później, które wydawały mi się wiecznością, światło zgasło. Niby dobrze, bo można było brnąć dalej. Ale też źle, ponieważ zdradzało pozycję wroga, a teraz mogło rozbłysnąć w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Ale z Józka był stary wyjadacz. Zacząłem nawet podejrzewać, że poznał jak własną kieszeń kompleks cmentarzy na długo przed tym, jak się tutaj schronił po hekatombie swojej dzielnicy. Może tu pracował? Wtedy krzyż, który tachał na plecach przez pół miasta, mógł mieć z tym coś wspólnego. Tak czy owak, wkrótce wyprowadził nas w bezpieczne miejsce, gdzie mogliśmy wstać na równe nogi. Musiało tu być naprawdę czysto, gdyż włączył latarkę, by coś oświetlić. Jak się okazało, chciał sprawdzić numer kwatery.

– Dwadzieścia „B” – ogłosił triumfalnie.

Poznałem to miejsce. Szybko znaleźliśmy grób siódmy. Bez słowa dopadłem ściany i przesunąłem płytę. Józek kucnął obok i skwapliwie przyświecał mi latarką. Musieliśmy wyglądać jak cmentarne hieny, które zwabiły złote pierścienie na palcach dopiero co pochowanego nieboszczyka. Było w tym zresztą trochę prawdy.

– Jest! – niemal krzyknąłem.

– Ciszej – osadził mnie w miejscu Józek.

Była to paczuszka wielkości dużej puszki marmolady. Pliki banknotów, które obwiązałem niczym baleron przed wędzeniem i jeszcze otuliłem znalezioną w domowej kuchni folią, żeby aby nie zamokły. Teraz musiałbym wszystko wypatroszyć, żeby dać część Józkowi...

– Zabieraj, co twoje, zamykaj grobowiec i spadamy stąd – zaordynował.

Wykonałem jego polecenia. Paczkę włożyłem do plecaka, po czym

ruszyłem za Knapem. Droga powrotna, jak to zwykle bywa, wydała mi się o wiele krótsza niż w przeciwną stronę. A może to Józek już nie kluczył, tylko wybrał najprostszą drogę, choćby ze względu na naprawdę późną porę. Moja wiekowa omega wskazywała trzecią, kiedy znaleźliśmy się znów przy otwartej szczęśliwie furtce cmentarza Powązkowskiego przy ulicy Ostroroga.

– Dalej nie idę – ogłosił mój przyjaciel.

– Ja muszę na Koło – odpowiedziałem starą śpiewką; było mi jakoś niewyraźnie.

– Uważaj na siebie. – Uścisnął mi mocno dłoń.

Nie, nie mogłem tak po prostu odejść.

– Nie zapytałeś nawet, co jest w tej paczce, którą wyjąłem z grobowca... – zacząłem, ale Józek zaraz pokręcił głową.

– Pewnie coś ważnego. Ważnego dla ciebie. To mi wystarczy.

– Na pewno?

– Idź już, Antek. Kiedyś powiedziałbym, że jak Bóg da, to się jeszcze spotkamy.

– A teraz?

– Teraz, po tym wszystkim, co widziałem i w czym brałem udział, jestem pewien, że o nas zapomniał. Dlatego powiem tylko: do widzenia. I uważaj na siebie, brachu.

Wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby się nie rozplakać. Z wielu powodów. Poprawiłem rzemień plecaka na ramieniu.

– Będę uważał.

Odwrociłem się i szybkim krokiem ruszyłem w stronę torów kolejowych. Było zimno i mgliście. W każdej chwili mogłem się napatoczyć na bahnschutza lub kogoś równie „przyjemnego”. To, żeśmy nie spotkali z Wroną i Ślepym żadnej świni, idąc w kierunku cmentarza, nie oznaczało przecież, że teraz będzie spokojnie.

W kilku susach i przy akompaniamencie chrobotu tłuczni przeciąłem tory. Obejrzałem się za siebie. I mimo że w ciemności i we mgle nie ujrzałem Józka ani on nie mógł widzieć mnie, uniosłem rękę w geście pozdrowienia. I podziękowania jednocześnie. Przedemną był Lasek na Kole. I, czego wtedy jeszcze wiedzieć nie mogłem,

najgorsze też było jeszcze przede mną...

*

Szarżało, kiedy dotarłem na miejsce. Mimo wszystko byłem ciekaw, czy Wrona i Ślepy zdążyli już wrócić. A jeśli tak, to co opowiedzieli swojemu szefowi. Że zostaliśmy zaatakowani, a ja najpewniej pożarty przez grasującego po cmentarzu upiora, a oni ledwo uszli z życiem? Jeśli tak, to musieli się przyznać, że boją się duchów, a z tego wynikało, że w nie w ogóle wierzą.

Jak przyjąłby to szef? Raczej wątpliwe, żeby zrozumiał. Zbeształby kmiotków, oskarżając ich pewnie, że się spili po drodze i pozwolili uciec człowiekowi, którego powinni strzec jak oka w głowie. Mogli też po prostu powiedzieć, że uciekłem, tyle że wtedy efekt byłby taki sam – reprimenda, może nawet kara cielesna. Inaczej by było, gdyby mieli łup.

Ale miałem go ja.

– Kto tam? – przywitał mnie ten sam głos co wtedy, kiedy przyszedłem tu po raz pierwszy.

– Swój – odparłem.

Chwilę trwało, nim strażnik znów się odezwał. Musiałem go obudzić.

– A, syn tego tam... – mruknął. – Właż. Szef nie śpi.

Usłyszałem szcęk zabezpieczonej broni. Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Spokojnie mógłbym, „syn tego tam”, przyjść tutaj z Władkiem i kilkoma jego ludźmi i mielibyśmy wszystkich bandziorów jak na talerzu.

W izbie paliło się światło. Kiedy wszedłem do środka, zobaczyłem gęsty papierosowy dym unoszący się nad stołem, przy którym siedziało dwóch ludzi. Przodem do drzwi – herszt.

– O, jest nas bohater! – zawołał pijackim falsetem.

Zaciekał mnie ten drugi. Wciąż widziałem tylko jego plecy. Wróg czy przyjaciel? Skoro razem biesiadowali, to chyba jednak ten pierwszy, choć różnie mogło być. Miał samodziałową marynarkę i kark podgolony starannie i wysoko, jak u żołnierza. Wcześniej nie

spozostzegłem tu nikogo takiego.

– Gdzie moi ludzie? – zapytał bandzior.

– Spierdolili – odpowiedziałem swobodnie, bo kłamać przecież nie musiałem. – Zaraz po tym, jak weszliśmy na cmentarz.

Machnął na to ręką lekceważąco, jakby spisał ich na straty albo po prostu nie chciał mu się w tej chwili, kiedy alkohol krążył po żyłach, a w butelce nie było jeszcze widać dna, zaprzętać sobie tym głowy.

– Chuj z nimi – wsparł gest werbalnie, kończąc jednocześnie temat, by zaraz przejść do następnego, o wiele ważniejszego: – Masz kasę, synku?

Przełknąłem kolejnego „synka”. Przełknąłem też ślinę. I to kilka razy, albowiem w zadymionej izbie ciężko było oddychać. Palił stary znajomy, palił też nieznanomy. Wreszcie potaknąłem. Na to on wskazał palcem na stół.

– Najpierw uwolnij ojca, kobietę i dziecko – powiedziałem; nie mogłem się przecież zdradzić z tym, co podejrzewał tata.

– Nie fikaj, synku. Kasa, ale już! – Uderzył pięścią w stół.

– On nie ma kobiety i dziecka – niespodziewanie odezwał się mężczyzna, którego twarzy nadal nie widziałem.

Spokojnym gestem sięgnął po butelkę i nalał sobie pełną szklanę. Widziałem, jak twarz właściciela zielonego szalika wykrzywia grymas. Podniósł się z krzesła, wsparł rękami o blat i spojrział z góry na towarzysza biesiady.

– Nie taka była umowa! – ryknął.

Nieznanomy z podgolonym karkiem jakby nigdy nic wypił duszkiem wódkę. Odstawił szklanę z głuchym stuknięciem.

– Siadaj – powiedział.

– Mówię, nie taka była umowa – powtórzył szef rekieterów.

Wciąż stałem za plecami nieznanomego, więc nie mogłem widzieć wszystkiego, co robi. Ręka, która przed chwilą trzymała szklanę, sięgnęła teraz najprawdopodobniej w zanadrze. Wszystko widział stojący przed nim, wsparty na wyprostowanych rękach o stół bandyta. Czemu nie zareagował, skoro widział, co osobnik w samodziłowej marynarce wyjmuje z jej wewnętrznej kieszeni. Może

już znał ten gest, może brał go tylko za zabawę. Żartów jednak nie było.

Huknęło. Na czole bandziora wykwitł krwawy pęk, z drugiej strony trysnęła krew. Runął do tyłu. Odruchowo uskokczyłem w bok i jednocześnie w dół. I dobrze, bo chwilę później do izby wpadł zaalarmowany wystrzałem wartownik. Nic jednak nie działał, ścięty w progu dwiema kolejnymi kulami.

– Kłamał – powiedział morderca.

Wtedy ujrzałem jego twarz. Czoło i lewy policzek aż do kącika ust przecinała szeroka blizna – żadna nowość w tej okolicy – a prawe oko wydawało się większe od lewego. Choć oszpecona, twarz tego człowieka wydała mi się skądś znajoma.

– Kłamał, swatocz – powtórzył, po czym spojrzał na mnie. – On nie ma kobiety twojego ojca i dziecka. Bo ja je mam. *Priwiet'*, Antek. Dawno się nie widzieliśmy, przyjacielu...

Wróg – ta krótka myśl ostatecznie zmroziła mi serce.

*

Niedowierzanie. Pojawiło się pierwsze. A zaraz potem żal do losu, bo coś takiego mogło spotkać chyba tylko mnie. Kiedy idziesz Nowym Światem czy Marszałkowską w sobotni wiosenny wieczór szpalerem palących się już latarni i kiedy co krok spotykasz kogoś znajomego, jest to czysta radość. Kto wie, może nawet euforia, skoro to wiosna i wiatr niesie z południa zapach kwitnących drzew w Alejach. Co innego, gdy coraz zastępują ci drogę zmory przeszłości. Siła złego na jednego. Jak w koszmarnym śnie, z którego nie możesz się wybudzić. Rekieterzy, którzy skrzywdzili ojca, dali o sobie znać po niemal dwóch latach. Co prawda właśnie rozwiązano ich problem kilkoma naciśnięciami cyngla, ale nie oznaczało to, że mam powody do radości.

Teraz bowiem stał przede mną kolejny wróg. Stary wróg, gdyż poznaliśmy się jeszcze przed wojną, wiosną 1938 roku, krótko po maturze. Jechałem wtedy z ciotką do Zakopanego, żeby odpocząć od wielkomiejskiego gwaru, a tak naprawdę to uciekałem przed

kłopotami, między innymi z policją.

Udałem jednak, że nie wiem, o co chodzi.

– My się znamy? – zapytałem słabym głosem, po części także dlatego, że zrobiło mi się niedobrze: nie wiedziałem, od czego bardziej: gęstego dymu czy widoku mordowanych ludzi i tryskającej z nich krwi.

– Oczywiście. Już nie udawaj, maładec! – Uśmiechnął się, po czym szybkim ruchem schował rewolwer z powrotem w zanadrze. – Z tą hołotą tylko trzeba było zrobić porządek. Ale byli mi potrzebni.

– Do czego? – zapytałem bezwiednie.

– Żeby mnie do ciebie doprowadzić. Zniknąłeś wtedy tak niespodziewanie, a my nie mieliśmy pewności, czy Wania cię trafił. Ale czułem, że ci się udało. I że jednak żyjesz.

To było z kolei o naszym ostatnim spotkaniu, które miało miejsce 17 września 1939 roku, nad jeziorem na Polesiu, dokąd dotarłem wraz z przyjacielem i mentorem, Maksymilianem Winterem. Uciekaliśmy przed Niemcami na wschód, a tymczasem bracia Słowianie zrobili nam niespodziankę. Człowiek z blizną, której wtedy jeszcze nie miał, szedł na czele zabiedzonych ludzi ubranych w zielone spłowiełe rubaszki i czapki z czerwoną gwiazdą. Nie miałem wątpliwości co do ich intencji, dlatego zdecydowałem się na desperacki krok: skoczyłem do jeziora, a moim śladem poleciała kula. Teraz przynamniej dowiedziałem się, jak ma albo miał na imię ten, kto ją wystrzelił.

Podsumujmy, kochani, bo czasu, jak widać, nie ma już zbyt wiele. To był rosyjski czy też radziecki szpieg. Wtedy, w pociągu do Zakopanego, podrzucił mi do kieszeni marynarki mikrofilm ukryty w zapalniczce. Kilka chwil później został aresztowany na stacji w Miechowie. Ale udało mu się wywinąć, bo potem widziałem go w Toruniu, gdzie kręcił się niedaleko koszar. Ja grałem wówczas w przedstawieniu Maksymiliana Wintera. No i ostatnie spotkanie, na Kresach. Wtedy człowiek ten nieoczekiwanie zażądał zwrotu depozytu.

Czego mógł chcieć teraz, kiedy wszystkie bitwy były już wygrane, a

armia, której służył, stała po drugiej stronie Wisły? Było też drugie pytanie, znacznie ważniejsze. Aż bałem się je zadać, ale przecież musiałem to zrobić. Nie wiedziałem tylko, czy w obecności ojca, czy lepiej nie.

Rosjanin sięgnął po butelkę i rozlał jej zawartość do dwóch szklanek. Jedną dał mnie.

– Za spotkanie! – wznosił toast.

Wypiłem jednym haustem. Może był to lichej trunk, a może ze mną było coś nie tak – grunt że prawie nie poczułem palenia w przełyku. Odstawiłem pustą szklankę i podjąłem decyzję: ten krzyż doniosę sam.

– Mówiłeś, że masz kobietę i dziecko. Co to znaczy? – zapytałem.

– Dokładnie to, co mówiłem.

Spojrzałem na drzwi, za którymi zamknięty był ojciec. Nie miałem zresztą pewności, czy jeszcze tam jest. No i zdradziłem się tym jednym gestem; jakkolwiek by było, miałem do czynienia ze szpiegiem.

– Tata zdrów – poinformował mnie z uśmiechem. – Pewnie śpi. Nawet jeśli obudziły go strzały, zaraz zasną. To co? Pogadamy, Antek?

Wskazał mi krzesło. Usiadłem. Było jeszcze ciepłe po herszcie kolejnych bandytów.

– Mam na imię Walentin – przedstawił się Rosjanin, po czym zajął swoje miejsce, naprzeciwko.

Gdy sekundę później sięgnął w zanadrze, struchlałem. Jednak nie wyjął rewolweru, a fotografię. Rzucił mi ją.

– To cię powinno przekonać.

Wziąłem zdjęcie do rąk, ostrożnie, jakby jego krawędzie miały ostrość żyłki. Z fotografii spoglądała na mnie Alina. Tuliła do siebie Leszka. Siedzieli na trawie, w tle była stodoła, która stała w gospodarstwie, gdzie zawsze spędzali z ojcem letnie miesiące. Niby nic, zwykła fotka z wakacji, gdyby nie jeden szczegół. Obok siedział on, mój stary znajomy szpieg. Dotąd nawet nie wiedziałem, jak mu na imię. Teraz już tak. W lewej ręce trzymał rewolwer. Ten sam, z

którego pięć minut temu na moich oczach zastrzelił dwóch ludzi...

– Jeśli chcesz, żeby żyli, musisz zrobić to, co ci powiem – oświadczył Walentin.

I wtedy poczułem nagły przyptyw złości. Coś, co powinno we mnie wybuchnąć wiele dni wcześniej, choćby na tym idiotycznym procesie albo w szkole, dało znać właśnie teraz. Dlaczego? Może przez ten jego irytujący spokój, tę pewność, że będę słuchał rozkazów bez szemrania. A może stało się to z powodu późnej pory, braku snu, zmęczenia spowodowanego wędrówką...

– Gówno! – ryknąłem. – Nic dla ciebie nie zrobię, rzeźniku!

I zaraz sam się przestraszyłem tych słów. A on? Szpieg powinien być cierpliwy, bo przecież tyle godzin czekania na chłodzie i deszczu, aż interesujący go obiekt wyjdzie wreszcie na ulicę. I ponownie cierpliwy, gdy trzeba przekonać kogoś, by za ruble, dolary, funty, a może tylko dla idei przeszedł na drugą stronę. Przecież nie załatwi tego jedna rozmowa. Kropla drąży skałę.

A jednak i on nie zdzierzył. Wstał tak gwałtownie, aż krzesło przewróciło się z hukiem. Wyszarpnął broń; już nie miałem nadziei, że to kolejne zdjęcie, które ma mnie przekonać.

– *Niet’?*! – ryknął teraz on.

Byłem pewien, że serce już mi nie bije, a miechy płuc przestały tłoczyć powietrze do żył. Ale Walentin nie wycelował broni w moim kierunku. Ruszył z impetem w stronę komórki, gdzie spał ojciec. Otworzył na oścież drzwi, a zrobił to tak gwałtownie, że klucz tkwiący w zamku uderzył o ścianę i zostawił w niej ślad.

Walentin wystrzelił dwa razy. Potem jeszcze raz. Huk był taki, że byłem pewien, iż sufit chatynki za chwilę zwali mi się na głowę. A może to już mój cały świat walił się w gruzy.

Szpieg odwrócił się powoli. Szrama na jego twarzy podbiegła krwią, jakby ostrze przecięło skórę przed chwilą. Wycelował teraz we mnie. Gniew zwięził mu oczy w dwie kreski.

– *Niet’?* – zapytał. – Możesz jeszcze ocalić kobietę i dzieciaka. Odpowiadaj! *Niet’?*!

– Zrobię, co każesz – odpowiedział ktoś inny moimi ustami.

Ja nie mogłem. Właśnie zacząłem mozolne umieranie, mimo że na moją osobistą Gólgotę dopiero musiałem się wspiąć. I chociaż miałem to zrobić po raz pierwszy, dobrze ją znałem...

XII

Plecak, z którym przemierzyłem tyle kilometrów po mieście, przez co zacząłem go nawet traktować jak nieodzowny fragment mnie – jeśli nie część ciała, to na pewno element ubioru – został w chatce przy Dobrosława. Walentin wrzucił go po prostu do komórki, w której leżał mój martwy ojciec. Pewnie nie wiedział, jaki skarb przyniosłem. A może wiedział, tylko były ważniejsze rzeczy. Jak choćby to, do czego miał wykorzystać mnie. Był pewien, że swoim czynem uzyskał pożądany efekt – mogłem się albo na niego rzucić z pięściami, albo ślepo mu się podporządkować. Tylko że ja nie byłem w stanie nawet ruszyć ręką.

Tak więc plecaka nie miałem, a mimo to wciąż czułem, jakby tam był. I to wypełniony czymś więcej aniżeli srebrnym krucyfiksem i paroma paczkami banknotów. Może przyciskała mnie do ziemi rozpacz podobna do tej, którą czułem, kiedy po krótkiej chorobie umarła matka. Nie, chyba większa, wszak teraz nie pozostał mi już nikt. Alina i Leszek? Ich los był niepewny, a to, że zależał teraz, jak zdecydował morderca, w głównej mierze ode mnie, też nie pozwalało mi się wyprostować, odetchnąć pełną piersią, cieszyć się rześkim, wolnym od dymu powietrzem podwarszawskiego sierpniowego poranka.

Ciążyły mi też wyrzuty sumienia. Może gdybym zachował się inaczej, nie rozsierdził typa, zgodził się bez wahania na przygotowaną dla mnie rolę – chociaż wciąż nie miałem pojęcia, na czym będzie polegać – tata by żył...

– Dokąd idziemy? – zapytałem, kiedy, nie spotkawszy po drodze nikogo, znaleźliśmy się w pobliżu starej pętli tramwajowej przy ulicy Obozowej; stał tam nawet jeden wagon „dwudziestki dwójki” z powybijanymi szybami, najpewniej unieruchomiony od pierwszego sierpnia.

– Do domu – odpowiedział szpieg.

– Mojego? – zapytałem z niedowierzaniem.

– A co? Nie ucieszyłbyś się?

Przygryzłem wargę. Przecież nie miałem już domu. Z tej prostej przyczyny, że, choć dochodziło to do mnie z trudem, jakbym jeszcze się wybudził ze snu, byłem teraz sierotą. Tam, na Jasnej, zostały tylko zimne ściany. Zresztą i to było niepewne...

Przez następne pół godziny szliśmy Obozową na wschód.

– Stój – rzucił w pewnej chwili Rosjanin.

Zrobiłem, jak chciał, po czym spojrzałem na niego w oczekiwaniu dalszych poleceń. Co miałbym zrobić? Kilka chwil wcześniej myślałem, że może każe mi uruchomić ten opuszczony tramwaj i jakby nigdy nic ruszyć nim w stronę miasta. A może za Wisłę, gdzie stali, a raczej spali, towarzysze tego człowieka. Wbić się wagonem w niemiecki czołg? Albo staranować ten cholerny pociąg, z którego już raz do mnie strzelali. Proszę bardzo! Co to dla mnie!

Walentin odszedł kilka kroków, oglądając się. Nie trzymał mnie na muszce, jednak przekonałem się na własne oczy o jego umiejętnościach. I on to pewnie wiedział.

– Podejź no tu, malczuk – zawołał niegłośnie, zupełnie jakbyśmy byli na wycieczce krajoznawczej, a on właśnie znalazł jakieś dziwo.

Staliśmy przed ukrytym pośród gęstych krzaków ukośnym wejściem do piwnicy. Niepodobna było wypatrzeć je z drogi, mężczyzna musiał więc doskonale wiedzieć, gdzie iść. Rozejrzał się na boki, po czym wyjął z kieszeni nóż i pochylił się nad kłódką. Po chwili rozległ się cichy metaliczny zgrzyt i krótkie skrzypnięcie zawiasów.

Zamierza mnie tu zamknąć – przeszło mi przez myśl. W sumie nie miałbym nic przeciwko, kolejna cela nie powinna być ani lepsza, ani gorsza od wcześniejszych.

– Wskakuj. – Wskazał mi ciemną czeluść.

Tym razem wykonałem polecenie bez słowa. Zaraz za progiem znajdowały się schody. Spodziewałem się dwóch, najwyżej pięciu, tymczasem było ich o wiele więcej. Nie zdążyłem się jednak przestraszyć, bo zaraz zabłyśło światło latarki, a jednocześnie, przy

akompaniamencie znajomego skrzypnięcia zawiasów, zniknął błąd prostokąt światła dziennego.

Rozglądałem się po murowanych ścianach.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytałem.

– Na... stacji metra – odpowiedział błyskawicznie.

– Co? – prychnąłem. – Przecież w Warszawie nie ma metra.

– Ale będzie, przyjacielu. Będzie – rzekł ze spokojem, oświetlając ściany z czerwonej cegły, pokryte sadzą i pajęczynami. – Moi towarzysze przekroczą rzekę prędzej czy później i nastanie nowy porządek. I metro też będzie. Pięknie! Takie jak w naszej Moskwie, choć na pewno nie większe. Żadne metro na świecie nie może być takie jak nasze.

Zatkało mnie, przyznam. Tak jak wcześniej udawało mi się przełknąć „synka”, tak i teraz nie zareagowałem na „przyjaciela” w ustach człowieka, który odebrał mi najważniejszą osobę na świecie. Zafrapował mnie, nie ma co. Owszem, słyszało się tu i ówdzie o koncepcji budowy podziemnej kolejki także i u nas. Ponoć prezydent Starzyński bardzo tego pilnował. Gdzieś już też chyba robiono próbne odwierty, rysowano mapy...

– Jak znam życie, pierwsze stacje w tym mieście powstałyby w tych lepszych dzielnicach – perorował. – O Kole, Woli i Pradze panowie szlachta z cygarami w gębach pomyśleliby na końcu. A tak przedsiębiorczy ludzie zaczęli kopać na własną rękę. To coś w rodzaju próbnej nitki.

Powiedziawszy to, poświecił w prawo. Ujrzałem długi tunel szerokości mniej więcej półtora metra. Z niedowierzaniem pokręciłem głową. Chyba uznał to za wyraz podziwu.

– Tak przynajmniej słyszałem – mruknął. – Choć istnieje też inna historia mówiąca o tym, że to właśnie panowie z cygarami w gębach wykopali sobie taki tajemny tunel, żeby móc uciec z miasta na zachód. Pomysł powstał po tym, jak Piłsudski zatrzymał nas pod Radzyminem w 1920 roku. Niestety, w trzydziestym dziewiątym, jak się pewnie domyślasz, korytarz okazał się bezużyteczny. Tak czy inaczej, dojdziemy nim do Śródmieścia...

*

Korytarz był naprawdę imponujący. Ktoś, komu dane by było ujrzeć jedynie fragment, może tylko wzruszyłby ramionami. Ot, piwnica, jakich wiele. Podziemny skład win przy jednej z restauracji na Starym Mieście. Tylko że szliśmy nim i szliśmy, a końca nie było widać! Korytarz zakręcał to w prawo, to w lewo, zazwyczaj jednak łagodnie. Czyżby naprawdę była to wstępna nitka linii metra? Prędzej byłem w stanie w to uwierzyć aniżeli w tę drugą bajkę o tunelu, który ktoś wykopał, aby móc uciec z Warszawy przed Iwanem.

– Zmęczony? – zapytał Walentin.

– Nie – odburknąłem.

– A ja tak. Odsapnijmy chwilę. Wentylacja tu trochę nawala...

Właściwie to nawet nie zauważyłem, że oddycha mi się gorzej. Pewnie wielu rzeczy nie potrafię zauważyć. Coś się zmieniło nieodwracalnie. A z tym zmęczeniem oczywiście skłamałem. Nie mogłem okazać słabości przed tym człowiekiem ani skamleć. Kucnąłem pod ścianą. Szpieg zgasił latarkę, by oszczędzać baterie, a wtedy otuliła nas szczelnie nieprzenikniona, lepka wręcz ciemność.

I dopiero teraz – może dlatego, że nic nie zajmowało innych zmysłów – poczułem zapach, który bił od tego człowieka: odór butwiejącego materiału i tytoniu mieszał się z silną wonią alkoholu. A wtedy, kiedy widziałem go po raz pierwszy w pociągu jadącym z Warszawy do Zakopanego, palił drogie, aromatyzowane papierosy i pachniał dobrą, bodajże cedrową wodą kolońską. Bez wątpienia tym wszystkim zwrócił na siebie uwagę mojej ciotki, kiedy się do nas dosiadł. Jak również nienagannym ubiorem, manierami i gadką. Kto mógł przypuszczać, że to niebezpieczny szpieg i zabójca. Kto mógł wiedzieć, że po tamtej rozmowie nad brzegiem jeziora na Polesiu, zakończonej moją brawurową ucieczką, jeszcze się spotkamy. Jakim sposobem ten człowiek w ogóle wpadł na mój trop? I o jakiej umowie mówił herszt bandy, zanim ten go zastrzelił?

– Trzeba iść – stęknął, z czego mogłem wywnioskować, że wstaje.

Czy myślałem o ucieczce, mimo iż na własne oczy widziałem, jaki los czeka tych, którzy odważą się zrobić coś nie po myśli tego człowieka? Przez cały czas. Oczami wyobraźni widziałem, jak jednym gwałtownym gestem wytrącam mu z ręki latarkę, ta upada na podłogę i rozbija się, ja zaś pędzę przed siebie ile sił w nogach. On zaś albo zaczyna mnie gonić, albo wyciąga broń i strzela na oślep. Ile mam szans na przeżycie? Mniej czy więcej, niż gdybym szedł z nim potulnie dalej?

– Śpisz, Antek? – zapytał, bo wciąż otaczała nas ciemność.

– Nie śpię.

– To dobrze. Idziemy. Mamy niewiele czasu. – Walentin zapalił wreszcie światło i omiółł żółtą smugą najbliższe otoczenie; korytarz przed nami znów zakręcał w lewo.

Stałem na równych nogach. Przez tych kilka chwil postoju zdążyły mi ścierpnąć. Mężczyzna oświetlił mnie od kolan po stopy, jakby się tego domyślił, a blask latarki mógł cudownie je uleczyć. A może tylko sprawdzał, gdzie będzie najlepiej strzelić, gdybym jednak spróbował szczęścia. Tak jak wtedy, na kresach. Teraz to byłaby również sprawa ambicji.

– *Wpieriod* – zaordynował.

Powlokłem się za nim jak na ścięcie. Być może nawet niedaleki byłem prawdy. Tamtego incydentu sprzed lat nie można było puścić płazem...

Ile już kilometrów miałem w nogach od tamtej chwili, gdy wyszedłem w domu z kiełbasą na ślub córki mechanika Cieślaka? Właściwie liczyć należałoby od momentu, kiedy opuściłem warsztat na Czerniakowie chwilę po zrealizowaniu zlecenia. Od tamtej chwili poruszałem się per pedes, z wyłączeniem tej jednej wycieczki autem fałszywych żandarmów. I tego, jak mnie nieśli na noszach do szpitala. A przecież jeszcze nie tak dawno przemieszczałem się po ukochanym mieście już to tramwajem, już to kolejką WKD, riksą w dwojaki sposób, a nawet żandarmską budą, kiedy pewnego dnia zdarzyło mi się skręcić nie w tę przecnicę co trzeba. Jeździłem samochodami, choć tylko jako pasażer, czasem mimo woli.

Dzisiaj to wszystko było jedynie pięknym wspomnieniem. W ciągu kilku zaledwie tygodni miasto, na które kiedyś z zachwytem spoglądała cała Europa, a może nawet świat, cofnęło się o kilkadziesiąt, może nawet kilkaset lat. Z tą jedną różnicą, że konie już dawno zostały zjedzone.

– *Wychodziła na bierieg Katiusza...* – Walentin zanucił pod nosem, a potem zaczął pogwizdywać.

Nie sprowokujesz mnie, skurwysynu – lżyłem go w duchu.

Szliśmy i szliśmy. Czasem zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy, a nawet szczekanie psa. Innym razem nad naszymi głowami przetaczało się coś jak długi, modulowany grzmot burzy. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, ale nietrudno się było domyślić, co się wyrabia na powierzchni. Ślaniałem się na nogach. Człowiek, którego więźniem się stałem, już się nie zatrzymywał na odpoczynek, nawet na chwilę. Zdarzyło się kilka momentów, że byłem gotów położyć się na ziemi, bez względu na to, co się stanie...

Prócz orientacji straciłem również poczucie czasu. O chęci do życia nie wspominając. Nie od razu więc pojąłem, co Rosjanin ma na myśli, kiedy w którymś momencie przystanął i ogłosił:

– *Stacja Śródmieście. Wysiądać!*

*

Wyszliśmy na powierzchnię już nie na otwartej przestrzeni, ale w jakimś budynku. I nie po schodach, ale po karbowanych metalowych szczeblach, które ręce budowniczych osadziły w betonie. W pomieszczeniu, które wyglądało na opuszczony magazyn, wałały się śmieci. I jeszcze coś, co spostrzegłem tamtego ranka, kiedy wyszedłem z mieszkania przy Jasnej. Od tamtej pory zmieniło się wszystko. Tylko gówno było gównem. Ekskrementy, już zaschnięte, choć wciąż jeszcze dające o sobie znać smrodem, każde o innym, niepowtarzalnym kształcie, pozostawiono w tym pomieszczeniu w kilku miejscach. Zarówno w kątach, jak i na samym środku.

– Skot – mruknął szpieg, pociągając nosem.

Podszedł do okna, za którym jaśniał dzień. Wspiął się na palce,

ponieważ znajdowało się niemal pod sufitem pomieszczenia, i wyrzwał na zewnątrz. Sam byłem bardzo ciekaw, dokąd to dotarliśmy podziemnym tunelem.

– Będziemy musieli poczekać do zmierzchu – powiedział Walentin.
– Nie wiem tylko, gdzie będzie lepiej: tutaj czy pod ziemią.

Nie zabrałem głosu w tej sprawie. Nawet o gównie nie chciało mi się z nim gadać, bo to oznaczałoby, że mamy podobne zdanie. A ja nie chciałem mieć nic, absolutnie nic wspólnego z tym osobnikiem. Przynajmniej na tyle, na ile to będzie możliwe. Bo gdy każe mi coś zrobić, coś, od czego będzie zależeć życie Aliny i jej syna, pewnie to uczynię.

Rosjanin jeszcze kilka razy pociągnął nosem, po czym skierował kroki w stronę włazu, którego kłapa, drewniana z metalowymi okuciami, wciąż pozostawała uniesiona, jakby zapraszała w czeluście piekielne. Pewnie tylko nieliczni, w tym ja i ten człowiek (przecież nie mogłem powiedzieć „my”!), wiedzieli, że tak naprawdę znajdowała się za nim droga do życia. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że takimi szlakami ku ocaleniu, prócz wykopanych naprędce pod ulicami czy łączących podwórka korytarzy, staną się także warszawskie kanały. I żeby się tam dostać, trzeba będzie stać w długiej kolejce. A czasem nawet i nie doczekać...

– Właz!

Miałem wrażenie, że pozostałości po człowieku cuchną coraz bardziej. Powoli zszedłem po drabinie z powrotem do tunelu. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, co bym zrobił, gdyby Rosjanin popełnił błąd i wszedł pierwszy. Wystarczyło tylko błyskawicznie zatrzęsnąć kłapę, a potem na niej stanąć. Tylko że pewnie zaraz zaczęłyby strzelać.

Ostrożnie i cicho zamknął właz, po czym zszedł na dół po schodach.

– Odwróć się – rzucił.

Wykonałem rozkaz, zanim zdążyłem się przestraszyć, nie mówiąc już o próbie domyslenia się, o co mu może chodzić. Szybkim i wprawnym gestem rozpiął mi sprzączkę paska. Kawałek skóry z krótkim, cichym wizgiem wyskoczył pomiędzy szlufek i już po chwili

poczułem, jak zaciska mi się na nadgarstkach, które Rosjanin również błyskawicznie i z wprawą połączył za plecami.

– Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Tak mówicie? – zaśmiał się Walentin. – A teraz można pospać.

Pokusa przyłożenia głowy choćby do własnego ramienia i zamknięcia oczu okazała się silniejsza niż cokolwiek. Mogli mnie w tej chwili pokrajać na kawałki. Trudno. Położyłem się na boku, co przy związanych z tyłu rękach łatwe nie było, podkurczyłem nogi. Wystarczyło zaledwie kilka chwil, abym stracił świadomość...

*

– Wstawaj! Już czas.

Mimo że słowa poparto czynem w postaci kilku szturchnięć w ramię, nie od razu otwieram oczy. Może wynika to z mojej przekory i wrodzonej niechęci do wojskówki, a może też z racji tego, że tej nocy kiepsko spałem. Wszystko przez nerwy. Przed maturą też, jak pamiętam, długo nie mogłem zmrużyć oka, wciąż przekładałem się z boku na bok, za każdym razem mając nadzieję, że to już ostatni raz. I że sen nadejdzie. W końcu się udało, ale wiedziałem, że to za mało i rano będę nie do życia.

– Nie śpię – mruczę.

– Dobra, dobra. Znam cię. Daję górala, że gdybym wyszedł teraz z mieszkania i wrócił za godzinę, kimałbyś w najlepsze.

Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Nie oburzam się ani nie uśmiecham. Wszystko dlatego, że Władek ma rację. Znamy się nie od dziś. No i za godzinę z niewielkim haczykiem ma być już po wszystkim!

– Kawy? – pyta z kuchni.

– Masz prawdziwą?

– A jak! Ze zrzutów. Jakiś John czy James pomyślał i o tym.

– Raczej jakaś Jane albo Kate – prostuję, siadając na łóżku.

– Trudno nie przyznać ci racji.

Po kilku chwilach, umyty, ogolony – choć niektórzy twierdzą, że to przynosi pecha przed tak ważną chwilą – i ubrany, siedzę wraz z

Władkiem przy stole i piję kawę. Nie jemy tego ranka śniadania, ponieważ brzuchy muszą być puste z uwagi na ewentualne rany postrzałowe tej części ciała. To stara zasada, choć dowiedziałem się o niej dopiero niedawno.

– Dopijaj i lecimy – ponagla Michalski.

Pięć minut później zbiegamy po schodach. Poranek jest mroźny, jak to w lutym, a ten miesiąc, drugi miesiąc w kolejnym roku wojny, zaczął się właśnie dzisiaj. Łapiemy „jedenastkę” i z Chałubińskiego docieramy na plac Zbawiciela, a stamtąd piechotą na Mokotowską. W mieszkaniu są już wszyscy, ale się nie spóźniliśmy. Gospodarz starannie zamyka za nami drzwi wejściowe, przekręca kółko patentowego zamka. Zbieramy się wszyscy w największej izbie. Rozpoczyna się odprawa.

– Panie i panowie – zaczyna oficjalnie dowódca. – Według naszych informacji, obiekt jest dzisiaj w Warszawie i o czasie ma wyjechać ze swojej kwatery. Wszystkie nasze plany pozostają bez zmiany. Wszystkie stanowiska jak było ustalone. Panie poruczniku – zwraca się do Władka, który stoi po jego prawicy – proszę fasować broń.

– Rozkaz – odpowiada Michalski, prostując się na chwilę w postawie zasadniczej.

Następnie otwiera leżącą już na stole walizkę i zaczyna rozdawać „zabawki”. Każdy z nas wie, za kim stanąć, a mój kolega pamięta, po jaką sztukę broni sięgnąć. Ja dostaję visa. Lubię ten stary polski pistolet, bo dobrze leży mi w dłoni. Podczas gdy inni, po sprawdzeniu, czy śmiercionośne narzędzia działają, bo od tego zależy przecież życie, chowają je, gdzie kto tam zwykł je nosić, ja nie mogę się powstrzymać i przez kilka chwil przyglądam się visowi. Zimna stal przyjemnie chłodzi spoconą skórę dłoni. Zauważa to jedna z dziewczyn.

– Samych dych ci życzę – mówi z uśmiechem.

– Dychy to na strzelnicy – prostuję.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Wiem, że na strzelnicy. Ale jak to inaczej powiedzieć?

Jest delikatna, młodziutka. Podoba mi się. Na szczęście podczas

akcji, która się za chwilę zacznie, nie będzie w pierwszej linii atakujących, tylko ma dawać znaki, że obiekt się zbliża. Właściwie to mógłbym przed nią uklęknąć, żeby biało-czerwony kotylion przypięta do rogatej czapki, jak robiły kobiety mężczyznom idącym do powstania styczniowego.

– Wychodzimy po kolei, tak jak było ustalone – ordynuje półgłosem dowódca. – Życzę wszystkim połamania nóg. I tego, żebyśmy spotkali się po wszystkim w niezmiennym składzie.

Co tu więcej powiedzieć. Władek mruga do mnie. Każdy chce jakoś zamaskować zdenerwowanie, wiem to. Mnie chyba najbardziej pomaga przyjemny ciężar w wewnętrznej kieszeni marynarki. Znów idziemy z Michalskim, ale na skrzyżowaniu Mokotowskiej z Piusa XI musimy się rozdzielić. On uda się w kierunku zaparkowanego nieopodal samochodu, ja zaś sam piechotą; właśnie tak zostało to wymyślane, zresztą pewnie po długich namysłach i dyskusjach w jakimś zasnutym do cna tytoniowym dymem pokoju...

W pewnej chwili widzę, że dwóch naszych chłopaków zmierza wprost na patrol żandarmerii. Idą powoli, szeroko rozstawiają nogi jak to oni.

Czy ich zaczepią? A co będzie, że jeśli złączą rewidować? – zastanawiam się gorączkowo, zwolniwszy kroku.

Mimo że na dworze jest kilka stopni poniżej zera, zaczynam odczuwać nieznośne gorąco. Nawet luzuję pod szyją węzeł szalika. Rozglądam się dokoła w poszukiwaniu wsparcia, a może tylko zrozumienia. Oczy zaczynają mi łzawić. Wreszcie dotykam wypukłości pod lewym ramieniem...

– Spokojnie. Bez nerw – słyszę szept tuż za sobą.

To zbliża się jeden z bojowców. Wysoki, z dziobatą twarzą. Wiem, że pod skórzaną kapotą niesie stena. Pamiętam nawet, jaki miał wyraz twarzy, kiedy odbierał go z rąk Michalskiego. Uspokajam się więc, ale tylko na chwilę. Spoglądam na drugą stronę ulicy, gdzie być może za chwilę rozegra się dramat, i z oczu znów mi płyną łzy. W tym samym momencie patrol niemieckiej żandarmerii i dwójka naszych chłopaków mijają się jakby nigdy nic.

– I po strachu. – Mój towarzysz się uśmiecha. – Zresztą i tak byśmy nic nie mogli zrobić. Najważniejsza jest akcja...

Bierze mnie pod ramię niczym starszy, doświadczony człowiek żółtodzioba, a puszcza dopiero, kiedy zbliżamy się do Alej Ujazdowskich. Widzę już stojącą na umówionym miejscu dziewczynę, która życzyła mi najlepszych trafień. Pewnie trudno jej było powiedzieć, że „między szwabskie oczy”. Wiem jednak, że nie mogę się rozpraszać. Zajmuję swoje stanowisko. Czerwony krzyżyk na odręcznym planie fragmentu Śródmieścia, na który po raz pierwszy spojrzałem kilka tygodni temu.

Oby na mnie krzyżyka nie postawili, ale brzoźowego – przechodzi mi jeszcze przez głowę myśl trochę trwoźna, a trochę zabawna.

Spoglądam na zegarek. Trzy kwadransy na dziewiątą rano. W tej samej chwili słyszę warkot silnika samochodowego. Odwracam się powoli. Tak, to elegancki opel, w którym siedzi nasz cel. Spoglądam w przeciwnym kierunku. Dziewczyna, ale nie ta, z którą rozmawiałem, przewiesza torbę z jednego ramienia na drugi. To umówiony znak.

Samochód skręca w Aleje i rozpędza się w kierunku placu Trzech Krzyży. Ruszam z miejsca szybkim krokiem. Wiem, że go dogonię. Przecież tyle razy o tym rozmawialiśmy. Po chwili mija mnie inny samochód. W szybie przez ułamek sekundy widzę profil Władka, który trzyma w ręku odbezpieczone parabellum.

Mijam „swoją” dziewczynę. Nieznaczne skiniecie głową. Teraz mogłaby przypiąć mi tę wstążkę w narodowych barwach, może nawet dać całusa, bo przecież zmierzam w kierunku oka cyklonu. Po chwili słyszę odgłos ostrego hamowania. Ocieram oczy z łez, choć nie jestem już pewien, czy to od zimnego wiatru, czy z emocji. Widzę dwa samochody stojące w poprzek ulicy. Sięgam po visa i zaczynam biec. Rozlegają się pierwsze strzały. Widzę niemieckiego wartownika padającego przed gmachem dowództwa SS i policji. I Władka wychodzącego z samochodu z zaciętą twarzą i parabelką w dłoni.

Ale to ja jestem pierwszy przy limuzynie dygnitarza. Gwałtownie szarpnięciem za klamkę tylnych drzwi, otwieram je i celuję w generała. A

raczej w miejsce, gdzie powinien siedzieć. Naciskam spust dwa razy. Potem jeszcze raz. Widzę, jak z mdlejących palców Niemca wyślizguje się skórzana teczka. Chwytam ją chciwie. Dopiero po tym podnoszę wzrok, aby spojrzeć w gasnące oczy bestii. Wtedy widzę, że to nie jest żaden niemiecki generał, siepacz.

To mój ojciec...

*

Obudziłem się. Oddychałem ciężko, jakbym przed chwilą przebiegł sprintem setkę. Ciekawe, czy jeszcze byłbym do tego zdolny. Następnie przez kilka sekund rozglądałem się dokoła, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jestem. Pomógł mi w tym znajomy, śpiewny głos, który rozległ się w półmroku.

– Wstawaj, Antek! Już wieczór. Zaraz ruszamy.

– Dokąd? – zadałem pytanie, którego bałem się zadać wcześniej.

– A, niedaleko – odparł enigmatycznie Walentin.

Nie bez trudu podniosłem się z miejsca. Nie wspominając już o próbie odlania się, a taką potrzebę też zaraz poczułem. Na szczęście byłem grzeczny i zasłużyłem na nagrodę: Rosjanin odpiął pasek i oddał mi go. Z wprawą godną żołnierza, chociaż trzęsły mi się ręce, włożyłem go w szlufki, a następnie odszedłem na stronę, aby oddać dług naturze. Tamten zrobił zresztą to samo. Przez chwilę korytarz wypełniało zgodne, internacjonalistyczne ciurkanie.

– *Wpieriod.*

I znów drabina z prętów, i znów właz i ta zasrana kanciapa. Tym razem jednak nie było nic widać, a także, co dziwne, czuć. Zresztą szybko ją opuściliśmy.

– Nie próbuj żadnych sztuczek – ostrzegł mnie Rosjanin, kiedyśmy stanęli przed drzwiami wykonanymi z podobnych materiałów i w podobnej technice co kłapa w podłodze.

– Czekałem, kiedy to powiesz – odrzekłem z przekąsem. – Właściwie to już zacząłem tracić nadzieję, że usłyszę tę kwestię.

Chrząknął, mruknął coś po swojemu w odpowiedzi. Może było to znane mi już skot, czyli bydło, a może inne „przyjemne” słówko,

którego można użyć przeciw bliźniemu swemu zamiast pistoletu.

Otworzył wreszcie te drzwi. Może kolejnej celi, ale konia z rzędem temu, kto odpowie, czy właśnie ją opuszczałem, czy przeciwnie – wchodziłem do środka. Mogła być wszak śmiertelną pułapką klatka schodowa, na której się po chwili znaleźliśmy. Widziałem przecież zarwane schody w jednej z kamienic. Usiłowałem sobie nawet wyobrazić, co sam bym zrobił, gdybym się znalazł w podobnej sytuacji. Czy zdążyłbym się czegokolwiek chwycić, by nie runąć w dół wraz z toną gruzu? I co potem...

Następne przejście, następne drzwi. Otwarte przez zapomnienie, a może po prostu nie musiały już niczego strzec, łącznie z ludzką prywatnością. A ja dałbym wiele, by ujrzeć jakieś okno, a dokładnie to, co za nim. Wiedzieć, dokąd doszedłem wielokilometrowym korytarzem ciągnącym się pod miastem, co z każdą chwilą zdawało mi się mniej prawdopodobne. A może wciąż byłem na którymś z powązkowskich cmentarzy, może udało mi się wyrwać kilka chwil snu z głową przyłożoną do zimnej płyty. Ech, wiele bym dał, by tak właśnie było. Bo oznaczałoby to przecież, że nie dotarłem na Koło, a ojciec żyje nadal...

Wspomnienie tego, co się stało, znów sprawiło, że spoglądałem na tego człowieka z nienawiścią. Mimo że za jedyne źródło światła mieliśmy tylko latarkę, chyba to dostrzegł.

– Co? – rzucił, świecąc mi w oczy jak na przestuchaniu.

„Gównu!” – chciałoby się krzyknąć prosto w tę jego gębę ze szpecącą blizną; właściwie sam był jedną wielką blizną, kimś, a może raczej czymś niechcianym.

– Nic.

Zbliżyliśmy się do kolejnych drzwi. Tu miałem jednak wrażenie, że szpieg zrobił to z pewnym wahaniem. Zupełnie jakby wcale nie chciał tam iść albo zrobił to w ostatniej chwili, czymś zaciekawiony bądź zwabiony. Choćby jakimś dźwiękiem. Ja niczego nie słyszałem. Spojrzał na mnie i położył wskazujący paluch na ustach. Czy u nich znaczyło to to samo co u nas? Chyba tak, bo mężczyzna już zakradał się do owych drzwi na palcach, a krok przed nimi zgasił latarkę.

Przyłożył ucho do drzwi. I uśmiechnął się. Jakoś chytrze, czarcio.

– Chodź no tu, *malczik* – powiedział szeptem.

Zrobiłem, jak chciał. Mało tego: złapałem się na tym, że czynię to dokładnie tak jak on wcześniej: na paluszkach, delikatnie, by nikogo nie spłoszyć. A przecież być może za tymi drzwiami było moje wybawienie. Wystarczyło złapać za klamkę i pchnąć z impetem. Albo pociągnąć. Wystarczyło narobić wrzasku, aby zaalarmować swoich. Chybabym się popłakał, widząc kilka luf stenów wycelowanych w tego osobnika, a za lufami kilka par gniewnych oczu...

Ale za tymi drzwiami nikogo takiego nie było. Może ten, kto tam był, nawet miał stena, ale broń leżała w tej chwili na podłodze, zupełnie bezużyteczna. Nie sposób było nie zgadnąć, co się tam dzieje. I albo się zawstydzić i odejść od drzwi, jak pewnie zrobiliby wielu ludzi starszej daty czy po prostu przyzwoitych, albo zaśmiać się w kułak, puścić oko do kamrata i z jeszcze większą chciwością przycisnąć ucho do odrapanej z farby powierzchni drzwi.

– *Wot, szutnik* – mruknął Walentin.

To powiedziawszy, sowiecki szpieg, człowiek, który trzymał mnie w niewoli, szachu czy jak to jeszcze dramatycznie i górnolotnie można określić, wybrał trzecią drogę: jakby nigdy nic zrobił to, o czym ja wcześniej myślałem, mając nadzieję, że po drugiej stronie czeka wybawienie. Jednak drzwi otworzył delikatnie, aby nie psuć efektu.

I nie zepsuł. W szparze między krawędzią drzwi a futryną, w nikłym świetle karbidowej lampy, ujrzeliśmy parę spółkujących młodych ludzi. Łatwo się domyślić, kim byli, gdyż chłopak nie zdjął mundurowej bluzy. Byli tak pochłonięci sobą i odwieczną czynnością dającą początek istnieniu wszystkich istot żywych – kto wie, może nawet wykonywaną po raz pierwszy w życiu – że nie zauważyli, iż nie są już sami.

I może tak by zostało, gdyby Walentin trzymał dalej język za zębami. Patrzył, pewnie z zamiarem ulżenia sobie przy najbliższej okazji w jakimś ustronnym miejscu, a tych tu nie brakowało. Tylko że tych dwoje też tak myślało. Że schowają się tutaj, aby skrzętnie wykorzystać okazję, którą dała im ucieczka z domu w szlachetnym, a

jakże, celu. Kto wie, może nawet grzechu żadnego w tym nie było, bo kilka godzin wcześniej w jakimś bunkrze czy piwnicy zdążyli wziąć ślub; słyszałem, że księża udzielają sakramentu hurtowo i nie trzeba dawać na zapowiedzi.

– Dawaj, dawaj! – zawołał głośno Rosjanin, choć trudno było orzec, w jakim języku, po czym zaśmiał się knajacko.

Dziewczyna odpowiedziała krótkim krzykiem, oboje znieruchomieli. Potem chłopak zaczął się wić, aby z niej zleźć, ale coś, pewnie jakiś element garderoby, guzik czy haftka, nie pozwolił mu tego zrobić. Jego twarz nabrzmiała krwią, co mogło być efektem wcześniejszego wysiłku, ale też wstydu i złości. Rosjanin najwyraźniej nie miał zamiaru sprawdzać, jaki był tego powód.

– *Pardon!* – rzucił od niechcenia, po czym po prostu zamknął drzwi, a dopiero potem znów zaśmiał się w kułak.

Szybko jednak spowaźniał. Znów machnięcie głową, tym razem w stronę schodów po prawej, na które padł snop żółtego, coraz słabszego światła latarki. I znów w mojej głowie nadzieja, że może młody powstaniec wyskoczy z bronią i zażąda zapłaty za wstyd swój i kobiety, którą właśnie posiadał. Zaraz zacząłem go w duchu zaklinać, by tego nie robił, jeśli chce jeszcze pożyć. On i jego luba. I może nawet przetknał, szczył jeden, wstyd, może prędiutko wciągnął portki na tyłek, chwycił za rozpylacz i wybiegł na korytarz. Ale my już zmierzaliśmy na górę.

W pewnej chwili, na półpiętrze, dostrzegłem to, o czym marzyłem – okienko. Mimo że nad Warszawą wisała już noc, w dodatku noc powstańcza, bez trudu rozpoznałem okolicę: ulicę Świętokrzyską i róg Mazowieckiej.

– Jestem tak blisko domu... – powiedziałem bezwiednie.

– Przecież ci mówiłem – odrzekł szpieg.

Nie mogłem oderwać oczu od tego widoku. Również dlatego, że zachodziłem w głowę, gdzie możemy się w tej chwili znajdować. I gdzie się podział wieżowiec Prudentialu? Z mimowolną podpowiedzią pospieszył szpieg.

– *Wpieriod*, Antek. Przed nami jeszcze sporo pięter.

Przecież byliśmy w nim! Największym, obok gmachu PAST-y, budynku w mieście, na który zawsze spoglądałem z zachwytem. Tylko czego tu szukaliśmy, czego, u diaska, chciał ode mnie ten człowiek? Im więcej zadawałem sobie pytań, tym większy mróz ścinał mi serce.

Tak, dobrze znałem swoją Golgotę...

*

Z początku próbowałem liczyć piętra. Bynajmniej nie po to, że było mi to do czegokolwiek potrzebne. Raczej nie będzie możliwości pochwalić się nikomu, z którego piętra się sfrunęło. Po prostu chciałem się w ten sposób uspokoić. Zająć umysł czymś innym. Wiedziałem jednak bardzo dobrze, że to niewykonalne. Człowiek, który mnie sterroryzował, milczał. Może układał w tej chwili w głowie szczegóły niecnego planu, którego byłem elementem. W ciszy, która kojarzyła mi się z Tatrami, słychać było nasze oddechy. Zastanawiał mnie ten bezgłos, a wręcz niepokoił.

Gdyby jeszcze była to tylko sprawa wieżowca. Ale z tego, co zdążyłem zauważyć, w Prudentialu, tym pięknym i zachwycającym Prudentialu, który oglądałem niemal codziennie, który zawsze podziwiali wszyscy przyjeżdżający do Warszawy, zadzierając wysoko głowy i otwierając czerwone gęby z zachwytem, nie było chyba ani jednej całej szyby. Dzięki temu co chwila czułem na twarzy chłodny powiew, który jednak niewiele miał już z górami wspólnego. Wciąż niósł bowiem woń umierającego miasta.

Pięliśmy się wciąż wyżej i wyżej. Na niższych piętrach wieżowca podłogi zaścielały niezliczone ilości białych kartek, zarówno zapisanych, jak i czystych; kiedyś mieściły się tu przecież biura. Setki, może nawet tysiące nikomu już niepotrzebnych dokumentów: protokołów niegdysiejszych narad, odpraw i spotkań, a może aktów własności, choć przecież to, czego strzegły, było już garścią popiołu. Certyfikatów umiejętności, mimo że nie wymagano od nas już niczego innego ponad to, byśmy pięknie umierali. Zaświadczeń o niekaralności, choć przecież od kilku lat winien był każdy, kto urodził

się Polakiem. I polis na życie, o których nikt nie pomyślał, by obok wypadku komunikacyjnego czy nieuleczalnej choroby wpisać w nich także śmierć w ulicznej egzekucji, podczas próby ucieczki z łapanki czy w komorze gazowej w Auschwitz...

Wyżej, jak pamiętałem, znajdowały się mieszkania. Bynajmniej nie dla biedoty! I o ile ich niegdysiejsi mieszkańcy opuścili je, nie zostawiając drogich pelis czy butów marki Tod's, o tyle już pudełka od nich – owszem. Od razu rozpoznałem duże i okrągłe, w których przynosiło się kapelusze z Domu Jabłkowskich przy Brackiej. Obok leżał porzucony drewniany wieszak z inicjałami właściciela, wygięty w łuk kawałek drewna, którego być może już nigdy nie otuli eleganckie futro czy marynarka od Zaremby...

– *Stoj* – powiedział wreszcie Walentin.

Jakże wyraźnie zabrzmiało mi echem tamto stoj!, którym ścigali mnie sołdaci w spłowiałych rubaszkach. Niestety, teraz nie mogłem już dać nura między krzaki, zniknąć w toni kresowego jeziora.

– *Czasy*. – Poklepał się po wierzchniej stronie swojego lewego nadgarstka. – Zegarek.

– Kiedyś lepiej mówiłeś po polsku – zauważyłem.

Wzruszył ramionami.

– Za dużo czasu w lesie – odpowiedział po chwili.

Zupełnie jak Władek – pomyślałem z rozrzewnieniem, bo przecież brakowało mi teraz tego zabijaki jak nigdy wcześniej. A potem się przestraszyłem, albowiem doszło do mnie, co powiedział sowiecki szpieg. Czyżby chciał mi zabrać moją ukochaną omegę? Odruchowo otuliłem ją prawą dłonią. Wtedy on przesunął mankiet samodziałowej marynarki, pokazując swój zegarek: był to porządny, złoty egzemplarz.

– Która godzina u ciebie? – zapytał.

– Trzy kwadransy na dziesiątą wieczór – odpowiedziałem coraz bardziej zaciekawiony, do czego człowiek ten zmierza.

Zrobił zdziwioną minę. Szpieg, a warszawskiej mowy nie znał.

– Dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć – wycedziłem. – A właściwie już sześć.

– U mnie też. A jak u mnie, to i u nich.

– Czyli?

– Tego dowiesz się w swoim czasie – chrząknął Walentin, po czym sięgnął w zanadrze, skąd ponownie wyciągnął zdjęcie, na którym nieznaną fotografię uwiecznił jego w towarzystwie Aliny i Leszka. – Pamiętaj, o co grasz, *maładiec*. Ich życie jest w twoich rękach. A zaraz znajdzie się w nich jeszcze coś...

Nie za bardzo rozumiałem, co ma na myśli. Zapiął marynarkę na wszystkie możliwe guziki, jakby to była bluza mundurowa, po czym wskazał mi kierunek dalszego marszu. Tym razem uczynił to, jakby zapraszał na pokoje. Nie zabawiliśmy na żadnym z górnych pięter dłużej niż potrzeba czasu do pokonania tych kilku kroków klatki schodowej. Zaczynałem już czuć w nogach tych kilkanaście pięter, choć nie bez znaczenia były też pewnie wcześniejsze eskapady. Kto wie, może gdyby zsumować wszystkie dni i pokonane kilometry, doszedłbym już do Radomia...

Spojrzałem w okno, które akurat mijaliśmy. Nigdy wcześniej nie widziałem centrum Warszawy z takiej wysokości. I nigdy wcześniej nie widziałem takiej Warszawy. Była niczym wzburzony ocean nocą, który w jednej chwili ściął czterdziestostopniowy mróz. Gdzieś tam, u stóp wielopiętrowych zatrzymanych fal tliło się nikłe światełko. Wielki cmentarz, o którym przypomniało sobie kilka osób i zapaliło znicze na grobach...

– Jeszcze jedno piętro – ogłosił z sapką Rosjanin.

Jednak kiedy się tam znaleźliśmy, nie było po nim widać najmniejszych oznak zmęczenia. Stał wyprężony, na szeroko rozstawionych nogach. Czuję, że to właśnie teraz zapadnie wyrok. Nie dane mi było go usłyszeć wtedy, na procesie w pierwszych dniach powstania, to będzie teraz. Co się odwlecze, to nie uciecze. Uciekać też nie miałem dokąd...

– Ładny ten wasz dom i wysoki – zaczął. – Ale u nas, w Moskwie, będą o wiele wyższe. Choćby ten na Wybrzeżu Kotielniczeskim...

– Czy przyszedł tu po to, by gadać architekturze?! – przerwałem mu, niepomny, do czego wcześniej to doprowadziło.

Grymas wykrzywił twarz szpiega. Jednak zaraz Walentin znacząco poklepał się po tej części marynarki, gdzie wciąż spoczywała fotografia zakładników, a także moja przepustka, którą mi zabrał, ta fałszywa. Chwilę później mówił dalej:

– Dostaniesz ode mnie *fanarik*, to znaczy latarkę, a potem wejdiesz na dach po tej drabinie. – Wskazał kciukiem prawej ręki za siebie. – Punktualnie o dziesiątej włączysz ją i zaczniesz świecić w kierunku, który zaznaczyłem kredą. To wszystko. Jakies pytania?

– Jak długo mam świecić?

– Aż do skutku.

Nie miałem pojęcia, co to miało oznaczać. Bardziej interesowało mnie jednak coś zupełnie innego.

– Czy wtedy ich wypuścisz? – zapytałem.

Cofnął się, schylił i spod schodów wyjął latarkę. Inną niż ta, którą do tej pory oświetlał nam drogę. Była dużo większa i miała metalowy, tu i ówdzie zardzewiały uchwyt. Sprawdził, czy działa, a potem wyłączył i podał mi.

– Spraw się, maładiec, a wszystko będzie dobrze – powiedział jeszcze, po czym przymrużył na chwilę oczy, odwrócił się i ruszył w dół po schodach. – I pamiętaj, ja widzę wszystko. Pójdzie coś nie tak, nie żyjesz.

Ja już nie żyję – pomyślałem wtedy.

Intermezzo

Ruch na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, mimo że było to późne popołudnie drugiego sierpnia, nie małał. Wśród odwiedzających powstańcze groby było widać różnych ludzi: rodziny z dziećmi, czasem nawet bardzo małymi, osoby starsze. Tu i ówdzie dało się słyszeć również obcą mowę. W tych dniach bowiem miejsce takie jak to było obowiązkowym punktem w programie dnia wielu zagranicznych turystów.

Karolina i Marcin, dwoje harcerzy, którzy wczoraj o godzinie „W” udzielili pomocy starszemu mężczyźnie, a następnego dnia, wbrew deklaracjom, znów odwiedzili jego mieszkanie, nie mogli nie zwrócić uwagi na ciemnozielone i szare mundury.

– Chorągiew Wielkopolska – powiedział chłopak do swojej towarzyszki, przyjrawszy się wcześniej kolorowym plakietkom przyszytym do bluz mundurowych.

Karolina skinęła głową w roztargnieniu. Tak naprawdę było jej obojętne, skąd są tamci. Mogli być nawet z Chin. Wszystko dlatego, że myślami była zupełnie gdzie indziej. Mimo że osoba, a raczej osoby, które spowodowały taki, a nie inny stan jej umysłu, znajdowały się tuż obok.

– Antek, gdzie ty jesteś? – Człowiek, którego poznali wczoraj w Alejach Jerozolimskich, rozejrzał się na boki, drobiąc w miejscu trochę bezradnie.

Karolina wciąż była pełna obaw, czy ich nowy, tajemniczy (nie przestawała używać w myślach tego przymiotnika, a kolejne wypadki tylko to potwierdzały!) znajomy czuje się dobrze. Mimo że zarzekał się, iż nigdy nie miał się lepiej, dziewczyna nadal spoglądała bojaźliwie na wyświetlacz telefonu komórkowego. Czy aby działa i będzie można w razie czego wezwać pomoc. Choć wiedziała, że Marcin ma podobne obawy, nie rozmawiali o tym.

– Jestem, jestem, Leszku – odpowiedział rzeczony Antek, a raczej pan Antoni.

*

Tu należałoby się cofnąć kilka godzin, a także przenieść z powrotem do mieszkania, do którego Karolina i Marcin, co zgodnie ustalili wieczorem pierwszego sierpnia, mieli już nie trafić. A jednak ciekawość okazała się silniejsza. Mogli się tylko uśmiechnąć, przybić „piątkę”. A potem przygotować się na kolejną opowieść. Jakie było jednak ich zdziwienie, kiedy na miejscu spotkali zupełnie innego człowieka.

Był chyba w podobnym wieku co ich znajomy. Może trochę młodszy. I nie zdziwił się ani nie zdenerwował faktem, że sami weszli do mieszkania. Para nastolatków, których zaskoczył przy starej mapie Warszawy z tajemniczymi znakami i liniami, usiłowała się co prawda od razu z tego postępuku tłumaczyć, ale mężczyzna tylko machnął ręką. A kiedy zapytali o gospodarza, o jego zdrowie, bo przecież od wczorajszego wieczoru wszystko mogło się zmienić, odpowiedział z szelmowskim uśmiechem:

– Złego licha nie bierze.

Co szczególnie zastanawiało tych dwoje młodych ludzi, człowiek ten czuł się w mieszkaniu całkiem swobodnie. Udał się do kuchni, skąd doszło ich uszu podzwanianie naczyń i szum wody. Po chwili zapytał, czego się napiją. Odpowiedzieli, że wody. To znaczy Marcin to powiedział, ponieważ jego towarzyszka jedynie otworzyła usta. Wszystko dlatego, że w jej głowie jedna myśl goniła drugą. Raz Karolina cieszyła się, że człowiek ten nie zrugął ich za to, że weszli sami, a nawet rad jest, że ich widzi, bo niechcianemu przybyszowi nie oferuje się przecież poczęstunku. Zaraz jednak pojawiały się podejrzenia, że osobnik ów jest po prostu złodziejem, który udaje przyjaciela gospodarza i za chwilę wsypie im do tej wody truciznę. W najlepszym razie będą to środki usypiające bądź narkotyki. A kiedy tu z Marcinem padną, on spokojnie dokończy dzieła...

Nic takiego się jednak nie stało, chociaż wodę, którą przyniósł – zresztą elegancko na tacy, rozlaną do szklanek do whisky i z dodatkiem lodu – wypili dopiero wtedy, kiedy w mieszkaniu pojawił

się ich stary znajomy.

- Wszystko słyszałem! – rzucił z udawaną pretensją.
- Niby co? – Tamten udał głupiego, wachlując się blaszaną tacą.
- Ty już wiesz co.

Wtedy też dokonała się oficjalna prezentacja.

– Mam na imię Lechosław – przedstawił się z galanterią człowiek, o którego zdrowie wczoraj drżeli harcerze. – Ten przystojny dżentelmen zaś to... Antek.

Karolina rozdziawiła buzię. Starsi panowie zdawali sobie doskonale sprawę, jakie wrażenie może wyrzeć ta wiedza na młodych ludziach, którzy poprzedniego wieczoru wysłuchali pasjonującej wojennej historii. Przez chwilę spoglądali na harcerzy w oczekiwaniu na pytania.

– Antek? – Pierwszy głos odzyskał Marcin. – TEN Antek?

Starzy zaśmiali się jak na komendę.

– No, niestety, nie – odparł pan Antoni, by zaraz dodać: – Ale byliście blisko.

– To znaczy? – zapytali jednocześnie nastolatki.

Nie doczekali się jednak odpowiedzi. Wypili za to wodę, bo z tych emocji zaschło im w gardłach. A potem pan Antoni zarządził wyjazd. Karolina znów spojrzała wyczekująco na towarzysza; przecież nie tak miało być. Czekali na kolejną opowieść z czasów powstania warszawskiego. Co się stało z Antkiem, skoro to nie ten, który stał w tej chwili przed nimi? Czy przeżył wojnę? Mimo że żadnego z tych pytań Karolina nie wypowiedziała głośno, pan Lechosław domyślał się, co jest na rzeczy. Wiedział, że Antoni już obiecał tym dwojgu dalszy ciąg. Ten zaś wymagał zupełnie innej scenerii.

Tak znaleźli się na cmentarzu.

*

Dlaczego oni wszyscy mają brzożowe krzyże? – zastanawiała się, kiedy weszli w jedną z alejek kwatery. Pewnie jest jakieś logiczne wytłumaczenie tego wyboru. Logiczne i dobrze znane, więc aż głupio będzie zapytać...

Karolina wodziła wzrokiem od tabliczki do tabliczki, na których umieszczono nazwiska, tak dobrze znane młodym ludziom zarówno z lekcji języka polskiego i historii, jak i z harcerskich zbiorów. Bohaterowie akcji pod Arsenalem: Zawadzki, Dawidowski, Bytnar, czyli „Zośka”, „Alek”, „Rudy”. Poeta Krzysztof Kamil Baczyński brzoźowego krzyża nie miał, tylko kamienny pomnik i tablicę, na której, prócz imienia, nazwiska, dat urodzin i śmierci, umieszczono także fragment wiersza. Wieczysty spokój poeta znalazł u boku żony Barbary, która zginęła 1 września 1944 roku. Legenda mówi, że umierając, tuliła tomik wierszy męża...

Karolina pociągnęła nosem i dyskretnie otarła łzę. Temat ten wzruszał ją bowiem niezmiennie. Rozejrzała się w poszukiwaniu mężczyzn, dwóch starych i jednego młodego, z którymi tutaj dotarła. Na stoisku przed wejściem na cmentarz pan Lechosław zakupił kilka zniczy, ale jak dotąd żadnego z nich nie zapalił. Może szukał mogiły, na której nie stał żaden. Znała takich ludzi, którzy zostawiali znicze na opuszczonych grobach, zazwyczaj pierwszego listopada...

Stali kilka metrów dalej. Pan Lechosław coś mówił, żywo gestykulując. Jako że nie chciała stracić nic z opowieści, przyspieszyła kroku. Pech chciał, że zrobiła to tak zamasyżycie, iż krawędzią długiej letniej sukienki zaczepiła o kwiaty tkwiące w szklanym wazonie na jednym z grobów.

– Boże... – jęknęła, wykonując iście baletowy piruet.

Cudem udało jej się chwycić przechylający się wazon, którego dno niepokojąco zaszurało po kamieniu, a jednocześnie samej zachować równowagę. Postawiła naczynie, wyprostowała się, usiłując uspokoić oddech. Po chwili podążyła w kierunku towarzyszy.

Pan Antoni właśnie pochylał się nad innym grobem i zapalał znicz. Odruchowo przeczytała tabliczkę na brzoźowym krzyżu. I wtedy poczuła łzy nabiegające do oczu...

– Czy to jest... – Głos uwiązał jej w gardle, na szczęście gest, który jednocześnie wykonała, nie pozostawiał wątpliwości, co ma na myśli.

– Tak – odpowiedział cicho pan Lechosław.

Marcin spuścił głowę i miał w palcach krawędź koszulki. On też chyba nie tego się spodziewał. Pan Antoni wyprostował się, cofnął o krok i uczynił dyskretny gest krzyża.

Karolina przeniosta spojrzenie na tabliczkę, na której wprawna ręka malarza wypisała imię tego, którego historię z zapartym tchem poznawała wczoraj. I miała poznać dzisiaj. Nie spodziewała się jednak, że ta opowieść skończy się w taki sposób. I tak szybko. Na tabliczce, podobnie jak na grobie Baczyńskiego, widniała bowiem sierpniowa data.

– Jak to się stało? – zapytała drżącym z emocji głosem.

Pan Antoni jeszcze raz przyklęknął i poprawił położenie płonącego znicza na grobie swego imiennika, a może nawet kogoś więcej. Nastoletni harcerze wciąż przecież nie wiedzieli, co miało znaczyć owo wypowiedziane przez niego „ale byliście blisko”.

– Zaraz wszystko wam wyjaśnię – powiedział pan Lechosław, po czym spojrzał wysoko, w stronę koron drzew, które nad grobami poległych trzymały wieczystą wartę.

Przez dłuższą chwilę milczał. Zaniepokoiło to pana Antoniego.

– Wszystko dobrze? – zapytał rówieśnika.

– Tak.

Za chwilę miało się okazać, że nieprzypadkowo skierował wzrok właśnie tam. Pan Lechosław przymknął oczy i powiedział:

– Samoloty pojawiły się, jak to zresztą wtedy bardzo często bywało, nie wiadomo skąd...

XIII

Czas chyba kończyć tę opowieść, suplement do życia, którego tak naprawdę liżnąłem przecież, trzeba to przyznać ze smutkiem i goryczą, mało co. Przecież zawsze jest mało! Mógłbym porównać to do chłeptania wody z miski przez psa. Zawsze współczułem czworonogom, że muszą włożyć tyle wysiłku i czasu, aby zwyczajnie zaspokoić pragnienie. Ledwo parę kropel zagarniętych na język, a potem znów i znów. Nie wspominając już o tym, że połowa ląduje na podłodze. A za chwilę i tak odgoni od niej złe dziecko. Jeszcze kijem w grzbiet przyłożę...

Tak, już czas. Wspomnieć tych kilka kobiet, które udało mi się zdobyć, i parę takich, które pozostały jedynie w sferze marzeń. Kilka momentów, o których w innych okolicznościach można by było powiedzieć, że to dla nich się żyje. Wrogowie i przyjaciele. Żyjący i polegli. I jeden, tylko jeden człowiek, którego osobiście postawiłem na tamten świat na ulicy jednego z kresowych miasteczek, kiedy tamtego września uciekaliśmy na wschód przed hitlerowską nawałą.

Ale oto i ja stoję przed ostatecznym. Mam ten przywilej, że dzieje się to nad dachami miasta, w którym się urodziłem, w którym dorastałem. I w którym, jak wychodzi mi z rachunku, zakończę ziemskie bytowanie.

„Tu szczyt... lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną. Spojrzę... Ach! pod stopami niebo i nad głową. Niebo. Zamknięty jestem w kulę kryształową...” – przeszła przez myśl fraza.

Znów ten Kordian. Nie dane mi było go zagrać, a tych kilka zaledwie słów zapamiętałem z lekcji języka polskiego w liceum.

I oto mam mój Mont Blanc. I Alpy u moich stóp, zimne i obce. Czy bezludne? To już bez znaczenia...

Przyświeciłem sobie lampą, którą wręczył mi sprawca mojej mitręgi, żeby nie nazwać go po prostu katem, i spojrzałem na zegarek. Za minutę dziesiąta. Strzałka, o której mówił Walentin,

również była, narysowana niezdarnie szkolną kredą. Sama kreda zresztą też, kilka kroków dalej, porzucona obok połamanej anteny, jednej z wielu, którymi najeżony był dach wieżowca Prudentialu. Jeszcze idąc na górę, przypomniałem sobie, że działało tu eksperymentalne studio telewizyjne, a krótko przed wojną gazety zapowiadały, że już wkrótce zacznie nadawanie.

Póki co nadawać miałem ja. Świetlny, stały sygnał. Zresztą alfabetu Morse'a i tak nie znałem, bo nigdy nie wstąpiłem do Pomarańczarni, czyli naszej szkolnej drużyny harcerskiej. Wiedziałem jednak, że strzałka wskazuje kierunek południowy. Złośliwi mogliby powiedzieć, że to dla tych wszystkich, którzy tamtego września przekroczyli granicę z Rumunią. Dla rządu, pana prezydenta i naczelnego wodza. Hej, hej! To my! Umierająca stolica dumnego niegdyś państwa...

Wiało coraz mocniej. Nie odczuwałoby się pewnie tego na ziemi, tym bardziej w labiryncie ulic. W powietrzu wyraźnie rozchodził się zapach zbliżającej się jesieni, ale ja wiedziałem, że już nie przejdę się po jednym ze zrudziałych parków, do którego nie zakazano wstępu Polakom. Że nie schylę się po kasztany, które zawsze przyjemnie chłodziły mi dłonie...

Znów spojrzenie na moją omegę, może ostatnie. Wiernie mi służyła przez te wszystkie lata.

– Dziesiąta – ogłosiłem sam sobie.

Zapałiłem fanarik i skierowałem strumień światła zgodnie z tym, co pokazywała strzałka narysowana przez Rosjanina. Niemal w tym samym momencie moich uszu dobiegł cichy warkot silnika, jakże jednak inny od tego, który o szarej godzinie budził mieszkańców tego miasta.

Samolot!

Zaraz potwierdziły to inne zmysły, albowiem w ciemności, której nie były w stanie, przynajmniej na tej wysokości, rozproszyć łuny pożarów, niezmiennie trawiących Warszawę, ujrzałem dwa nikłe, świetlne punkciki. W tej samej chwili kątem oka dostrzegłem coś jeszcze. Po mojej prawej stronie, na podobnej wysokości zapełgało światełko takie samo jak moje.

– Przecież to PAST-a! – krzyknąłem.

W jednej chwili zrozumiałem wszystko: ja i ktoś, kto wdrapał się na dach centrali telefonicznej przy Zielnej, stworzyliśmy właśnie swego rodzaju bramę dla samolotu. Ważnego samolotu. Samolotu, którego pozycyjne światła właśnie zgasty...

Ludzie mówili o rzutach broni i żywności, jakich dokonywały brytyjskie maszyny. Pojawiła się nawet nazwa: liberator. Czyżby i Stalin, bo nietrudno się było domyślić, że zmierza w moją stronę samolot z czerwoną gwiazdą na kadłubie – skoro rozkaz wydał mi radziecki szpieg – zdecydował się na taki sam krok? A może wreszcie ruszą tyłki zza Wisły i za chwilę warkot samolotowego silnika, który z każdą sekundą był coraz wyraźniejszy, zagłuszy symfonia stu armat?

Aż krzyknąłem, widząc, jak przelatuje dosłownie kilkanaście metrów ode mnie; zupełnie jak w ostatnim roku pokoju, kiedyśmy z ojcem wybrali się, by obejrzeć jeden z etapów wyścigu kolarskiego Tour de Pologne i minął nas Bolesław Napierała, a chwilę później próbujący dogonić uciekiniera kolorowy peleton.

Nie zdołałem dostrzec żadnych znaków czy symboli maszyny, ale logiczne było, że Luftwaffe nie potrzebuje żadnych świetlnych znaków, by polatać sobie nad płonącym miastem swobodnie i bez strachu, bezkarnie zrzucając tony bomb na nasze głowy. Teraz, wierzyłem w to głęboko, ktoś wreszcie wystawi im za to rachunek. Pierwszy z wielu. Sekundę później spojrzałem w stronę drugiej wieży. Światelko zgasto. „Aż do skutku” – przypomniałem sobie polecenie.

Wyłączyłem więc i ja latarkę. Ale przy okazji jakbym wyłączył także i... dźwięk. Zamilkł bowiem warkot samolotowego silnika, co właściwie nie dziwiło, bo mógł już być nad Starówką, a może i Żoliborzem. Bardziej zastanawiało mnie to, że ucichł nawet wiatr. Nie wiadomo czemu, ale zastygłem i ja w bezruchu, niczym w filmowej stop-klatce.

Ale ten program, eksperymentalny program telewizyjny, nadawany z dachu najwyższego warszawskiego wieżowca, program, o którym nie wspomną nigdy żadne kroniki, wreszcie program, który miał

jednego aktora i jednego, niestety, widza – jeszcze się nie skończył.

– Boże... – jęknąłem, co nijak nie pasowało do entuzjastycznego wręcz wrzasku sprzed kilku zaledwie chwil.

To była cisza przed burzą. Messerschmitty pojawiły się nie wiadomo skąd. Ile? Nie byłem w stanie tego ocenić, zresztą nie miało to większego znaczenia, bo przecież wystarczył jeden, aby odpłacić mi teraz za pomoc wrogowi. A potem dalej ścigać intruza, który nocną porą brykał nad Warszawą. Usłyszałem modulowany, złowróżbny pomruk, zupełnie taki sam jak we wrześnie trzynastego dziewiątego...

Pierwsze kule rozorały powierzchnię dachu wieżowca, ledwo trzy, może cztery metry ode mnie. Odłamki, na razie tylko kruszonego betonu, uderzyły mnie w policzek. Rzuciłem się w stronę włazu, przez który dostałem się na dach. Nie byłem pewien, czy ktoś aby nie zamknął go z drugiej strony, podczas gdy ja wykonywałem zadanie. W jednej chwili zrozumiałem, dlaczego to ja stanąłem na tym dachu, a nie Walentin. Znał bowiem siłę i szybkość Luftwaffe. W końcu *szpion*. Musiał wykonać rozkaz, kto wie, może nawet wydany na dalekim Kremlu. Ostatni, jaki miał wykonać. Ale chciał też żyć...

Czy świadomość zwrócił mi potworny huk, czy ów koszmarny wizg pikujących maszyn – grunt, że nagle i ja bardzo, ale to bardzo zapragnąłem przeżyć. Jak ten wisielec-samobójca, który sekundę wcześniej kopnął w taboret.

Kolejna seria z pokładowego karabinu maszynowego rozłupała inny fragment dachu wieżowca. Dopadłem włazu. Na szczęście był otwarty; Rosjanin, pewny tego, co się wydarzy, wolał dać drapaka. I być może był już w tajemnym korytarzu, którym się tu dostaliśmy, bezpiecznie... Wśliznąłem się do środka i zamknąłem klapę. Wydawało mi się, że kilka kul z myśliwca zabębniło na jej blaszanym obiciu. Zacząłem schodzić po drabinie. Huk, mimo że byłem już w zamkniętym pomieszczeniu, wcale nie zmalął. Widziałem już schody, które, jeszcze w to wierzyłem, miały mnie zaprowadzić na dół, gdy nagle rozległ się trzask stokroć głośniejszy niż wszystkie wcześniejsze, a drogę zagroziła mi ściana żywego ognia. Ściany

zadrzały...

Odskokczyłem do tyłu i przypadłem do ziemi, otulając głowę dłońmi.

– Pomocy! – zawołałem, choć przecież wiedziałem, że to na nic.

Kolejny huk i trzask jak podczas gwałtownej burzy, kiedy nie wiesz, czy pęka nad tobą niebo, czy tylko drzewo, pod którym się schowałeś. Mimo że dobrze wiedziałeś, że się tego nie robi. Ale to już nie były samoloty. To była najpewniej artyleria. Miałem wrażenie, że budynek za chwilę pęknie na pół, złoży się niczym domek z kart, a część, w której się znajdowałem, runie w dół i roztrzaska się gdzieś na placu Napoleona albo Świętokrzyskiej. Gęsty pył i dym gryzł mnie w oczy i wciskał się do gardła.

A kiedy na chwilę przycichło i w gęstej mgłę pojawiały się na powrót szczegóły wnętrza ostatniej kondygnacji, z przerażeniem stwierdziłem, że schody... zniknęły, a zamiast nich czerni się wielka dziura. Nie zdążyłem się tym przerazić, coś ciężkiego bowiem spadło mi kark niczym drapieżne zwierzę i przygwoździło do podłogi, ta zaś zaczęła się kołysać niczym greting statku. Zdążyłem za to pomyśleć o tamtym dniu, kiedy widziałem akrobatkę, która po linie uczeponiej dachu najwyższego budynku w Warszawie zjechała aż na Chmielną.

Teraz zrobiłbym najchętniej to samo, nawet bez liny...

*

– Żyjesz? Hej, człowieku! – usłyszałem męski głos.

– Żyje – odpowiedział za mnie głos kobiety.

– Skąd wiesz?! – zachnął się mężczyzna, choć powinien chyba się ucieszyć.

Postanowiłem rozsądzić ten spór i samemu powiedzieć, że jeszcze chyba nie jest ze mną tak źle. Ale zamiast tego zacząłem kasłać. Właściwie to już też było jakieś świadectwo.

Kto to? Na pewno nie Walentin, jego głos poznałbym bez trudu. Było ciemno, widziałem jedynie zarys pochylających się nade mną postaci. Jak mnie znaleźli?

– Jest pan cały? – zapytał on.

– Nie wiem... – jęknąłem. – Gdzie ja jestem?

– Nadal wszyscy jesteśmy w Prudentialu – odrzekła z powagą dziewczyna.

– Szkopy przestały walić, ale to nie znaczy, że na dobre – dodał on.

– Może to być tylko przerwa na papierosa. Musimy się pospieszyć.

Uniosłem głowę z zamiarem zrobienia tego samego z najbliższą jej częścią tułowia. Prócz promieniującego, ale znośnego bólu w potylicy chyba nic mi nie było.

– Na ostatnim piętrze? – zapytałem po chwili, przypomniałem sobie bowiem, co się stało ze schodami na chwilę przed tym, jak straciłem świadomość.

– Tak – odparła dziewczyna.

I wtedy ich rozpoznałem. To byli ci młodzi powstańcy, których nakryliśmy na miłosnych igraszkach w jednym z niżej położonych pomieszczeń. Zrobiło mi się głupio i wstyd, mimo że tak naprawdę nie miałem pewności, czy mnie rozpoznali. I czy w ogóle wtedy dostrzegli. Stałem przecież za Rosjaninem. Wciąż jednak nie miałem pojęcia, dlaczego zamiast uciekać z ostrzeliwanego budynku ruszyli na górę. Ale mówili do mnie per „ty”, więc mieli za swojego.

– Możesz się podnieść? – zapytał powstaniec.

– Mogę.

Jak powiedziałem, tak zrobiłem.

– Dobra, zwijajmy się – zaordynował podchorąży; dopiero teraz bowiem dostrzegłem biało-czerwone obszycie na naramiennikach jego mundurowej bluzy.

Okazało się, że są tutaj jeszcze inne schody. I to właśnie po nich, niemal nienaruszonych, zaczęliśmy szybko, jedno za drugim, przemieszczać się w dół. O ile podczas drogi na górę mogłem patrzeć na miasto jedynie przez mijane okna, o tyle teraz zadanie miałem o wiele łatwiejsze: wieżowiec był podziurawiony pociskami niczym ser szwajcarski. Co chwila ślizgaliśmy się po kawałkach gruzu, który ścierał się wszędzie. Jeden nieostrożny krok mógł się zakończyć wypadnięciem na zewnątrz. W wielu miejscach się paliło, więc właściwie nie trzeba było używać latarki.

Piętro po piętrze, wierzyłem w to coraz bardziej, byliśmy bliżsi ocalenia. Wiele wskazywało więc na to, że oto znów dostałem kredyt, kolejną szansę. Ledwo jednak o tym pomyślałem, przypomniałem sobie, że nie chwali się dnia przed zachodem słońca. I dmucha na zimne. Wtedy znów zaczęła się łupanina. Celowniczy o imieniu Georg, a może Johann, przełknął suchar, dopił kawę, wyrzucił za siebie niedopałek, po czym przystąpił do wykonywania rozkazu przełożonych. A tym była sroga zemsta na krnąbrnym mieście. Już nie milionowa kontrybucja, a miliony ton stali. I z zimną krwią pociągnął za sznur...

Nie liczyłem pięter, ale byliśmy chyba w połowie wysokości wieżowca. Całą trójką przycupnęliśmy w jakimś kącie. Wydawał się bezpieczny, bo nie było z niego widać tego, co się działo na zewnątrz. Problem w tym, że nie ostrzeliwano nas kamieniami jak w średniowieczu, ale pociskami, z których każdy był zdolny skruszyć najtwardszy mur, obrócić w perzynę każdy gmach i pozbawić życia ukrywających się tam ludzi.

Nie wiadomo czemu, ale właśnie w tym momencie postanowiłem zapytać moich wybawców o to, co mnie męczyło:

– Skąd właściwie wiedzieliście, że tam jestem?

– Wydawało nam się, że ktoś wszedł na górę – odparł podchorąży.

Czułem, że się czerwienię. Szedłem o zakład, że oni też.

– Kiedy się zaczęło – ciągnął – ujrzeliśmy twojego towarzysza zbiegającego na dół...

Przerwał, spojrzał na kochankę, jakby oczekiwał od niej pomocy. Dziewczyna jednak milczała, zacisnąwszy usta w wąską kreskę. Zacząłem wyobrażać sobie najgorsze: że szpieg, po tym, co ujrzał, postanowił zaspokoić żądzę. Sterroryzował chłopaka, a potem zaciągnął dziewczynę do jakiegoś pomieszczenia. Człowiek, który w ciągu kilku chwil zastrzelił trzy osoby, w tym mojego ojca, był przecież zdolny do wszystkiego. Pożałowałem, że się w ogóle odezwałem...

– Dostał odłamkiem. Prosto w skroń. Umarł na miejscu – wyrzucił z siebie podchorąży.

Poczułem ogień w żyłach, od łokci do nadgarstków. W głowie wciąż mi huczało, potylicy i kark bolały, ale bez trudu pojąłem, co oznacza śmierć szantażysty: jeśli naprawdę miał Alinę i dziecko, jeśli ich gdzieś ukrył, to przecież nigdy ich nie znajdę. Tajemnicę zabrał do grobu...

– Dobrze się czujesz? – zapytała dziewczyna.

– Tak – skłamałem.

A może o wszystkim im powiedzieć? – pomyślałem po chwili. Wtedy i mnie będzie lżej, i im, gdy się okaże, że człowiek, który nakrył ich w intymnej sytuacji, to nikczemnik i wróg. I nikomu o tym nie opowie, nie zaśmieje się nigdy w twarz, ponieważ właśnie za to zapłacił. Jak i za wiele innych niecznych postępów, o których serce boli mówić... Ale uderzył kolejny pocisk. Bardzo blisko nas. Znow miałem wrażenie, że wszystko za chwilę rozleci się na kawałki, a my zostaniemy starci na miazgę przez zbliżające się do siebie nieuchronnie stropy dzielące piętra, bo nie będzie już niczego, co je podtrzyma.

– Musimy uciekać! – krzyknął chłopak.

– Ale którądy? – zapytałem, przeciwnie niż on, cicho.

Podchorąży poczuł chyba zew walki. Wykonał zdecydowany, pewny ruch ramieniem i, pochylony nisko, zaczął się przemieszczać z powrotem w kierunku klatki schodowej, my zaś za nim.

Niemieckie działa ostrzeliwały chyba w tej chwili górne części wieżowca. Nie mogliśmy tego nie wykorzystać. Ostatnie piętra, które, jako że częściowo chroniła je sąsiednia zabudowa wąskiej Świętokrzyskiej, były w najlepszym stanie, pokonaliśmy niemal biegiem. Wtedy znow naszła mnie wątpliwość doprawiona solidnie strachem, bo oto miałem znaleźć się na otwartej przestrzeni. Tam, na dachu, to jednak było co innego...

Ale podchorąży, który mógł już chwycić swoją dziewczynę mocno za rękę, miał bowiem na to dosyć miejsca, wcale nie kierował się ku wyjściu na ulicę. Puścił do mnie oko, po czym oboje skierowali kroki w stronę niewinnie wyglądających drzwi.

– Sezamie, otwórz się – powiedział.

Żartów się zachciewa smarkaczowi... – pomyślałem ze złością.

Nie okazałem jej jednak w żaden inny sposób. I dobrze, bo powstaniec najzwyczajniej w świecie nacisnął klamkę i otworzył drzwi. Za nimi były dość strome schody. Były też wąskie, więc znów musiał puścić dłoń dziewczyny. Zaczęliśmy schodzić gęsiego.

– Dokąd idziemy? – chciałem wiedzieć.

– W bezpieczne miejsce.

Wkrótce schody się skończyły. Dalej korytarz, znajomo wyglądające półkoliste sklepienie, starannie wymurowane czerwoną cegłą. Póki co wypadało jednak udawać głupiego.

– Co to jest? – zapytałem.

– Przejście, którym się tutaj dostaliśmy. – Dziewczyna odzyskała wreszcie głos, co mogło też oznaczać, że jesteśmy w tym miejscu naprawdę bezpieczni.

– Przyszliśmy z Pałacem Kronenberga – uzupełnił chłopak.

– Pod ziemią?

– Zgadza się. Przed wojną pracowałem krótko w Prudentialu. Zarówno w budynku, jak i w towarzystwie ubezpieczeniowym. Wcześniej wynajmowaliśmy biura właśnie przy placu Saskim. Budując nową siedzibę przy placu Napoleona, szefowie firmy pozwolili sobie zadbać także o ten szczegół.

– Ładny mi szczegół. I najlepsza polisa na wypadek bankructwa – mruknąłem, nie przestając wodzić wzrokiem po ścianach; złowiłem też minę chłopaka, która nie pozostawiała wątpliwości: był dumny, zupełnie jakby własnoręcznie przekopał ten korytarz. I kto wie, może nawet dziewczynę na to zbajerował.

Znałem topografię Śródmieścia, wiedziałem więc, że aby dotrzeć do wspomnianego pałacu, który został spalony jeszcze na początku wojny, musimy iść pod Mazowiecką. Zresztą kto wie, może budowniczowie wcale nie musieli wykonywać mozolnej pracy kreta czy dżdżownicy, tylko zbudowali przejście przy okazji jakiegoś remontu ulicy... Coraz bardziej wierzyłem w ten kredyt, choć teraz lepiej było to nazwać – aż się w duchu zaśmiałem – polisą. W dodatku angielską. Niestety, to jeszcze nie był koniec moich

kłopotów. Choć wydawałoby się, że śmierć powinna kończyć wszystko. Przecież tak naprawdę już mnie nie było...

*

Spodziewałem się, że droga do Pałacu Kronenberga zajmie nam niewiele więcej, niżbyśmy szli po powierzchni ziemi. W dodatku teraz, kiedy co chwila trzeba się było zatrzymywać, przypadać do muru, czekać w kolejce, kłaść plackiem na ziemi, żeby uniknąć kuli czy odłamka, modląc się przy tym o zezę strzelca – to nawet szybciej.

– Zaraz będziemy na miejscu – poinformował nas podchorąży, który szedł na czele, po czym kilka razy pociągnął nosem. – Czuję dym.

Zmyliłem krok. Jaki dym, do cholery? Dlaczego idziemy tam, gdzie się pali? – pytania godne kogoś, kto na wojenkę wybrał się w lakierkach i na złość swojej lubej. Po chwili jednak sam go poczułem: wyraźny zapach, ale palonego tytoniu. I to wcale nie najgorszego. Czyżby w niemieckich magazynach znaleziono także cygara? To nie było wykluczone, albowiem ci, którzy uważali się za nadludzi, nie odmawiali sobie niczego.

– Jeszcze nie śpią – powiedziała za moimi plecami dziewczyna.

– I długo nie będą – zaśmiał się powstaniec.

Tych kilka zdań, które usłyszałem, kazały mi domniemywać, że zmierzamy w kierunku jakiegoś ważnego sztabu, w którym dowódcy ślęczą nad planami miasta i zaznaczają na nim kolejne rewiry, zarówno te zdobyte, jak i stracone. Nie za bardzo mi się to uśmiechało, wciąż przecież ciążyły na mnie poważne zarzuty. Mój sędzia, kapitan w przedwrześniowym mundurze, którego widziałem potem w Śródmieściu, mógł się spokojnie zadekować się w takim sztabie. Przecież nie dla prawników wojaczka.

– Co to za miejsce? – zapytałem podchorążego, kiedy już widzieliśmy światło.

– Spodoba ci się.

Tunel kończył się podwójnymi drzwiami. Jedno z puszczonej skrzydeł uderzyło mnie w pięty. Ledwo bowiem przekroczyłem próg,

stanąłem jak wryty. Budowniczowie pracujący nad zleceniem, którego w duchu nie mogłem nie nazwać fanaberią, a jednocześnie pochwalić, sprawili się. Spoglądałem oto na obszerny westybul. Pałac Kronenberga od września 1939 roku stał wypalony i pusty, a przebywać w nim teraz, podczas walk, było tym bardziej strach (co nie znaczyło, że jakiś oddział się tam nie okopał, nasz lub ich). To pomieszczenie z wieloma wnękami i kryształowym sklepieniem można było właśnie uznać za główne bądź jedno z głównych.

Powstańcy sztab? Dobre sobie! A może szpital? Tere-fere!

– I co? – chciał wiedzieć podchorąży, który już mógł swobodnie objąć ukochaną.

– Owszem. Podoba mi się... – wybąkałem.

Ale tak naprawdę to nie wierzyłem własnym oczom. Na kilku stołach, na których spodziewałem się ujrzeć mapy z planami natarcia, leżały... karty do gry. Część tkwiła w rękach siedzących przy stołach mężczyzn w różnym wieku. Nie, nie było wśród nich nikogo w mundurze albo ubranego w cokolwiek, co miało wojskowy przyodziewek udawać. Co więcej, ubrania sprawiały wrażenie dopiero co wyciągniętych z szafy. Tu i ówdzie bieleły się gorsy i kołnierzyki.

Wreszcie nie wytrzymałem.

– Co to, kurwa, jest?!

Ciężkie słowo zwróciło uwagę siedzącego najbliżej pana z sumiastym, siwym wąsem. Tylko zmarszczył czoło na takie chamstwo. Pewnie dlatego, że karta mu szła i żal było wstawać od stolika, a zrobiłby to chętnie. Może był to jakiś przedwojenny sędzia, a może policjant, choć równie dobrze mógł to być nauczyciel – wszystkim z wymienionych drogi był porządek i dobre maniery u współobywateli.

– Było takie kasyno gry na Szucha... – zaczął wyjaśniać podchorąży.

– Były nawet dwa! – przerwałem mu.

– Dwa?

– Owszem. Pod dwudziestym dziewiątym grało się za pieniądze, a w sąsiednim budynku stawką było życie.

Bez problemu złapał metaforę.

– Zgadza się – mruknął. – I oba były Nur für Polnisch.

Pamiętałem bardzo dobrze moje niegdysiejsze kursy riksą właśnie pod ten gmach, który sąsiadował z siedzibą gestapo. Wiozłem krupiera, a kiedy indziej znajomą, która grała, Izabelę. Moją niegdysiejszą miłość, panienkę z okienka na pocztce w Zakopanem. Najpierw wygrywała, jak każdy początkujący. A potem już było gorzej, ale ona nie mogła już tego zatrzymać. Miarka się przebrała, kiedy wzięła pieniądze za uwolnienie pewnego chłopaka, miała bowiem „znajomego” Niemca, a potem wszystkie przegrała.

Aby wejść do kasyna gry na Szucha, trzeba było mieć specjalną kartę wstępu. Dostawało się też papier, dzięki któremu można było wracać bezpiecznie do domu po godzinie policyjnej. To wszystko, włącznie z pieniędzmi, nie uchroniło jednak graczy, których pewnego pięknego dnia wygarnięto i wywieziono na Pawiak. Może jakiś „foks” przypomniał sobie, że urodził się w chatynce nad Narwią, a potem przegrał za dużo i chciał za to odpłacić.

– I co dalej? – burknąłem.

Chłopak jeszcze mocniej objął wpół swoją dziewczynę, jakby obawiał się, że zaraz zrobię coś głupiego.

– Naszym chłopakom udało się znaleźć sprzęt z kasyna – odpowiedział.

Miał na myśli ruletkę, która zajmowała wraz z dużym stolikiem sam środek pomieszczenia, przez co nie sposób było jej nie dostrzec. Siedzieli przy nim około dziesięciu osób, także kobiety. Krupier właśnie coś gadał po francusku, by po chwili zakręcić kołem i rzucić metalową kulkę. Rozległ się charakterystyczny chrobot, od którego niektórym ludziom robiło się gorąco. Mnie też się zrobiło gorąco, choć przecież nie położyłem żetonu na żadne z pól. Wciąż bowiem nie mogłem uwierzyć w to, co widzę.

– Część z wygranych pójdzie na zakup broni. Dlatego dostaliśmy rozkaz ochraniania kasyna i siedzimy tu z kilkoma chłopakami z naszego plutonu. A właściwie tego, co z niego zostało... – zakończył podchorąży.

To akurat zrozumieć potrafiłem. Dobrze, że ten chłopak siedział kilka metrów pod ziemią, tak samo jak dobrze, że Kokos, Komar, Tolek, Sambor i Myszołów, jeszcze młodszy od niego, przebywali teraz najpewniej w Puszczy Kampinoskiej.

*

Zacząłem przemieszczać się między stolikami. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. W pewnej chwili przy jednym z nich, stojącym w sporej wielkości niszy, ujrzałem znajomą postać. Nie od razu jednak przyporządkowałem twarz do nazwiska czy konkretnej sytuacji. Ale w końcu zaskoczyło.

– Pan starosta, proszę, proszę – mruknąłem pod nosem.

Tak, to był ojciec Weroniki, z którą w kinie „Palladium” recytowaliśmy dla żołnierzy i ludności cywilnej wiersze Mickiewicza. Jakby wyczuł, że o nim myślę, bo podniósł wzrok znad kart i popatrzył na mnie. Jego spojrzenie było zamglone, jakby nieprzytomne. Choć równie dobrze mogłem odnieść takie wrażenie za sprawą gęstego dymu, który unosił się nad stolikiem. Mężczyzna chyba mnie nie poznał. Jednak na wszelki wypadek szybko poszedłem dalej. Nie miałem ochoty na rozmowy ani wspomnienia, chociaż wielce byłem ciekaw, jak sobie wówczas poradzili z tą wielką, ciężką i tajemniczą skrzynią. I czy w ogóle przyjechał po nią jakiś samochód...

Może właśnie przegrywał jej zawartość? – zaśmiałem się w duchu.

Ale nie tylko w westybulu trwała zabawa. Jedna z wnęk okazała się pusta, a to z tego powodu, że znajdowały się za nią drzwi. Otwarte. Stał przy nich osobnik słusznego wzrostu i budzącej respekt postury. Ubrany był w najprawdziwszy, choć odrobinę przykurzony frak. Nie to jednak psuło cały efekt, tylko zwyczajna koszula w szerokie niebieskie prążki. Ale on nie stał tu po to, by wzbudzać zachwyt swym ubiorem, ale by dbać o porządek. Otaksował mnie jednym spojrzeniem, a potem uśmiechnął się przymilnie i wykonał szeroki gest.

– Proszę.

Znalazłem się w barze. Była to nieodzowna część każdego szanującego się kasyna. Można było wypić dla kurażu przed grą albo zapić smutki, kiedy miało się niefart. To, na co patrzyłem, starało się przynajmniej bar taki naśladować. Zamiast szynkwasu – piramida drewnianych skrzynek z butelkami, przy których na zydlu siedział barman. Miał zamknięte oczy, głowę opierał o ścianę. Wyglądał, jakby drzemał, choć mogłem iść o zakład, że to tylko ułuda. Kilka takich samych skrzynek, ale obróconych do góry dnem, pełniło natomiast funkcję krzesel i stołów dla klientów. Tych było tylko dwóch, pod ścianą. Mrok rozpraszało kilkanaście różnej długości świec, umieszczonych na kamiennej półce, z której zwisały woskowe stalagmity.

– Dobry wieczór – przywitał mnie barman.

– Dobry wieczór.

– Co podać? – Oczu wciąż nie otwierał; może czuł, że nie warto, że groszem nie śmierdzą.

W jednej chwili naszło mnie ogromne pragnienie. Zacząłem przyglądać się butelkom umieszczonym w skrzyniach. Nie byłem jednak w stanie stwierdzić, co zawierają.

– Nie pogardziłbym szklanką wody – powiedziałem z niewinnym uśmiechem.

Mężczyzna otworzył lewe oko, poruszył się niespokojnie.

– Takie rarytasy to nie u mnie, młody człowieku.

– Nie rozumiem.

– A co tu rozumieć. Wody nie ma nawet do umycia jajek. Za to bimber – a i owszem. Pierwsza kolejka na koszt firmy. Łać?

Nie od razu odpowiedziałem na pytanie. Miałem przecież puste kieszenie, więc jeśli nie dostałbym po głowie za to, że nie poproszę o drugą kolejkę, już płatną, to chętnie. Z drugiej strony nie za bardzo czułem potrzebę wypicia kielicha, choć pewnie warto było. Dla ukojenia nerwów.

– Nie, dziękuję... – bąknąłem.

– To poleję. – Wstał, sięgnął do pierwszej z brzegu skrzynki, wyjął z niej butelczynę, którą następnie otworzył z budzącą podziw wprawą.

Dopiero teraz mogłem stwierdzić, że jest bardzo wysoki. Równie dobrze sam mógłby stanąć w drzwiach – nikt by nie śmiał mu podskoczyć.

– Pije pan, na zdrowie. – Podał mi wypełnioną w połowie mętym płynem szklankę.

Nie powiem, potrafił przekonywać. Zamoczyłem usta, starając się przy tym nie skrzywić.

– Bimber – stwierdziłem.

– Jeszcze kilka fabryczek ocalało, chociaż rozkaz był, by rozbić. Ale ja, panie szanowny, pracowałem przed wojną w Bristolu. Kojarzysz pan?

Fuknąłem, co miało oznaczać: a jakże, no wie pan, przecież nie przyjechałem z Psiej Wólki.

– I u nas nigdy nie marnowało się żywności. A alkohol to przecież nie szampon do włosów, prawda?

– Nie da się ukryć.

– Ani benzyna do fiata. Chociaż znałem ja takich, ech... – Machnął ręką.

No to pogadaliśmy. Teraz wypadało skorzystać z poczęstunku. Podniosłem szklankę do ust i wychyliłem. Miało być na jeden raz, ale ja, chojrak z Jasnej, nie dałem rady. Wypiwszy połowę i opanowawszy odruch wymiotny, zrobiłem kilka głębokich oddechów, wyszczerzyłem się w uśmiechu, po czym osuszyłem szklankę.

– Dziękuję.

– Na drugą nóżkę?

Z uśmiechem, ale stanowczo pokręciłem głową. Na szczęście nie naciskał. Oddałem szkło, barman zaś przyjął je z miną, jakbym do środka włożył plik zwiniętych w rulon dolarów albo złotych monet. Część skarbu, który miał nas wybawić z kłopotów, a wpędził w jeszcze większe. Ej, żebym się tylko nie zaczął nad sobą rozczulać! Chociaż dlaczego nie? Nikt mnie tu przecież nie zna. Nawet z moimi wybawcami, którzy wyprowadzili mnie z wieżowca, nie wymieniłem imion ani pseudonimów...

– Pójdę już – oświadczyłem.

– Zagrać?

– Nie. Chyba nie mam dziś dobrego dnia.

– Wpadnij pan kiedyś do mnie, do Bristolu. Jak to wszystko się skończy. Bo kiedyś się skończy, nie? – zawołał jeszcze za mną.

Nie odpowiedziałem. Ukłoniłem się wykidajle, a po chwili znów znalazłem się w westybulu. Ktoś krzyknął i zaklaskał w dłonie przy stoliku z ruletką.

– Farciarz – skomentował zaraz jakiś inny głos.

Krupier zabułgotał po francusku, kilka osób wstało od stolika zamasyście, bo przecież nic tak nie sprawia, że odechciewa się wszystkiego, jak sukces bliźniego. I żadne powstanie nie jest w stanie tego zmienić, mili panowie. Niezależnie czy wygrane, czy przegrane.

Stałem na środku z rękami w kieszeniach, zastanawiając się, co ze sobą począć. Podchorąży mówił, że mi się tu spodoba. Owszem, spodobało się. Ale już się znudziłem. Po kilku chwilach dotarłem do drzwi. Za nimi znajdował się korytarz, którym dostaliśmy się tu z Prudentialu. I znów, z nadmiaru emocji czy z niewyspania, usnęła we mnie czujność. Przekroczyłem próg, a zaraz po mnie zrobił to ktoś jeszcze. I to właśnie ten ktoś postanowił zadbać o to, by krew w moich żyłach popłynęła nieco szybciej.

Poczułem chłodne dotknięcie na potylicy, a po sekundzie usłyszałem głos:

– Ręce do góry, szpiclu.

*

Żandarmów, którzy w tamtych dniach najbardziej zależli mi za skórę, było dwóch.

Jeden zeznawał w procesie, przywołując historię sprzed prawie czterech lat. Nie miała żadnego znaczenia, ale w przypadku takim jak mój liczyło się przecież wszystko. Żeby jeszcze pognać, do wyroku dodać kilka lat, jeszcze raz kopnąć w żebra leżącego. Kto wie, może właśnie opowieść z podlubelskich lasów przechyliła szalę,

zamieniając mi dwadzieścia pięć lat twierdzy na czapę. Potem okazało się, kim jest naprawdę ten człowiek. I niech mu ziemia ciężką będzie.

Ale był jeszcze jeden. Ten dowodzący patrolem, na który się napatoczyłem. Ubrany był, wciąż to dobrze pamiętałem, w cywilne spodnie, marynarkę ściągniętą szerokim oficerskim pasem z koalicyjką i czarny beret. Nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień, jakby wystarczyło mu raz spojrzeć i wszystko wiedział. Pozostałych dwóch żołnierzy z patrolu słuchało go jak wielebnego. Co powiedział, było święte.

W procesie wystąpił na samym jego początku, opowiadając o okolicznościach zatrzymania. Oczywiście mocno rzecz podkoloryzował, opowiadając na przykład, że stawiałem opór. Bohater taki. Może chciał szybko zarobić kolejną krokiewkę, bo był to sierżant. A kto wie, może i na majora od razu awansować. Pamiętałem doskonale ten jego piskliwy, irytujący głos. Kto by się spodziewał, że jeszcze kiedykolwiek go usłyszę...

– Nie rozumiem, o co panu chodzi. – Zrazu próbowałem udawać głupiego.

– Rozumiesz, rozumiesz, szwabskie nasienie – wysyczał, po czym jeszcze mocniej pchnął mnie lufą w potylicę. – Teraz już się nie wywiniesz.

Poczułem charakterystyczny, wyraźny zapach oliwy do pielęgnacji broni.

– Ostrożnie, ta zabawka strzela – powiedziałam, starając się zapanować nad drzeniem głosu, a jednocześnie odwrócić się na tyle, by popatrzeć na wroga; mimo że głos się zgadzał i fakt, że byłem oskarżany o szpiegostwo, mogłem się przecież mylić...

– I tak powinno być. Jeśli chodzi o mnie, to kropnąłbym cię od razu. Ale ja trzymam się regulaminu i mam obowiązek odstawić cię przed oblicze sądu.

– To coś takiego jeszcze działa? – prychnąłem mimo powagi sytuacji.

– Owszem, szpiclu. I stój mi tu prosto.

Tak, to był on. Pryszczata, lisia twarz cwaniaczka. Tylko niczego, co przypominałoby mundur, już na sobie nie miał, jedynie tę wyświechtaną marynarkę.

– Nie jestem żadnym szpiclem – rzuciłem mimo to.

– Bajki zostaw na potem, dla sędziów. Może w nie któryś pacan uwierzy. A teraz idziemy. – Pchnął mnie łufą, tym razem jednak niżej, w plecy. – Ruszysz się gwałtowniej, odstrzelę ci nerę. Nerwowy coś ostatnio jestem. Jucha z tego leci jak przy świniobicu, wierz mi.

– Wolę nie sprawdzać.

– Pewnie. Nauczyli cię czegoś w tym Monachium.

– Tak daleko nigdy nie byłem, ale pewnie wiesz lepiej.

– Stul pysk.

– Mogę zapytać, dokąd idziemy?

– Nie wnikaj.

Coś mi nie pasowało w tej jego gadce. Zmieniła się nie wiadomo kiedy. Zupełnie jakby osobnik ten przestał udawać kogoś, kim nie jest. A to z tego prostego powodu, że miał nade mną przewagę. Trzymał spluwę, więc kozaczył. Wtedy, pierwszego sierpnia, był chyba spokojniejszy. Może dlatego, że obok miał jeszcze dwóch ludzi z patrolu.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytałem raz jeszcze.

– Powtarzasz się – sarknął. – Lepiej zmień śpiewkę.

Miałem dość. Zatrzymałem się w pół kroku i nadziałem na łufę. Żandarm nie dał się jednak zaskoczyć, nie wbiła się bowiem w moje plecy aż tak mocno.

– Ty, ty! Uważaj! – krzyknął, a do tego odskoczył, jakbym mu na odcisk nadepnął, po czym wycelował we mnie; miał visa i trzymał go oburącz, jednak nie uchroniło to jego rąk przed drżeniem.

– No, strzelaj – mruknąłem. – Po co sądy? Przecież wiesz swoje, nie?

– Ani kroku dalej, szkopie!

– Nigdzie się nie wybieram. I mam wrażenie, że ty też nie. Nie masz bladego pojęcia, dokąd mnie zaprowadzić. Sąd? Obawiam się, że jedyny, który nam został, jest sąd ostateczny. Nie wiem jak ty, ale ja

tam się jeszcze nie spieszę. Wielu próbowało mi zaszkodzić, ale bez skutku. Pół godziny temu byłem w ostrzeliwanym wieżowcu Prudentialu. Jak widzisz, nie jestem nawet draśnięty. – Uniosłem rękę niczym magik.

Miałem wrażenie, że ująłem typkowi swoją gadką nieco pewności siebie. Było to wciąż igranie z ogniem. I te same oskarżenia, które teraz, gdy powstanie nie szło po myśli tych, którzy je zaczęli, mogły działać jak czerwona płachta na byka.

– Co tam robiłeś? – zapytał.

– Jak to co? Dawałem znaki swoim kolegom za sterami messerschmittów, gdzie mają walić. Nie rozumiem, skąd to zdziwienie.

Kolejna niedorzeczność przeszła mi przez gardło z łatwością chłodnej kluski, takiej „lepioszki”, które w ostatnich latach przedsiębiorcze Polki przygotowały z ziemniaczanych obierzyn. Miałem wrażenie, że podobna pojawiła się i w jego gardle. Ale już gorąca.

– Co ty pieprzysz, człowieku? – prychnął.

Wzruszyłem ramionami, po czym wyrzuciłem z siebie:

– Lepiej stąd spieprzaj, póki czas, bo za chwilę będzie tu doborowa jednostka SS.

– Jaki Prudential? Jakie messerschmitty? Jakie SS?! Przecież wiem, że... nie jesteś żadnym szpiclem!

Nie ma lepszej nagrody dla aktora, niż ujrzeć od razu efekt swojej pracy: śmiech, płacz, święte oburzenie. Ja jednak nie miałem czasu, aby się pysznić dobrze wykonaną robotą. A wszystko przez to, co powiedział żandarm. Tak, teraz to mnie zaskoczył.

– Jak to... wiesz? – Zmarszczyłem brwi i postąpiłem krok do przodu; gdyby teraz do mnie strzelił, pewnie padłbym trupem od razu. – O czym ty mówisz?

Opuścił rękę z visem, opadł plecami na ścianę. Zaraz jednak ponownie we mnie wycelował, mierząc mnie ciężkim spojrzeniem.

– Zabiłeś mi brata – wycedził przez zęby.

– Ja?

– Nie, kurwa, marszałek Śmigły-Rydz. Przypomnij sobie pewien wiosenny dzień, zaraz po Wielkanocy ubiegłego roku. Kawiarnia „Za kotarą”...

Kolejne „lepioszki”, tym razem w moim przełyku. Nigdy wcześniej i nigdy później nie byłem w lokalu, którego nazwę wymienił. Wcześniej, bo mnie tam jakoś nie ciągnęło, a później, bo właśnie tam zginął człowiek. Miałem to być ja, zgłodzony z wyroku sądu podziemnego za uniemożliwienie wykonania wyroku na Izabeli. Pod nóż poszedł jednak szmalcownik, który szantażował mnie, grożąc, że doniesie władzom o szmuglerskim zajęciu mojego ojca. Pomogło nasze fizyczne podobieństwo, odpowiednia informacja i dobrze chodzące zegarki. Mówią, że nie ma zbrodni doskonałej. Mnie udało się taką popełnić. Co ważne – cudzymi rękoma.

I oto okazuje się, że szmalcownik miał brata. Młodszego czy starszego? Jakie to miało znaczenie? Ważne, że pałał żądzą zemsty. Czy miałem dalej udawać niewiniątko? Był w ogóle jeszcze sens to robić? Swoją drogą to miałem szczęście. Trzeci raz w ciągu zaledwie kilku, kilkunastu dni dopadały mnie zmory przeszłości: najpierw rekieterzy spod Czachówka, potem sowiecki szpieg, a teraz ten. Podczas gdy inni albo walczyli, albo starali się za wszelką cenę przeżyć kataklizm, inni załatwiali swoje nieczyste interesy...

– To nie ja – odrzekłem.

– A niby kto?

– Zrobili to być może twoi dzisiejsi przełożeni.

– Ja nie mam żadnych przełożonych – warknął. – A ty mi teraz zapłacisz za moją krzywdę. Wtedy, na Mokotowie, poznałem cię od razu. A ludzie z patrolu głupi, żółtodzioby. Wystarczyło więc powiedzieć: niemiecki szpieg. Na pewno pomogły też dowody, które przedłożyłem sądowi zaraz po twoim zatrzymaniu.

– Jakie dowody?

– Nieważne. Miałem to i owo w kieszeni, co pokazane w odpowiednim świetle rzucało na ciebie cień. Jeszcze ciemniejszy niż lewe niemieckie papiery, które miałeś. A sąd, jak wiesz, nie miał wątpliwości co do twojej winy...

Zacisnąłem pięści, zrobiłem krok w kierunku wroga. Oto poznałem wreszcie powód swojej gehenny. Zemsta, zwyczajna, mała, ludzka zemsta, a wszystko to za sprawą przypadku. Co na to sprawca? Bynajmniej nie zasypiał gruszek w popiele: podniósł broń i wycelował – tym razem precyzyjnie – w mój mostek. Już nic w nim nie zostało z zaskoczenia, które udało mi się wywołać swoją błagą. Chyba trzeba było przejść do rzeczy.

– Czego chcesz? – zapytałem.

– Żebyś mi zapłacił za moje krzywdy – powtórzył.

Dęte, wysilone. Dramaturg się nie postarał. W dodatku kiepsko zagrane. No, drewno zupełne. Ale ludzie na widowni pewnie by to łyknęli, szczególnie tam, gdzie pracowałem, czyli w „Komedii”. Bijący z niej smród było czasem czuć aż na scenie. Może tylko krytyk jaki albo znawca by się skrzywił na takie granie, łysym łbem pokręcił. A potem może dał aktorzynie jakąś dobrą radę przy wódce, bo i tak się zdarzało. Problem w tym, że nie było tu nikogo prócz nas dwóch, a broń nie była rekwizytem.

– Jak chcesz to zrobić? – chciałem wiedzieć.

W odpowiedzi zaczął podnosić rękę z visem, tak że po chwili lufa niemal dotykała mojego czoła. Poczułem, jak mięśnie nóg zaczynają mi wiotczeć, a w środku pięści zbiera się wilgoć.

– Strzel, a nigdy nie zobaczysz kasy, którą mógłbyś zgarnąć – powiedziałem wtedy.

– Jakiej kasy?

– Z polisy na życie, którą miał twój brat.

– Nic o tym nie wiem.

Zmusiłem się do uśmiechu. I jeszcze żeby wyszedł szelmowsko. Wszystko po to, żeby rybka połknęła haczyk. Czy o tym, że tak się stało, mogło świadczyć, że lufa pistoletu, która nieznacznie, ale jednak, oddaliła się od mojej głowy?

– Pieprzysz – margnął.

– Nie. Wygląda na to, że nie wiedziałeś o braciszku wszystkiego. W ostatnich tygodniach przed śmiercią, a nie zabiłem go ja, zapamiętaj to sobie, zwąchał się z pewną grupą, która od lat działała na kolei.

– Pierwsze słyszę.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. To oni wystawili mu mojego starego. Niby skąd miał wiedzieć, że handluje mięsem, skoro siedział na dupie w Warszawie. Bo siedział, nie?

– No i?

– I kilka dni temu grupa została rozbita, ale zostawili po sobie trochę fantów i gotówki. A tylko ja wiem, gdzie to wszystko jest.

Wypowiedziawszy ostatnie słowo tej przerywanej co chwila – co pozwalało mi zebrać myśli przed kolejnym kłamstwem – tyrady, wstrzymałem oddech. On za to skierował broń ku sufitowi. Zauważyłem, że ręka mu się trzęsie; pewnie też miał nerwy napięte do granic.

– Jeśli łiesz... – Zawiesił głos.

– Nie kłamij. Możemy ruszyć w każdej chwili.

– A gdzie to jest?

– Kawalek. Ale znam bezpieczne przejście.

Nic nie powiedział. Miałem nadzieję, że udało mi się go zafrapować i odpowiednio zmiękczyć. I nawet jeśli przy ulicy Dobrosława na Kole nie było już niczego prócz zimnego trupa mojego ojca i wybebeszonego plecaka, czasu było dosyć, aby coś wykombinować. Kiedyś pewnie przeklinałbym taki spacer, teraz był mi bardzo na rękę.

– Ale jeśli łiesz... – Lufa visa znów zmieniła kąt nachylenia o jakieś sto stopni.

Nie odpowiedziałem, przecież tylko winny się tłumaczy. I pewnie byśmy zaraz rozpoczęli mozolną wędrówkę ze stacją pośrednią Prudential, oby niezasypaną po niedawnym ataku na wieżowiec, gdyby między przysłowiową wódkę a zakąskę nie wtrącił się ktoś trzeci.

– Co tu się, kurwa, dzieje?!

Na progu stał wykidajło, którego widziałem przed wejściem do zaimprovizowanego baru. Popatrzyliśmy na siebie, jednak spojrzenie wielkoluda szybko się ze mnie ześliznęło.

– Ty znowu tutaj? – zagrzmiał w kierunku niegdysiejszego

żandarma. – Mówiłem, że nie masz tu wstępu, gnido!

Brat szmalcownika wykonał błyskawiczny półobrót i wystrzelił dwa razy. Trafiony wykidajło chwycił się za brzuch i osunął po ścianie. Nie mogłem nie wykorzystać tego, że bandyta nie zabezpieczył sobie tyłów – z całej siły pchnąłem go w plecy. Zaskoczony atakiem, runął wprost na postrzelonego pracownika kasyna, już nieprzytomnego. Broń wypadła mu z ręki. W tej samej chwili w drzwiach pojawił się znajomy podchorąży.

– To niemiecki szpieg! – ryknął pryszczaty, wskazując na mnie oskarżycielsko paluchem.

Nie miałem zamiaru czekać ani sprawdzać, czy podchorąży uwierzy w te niedorzeczności. Rzuciłem się w stronę korytarza, dopadłem kolejnych drzwi i zatrzasnąłem je za sobą. Kątem oka dostrzegłem stojące w kącie zapomniane krzesło. Szarpnąłem za oparcie i wetknąłem pod klamkę. Nie spodziewałem się, że długo wytrzyma. Miałem jednak nadzieję, że na tyle, bym zdołał się oddalić na bezpieczną odległość.

Po chwili biegłem korytarzem. Dobrze pół minuty musiało minąć, nim się zorientowałem, że nie jest to tajemne przejście, którym dotarłem tu z płonącego wieżowca...

XIV

W miarę jak oddalałem się z niebezpiecznego rewiru, rósł we mnie niepokój. Nie spodziewałem się, że przyszczaty spróbuje starej śpiewki. Ale to przecież było najłatwiejsze: rzucić jeszcze jedną grudę błota na kogoś, kto stoi cały w nim unurzany. Albo błota z gównem, względnie samego gówna. W przyptywie rozpaczki zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem aby wrócić, zatkać gębę przyszczatemu i na spokojnie wytłumaczyć wszystko podchorążemu. Jakoś mu ufałem. Może nawet tylko jemu jednemu. Potem jednak przychodziła kolejna myśl, że najpewniej nie dałoby rady zrobić tego na spokojnie. I że prawdopodobnie nie zdołałbym nawet podejść. Jediną nadzieję pokładałem w tym, że wykidają przeżył. Ale to było za mało. Znów byłem zbiegiem...

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani nawet w jakim kierunku się przemieszczam. Korytarz nie był tak szeroki i dobrze utrzymany jak tamten, z którego kiedyś korzystali szefowie towarzystwa ubezpieczeniowego. Czuć było stęchlizną, a na posadzce coraz natykałem się na podejrzaną kałużę. Na szczęście latarka Rosjanina, którą wciąż miałem przy sobie, jeszcze działała. Co chwila zatrzymywałem się i nasłuchiwałem: z jednej strony pościgu, z drugiej zaś czegoś nowego – ostrzeżenia o niebezpieczeństwie czy przeciwnie – dźwięków, które pozwoliłyby mi odetchnąć z ulgą.

Co chciało mi powiedzieć stukanie, które nagle przed sobą usłyszałem? Było metaliczne, miarowe. Jak u kowala, do którego zająłem podczas jakiejś wakacyjnej wędrówki.

– Ki diabeł?

Przypomniał mi się rysunek Grottgera Kucie kos. Uniesione żylaste ręce kowali, a w nich młoty, poświata na skupionych twarzach. Uważne spojrzenia tych, którzy czekali na broń, czyli styczniowych powstańców, a na środku jasny, oślepiający niemal płomień. Niczym nadzieja, że może tym razem się uda! A może tu, w samym sercu

płonącego miasta, kilka zaledwie metrów pod powierzchnią ziemi szykowała się do boju nowa armia? Może miał się spełnić wreszcie sen Wyspiańskiego sprzed ponad czterdziestu lat, zapisany na kartach Wesela? Albo legenda o Giewoncie, śpiącym rycerzu...

Jednak zamiast „chycie broni!” czy choćby „hej, kto Polak, na bagnety...”, z półmroku dobiegły moich uszu całkiem inne, choć też przecież jakże bliskie:

– Ni chuja, dalej nie pójdzie!

Widziałem już wąski, świetlisty pasek – niedomknięte drzwi. Zbliżyłem się do nich na palcach. Początkowo chciałem dyskretnie zajrzeć do środka, jednak pchnąłem je mocno.

Od razu poznałem to miejsce. To była dziupla żydowskiego krawca Ezry, którego poznałem mniej więcej rok temu. Miał tu swoje maszyny. Jego drugim, o wiele ważniejszym zajęciem było jednak wykonywanie wyroków na szmalcownikach, którzy „przysłużyli się” jego narodowi, kiedy w Warszawie istniało getto. Na własne oczy widziałem jedną taką akcję.

Dziupla znajdowała się w starym kanale, którym przed laty dochodziło z Pałacu Kronenberga ciepłe powietrze dla ogrzania soboru Świętego Aleksandra Newskiego, stojącego na środku placu Saskiego. Świątynię rozebrano w 1926 roku, ale podziemia pozostały. Kto by przypuszczał, że jeszcze tu trafię.

W dziupli znajdowało się dwóch żywych osobników.

– A ty tu co? – prychnął jeden z nich, z czarną długą brodą, których noszenie w ostatnich latach nie było najbezpieczniejsze. – Ile przegrałeś, co?

– Nie strasz chłopca – odezwał się drugi, dla przeciwwagi tysy jak kolano i gładko, jakby przed chwilą, ogolony. – Widzisz, że aż się trzęsie.

– Widzę – zgodził się brodac.

– Wygląda jak z krzyża zdjęty.

– Napijesz się pan wody?

Przytaknąłem. Wciąż nie byłem bowiem w stanie wydobyć z siebie głosu, a wszystko przez to, co miałem przed oczami. Dlaczego

wspomniałem o dwóch żywych osobnikach? Z prostego powodu: w pomieszczeniu były też... martwe postacie ludzkie. A nawet tylko ich części: nogi, ręce, fragmenty tułowia, no i głowy.

– To jak z tą wodą? – chciał mieć pewność tysy.

– Poproszę.

Zanurzył w blaszanym wiadrze chochlę do zupy, po czym podał mi; z krawędzi skapywała woda. Dopiero gdy zacząłem pić, uświadomiłem sobie, jak bardzo doskwierało mi pragnienie. Kilkoma haustami opróżniłem całą kopyść. Woda miała metaliczny posmak, ale była w sam raz zimna. Krawędzią dłoni otarłem usta.

Przyglądali mi się jeszcze przez dobrą chwilę. Wreszcie odezwał się brodaty:

– Był pan w kasynie?

– Tak – odrzekłem, bo i po co było kłamać.

– Dużo pan przegrał?

– Nic.

– Nic?

– Ani grosza. Żeby grać, trzeba mieć za co.

– Są tacy, którzy stawiają kamienice, mimo że na własne oczy widzieli, jak się walą – wtrącił się tysy.

– Pewnie dlatego stawiają – skonstatowałem.

Znów zacząłem rozglądać się po tym dziwnym pomieszczeniu.

– Byłem już tutaj – powiedziałem.

– U Ezry? – zapytali jednocześnie.

– Znacie go, panowie?

– Pewnie. – Brodacz się uśmiechnął. – Stare dzieje.

W głowie zapaliła mi się ostrzegawcza lampka. Pomyślałem sobie bowiem, że być może znają Ezrę, ale niekoniecznie w sympatycznym znaczeniu tego słowa. Z drugiej strony nie wyglądali mi na szmalcowników, którzy mają na sumieniu los Żydów.

– Co właściwie panowie tutaj robią? – zadałem wreszcie pytanie, od którego ktoś inny być może zacząłby całą rozmowę.

Spojrzeli po sobie, jakby się jeszcze zastanawiali, czy można mi zaufać. Ja z kolei uświadomiłem sobie, żeby gdyby podchorążemu,

bratu szantażysty i ich kompanom z kasyna gry zależało, aby mnie dopaść, pewnie już by tu byli.

– Ezra ratował Żydów, a my, cóż... Staramy się tylko ocalić tych, którzy nie mają możliwości uciekać – odrzekł tysy.

Po raz kolejny ogarnąłem spojrzeniem niewielką dziuplę. Zewsząd, z podłogi, pótek i drewnianych skrzyń spoglądały na mnie oczy bez źrenic. Wyciągały się w moim kierunku ręce, którym często brakowało palców. I wtedy zrozumiałem. Spoglądałem oto na rzeźby z brązu bądź tylko ich fragmenty, przeniesione tu, jak można się było domyślić, pod osłoną nocy i nie bez ryzyka utraty życia, z ulic i placów Warszawy, z parków i frontonów pałaców. A potem oczami wyobraźni ujrzałem wielką armatę, istną kolubrynę, która ostrzeliwała klasztor jasnogórski w *Potopie* Sienkiewicza, póki nie unieszkodliwił jej Kmicic. A nawet większą. Większą nawet od Grubej Berty! Ileż to razy przetapiano przecież na armaty rzeźby, klejnoty czy cenną zastawę stołową, a wszystko to „dla ojczyzny ratowania”. Dlaczego teraz nie miałyby być tak samo...

– Co z tym wszystkim zrobicie? – zapytałem dla pewności.

– Na razie wiemy tylko, czego nie zrobią Niemcy – odpowiedział brodac.

Moją uwagę zwróciła ogromna szabla. Stała po prostu oparta o ścianę. Nie mogłem oprzeć się pokusie, aby nie podejść i nie pogłodzić zimnej klingi. Byłem pewien, że aby ją unieść, potrzeba było kilku ludzi.

– Poznaje pan? – Łysy uniósł brew.

– Trudno powiedzieć – przyznałem się. – Dużo mieliśmy w Warszawie pomników bohaterów z szablami...

– Tylko że jakoś żaden z tych dzielnych wojowników nie chciał zejść z cokołu i stanąć w obronie mieszkańców, co? – rzekł zgryźliwie drugi.

– Książę Józef? – zgadywałem.

– Nie. Tylko Jan Kiliński. Zwykły szewc – odpowiedział brodac. – Kiedy dwa i pół roku temu zabierali go z placu Krasińskich do magazynów Muzeum Narodowego, udało nam się przechwycić ten

jeden element. A po księcia Józefa mieliśmy się wybrać, ale ostatnio pogoda kiepska. Mimo że to ledwo rzut beretem. Jeśli pan wie, co nam na myśli.

Potwierdziłem. Będąc w kasynie pod Pałacem Kronenberga, zdążyłem jeszcze podsłuchać, że plac Saski wraz z Ogrodem Saskim wciąż jest opanowany przez hitlerowców. Ciekawe, czy w parku czuli się tak pewnie jak nasi partyzanci w lasach...

– Pomożesz pan? – z zamyślenia wyrwał mnie głos brodacza. – Coś się zaklinowało na ramieniu tej pięknej kobiety. Ni chuja dalej nie pójdzie.

Nie dane mi jednak było podjąć tej próby, rozległ się bowiem tupot kilku par nóg. Zamarłem. Byłem pewien, że to pogoń z kasyna gry. Jakoś nie obawiałem się, że mogą to być równie dobrze szkopy. Nie wiedziałem już, co gorsze. Tylko moi nowi znajomi zachowali zimną krew. Jedyne, co zrobili, to wyprostowali się nad robotą i wlepili spojrzenie w drzwi. Zaraz rozległo się krótkie i głośne pukanie, po czym do środka wpadło dwóch młodych, może czternastoletnich chłopaków. Dyszeli głośno, a na ich twarzach ciemniały smugu brudu i sadzy. Ważniejsze było jednak co innego: ich błyszczące oczy. Czy ze strachu, czy tylko z przejęcia – tego miałem się dopiero dowiedzieć. Co więcej – bardzo tego chciałem. Nie tylko dlatego, że spodziewałem się ujrzeć w drzwiach kogoś zupełnie innego.

– Wujku! Wujku! – wołali jeden przez drugiego; mnie zdawali się nie zauważać.

– Co się narodziło? – zapytał brodaty, podczas gdy łusy ruszył w stronę przybyszów z wyciągniętymi w opiekuńczym geście rękami.

– Już spokojnie, jesteście tu przecież bezpieczni – mówił z pokrzepiającym uśmiechem.

– Ale tam! Niemcy! – Obaj chłopcy wskazali rękami za siebie.

– Co znów zmalowali? – chciał wiedzieć łusy, na co jeden z chłopców wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Są sprzed kościołem Świętego Krzyża...

– ...i mają ciężarówkę – dokończył drugi.

*

Jakie uczucia powodował warkot silnika ciężarowego samochodu wśród mieszkańców Warszawy pierwszej połowy lat czterdziestych? Czy tylko te złe, jak strach, duszne przerażenie, w najlepszym razie niepokój? Nie zawsze. Mogła to być przecież ekipa od Węgiełka, która za chwilę zabierze meble znenawidzonego sąsiada. Albo znajomy, przedsiębiorczy sklepikarz, który z furierem z Wehrmachtu zrobił geszeft i zaraz sprzeda rodakom towar po dobrej cenie. Na przykład żołnierskie konserwy mięsne, które „przypadkiem” nie dotarły o czasie pod Stalingrad.

Dwaj chłopcy nie mieli wątpliwości, po co przyjechał trzytonowy opel blitz, który stał przed kościołem na Krakowskim Przedmieściu. Nie, nie po gości na ślubie czy staruszki, które przysły na sumę. Nie przywiózł też plutonu żołnierzy, żeby klęknęli przed ołtarzem i żalowali za grzechy, choć czas już był po temu najwyższy...

- Jesteś pewien? – zapytał łysy brodacza.
- Nie – odparł jego druh. – Ale nie możemy ryzykować, że odjadą.
- To nie jedyne ryzyko.
- Wiem. I to nie od dzisiaj, przyjacielu...

Przysłuchiwałem się tej rozmowie, przyczajony tuż za nimi. Za mną z kolei przycupnęli mali informatorzy. Żaden jeszcze nie zapytał, kim jestem i co tu robię. Widać nie było takiej potrzeby. Trochę mi to schlebiało. Niemal jak wtedy, kiedy jako fałszywy oficer Armii Krajowej podjąłem się misji wyprowadzenia z Woli zasmarkanych powstańców.

Dochodziła druga w nocy, jednak okolicę oświetlał księżyc zbliżający się do pełni. Krakowskie Przedmieście sprawiało wrażenie wymarłego. I tylko ta ciężarówka, a wokół niej czerwone ogniki palonych papierosów. W pewnym momencie zaczęły upadać na ziemię niczym rój meteorytów.

- Chyba zaczynają – mruknął brodacza.

W tym samym momencie ktoś zapalił szperacz, który znajdował się na dachu ciężarówki. I wtedy zrozumiałem wszystko. Na ścianie świątyni pojawił się wielki, ukośny krzyż, pod nim zaś pochylona

postać. I ta wyciągnięta ręka. Ilekroć tędy przechodziłem, zastanawiałem się, jaki dokładnie kierunek wskazuje. Obiecywałem sobie nawet, że następnym razem zabiorę ze sobą kompas i sprawdzę to dokładnie, ale jakoś zawsze o tym zapomniałem...

Teraz wiele wskazywało na to, że już nigdy nie będę mógł tego zrobić. Hitlerowcy zamierzali zapakować figurę na ciężarówkę, by ją wywieźć. Tak jak spekulowali moi nowi znajomi, ledwo się znaleźliśmy na miejscu, czyli na pierwszym piętrze dawnego gimnazjum świętego Stanisława Kostki na rogu Krakauerstrasse, jak teraz nazywało się Krakowskie, pod trzecim, i Traugutta. Nawiasem mówiąc, nie miałem pojęcia, jak udało nam się tam dotrzeć.

Na to, co się dzieje, z drugiej strony spoglądał ze spokojem Mikołaj Kopernik. Ten sam, który był świadkiem triumfu Alka Dawidowskiego, co to zdjął z cokołu tablicę z niemieckim napisem. I śmierci poety Wacława Bojarskiego, który wraz z dwoma kolegami po piórze, Gajcym i Stroińskim, chciał złożyć astronomowi u stóp wiązanek kwiatów z okazji czterechsetnych urodzin. Wszyscy szaleńcy!

– Tak, zaczynają... – potwierdził głucho łusy, po czym spojrział wyczekująco na kamrata.

A potem przeniósł spojrzenie na mnie. Najgłupsze byłoby teraz zapytać: a co się dzieje? Co takiego zaczynają? Przecież nikt nie strzela, nie wrzeszczy po niemiecku, nie szczekają psy, nie lamentują matki, którym odbiera się przemocą dzieci... Gdybym nie wiedział, czym się zajmują ci dwaj, jaki niewielki, a jednak jakże znaczący kawałek wykroili sobie w tym poletku, które nazywało się – szumnie, a może tylko głupio – walką z okupantem. Ale wiedziałem. Nie miałem za to pojęcia, co można na to poradzić. Czy zbieracze, jak ich w myślach trochę nieprzystojnie nazwałem, byli już kiedyś w takiej sytuacji. Z tego, co zdążyłem zauważyć, żaden z nich nie miał broni.

– Cholera, mówiłem, żeby zająć się nim wcześniej – denerwował się łusy.

– Może nie dadzą rady. Spróbują raz i dadzą sobie siana – miał jeszcze nadzieję brodac.

– Mamy dwie butelki z benzyną – usłyszeliśmy z tyłu głos któregoś z chłopców.

Łysy tylko ciężko westchnął. To jednak nie mogło wystarczyć za odpowiedź, przynajmniej nie w tej sytuacji.

– Ani mi się waźcie! – warknął brodac, w półmroku ujrzałem gniewny błysk w jego oczach. – Zmiotliby nas w ciągu kilku sekund.

– Tak, wujku – odpowiedzieli.

Tymczasem przed samym wejściem do kościoła Świętego Krzyża pojawiło się kilka cieni. Obstąpili Chrystusa jak kiedyś żołnierze rzymskiej centurii. Jeden z nich miał nawet włócznię. Nie, to tylko długi, gruby pręt, który po chwili próbował wetknąć pomiędzy dół rzeźby a granitowy cokół, najpewniej po to, aby ją podważyć.

– *Scheisse!* – zaklął, bo mu widać nie szło, by zaraz dodać: – *Zum Teufel!*

– Nawet *Mein Gott* ci nie pomoże, skurwysynu – sarknął łysy.

Metal zazgrzytał przejmująco o kamień. A ja zazgrzytałem zębami – z bezsilnej złości. Nie ma co, zadziwiająco szybko wszedłem w nową rolę, którą przygotował mi pokrętny i nieprzewidywalny los. Ale tak już miałem, że nawet najbardziej wyświechtany, szczytany do cna scenariusz, który wpadał mi do rąk, pochłaniałem z marszu, może nawet z wypiekami na twarzy. A następnie szybko uczyłem się na pamięć.

– Nie ruszą go – powiedziałem.

– Co? – zapytał nieprzytomnie łysy.

– Pomnika Chrystusa. Nie dadzą rady.

– Chyba że w kawałkach – mruknął brodac, nie odwracając się.

Cholera, o tym już nie pomyślałem. Aż mi się gorąco zrobiło. Było jednak mało prawdopodobne, że figurę idącego na śmierć Syna Bożego Niemcy zechcą sobie teraz postawić przed jakimś malowniczym kościółkiem pod Hamburgiem. Nie po to przecież zwalali z cokołów Mickiewicza, Chopina czy tego bohaterskiego szewca, którego szablę udało się ocalić moim nowym znajomym.

Odwrociłem się i ujrzałem wpatrzone we mnie dwie pary czujnych, dziecięcych oczu.

– Gdzie macie te butelki z benzyną? – zapytałem bardzo cicho, z uśmiechem.

– W plecaku – odpowiedział szybko jeden z chłopców.

– Dostanę jedną? – naciskałem.

– Jasna sprawa.

– A dwie?

Tu się chyba zawahali. Ale zaraz zabrzęczało szkło. Chciwie objąłem palcami zimne szyjki.

– Co pan chcesz zrobić? – zapytał charkotliwie łysy zbieracz.

– Spokojnie. Nie ruszajcie się stąd. A szczególnie wy. – Spojrzałem na smarkaczy z udawaną srogością.

– Panie, ale...

Zbiegłem na dół, starając się nie narobić przy tym zbyt wiele hałasu. Choć byłem tu pierwszy raz, intuicja mnie nie zawiodła i po kilku chwilach znalazłem się na kwadratowym dziedzińcu. Potarłem ręką czoło, rozejrzałem się w poszukiwaniu wyjścia. Tak, to chyba tam. Spojrzałem jeszcze w niebo: z czarnego powoli robiło się granatowe.

*

Drzwi na Krakowskie Przedmieście były uchylone. Wyrzałem ostrożnie na ulicę. Po prawej stronie warczał opel. Wciąż miał zapalone światła.

– *Scheisse!* – dobiegło znów spod pomnika.

Zacisnąłem palce na szyjkach butelek. Jeszcze kilka tygodni temu nie miałem pojęcia tak o sile ich działania, jak o tym, że taka broń w ogóle istnieje. Podobnie jak sidolki czy filipinki. Jakże niewinnie brzmiały ich nazwy.

Oparłem się plecami o ścianę, opuściłem głowę i przymknąłem oczy.

Ile przebiegnę, nim zdołają mnie dostrzec? – zastanawiałem się. A może spróbować rzucić stąd? Nigdy nie byłem w tym dobry, nawet w szkole, gdy trzeba było cisnąć jak najdalej piłeczką do palanta...

– *Auf!* – zawołał któryś z Niemców; odniosłem też wrażenie, że

warkot silnika ciężarówki uderzył w wyższe tony.

On był tam sam. Prawie dwa tysiące lat minęły od chwili, gdy umęczony szedł na Golgotę, dźwigając swój krzyż. Dwaj mężczyźni, którzy w dziupli Żyda Ezry składowali ocalone fragmenty warszawskich pomników, i dwaj chłopcy, którzy zaalarmowali ich, że coś złego stanie się za chwilę z kolejnym, mogli tylko spoglądać z piętra na to, co się wydarzy, i gryźć palce z udręki. Ale czy nie to samo robili wszyscy ci, który tamtego wiosennego dnia wyszli na ulice Jerozolimy? Garncarz powoli wycierał dłonie z gliny, sprzedawca owoców pogryzał figę, matka przytulała do boku dziecko, zastanawiając się jeszcze, czy nie powinna czasem zakryć mu oczu, by nie oglądało półnagiego, ociekającego krwią po biczowaniu człowieka.

A znalazł się ktoś, kto stanąłby na drodze smutnemu orszakowi, próbował wyrwać włócznię z rąk rzymskiego żołnierza, doprowadził do uwolnienia skazańca? Jak wtedy potoczyłyby się losy ludzkości...

– *Auf!*

Otworzyłem oczy i zdecydowanym krokiem wyszedłem na Krakowskie.

– Schowaj się pan – usłyszałem wtedy wyraźny szept.

Stał z boku, przywierając do ściany budynku. Nie widziałem jego twarzy. W tej samej chwili ujrzałem kilka kolejnych przemykających ulicą tuż przede mną, pochylonych nisko cieni. W półmroku mignęła biało-czerwona opaska.

– No schowaj się, do cholery – naciskał tamten. – Życie ci niemiłe, człowieku?

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałem.

– Nie zgrywaj husarza.

– Ale ja mam butelki...

– Nie cię ręka boska broni – warknął, a nawet pogroził mi dłonią trzymającą parabelkę. – Musimy mieć tę budę w łańcuch i na chodzie.

Dopiero teraz skojarzyłem ten głos. Wbrew poleceniu czy może tylko dobrej radzie, wyjrzałem z bramy. Miał na sobie ten sam spłowiały mundur, a na naramiennikach naszyte krokiewki

oznaczające stopień starszego sierżanta. Mogłem pójść o zakład, że na głowie nosił czarny beret z orzełkiem, ale już krokiewkę tylko jedną. To był on: sierżant, który naraił mnie do pomocy przy wrzuceniu na pakę skrzyni pana starosty, a przed wojną pedel w szkole w Piasecznie.

– Pamięta mnie pan? – zapytałem.

Nie odpowiedział; może nie dostyszał, bo właśnie pomiędzy kościołem Świętego Krzyża a stojącą po drugiej stronie ulicy kamienicą „Pod Messalką” rozległy się pierwsze klaśnięcia. Zawył silnik opla, który usiłował ruszyć z miejsca. Trzaskało rozbite szkło szyb samochodu. Niemcy, owszem, krzyczeli, ale były to głosy ludzi rozpaczliwie trzymających się życia.

– Co? – zapytał półprzytomnie sierżant.

– Próbowaliśmy razem podnieść skrzynię starosty – przybliżyłem mu sprawę najkrócej, jak potrafiłem.

– To zjawiasz się pan w odpowiednim momencie – zaśmiał się mężczyzna.

– Nie rozumiem.

– Bo chyba właśnie zdobyliśmy samochód.

Rozległo się jeszcze kilka strzałów; być może dobijano rannych. A potem długi, przesywający gwizd, niczym sygnał do odjazdu.

– Gotowe. – Sierżant uśmiechnął się lekko i zapytał: – Jedziesz pan z nami?

I nie czekając na odpowiedź, w tych swoich pumpach puścił się truchtem w kierunku kościoła. Wiedziałem, że mam chwilę, by podjąć decyzję i wybrać: powrót do byłego kanału ciepłowniczego pod placem Saskim, gdzie być może już czekali na mnie ludzie od podchorążego, albo wyjazd ciężarówką z czarno-białym krzyżem na drzwiach. Jak? Którędy, do cholery?!

Kiedy dochodziłem, ludzie sierżanta, a było ich czterech, szybkimi ruchami zdzierali z zabitych mundurowe bluzy. Przez chwilę w milczeniu przyglądałem się tym poczynaniom. Ocalony Chrystus, stojący przed drzwiami kościoła, wciąż dźwigał swój krzyż. Po raz nie wiem już który przeczytałem napis SURSUM CORDA. I po raz nie

wiem już który obiecałem sobie, że następnym razem przyjdę tu z kompasem, by wreszcie dokładnie sprawdzić kierunek, który wskazuje skazaniec idący na Golgotę...

– Kto to, szefie? – zapytał jakiś młokos, dopinając guziki; był blondynem i, nie ma co, bardzo mu ten przydzwiewek pasował.

– Stary znajomy – wyjaśnił sierżant. – Pomoże nam przy załadunku.

Chciałem zapytać, co miałbym dźwigać, bo chyba nie skrzynię, z którą się wtedy mordowali. Było to tak dawno temu, że jej zawartość już pewnie starosta wyniosłoby z miasta na raty. Poza tym widziałem go, jak grał w pokera w kasynie.

– Wskakuj na pakę, student – rzucił do mnie z miną starego frontowca. – Tylko żwawo, bo się tu zaraz zrobi gorąco.

Po chwili znalazłem się pod plandeką wraz z trzema przebierańcami. Jeden z nich owijał brudnym bandażem krwawiącą dłoń. Już miałem usiąść, gdy przypomniałem sobie o moich znajomych zbieraczach. Wyrzuciłem na zewnątrz i odszukałem wzrokiem okno. Wciąż tam byli.

– Cześć. – Pomachałem im ręką jak na wycieczce.

Nie byłem pewien, czy to dostrzegli. Coś jasnego poruszyło się tylko w ciemnym oczodole okna, może również ręka. Kiedy ponownie znalazłem się pod plandeką, skonstatowałem, że jako jedyny nie mam na sobie hitlerowskiego munduru.

– I co teraz? – bąknąłem bezwiednie.

– Jest na to pewien sposób – odpowiedział ten sam blondyn.

– Jaki?

– Na razie siadaj.

Zrobiłem, co powiedział. Wyjął papierosy i poczęstował mnie. Odmówiłem. Właśnie chciałem zapytać, tak z czystej ciekawości, czy to jego, czy znalazł je w kieszonce niemieckiej bluzy, gdy poczułem uderzenie w tył głowy i padłem na podłogę.

*

A może lepiej byłoby to wszystko po prostu... przespać, co? Tak jak zwierzęta zapadają w sen zimowy, też zapaść w sen, ale letni? Po

prostu nie obudzić się tamtego piątku, pierwszego sierpnia, nie pojechać na Czerniaków z zamówieniem dla właściciela warsztatu, pana Cieślika, który chciał, by wesele jego brzydkiej córki odbyło się jak należy. Nakryć głowę kołdrą, gdy za oknem odezwały się pierwsze wystrzały, a potem wybuchy, które spowodowały, że wypadły wszystkie szyby w oknach. To przecież ona, pierzyna właśnie, odkąd pamiętałem, zawsze była mi najtwardszym pancerzem.

Tak, po prostu przespać, nawet za cenę koszmarów, które w pewnej chwili zaczęłyby mnie męczyć. Rzeź Woli, gehenna tamtejszych szpitali, wybuch czołgu pułapki na Starówce, zbombardowanie Pasażu Simonsa i wiele, wiele innych, których jeszcze kilka tygodni temu nie zdołałby sobie wyobrazić nawet największy katastrofista i czarnowidz. Obudziłem się z krzykiem, mocno bijącym sercem, zlany potem. Ale już po chwili dziękował opatrności, że to sen tylko. Tylko sen...

Ale nie można mieć wszystkiego. Wiele razy słyszałem te słowa, które miały tłumaczyć mi ten czy inny brak. Powtarzano mi też, żeby cieszyć się z małych rzeczy. Dlatego ucieszyłem się, że zamiast wielkiego snu podarowano mi mały. I za to, co stało się na pace niemieckiej, dopiero co zdobytej na Krakowskim Przedmieściu ciężarówce, czyli za nagły cios w łeb. Nawet za to mogłem tylko dziękować. Mój znajomy doktor Nowak pewnie nazwałby to narkozą, którą daje się pacjentowi przed operacją.

Pozbawiono mnie przytomności, nie mogę więc słyszeć słów cichej modlitwy, która dobiega spod okapu zbyt dużego hełmu w charakterystycznym, budzącym grozę kształcie. Modlitwy, rzecz jasna, odmawianej po polsku, ukradkiem, jakby w zawstydzeniu.

Podczas gdy jeden się modli, inny nie przestaje kłać:

– Kurwa, zabiją na wszystkich. Wystrzelają jak kaczki...

– Jak nie zamkniesz ryja, to tak się właśnie stanie – odpowiada mu inny głos.

Pot spływa z dłoni po lufach zdobycznych empi, po skroniach. Mimo że słońce ledwo dźwignęło się znad Pragi, pod plandeką robi

się coraz bardziej gorąco. Nikt nie odważy się jednak zdjąć z głowy hełmu ani wypuścić z ręki broni.

A może było zupełnie inaczej? Może jechali w zupełnej ciszy, a jedynymi dźwiękami, jakie słyszeli, były warkot silnika, skrzypienie resorów i desek, z których zbito tę nieszczęsną skrzynię należącą do starosty, a może już do kogoś innego. Niemiecki żandarm, który zajrzał do środka na rogatkach miasta, zapytał od niechcienia, co jest w środku. A gdy jeden z przebierańców, taki co to najlepiej ze wszystkich mówił po niemiecku, udzielił odpowiedzi zgodnie z wytycznymi sierżanta, wziął to za prawdę. Zresztą kto by się jeszcze bawił w dokumenty przewozowe, gdy Iwan czai się za Wisłą?

Już miał sobie iść, gdy jego wzrok spoczął na mnie, leżącym na podłodze, między krótszym bokiem skrzyni a burtą paki.

– *Was ist das?* – pyta.

Jestem pewien, że tak właśnie powiedział: nie „kto”, a „co”.

– *Das ist Pole* – odpowiada dyżurny, przygotowany także i na tę ewentualność.

W tym momencie wartownik być może wzrusza ramionami. Gdybym leżał nie w samochodzie, tylko na ziemi, może nawet kopnąłby mnie w bok i splunął. No bo po co właściwie to ścierwo wieźć ze sobą. Ale widać do czegoś jestem im potrzebny, zlikwidować można w każdej chwili. I nawet trzeba, jeśli w skrzyni znajduje się coś ważnego, a pewnie tak jest, bo bzdur nie wywoziliby z płonącego miasta, które w każdej chwili może zapłonąć jeszcze bardziej.

– *Fahren!* – Żandarm wyrzuca wreszcie z siebie jedno jedyne słowo, na które wszyscy w największym napięciu czekają.

Silnik gra najpiękniejszą muzykę, ale oni wciąż muszą powstrzymać emocje. Jeszcze kilkaset metrów, jeszcze tylko ten zakręt, a za nim ściana lasu niczym wyczekany łód na horyzoncie po wielu miesiącach tułaczki po bezkresnym morzu.

Ale nawet zbiorowy wrzask mnie nie budzi. Leżę bezwładnie na przesiąkniętej wonią smarów podłodze trzytonowego opla blitz z czarno-białymi krzyżami na drzwiach.

– Ty, Heniek, co mu jest? – niepokoi się wtedy być może ów blondyn, któremu tak bardzo pasował niemiecki mundur.

– Nie wiem – bąka na to ten, który uderzył mnie w głowę.

– Mam nadzieję, że nie załatwiłeś go na amen... – denerwuje się ten pierwszy.

Próbują mnie cucić. Zrazu delikatnie, jakby się bali, że coś mi jednak uszkodzili. Potem jednak obawa, czy aby mnie nie uszkodzili, okazuje się silniejsza – i zaczynają mną szarpać. W pewnej chwili ktoś wpada nawet na pomysł, żeby użyć starego sposobu, mianowicie policzkowania. Wali mnie „z liścia”, potem szybko poprawia „z backhandu”.

– Cholera... – brzmi diagnoza, oczywiście błędna.

To co? Wracać czy pozostać na dobre w tym spokojnym, bezpiecznym śnie? Jeśli chwilę poczekam, na pewno doczekam się ojca. Przyjdzie po mnie jak wtedy, gdy za bardzo zasiedziałem się u jakiegoś kolegi. A mama? Kiedy byłem mały, odbierała mnie zawsze ze szkoły. Gdy pojawiała się w drzwiach, wszystko inne przestawało być ważne. Czy miałbym więc teraz zrezygnować z tej szansy, szansy na spotkanie, którego ani przez chwilę nie przestawałem pragnąć? Kto wie, może jeden z tych chłopaków od sierżanta wykonał jednak dobrą robotę. Trochę tylko może głupio, że to jednak los przyjęty z rąk swoich. Ale na to się przecież zanosilo od samego początku, kiedy tylko prokurator w sądzie polowym zażądał dla mnie najwyższego wymiaru kary. Dziś już wiem, co było tego przyczyną.

– Co z nim? – słyszę jeszcze głos sierżanta, dziwnie daleki, dudniący, choć przecież jego właściciel znajduje się ledwo dwa metry ode mnie, może bliżej.

– Heniek chyba przedobrzył – mruczy blondyn.

– Co takiego?!

Sierżant w tych koszmarnych pumpach, które robią z niego pokrakę, chyba nie za bardzo chce wierzyć w to, co mówią, a co potwierdza smutny obrazek: ja leżący przy skrzyni.

– Wstawaj, chłopaku! – woła nawet nie tak głośno, jak można by było się tego spodziewać, zważywszy na okoliczności i fakt, że

niemieccy żandarmi są już tylko przykrym wspomnieniem. – No, synku. Już pora. Jesteśmy na miejscu...

Czuję na policzku szorstką spracowaną dłoń, która niemal przez całe życie trzymała mocno trzonek miotły w szkole w Piasecznie, a kiedy zima, szuflki do odśnieżania. Czuję też jego oddech o zapachu miętówek. Wtedy powraca jakieś dalekie, niewyraźne wspomnienie.

Coś, co każe mi wreszcie otworzyć oczy...

*

– No, Heniek, musisz jeszcze poćwiczyć – zaśmiał się sierżant, po czym, jak przypuszczałem, zwrócił się ponownie do mnie: – Myślę, że właśnie zagrałeś swoją rolę życia.

Otworzyłem oczy. Wszystko zaczęło zawirować, więc zaraz z powrotem zacisnąłem mocno powieki, a także zęby.

– Jesteśmy na miejscu – powtórzył sierżant.

– To znaczy gdzie? – zapytałem szeptem.

– Pod adresem, który podałeś.

– Ja?

Zarechotali zdrowo. Nie było sensu dociekać, jak, kiedy, którędy i za ile. Zresztą po chwili dowódca szaleńczej eskapady z pomocą blondyna chwycili mnie pod ramiona i pomogli wstać. Stanąwszy na nogach, przez chwilę przyglądałem się skrzyni.

– A jednak daliście radę ją podnieść. – Poklepałem drewniany bok.

– W tym czasie mocno schudła. – Sierżant się uśmiechnął.

Przeniósłem spojrzenie tam, gdzie powinienem spoglądać już dawno: w stronę wyjścia. Plandeka była zarzucona, dzięki czemu z ciężarówki roztaczał się niemal niczym nieograniczony widok. I jakże nierzeczywisty. Przez sekundę zastanawiałem się nawet, czy to czasem nie ekran kinowy, na którym ktoś puścił kolorowy film. Nigdy nie oglądałem barwnego filmu...

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem, zeskoczywszy z paki wprost na trawę; sekundę wcześniej zrobił to znajomy sierżant.

– Już mówiłem: tam, gdzie chciałeś się znaleźć – odrzekł bez zniecierpliwienia. – Oczywiście pod samo obejście nie mogliśmy

podjechać, żeby nie denerwować gospodarzy. Ale to kawałek, za tym zagajnikiem. – Spojrzał na zieloną ścianę lasu.

Chyba zaczynałem się domyślać, dokąd trafiłem.

– Na nas już pora. Mamy jeszcze trochę do przejechania. – Wyciągnął rękę, którą mocno uściśnąłem.

– Dziękuję, sierżancie – powiedziałem.

– Nie ma za co. Do zobaczenia w wolnej Polsce.

Pół minuty później opel oddał się w chmurze pyłu i spalin, ja zaś, podreptawszy chwilę w miejscu, wreszcie podążyłem w kierunku, który wskazał dowódca. Po kilku chwilach pomiędzy drzewami dostrzegłem białe ściany chaty. Serce biło mi coraz szybciej i silniej, a pod czaszką, która szczęśliwie pozostała cała, nacierały na siebie dwie armie myśli. Z jednej strony pragnąłem ze wszystkich sił, by w środku zastać Alinę i Leszka, całych i zdrowych. Z drugiej nie miałem pojęcia, jak mam im powiedzieć, że nie mają już ukochanego mężczyzny i ojca...

Dostrzegł mnie podwórzowy Burek. Za chwilę pewnie zacznie czekać. Skrzypnęły otwierane drzwi. Kto w nich za chwilę stanie? Gospodarz, jego żona czy może Alina? Zatrzymałem się, nogi miałem jak z waty...

– Antek...

To ona! Cała i zdrowa. Bogu dzięki...

– Dzień dobry – przywitałem się drżącym głosem.

Na jej twarzy próżno jednak doszukać się uśmiechu. Dostrzegłem jej palce mocno zaciskające się na framudze drzwi. Chyba już wiedziała, co się stało. No i ten pies przy budzie. Wciąż jakoś nie zaczął szczekać...

– Antek, to... to naprawdę ty? – wyjęczała Alina.

– We własnej osobie.

– Ale mówili... mówili nam, że...

– Co takiego?

– Że... że ty nie żyjesz – wydusiła wreszcie, po czym wybuchnęła płaczem.

Nie miałem pojęcia, czy to ze szczęścia, czy z rozpaczy. A może po

połowie. Skoro bowiem znalazł się ktoś, kto przyniósł złe wieści z Warszawy, mógł mieć ze sobą także i tę drugą, o wiele gorszą. I, niestety, prawdziwą: o śmierci ojca.

– Już dobrze, dobrze. Jestem cały i zdrowy... – powiedziałem jej do ucha, objąwszy bardzo mocno za szyję.

– Alina, co tam się dzieje? – dobiegł naraz z głębi domu męski schrypnięty głos.

Podniosłem wzrok i spojrzałem w tamtym kierunku. Na jasnym tle okna największej izby zarysował się cień. Myślałem, że to gospodarz. Ale to był cień kogoś innego. Kolejnego ducha.

– Przecież ty nie żyjesz... – wyrwało się z mojego gardła i jednocześnie z gardła człowieka, którego ujrzałem.

Nic dziwnego: przecież płynęła w nas ta sama krew.

*

Ojciec nie wyglądał, delikatnie mówiąc, jakby za chwilę miał wyjść do pracy w biurze. Wciąż niegolony, z mokrymi, naprędce zaczesanym do góry włosami i siniakami w całej gamie kolorów na twarzy. Tylko jego oczy były pełne życia, które, jak się domyślałem, wróciło do niego w chwili, gdy pojawiłem się na progu wiejskiego domu.

– Kto zaczyna pierwszy? – Alina klasnęła w dłonie.

– Starsi mają pierwszeństwo – odpowiedziałem z powagą.

Tata westchnął, wreszcie zaczął opowiadać, a zaczął od rzeczy chyba najważniejszej: wyjaśnienia, jak to się stało, że w ogóle żyje.

– Rosjanin użył starej broni szpiegów, której na imię gra pozorów. Strzelał obok mnie, z czego oczywiście ja nie zdawałem sobie sprawy. Myślałem, że chybił, co biorąc pod uwagę fakt, że pił przez pół nocy, nie dziwiło. I nie miałem zamiaru wyprowadzać go z błędu. Kiedy się ocknąłem, już was nie było. Chwilę później do domu przyszedł twój przyjaciel Władek z kilkoma groźnie wyglądającymi chłopakami...

– A jednak nie wytrzymał – mruknąłem.

– Zabrali mnie stamtąd. Trupy bandytów jeszcze śmierdziały

gorzałą, ale lada chwila ta woń miała się zmienić w mniej przyjemną. Kiedy już byliśmy w Lasku na Kole, przypomniałem sobie o pieniądzach i złocie, które zostały na Dobrosławu. Chciałem natychmiast wracać, ale Władek mi nie pozwolił. I dobrze, bo być może nie byłbym w stanie dojść na miejsce.

– I co zrobiliście?

– Poszedł sam, a my ruszyliśmy dalej, jak mi powiedzieli, do Puszczy Kampinoskiej. Miał nas dogonić... – Ojciec zawiesił głos i spojrzał na mnie z bólem.

– Co się stało?

– Nie wiem. Po prostu od tamtej pory już go nie widziałem. W puszczy oderwałem się od oddziału i dotarłem tutaj. Pewnie się domyślasz, co czułem, będąc coraz bliżej. Kiedy jednak ujrzałem swojego syna bawiącego się na łące z kotami, a potem Alinę wieszającą pranie na podwórku, wszystko puściło. Rozpłakałem się...

– Nie rozumiem tylko, dlaczego tamci nas szantażowali.

– Wszystko wymyślił Walentin – wtrąciła Sieradzka. – Pamiętam dokładnie dzień, w którym tutaj przyszedł. Udawał zagubionego wędrowca, poprosił o szklanekę wody ze studni. Ktoś musiał nam wtedy zrobić zdjęcie z ukrycia. Resztę już znacie.

– Teraz twoja kolej. – Ojciec się uśmiechnął.

Opowiedziałem po kolei o wszystkim, co mnie spotkało.

– Najważniejsze, że dobrze się skończyło – westchnął tata.

– Myślisz, że się skończyło? – zapytałem.

– Owszem. Jedyne, czego nie wiemy, to to, gdzie się podział twój przyjaciel Władek. I czy czasem...

– Nawet o tym nie myśl! – przerwałem mu. – To uczciwy człowiek. Ręczę za niego głową. Coś się musiało wydarzyć. Po Lasku na Kole różni się kręcili.

– Rozumiem, że wolałbyś, żeby zginął, aniżeli ukradł nasz skarb. – Ojciec wypowiedział na głos zdanie, o którym ja bałem się nawet pomyśleć.

Nie odpowiedziałem. Przygryzłem wargę. Cisza była taka, że słyszeliśmy wyraźnie rechot żab w stawie odległym o dobre kilka

minut marszu. Za oknem gaś powoli jeden z ostatnich dni lata.

*

Płomień lampy naftowej oświetla stół. Pióro skrobie po kartce, a ręka stara się dotrzymać tempa myślom. Kończę spisywać swoje przygody. Starczyło ich akurat, by wypełnić cały brulion. Tamten, w którym wcześniej robiłem pierwsze nieporadne zapiski, przepadł. Nie miałem jednak problemu z przypomnieniem sobie tych wszystkich dni od pierwszego sierpnia.

Jakże znamieną była ta data teraz, kiedy było już wiadomo, że istnieje druga: data upadku powstania. Stało się to drugiego października. Wraz z tą hiobową wieścią dotarli do nas także i inne. Wcale nie lepsze. Właściwie to sam je przyniosłem.

Zacznijmy od Władka Michalskiego, dzielnego porucznika o pseudonimie Szymon, mojego serdecznego kolegi z liceum Batorego. Któregoś dnia wybrałem się po śladach ojca do Puszczy Kampinoskiej, gdzie miałem nadzieję zastać powstańców i oczywiście Władka też. Pierwszą osobą, jaką ujrzałem w tłumie ludzi, którym w ostatnie wrześnieowe dni udało się wydostać z płonącej Warszawy, była dziewczyna z Prudentialu. Udałem, że jej nie poznałem. Ona i jej chłopak byli przecież świadkami oskarżenia, które rzucił w moim kierunku żądny zemsty brat szmalcownika.

– To pan – powiedziała spokojnym głosem, zbliżywszy się do mnie.

Nie było sensu uciekać ani udawać głupiego.

– Tak, to ja – zgodziłem się.

– Proszę się nie obawiać. Wiem, że jest pan niewinny. Ten człowiek z baru w kasynie wyżył i kiedy odzyskał przytomność, powiedział, kto do niego strzelał. Tamten uciekł. A nawet gdyby tak się nie stało, to i tak pewnie nie musiałby się pan tym przejmować.

– Nie rozumiem.

– Przecież pan... nie żyje.

– Już to słyszałem.

Po tym, co się wydarzyło, takie słowa będzie pewnie słyszeć wielu ludzi, a matkom szukającym synów nie zostanie już na głowach ani

jeden włos, który nie byłby siwy. Po chwili poprosiłem jednak o wyjaśnienia. Należało się to także moim bliskim, do których zadziwiająco szybko dotarła wieść o mojej śmierci w ostrzelanym przez artylerię wieżowcu.

– Człowiek, z którym szliście na dach wieżowca, a wcześniej nas podglądaliście, jak pan wie, zginął. Ci, którzy go znaleźli, musieli ustalić jego tożsamość. A w marynarce nie znaleźli niczego prócz...

– ...przepustki z moim nazwiskiem – dokończyłem. – I fotografii z rodziną.

Oto w jednej chwili wszystko, co mi do tej pory doskwierało, stało się nieważne. Włącznie z oskarżeniami o szpiegostwo, wszak takie rzeczy potrafią się mocno trzymać. Nawet gdy nie będzie żył ani jeden z sędziów, którzy się mną wtedy zajmowali.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. I wtedy nagle zapragnąłem przeprosić tę dziewczynę za to, co tamtej nocy zrobił Rosjanin, który teraz leżał na jakimś skwerze pod moim nazwiskiem.

– To już i tak nie ma znaczenia. Mój Andrzej nie żyje. Zginął na Bonifraterskiej. – Dziewczyna opuściła głowę, ale zaraz na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. – A ja... ja będę miała dziecko... – dokończyła.

Każde słowa wydawały mi się w tym momencie nie na miejscu. Nie odszedłem już jednak od tej nieszczęsnej dziewczyny. Nie potrafiłem...

A jeszcze tego samego dnia usłyszałem historię Władka. Opowiedział mi ją jeden z żołnierzy, który rozpoznał we mnie zakładnika uwolnionego ze szkoły zajętej przez fałszywych żandarmów w jednym z pierwszych dni powstania. Nie miał prawej ręki. Otóż Michalski, który wrócił po plecak, pieniądze i złoto, przyłączył się do oddziału, który zmierzał w kierunku Warszawy, ale nie miał dowódcy. I tak kilka chwil po godzinie „W” Władek ruszył na elektrownię na Powiślu na czele przypadkowych powstańców, a teraz pomaszerował w stronę miasta na czele tych, którzy mieli jeszcze nadzieję, że coś da się ugrać. Oddział wraz ze Zgrupowaniem „Radosław” brał udział w walkach w rejonie Dworca Gdańskiego.

Tam też porucznik Szymon po raz ostatni poprowadził powstańców do ataku...

– Byłem przy nim, jak umierał – powiedział żołnierz. – Bredził coś w gorączce. A potem dał mi to z prośbą, żebym to panu przekazał. Zgodziłem się, choć znaleźć kogoś teraz to przecież cud. Ale, jak widać, udało się.

To powiedziawszy, rozpiął ocalałą, lewą ręką kieszonkę na piersiach bluzy i podał mi złożoną na czworo, zakrwawioną na krawędziach kartkę.

*

Dogasa płomień lampy naftowej. Anna, dziewczyna poległego podchorążego Andrzeja i matka jego nienarodzonego dziecka, mruczy przez sen. Dziś powiedziała, że jeśli to będzie syn, chce, żeby miał na imię Antoni. Nie zapytałem, dlaczego nie da mu imienia po ojcu. Może wystarczy tylko nazwisko.

Pióro skrobie o papier, a ręka spokojnie kończy porządkować myśli. Wkładam między kartki ostatnią wiadomość od Władka i zamykam zeszyt...

*

Chwilę po tym, jak dwoje nastoletnich warszawskich harcerzy, Karolina i Marcin, znalazło się na rogu ulic Jasnej i Sienkiewicza, zastąpiły im drogę jakieś dzieci. Było ich sześcioro, miały po dziesięć, najwyżej dwanaście lat. W rękach trzymały... pistolety. Choć wyglądały na prawdziwe, były to na szczęście tylko pistolety na wodę.

– Gińcie, hitlerowcy! – krzyknęło jedno z nich.

Po czym nastąpił atak. Harcerze znieśli go dzielnie; napastnicy nie strzykali zresztą zbyt obficie, tak jak to się zwykło czynić w Poniedziałek Wielkanocny. Najpewniej z powodu oszczędności wody. Dzieci miały na rękach biało-czerwone opaski i prawdopodobnie były uczestnikami jakiejś kolejnej gry miejskiej. A do „zabicia” było jeszcze dużo wrogów.

– Chyba przestaje mi się to podobać – mruknął Marcin, kiedy hałastra pobiegła w stronę Świątokrzyńskiej.

– Że zostałeś Niemcem? – zapytała dziewczyna.

– Nie. Że robi się z tego szopkę. Może jeszcze kilka dni temu nie zwróciłbym na to większej uwagi. Ale po tym wszystkim, co usłyszeliśmy...

Dziewczyna spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta po południu. Kończyła się więc druga doba znajomości z człowiekiem, którego spotkali w Alejach. I choć okoliczności ich poznania były dramatyczne, kolejnego dnia nie wydarzyło się nic niepokojącego; starszy pan był w dobrej formie. Wzięli go za jednego z powstańców warszawskich, tymczasem w sierpniu 1944 roku miał zaledwie półtora roczku! Miał na imię Leszek i był przyrodnim, młodszym o pokolenie bratem Antka. W PRL-u pracował jako oficer milicji, a teraz, będąc już na emeryturze, swój czas dzielił między Polskę a Izrael, gdzie od prawie pół wieku mieszkał jego starszy o kilka tygodni... bratanek, znany pisarz Marek Konarski.

Dopiero gdy opowieść dobiegła końca, Karolina i Marcin domyślili się, kim jest drugi starszy pan. Urodzony już po wyzwoleniu Warszawy, w niewielkim wiejskim domku, tak jak tego chciała jego matka, imię otrzymał po Antku. Panowie wychowywali się razem od dziecka. I chociaż potem ich drogi się rozeszły, teraz, w jesieni wieku, jak zgodnie zapewniali, znów byli blisko.

Z Powązek, gdzie harcerze zobaczyli, jak sądzili, grób Antka, pojechali całą czwórką do Muzeum Powstania Warszawskiego. Okazało się, że pan Leszek jeszcze tam nie był. Harcerze z sanitariuszy, a potem wiernych słuchaczy zamienili się zatem w przewodników, oboje bywali tam bowiem dość często. Na Przykoppowej spędzili dwie godziny. W mieszkaniu jeszcze jedną.

Może kogoś, kto przyglądałby się temu z boku, zdziwiłaby ta zażyłość zupełnie obcych sobie ludzi, których w dodatku dzieliły co najmniej dwa pokolenia. Jednak dla Karoliny i Marcina nie była to żadna nowość, ich drużyna często bowiem gościła seniorów, którzy chętnie opowiadali młodzieży, jak to drzewiej bywało. Hufcowy

zdążył nawet jeszcze poznać osobiście Stanisława Broniewskiego „Orszę”, legendarnego dowódcę akcji pod Arsenalem, który do samego końca był blisko młodzieży.

Potem Karolina i Marcin podziękowali za kolejną niezwykłą lekcję historii, umówili się wstępnie na jeszcze jedno spotkanie, ale już właśnie w szerszym gronie całej drużyny i już po rozpoczęciu roku szkolnego, po czym pożegnali się i wyszli.

– Spieszysz się do domu? – zapytał chłopak, ocierając z czoła resztki wody z pistoletów.

– Jeszcze jest dość wcześnie.

Spojrzeli po sobie. Karolina była szybsza:

– Co o tym wszystkim myślisz?

Jeszcze przez chwilę tarł dłonią czoło.

– Podejrzewam, że to samo co ty – odparł ściszone głosem. – Chyba brakuje mi wisienki na tym torcie.

Wyciągnął telefon, chwilę majstrował przy ekranie, by wreszcie podetknąć aparat pod nos towarzysze.

– Pamiętasz to?

– Rysunek przekroju poprzecznego łodzi oraz ramy obrazu, który został wykonany na odwrotnej stronie biletu lotniczego z Tel Awiwu, a ty zrobiłeś zdjęcie, kiedy byliśmy w kuchni – wyrecytowała bez zająknięcia Karolina.

– Zgadza się. Obok wypisano cyfry i litery.

– A teraz najważniejsze: dokładnie ten sam rysunek widziałem dziś w jednej z gablot w muzeum. Z tymi samymi literami i cyframi.

– Co?!

– Obok leżał blaszany orzełek, a na tabliczce było napisane, że to pamiątki po...

– Poruczniku Władku Michalskim?

– Bingo! Zrobiłem nawet zdjęcie.

Na potwierdzenie tych słów przesunął palcem po ekranie aparatu. Oczom Karoliny ukazał się bardzo podobny rysunek, ale wykonany na pożółkłym ze starości, pociemniałym na krawędziach kawałku papieru.

– Myślisz, że pan Leszek skłamał, mówiąc, że nigdy nie był w muzeum? – zapytała.

– Nie wiem.

– A ja myślę, że tak. Nie wiem tylko po co.

– Ja za to wciąż nie mam pojęcia, dlaczego on nam w ogóle o wszystkim opowiedział. Tylko za to, że pomogliśmy mu na ulicy? Z wdzięczności?

– A może po prostu z nudów?

– Tak czy siak, opowieść nie została dokończona. – Chłopak splótł ręce na piersiach.

Karolina jeszcze raz przyjrzała się obu fotografiom w telefonie towarzysza. Znajdowało się na nich kilka elementów: wielokąt, który na pierwszy rzut oka przypominał przekrój łódki kabinowej. Obok napis: *right 2*. Pod napisem i wielokątem biegła linia prosta przedzielana ukośnymi szczeblami, niżej zaś narysowano kilka niewielkich kół. Wreszcie na samym dole widniał prostokąt wpisany w większy, co przypominało ramę obrazu.

– To z pewnością jakiś szyfr – rzucił Marcin z dziecięcą ekscytacją.

– Albo mapa – zawtórowała mu Karolina, obracając rysunek na wszystkie strony.

– Albo mapa – powtórzył jak echo nastolatek. – Co oznaczają kółka i gruba czarna linia z poprzeczkami w równych odstępach?

– Las, ogród, park.

– W każdym razie duże skupisko drzew. Przerzywana ukośnymi odcinkami linia zaś to tory kolejowe...

Przerwał, przymrużył oczy. A potem gwałtownie pociągnął Karolinę za rękę.

– Chodź!

– Ale dokąd?

– Tam, gdzie znajdziemy plany Warszawy.

Chwilę później siedzieli na podłodze w niedalekiej księgarni popularnej sieci, ukryci między regałami, na których prezentowano mapy i plany miast. Byli jedyni w tym rewirze, zwykle bowiem w takich miejscach spotykało się młodych ludzi zatopionych w

lekturze, ale książek i czasopism.

– Myślę, że musimy się skupić na zachodniej części miasta – mruknął chłopak. – Oczywiście mam na myśli tamtejszą Warszawę. Na Górcach i w Chrzanowie ptaki wtedy zawracały i węgiel kiełkował.

Pochylili się nad fragmentem mapy.

– Poczekaj! – Karolina wycelowała palcem w jakiś punkt na planie, przechyliła głowę w lewo. – Co to jest?

Uśmiechnął się chytrze, robiąc identyczny ruch głową, po czym przekreślił plan o dziewięćdziesiąt stopni. Papier cicho zaszeptał na podłodze.

– To jest gwóźdź, na którym chciałbym zaczepić swoją teorię – rzekł z dumą. – Coś, co z początku wzięliśmy za przekrój poprzeczny łodzi kabinowej, jest czymś zupełnie innym. Może dzięki temu, że kształt ten tworzą kanały.

– Fort?

– Fort Bema. Wszystkie inne, a położone w pobliżu, jak Radiowo, Wawrzyszew czy Chrzanów, wyglądają nieco inaczej. Spójrz. – Przez chwilę dziobał palcem w papier.

Karolina spojrzała na zdjęcie w komórce.

– A co oznacza *right 2*? Może dwa kilometry na prawo... – zawiesiła głos.

– Wystarczy sprawdzić podziałkę i zmierzyć!

Przez kilka chwil przypatrywali się planowi: nitki ulic i linii kolejowych, kwadraty i prostokąty budynków, zielone plamy oznaczające łąki, lasy i parki. Terenoznawstwo nie miało dla nich tajemnic. Marcin przyłożył palec do skali, zaznaczył jeden kilometr za pomocą paznokci kciuków, następnie odmierzył jeszcze jeden, po czym zbliżył tak wykonaną miarkę jednym końcem do wielokąta będącego Fortem Bema. Drugim końcem skierował się w prawą stronę od kształtu narysowanego na kartce, co w praktyce oznaczało południowy zachód.

– O cholera! – jęknęła Karolina. – Czy to nie jest czasem...

– Linia kolejowa przy Górczewskiej – rzekł z triumfem harcerz,

wstając gwałtownie z podłogi. – Całkiem niedaleko jest Lasek na Kole. Władek Michalski mógł tamtędy przechodzić i ukryć skarb Antka. Linia kolejowa, ogrody działkowe, a to, co braliśmy za obraz, to prawdopodobnie szklarnie w majątku Ulrychów, które jeszcze niedawno tam stały. Wszystko się zgadza!

- Na to wygląda – rzekła w roztargnieniu Karolina.
- To jak? Jedziemy? – Chłopak zaczął składać mapę. Ale jego towarzyszka uśmiechnęła się przeproszająco.
- Może lepiej będzie, jak zrobimy to rano.
- W porządku. Ale na bank?
- Na bank.
- Nie tak jak ostatnio?
- Złośliwiec!

Odłożyli plan Warszawy z powrotem na półkę, zjechali ruchomymi schodami na parter, by po kilku chwilach znaleźć się w Pasażu Wiecha.

- W takim razie do jutra. Zdzwonimy się około dziewiętej. – Marcin pomachał dziewczynie, po czym ruszył w kierunku Świętokrzyskiej.
- A ty nie jedziesz do domu? – zdziwiła się.
- Muszę jeszcze coś załatwić.

*

Tej nocy Karolina spała niespokojnie. Śniło jej się, że w Warszawie trwa powstanie, a ona z rodzicami siedzi w jakiejś piwnicy. Słysząc wybuchy, strzały, krzyki, a w pewnej chwili niemiecką, twardą mowę. Całkiem blisko. Do tego szczekanie psów. Nie ma wątpliwości – znaleźli ich. Dziewczyna wtula się pomiędzy rodziców, ale jednym okiem wciąż spogląda w kierunku wąskiego okienka pod sufitem piwniczki, przez które sączy się światło dzienne. Nagle słysząc kilka metalicznych stuknięć i do środka wpada wiązka granatów. Takich z długą drewnianą rączką. To koniec. Karolina ze wszystkich sił zaciska powieki...

Wtedy się obudziła. Przez kilka chwil oddychała szybko i ciężko. Za oknem było już jasno, ale jeszcze nie pora, by wstawać. Nie w

wakacje. Tym bardziej że było jeszcze zbyt wcześnie, aby dzwonić do Marcina.

Dokąd on właściwie wczoraj poszedł? – zastanawiała się przez chwilę, spoglądając w sufit.

Kilka godzin później, w chwili gdy w kuchni rozbrzmiewała polka zwiastująca rozpoczęcie *Lata z Radiem*, Karolina wybrała numer kolegi. Zgłosił się po trzech sygnałach. Umówili się przed wejściem do centrum handlowego przy ulicy Górczewskiej.

– Tylko się nie spóźnij – powiedział jeszcze.

Znała go trochę i wyczuła w jego głosie ekscytację. Marcin lubił robić niespodzianki innym. A przy okazji sporo szumu, jakby to była co najmniej wycieczka do Dubaju. Pamiętała, jak na obozie w zeszłym roku przygotował dla wszystkich nocną grę terenową, której celem było znalezienie skarbu ukrytego w leśnych ostępach, a skarbem tym był karton słodczy.

– Ja się nigdy nie spóźnię – odpowiedziała z powagą.

*

Niestety, pech chciał, że tego dnia coś się działo w metrze. Pociąg, którym jechała, co chwila zatrzymywał się w tunelu. Gdy Karolinie wreszcie udało się dotrzeć do Świętokrzyskiej, gdzie przesiadła się w drugą linię, którą dojechała do najdalszej jak dotąd wybudowanej stacji – Księcia Janusza, autobus w stronę Bemowa długo nie przyjeżdżał. W końcu poszła piechotą. W sumie więc spóźniła się tylko nieco ponad kwadrans, ale nie czuła się z tym dobrze.

Już z daleka ujrzała Marcina siedzącego przed wejściem do galerii handlowej.

– Przepraszam – wydyszała.

Wydawał się jednak tym nieporuszony. Siedział na murku, obok leżał plan Warszawy, jednak już nie tak aktualny jak ten, z którego korzystali poprzedniego dnia, a także jakieś zapiski.

– Nie ma problemu. – Podniósł nieprzytomny wzrok znad telefonu.

– Coś nie tak? – przestraszyła się.

– Nie, wszystko jest w porządku. Oprócz tego, że nie mamy po co

tam iść...

– Dlaczego?

– Bo niczego nie znajdziemy – westchnął, skinął głową w bok. – W tamtej budce mają niezłe lody. Ja stawiam.

W pierwszej chwili poczuła ulgę. Jakoś tak przy śniadaniu, smarując chleb masłem, uświadomiła sobie bowiem, że to przecież nie jedna z ksiązek z serii *Pan Samochodzik i...* Nienackiego, które ma w swoich zbiorach jej ojciec. Tylko tam wszystko wyglądało tak pięknie: tajemne znaki templariuszy czy szachownice na murach kościołów prowadziły odkrywców prosto do celu. Oni zaś wciąż mieli za mało danych, nie mówiąc już o specjalistycznym sprzęcie w rodzaju georadaru, a przede wszystkim pozwoleniu na prowadzeniu poszukiwań. Nie, to się nie mogło udać. Chyba lepiej zakończyć tę przygodę teraz, aniżeli wpakować się w kłopoty. Zawsze znalazłby się ktoś, jakiś nudzący się na emeryturze staruszek z ratlerkiem na smyczy, który by się przyczepił.

Może jednak wyskoczę nad ten Zalew Zegrzyński – pomyślała.

Sympatia dla Marcina kazała jej jednak kontynuować temat.

– Dlaczego myślisz, że to nie to miejsce? – zapytała.

– Spójrz jeszcze raz na tę mapę, którą sfotografowałem.

Wzięła do ręki telefon, choć nie musiała, bo znała obie fotografie na pamięć.

– No i?

– Z początku myślałem, że po prostu przyjrzymy się miejscu na rozwidleniu torów. Ale potem to do mnie dotarło.

– Co? Powiedz wreszcie!

– Chodzi mi o linię kolejową.

Ledwo wypowiedział te słowa, usłyszeli gwizd lokomotywy, która właśnie wyjechała spod wiaduktu Górczewskiej, w pobliżu należącej do centrum handlowego stacji paliw. Ciągnęła wagony towarowe.

– Wciąż nie rozumiem – powiedziała Karolina.

– Została otwarta dopiero w 1951 roku. Władek Michalski nie mógł więc umieścić jej na swojej mapie. Ot, wszystko. – Rozłożył ręce.

Tak, to już chyba koniec zabawy. Ulga? Niekoniecznie. Może

sprawił to stukot kół wagonów przejeżdżającego pociągu, bo choć był to skład towarowy, przywiódł jej na myśl wakacyjny pociąg, którym można było wyjechać ku przygodzie. Niestety, w tym roku nie wsiadła do takiego pociągu. A może sprawiła to ciemna chmura, która zakryła słońce, przez co z miejsca zrobiło się nieprzyjemnie. Tak czy inaczej, Karolina nagle zapragnęła rozwiązać tę zagadkę. Wstała z murka, zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi galerii handlowej, zawróciła.

– Cofnijmy się trochę – zaczęła mówić. – Fort Bema jest pewny. Michalski napisał, że trzeba się kierować na prawo. My pomyśleliśmy, że na prawo od fortu, ale widzianego od północnego zachodu. Jak na rysunku. Dlatego spotkaliśmy się tutaj. A może chodzi o to, żeby iść po prostu na prawo, czyli na wschód?

Chłopak swoim zwyczajem potarł dłonią czoło.

– Dwa kilometry?

Dziewczyna przyłożyła palce do podziałki na planie Warszawy, odmierzyła odpowiednią odległość. Podniosła wzrok na Marcina.

– Wychodzi na to, że to skrzyżowanie Przasnyskiej i Rydygiera na Żoliborzu. Blisko są tory linii obwodowej, po której jeździł pociąg pancerny, no i dużo drzew. Czyli wszystko się zgadza. – Przygryzła wargę. – Jedziemy?

Tym razem jednak to jemu się chyba nie spieszyło.

– Masz dość? – zapytała.

– Nie. Ale po co mamy się spieszyć? Jak przeleżało w ziemi ponad pół wieku, to kilka godzin nie robi różnicy.

– Chyba że nasi znajomi okażą się szybsi – mruknęła.

– Co masz na myśli?

– To, że na stole u pana Leszka widziałam bilet powrotny do Izraela. Na dziś wieczór...

Jednak nawet i to nie było w stanie zbić go z pantałyku.

– Wiesz, Karolina, wydaje mi się, że jeżeli rzeczywiście był jakiś skarb, to już dawno został wykopany. Pomyśl, ile to już lat minęło od zakończenia wojny. Wszędzie powstały nowe domy, centra handlowe jak to. Nowe place i ulice. Ktoś prędzej czy później musiał

na to trafić. Może nawet zrobili to sami panowie Leszek i Antoni, już dawno. Przecież ten pierwszy pracował w milicji, a więc mógł wszystko. Może więc wisienka na torcie już dawno została zjedzona.

– Pewnie tak – westchnęła ze smutkiem. – Po prostu miałam nadzieję, że uda nam się przeżyć prawdziwą przygodę, taką jak w książkach albo filmach...

– I właśnie ją przeżyliśmy w ciągu ostatnich dni. Pomyśl, że w tym czasie siedziałabyś przed komputerem i oglądała debilne filmiki.

– Mogłam być nad Zalewem Żegrzyńskim – odburknęła.

– Jeszcze zdążysz pojechać.

W tym samym momencie rozległ się daleki grzmot.

*

Ulewny deszcz wymiół z ulicy wszystkich przechodniów. Karolina i Marcin stali w podcieniu budynku niedaleko skrzyżowania dwóch ulic dawnego przemysłowego Żoliborza, Przasnyskiej i Rydygiera, wraz z większą grupką ludzi, którzy znaleźli tu schronienie. Jedli lody w polewie czekoladowej, które chłopak kupił w znajdującym się kilka kroków od nich osiedlowym sklepiku. Znów błysnęło.

– Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... – harcerz liczył z półprzymkniętymi oczami. – Raz... dwa...

Wtedy rozległ się grzmot.

Ciekawe, czy do tego huku można się było przyzwyczaić? – pomyślała Karolina.

– Uderzyło dokładnie trzy i pół kilometra od nas – powiedział Marcin specjalnie głośniej, tak aby nie tylko jego towarzyszka usłyszała.

Jakoś nikt nie zareagował na te rewelacje. Ulicą przejechał autobus miejski, rozpryskując na boki fontanny wody.

– Spójrz. – Karolina uderzyła łokciem w bok chłopaka.

Kilkanaście metrów od nich zatrzymywał się znajomy samochód.

– Cholera – warknęła Marcin.

Nagle dziewczyna, nie zważając na deszcz i kałuże, ruszyła pędem przed siebie.

– Co robisz?! – krzyknął za nią, ale nawet się nie obejrzała ani nie zwolniła, więc, chcąc nie chcąc, szybko oblizał patyk po lodzie, schował go do kieszeni, po czym zarzucił kurtkę na głowę i podążył za swoją towarzyszką.

Dogonił ją w chwili, gdy jakby nigdy nic pukała w szybę samochodu. Po chwili drzwi się otworzyły, oboje wsiadli do środka i zajęli tylną kanapę.

– Co za spotkanie – zaśmiał się pan Leszek; nietrudno było się jednak domyślić, że w tych słowach jest tyle szczerości, ile w tej chwili suchych miejsc na ulicy, chodnikach i trawnikach.

– Czuwaj – przywitała się wesoło Karolina. – Ale leje, co?

– Dzień dobry – mruknął siedzący za kierownicą pan Antoni.

– Co tu robicie? – zapytał były milicjant, odchyliwszy się na przednim siedzeniu.

Karolina postanowiła grać w otwarte karty. Nawet za cenę wyrzucenia z auta na deszcz, zakończenia tej miłej, choć jednocześnie dość dziwnej znajomości, a także odwołania obiecanej wizyty na zbiórce drużyny, którą, nie ma co ukrywać, oboje z Marcinem chcieli zabłysnąć.

Już otwierała usta, aby odpowiedzieć na pytanie, ale chłopak okazał się szybszy:

– Przyszliśmy, aby wysłuchać końca opowieści.

– Ale to już wszystko. – Pan Leszek uśmiechnął się przymilnie.

– A my myślimy, że nie. – Marcin wysupłał z kieszeni spodni telefon, chwilę przesuwał palcem po wyświetlaczu, wreszcie obrócił aparat. – Nie chcemy waszego skarbu, ale wydaje mi się, że chyba zasłużyliśmy na to, żeby poznać prawdę.

Stary westchnął ciężko, wznosząc oczy ku dachowi samochodu, o który wciąż stukały ciężkie krople deszczu.

– Dobrze – mruknął po chwili. – Brulion Antka znaleźliśmy kilka miesięcy temu. Był schowany w jednej ze skrytek w podłodze, które nasz ojciec wykonał jeszcze na początku okupacji. Przeczytałem te zapiski kilka razy i chyba dopiero teraz tak naprawdę poczułem, czym było powstanie. Na końcowych kartach mój brat napisał o

wiadomości, którą przekazał mu umierający Władek Michalski. Ale w brulionie jej nie było. Nie miałem pojęcia, gdzie się podziała ta kartka. Jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego dnia ujrzałem ją w muzeum. Kto ją tam przekazał i w jaki sposób oraz kiedy wyfrunęła z brulionu, nie wiem.

– Skąd wiadomo, że to właśnie ta kartka? – wtrącił się Marcin.

– Nie wiadomo – westchnął stary. – Może Michalski zaznaczył tam zupełnie coś innego. Tak czy inaczej, myślimy podobnie, skoro się tu spotkaliśmy...

– A więc sztama? – zapytał znów harcerz.

– Nie wiedziałem, że młodzież zna jeszcze to słowo – zdziwił się pan Antoni. – Ale niech wam będzie. Sztama.

Do spółki dołączył się również deszcz – po prostu przestał padać. Zaczęli wychodzić z samochodu i rozglądać się dokoła. Niestety, żadne z nich nie było w stanie zamaskować zakłopotania, które malowało się na ich twarzach.

– Jeszcze niedawno rósł tutaj perz i biegały zające – powiedział pan Antoni, po czym zatarł dłonie. – No, ale nie ma się co martwić na zapas. Leszku, wyjmuj te zabawki z Mosadu.

Po chwili ujrzeli w rękach byłego milicjanta coś, co na pierwszy rzut oka przypominało zwyczajny laptop. Pan Leszek położył go na przetartej chwilę wcześniej rękawem z wody masce auta, zaczął uderzać w klawisze, by po chwili zdjąć urządzenie i zrobić kilka kroków po chodniku. Pozostali obserwowali jego poczynania w milczącym napięciu. Zatrzymało się też kilku zaciekawionych przechodniów

– Co to jest? – nie wytrzymała Karolina.

– Specjalny wojskowy program, który jest w stanie wskazać interesujące nas miejsce z dokładnością do dwudziestu centymetrów – odpowiedział pan Antoni. – Bojownicy Hamasu coś o tym mogą powiedzieć. Oczywiście tylko ci, którzy jeszcze mogą mówić...

Zaraz sięgnął po kluczyki i zamknął samochód, pan Leszek bowiem szedł już pewnym krokiem w kierunku apartamentowca. Między

chodnikiem a ścianą budynku znajdował się szeroki na dwa metry pas trawnika. Harcerz zacisnął kciuki, jednocześnie układając już w głowie dalszy scenariusz działań. Potrzebne będą łopaty, a przede wszystkim dość wysoki parawan.

– Cholera – usłyszeli naraz głos pana Leszka.

Harcerze dobiegli do niego w kilku susach, drugi ze starszych panów chwilę później.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Po ptakach – westchnął pan Leszek. – Brakuje pięciu metrów, a to oznacza, że jeśli coś tu było, to pewnie znaleźli to budowlańcy. Tu kończy się nasza przygoda. Spóźniliśmy się jakiś rok...

– Może trzeba zapytać u dewelopera? – bąknęła naiwnie Karolina.

Marcin znów potarł dłonią czoło.

– Mówi pan, że to wspaniałe urządzenie jest w stanie wskazać interesujący nas punkt z dokładnością do dwudziestu centymetrów – powiedział i nie czekając na potwierdzenie, mówił dalej: – Problem w tym, że Władek Michalski nie miał takiego urządzenia i być może wpisał te dwa kilometry na oko...

Leszek zmierzył nastolatka piorunującym spojrzeniem. W tej samej chwili znów zaczęło padać. Antoni wsiadł do samochodu. Po tym, co powiedział jej towarzysz, Karolina nie była pewna, czy i oni mogą zrobić jeszcze to samo. Z drugiej strony nie mogła nie przyznać Marcinowi racji. Znów byli w przysłowiowym lesie...

– Wskakujcie – rzucił pan Leszek, tuląc do siebie cenne zapewne urządzenie.

Ponownie znaleźli się w aucie. Milczeli. Harcerz wyciągnął telefon, aby jeszcze raz przyjrzeć się tajemniczemu rysunkowi.

– Wciąż nie wiem, co oznaczają te dwa prostokąty – powiedział. – A panowie?

Cisza. Zrozumiał. Spojrzał na Karolinę. Dziewczyna gapiała się w szybę, po której spływały krople deszczu. Wyglądała na osobę, która ma już serdecznie dość wszystkiego.

– A może to, co kojarzyło nam się z ramą obrazu, to otwór strzelniczy bunkra? – powiedział Marcin jakby do siebie,

jednocześnie pilnie wypatrując reakcji pozostałych. I chyba podziało.

– Bunkier? – powtórzył pan Antoni, po czym spojrzał na towarzysza swych dziecięcych zabaw, kto wie, czy nie w bunkrach właśnie. – Są jakieś w okolicy?

Mężczyzna zaczął znów stukać w klawisze.

– Tutaj nie – mruknął pod nosem. – Ale do niedawna coś jeszcze stało w okolicach Dworca Gdańskiego...

– Tam przecież został ranny Władek Michalski! – zawołali jednocześnie harcerze.

Nie pytając pozostałych o zdanie, pan Antoni przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił pierwszy bieg i ruszył z miejsca. Ulicą Rydygiera, którą niedawno obudowano blokami, dojechali do placu Grunwaldzkiego, następnie skręcili w stronę centrum handlowego, by po kilku minutach zatrzymać się na parkingu między torami linii obwodowej, umieszczonymi na planie, a działkami.

– Jeszcze chwila i tutaj też będą bloki... – mruknął pan Antoni.

Drugi ze starszych panów wciąż spoglądał w ekran swojego tajemniczego urządzenia.

– To nie może być tutaj! – zachnął się po chwili. – Przecież napisane jest: dwa kilometry od krawędzi Fortu Bema.

– Ile musiałoby być kilometrów, żeby trafić na miejsce, w którym jesteśmy? – zapytała dziewczyna.

– Trzy, może trochę więcej...

– A gdyby chodziło nie o kilometry, a o... mile?

– Dlaczego mile? – tym razem to starszym panom udało się odezwać się w jednej chwili.

– Może z tego samego powodu, dla którego podczas powstania rozkazy ze Śródmieścia na Mokotów szły przez Londyn – odpowiedział mu ze swadą harcerz. – Ile wynosi jedna mila?

– Tysiąc sześćset dziewięć metrów z małym haczykiem – odczytała z ekranu swojego telefonu Karolina.

Pan Leszek czuł w skroniach uderzenia serca. Położył sprzęt na masce samochodu, otarł rękawem pot z czoła. Oddychał z coraz

większym trudem.

– Dobrze się pan czuje? – zaniepokoiła się dziewczyna.

– Nigdy nie czułem się lepiej – odparł. – W bagażniku są szpadle i kilof. Jak niczego nie znajdziemy, wykopię sobie grób, a wy będziecie uprzejmi mnie w nim zasypać.

Nikt jakoś nie zaśmiał się z dowcipu. Chwilę później szli za nim alejką wzdłuż podupadających ogródków działkowych. Widać ich właściciele przeczuwali, że już się nie opłaca o nie dbać. Niestety, nigdzie nie było widać żadnego bunkra.

– To musi być tutaj. – Starszy pan zatrzymał się w pół kroku, tuż przed pomalowaną zieloną farbą furtką z metalowych prętów.

– Nie ma bunkra – jęknęła Karolina.

– Ważne, żeby były piwnice – szepnął pan Antoni, po czym pchnął furtkę, która ustąpiła z cichym piskiem dawno nieoliwionych zawiasów.

Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. Za chwilę znajdziemy prawdziwy skarb! – ekscytowała się Karolina, na szczęście tylko w duchu.

Leszek się zatrzymał. Zamknął laptop. Wyciągnął rękę, do której Marcin, wpatrzony w niego jak w obrazek, wcisnął trzonek łopaty. Starszy pan wyglądał jak mistrz czarnej magii, który za chwilę zachwyci widzów nową sztuką. Coś zresztą w tym było. Wbił szpadel w ziemię.

– A jeśli tu są miny? – krzyknął nagle chłopak.

– To wylecimy w powietrze – warknął mężczyzna. – I tak mam za parę godzin samolot...

Już po chwili mieli przed sobą dziurę głęboką na sztych. To jednak najpewniej było za mało. Marcin zaoferował pomoc, jednak starszy pan jej nie przyjął. Kopał w zapamiętaniu dalej. Harcerze, którzy nie mogli patrzeć na to w spokoju, rozgarniali na boki wydobytą ziemię. Pan Leszek nie przerwał pracy nawet wtedy, gdy z nieba znów zaczęły spadać krople deszczu.

I wtedy Karolinie, która nieco ponad godzinę wcześniej bardzo zapragnęła rozwiązać tę zagadkę, przyszła do głowy kolejna myśl. A

dokładnie pytanie.

– Co się stało z Antkiem? – zapytała, choć nie wiadomo dokładnie kogo; przecież z tego wszystkiego zupełnie o nim zapomnieli!

Spojrzenia wszystkich trzech mężczyzn, dwóch starych i młodego, skupiły się w jednym miejscu: na jej twarzy. Zamrugła oczami. Z niedalekiego Dworca Gdańskiego dobiegł gwizd pociągu. Pan Leszek sapnął głośno. Zupełnie tak samo jak tamtego dnia w Alejach. Wypuszczony z ręki szpadel wpadł do dołu.

Wtedy metal głucho stuknął o drewno...